

Daphne du Maurier

Metresa

Zakład Nagrań i WYdawnictw
Związku Niewidomych
Warszawa 2001
Tłumaczyła Anna Bańkowska

Przedruk Wydawnictwo "Alfa_Śwero",
Warszawa 1995

Pamięci mojej praprababki
Mary Anne Clarke,
zmarłej w Boulogne
21 czerwca 1852 roku,
oraz
aktorki Gertrude Lawrence
(która grała rolę
Mary Anne na scenie),
zmarłej w Nowym Jorku
6 września 1952 roku

Składam serdeczne podziękowanie sir Walterowi Peacockowi za udostępnienie notatek, które dały mi wiele cennych informacji dotyczących Mary Anne Clarke; Orieli Malet za długie godziny spędzone w British Museum i archiwum państwowym; a nade wszystko Derekowi Pepysowi Whiteleyowi za niezmordowane ślęczenie nad książkami i dokumentami z epoki oraz niezwykle pomocne wskazówki dotyczące materiałów.

Daphne du Maurier

nogi. Pan Burnell nazwał Josepha łajdakiem i uwodzicielem nieletnich. Joseph nazwał pana Burnella tyranem i kutwą.

- Dobrze - przerwała mu niecierpliwie Mary Anne - ale gdzie jest Joseph?

- Mieszka w umeblowanych pokojach w Clerkenwell, dam pani adres. Wbił sobie do głowy, że wyjedzie do Ameryki. Zabrałem go wczoraj wieczorem do miasta i strasznie się upił. O trzeciej nad ranem wylądowaliśmy "Pod Dzwonkami"; miał szczęście i wygrał dziesięć funtów. Teraz pewnie śpi, więc go pani zastanie.

Pensjonat w Clerkenwell, choć usytuowany przy ulicy, a nie w pasażu, różnił się znacznie od schludnego mieszkania pani Farquhar. Drzwi frontowe stały otworem, każdy mógł wejść do środka. Chuda dziewczynina szorowała na kolanach przedsiónek. Pilnowała jej kobieta o uróżowanych policzkach.

- Clarke? Drugie piętro, pierwsze drzwi - rzuciła przez ramię.

Mary Anne wchodziła na wąskie schody lekko przygaszona. Jeśli Joseph jest zbyt dumny, by wrócić do ojca, to czemu nie znalazł sobie lepszego mieszkania?

Spał - tak jak przewidywał James Burton. Jeśli rzeczywiście upił się poprzedniej nocy, nie było tego po nim widać. Tylko twarz miał zaczerwienioną. Wyglądał we śnie tak samo niewiennie jak Charley i Mary Anne pojęła, że kocha go bardziej niż kiedykolwiek. Weszła na palcach, uporządkowała porozrzuconą na podłodze garderobę, a potem cichutko położyła się przy śpiącym.

Kiedy Joseph się obudził i ujrzał obok na poduszce głowę Mary Anne, wszystkie myśli o wyjeździe do Ameryki umarły śmiercią naturalną. Wzajemna bliskość spowodowała natychmiastowy nieuchronny skutek. W końcu nie znajdowali się pod rodzicielskim dachem. Skrzypiące schody nie stanowiły zagrożenia w pensjonacie, gdzie z reguły nie zadaje się żadnych pytań.

Tego popołudnia na całym świecie liczyło się tylko to, że znowu są razem. Przyszłość należy do nich i mogą zrobić, co zechcą.

- Nic, tylko to - rozmarzył się Joseph - dzień po dniu, noc po nocy. Żadnego rannego wstawania, żadnego Burnella nad głową, żadnych planów...

- Musimy jeść - rzekła przytomnie Mary Anne. - I nie podoba mi się ten pokój. W oknie nie ma żaluzji, i łóżko jest za małe.

Uznał, że brak jej ducha przygody. Odpowiedziała, że jemu brak zdrowego rozsądku. O wpół do ósmej wyszli na obiad.

Jeśli pokój nie dorównywał pozycji Josepha, to restauracja, którą wybrał, znacznie ją przewyższała. Nie dla niego gospody przy bocznych uliczkach. Zjedzą obiad w luksusowej restauracji na Strandzie. I nie pójdą tam pieszko, muszą koniecznie wziąć lektykę.

Baranina i piwo? Dobry Boże, co za pomysł! Zamówią nerkówkę cielęcą i lekkie francuskie wino. Potem kaczuszka, ale musi być krucha. I ten pański ton przy dysponowaniu potraw, ton znamionujący kogoś, kto dobrze płaci!

Kelnerzy kłaniali się w pas. Jeśli nawet Joseph chwiał się nieco na nogach przy wyjściu, to drobiazg; był tak przystojny i z taką swobodą skinał znowu na lektykę...

- Co teraz? Może opera? - zaproponował pobrzekując monetami, czyli resztą z dziesięciu wygranych funtów.

Mary Anne potrząsnęła głową.

- Nie dziś - odparła podpierając go w samą porę.

Jak to dobrze, że w pensjonacie przy Clerkenwell nie zadają pytań!

Po paru dniach wiedziała, że musi być praktyczna za dwoje i przejąć całą odpowiedzialność. Joseph, szczęśliwy, że uwolnił się od nauki, pragnął tylko wylegiwać się do południa, a potem spacerować i "oddychać świeżym powietrzem". Po co zastanawiać się nad przyszłością? Po co snuć plany? Lepiej pomyśleć, dokąd by tu pójść na obiad. Pieniądże? Furda, nie ma strachu, swego czasu miał ich

W spokojnym Hampstead zaczynało im się nudzić. Mary Anne chciała już wrócić do miasta, zobaczyć matkę i chłopców, zaprezentować się jako pani Josephowa Clarke, synowa znanego przedsiębiorcy budowlanego, móc w pełni nacieszyć się pozycją uczciwej, zameężnej kobiety.

Już dwa tygodnie zalegają z opłatą. Przecież to śmieszne, że żyją w takich marnych, prymitywnych warunkach, gdy jedno słowo teścia dałoby im oparcie i zapewniło szacunek wszędzie, gdzie zechcą się udać. Mary Anne pragnęła zwyczajowych przywilejów panny młodej - prezentów ślubnych, gratulacji, podarków w postaci bielizny i sreber, zamieszkania w oddzielnym domu (nie musiałby wcale być duży, przynajmniej na początku). Co za sens wychodzić za męża, jeśli nie ma się tego wszystkiego?

W dodatku na jesieni urodzi im się dziecko - teraz już była pewna. Trzeba się postarać o jak najlepsze warunki, Joseph musi to zrozumieć. Ciemne oczy na chwilę rozblęły, ale zaraz spojrzęły w bok.

- O co chodzi, Josephie?

Sięgnął do kieszeni i wydobył list.

- A więc dobrze - rzekł. - Wygrałaś. Nie chciałem psuć nam zabawy, dlatego ci przedtem nie pokazałem. Przeczytaj sobie.

List nie miał nagłówka. Został napisany dwudziestego trzeciego maja, cztery dni po ich ślubie, w Angel Court, Snow Hill.

"Od dzieciństwa przynosisz mi same rozczarowania, dlatego nie zdziwiło mnie wcale Twoje haniebne zachowanie, o którym dowiedziałem się od Thomasa Burnella. Pragnę Ci przypomnieć, że nie wydarzyło się to ani po raz pierwszy, ani drugi, i że wysłałem Cię na naukę do Burnella, aby wykluczyć podobne afery w przyszłości. Nigdy nie wierzyłem w Twój talent, a i Burnell nie ma o nim wysokiego mniemania. Z tego, co wiem, pozostaje Ci tylko zarabiać uczciwie na życie jako zawodowy kamieniarz pod czyimś nadzorem. Przyjąłem do wiadomości fakt, że poślubiłaś młodą osobę, którą uwiodłeś. Zaskoczyłaś mnie, ponieważ znam Twój charakter. Nic mnie to jednak nie obchodzi, bo nie mam zamiaru utrzymywać stosunków ani z Tobą, ani z Twoją żoną. Przez wzgląd na matkę będę Ci wypłacał do końca życia jednego funta tygodniowo, czyli pięćdziesiąt dwa funty rocznie, ale nie oczekuj po mnie niczego więcej. Po mojej śmierci wszystkie pieniądze oraz firmę odziedziczą Twoi bracia".

Twój ojciec Thomas Clarke

Joseph przyglądał się żonie, gdy czytała list. Czy dotrzyma obietnicy i nie będzie się gniewać? Ma gwałtowny charakter i on dobrze o tym wie. Zdarzały już się sceny, pojawiły się konflikty, padały złe słowa, które jednak, jak dotąd, potrafił załagodzić czułościami.

Ale jak się odniesie do owych "afery", o których wspomniał ojciec? "Nie wydarzyło się to ani po raz pierwszy, ani drugi". W tym sęk. Czy musi jej się spowiadać z tej nieszczęsnej historii z siostrą oberżystą? Albo z owego godnego pożałowania incydentu z żoną woźnicy? Czy uda się uniknąć jej oskarżeń, łez, trzaskania drzwiami i pogróżek, że wróci do mamy?

Okazało się, że nie znał swej żony tak dobrze, jak przypuszczał. Aluzje do wypadków z przeszłości nie zrobiły na niej wrażenia. Zachowanie Josepha w pierwszym tygodniu pobytu w pasażu Black Raven wyjaśniło jej bez słów wszystko, co chciała wiedzieć o jego przeszłości. Jedno tylko zdanie z całego listu stanowiło dla niej prawdziwy cios: "Nigdy nie wierzyłem w Twój talent, a i Burnell nie ma o nim wysokiego mniemania". Tylko to się liczyło. I ta sugestia co do przyszłości: "zawodowy kamieniarz pracujący pod czyimś nadzorem". Czyżby to była jedyna perspektywa na najbliższe lata?

Podarła list na drobne kawałeczki i uśmiechnęła się do męża.

- Ojca mamy z głowy. Co z braćmi?

Wzruszył ramionami.

przy Dworze Świętego Jakuba?" Ach, byłabym zapomniała, robi pan buciki na miarę, czy muszę wziąć pierwsze z brzegu?

Małe oczka błyskają porozumiewawczo, na mięsistych policzkach pojawiają się fałdki.

- Zapewniam drogą panią, że wszystko idealnie dopasujemy.

Zachwycona kuzynka okręca się w kółko i woła do przyjaciółek:

- Mary Anne chce kupić buciki u wuja Toma!

Goście przychylają się do pomysłu i przyłączają do dyskusji.

- Uważaj, będzie cię to nieźle kosztować.

- U niego jest strasznie drogo.

- Wujowi Tomie, chyba dla rodziny masz specjalne warunki?

Staruszek chrząka, uśmiecha się, ale nie odpowiada. Nie padła przecież żadna niestosowna propozycja, w ogóle nic się nie stało. Kieruje rozmowę na temat muzyki i śpiewu. O bucikach nikt już nie pamięta, wieczór dobiega końca. Niejaki kapitan Sutton z pułku grenadierów, dawny towarzysz broni jednego z braci Taylorów, odprowadza Mary Anne do domu. Przy pożegnaniu przytrzymuje nieco dłużej jej dłonie.

- No, pani Clarke, kiedy i gdzie znów się spotkamy? Przy Craven Place czy... przy Bond Street?

Bada grunt? Obrażona Mary Anne trzaska mu drzwiami przed nosem i biegnie na górę. Pokój owdowiałej pani Johnowej. Gabinet wikarego. Pokój dzieci, gdzie śpi niczego nieświadoma, bezbronna, kochana gromadka, zrodzona z jej krwi i kości. I oto już jej sypialnia. Na podłodze rozwała się Joseph, który nie trafił do łóżka. Czy aby wikary niczego nie usłyszał? Dobrze, że mąż przynajmniej oszczędził jej wstydu i nie wstąpił do Taylorów. Nie wtargnął tam tupiąc głośno nogami, dzięki czemu nie musiała przeżywać krępującej ciszy, ani w chwilę potem wybuchu sztucznegożywienia. Nie oglądała tym razem, jak jeden z pocziwych braci Taylorów podtrzymuje go ramieniem.

Pochyliła się, by sprawdzić śpiącemu kieszenie. Znajduje szylinga. Kiedy wychodził z domu, miał przy sobie trzy gwiney. Jutro znów będzie się tłumaczył i przepraszał - parę rundek przy zielonym stoliku, parę kolejek ze znajomymi... Mary Anne podkłada mu poduszkę pod głowę i zostawia w spokoju.

Gdzie jest papier i pióro? Czym by tu dziś nakarmić sępy? Źródło w postaci pani Western jakoś wyszło. Ostatnia informacja dotyczyła niemowlęcia z Devonshire House, które znaleziono w szafie, zawinięte w ręcznik. Mówi się, że urodziła je pomywaczka, ale pewne plotki... A co słychać u premiera, pana Pitta? Trzeba pomyśleć.

Widziano go, jak się zataczał w holu... Więc kuplet Pope'a, a dalej jakiś dwuznacznik. I pamiętać, że zawsze należy kluczyć w ogon.

Pisze przez dwadzieścia minut, potem zamyka oczy. Wokół panuje cisza, przerywana tylko sapaniem śpiącego Josepha. Potem nagły płacz dziecka. Trzeba je utulić, owinać kocym, poprawić poduszkę... Aktywny umysł Mary Anne zamiast odpocząć oddaje się dywagacjom.

To dziwne, taksujące spojrzenie kapitana Suttona. "No, pani Clarke, Craven Place czy Bond Street?"

Rozdział 9

Nadchodzi czas rewanżu za gościnność. Taylorowie rewizytują Clarke'ów, rozmowa dotyczy muzyki. Dzień przedtem przyszedł bilecik od kapitana Suttona: "Wpadłem przypadkiem na giełdzie na starego przyjaciela. Czy mogę przyprowadzić go na kolację?" Odpowiedź: "Będę zaszczycona." Oto jeden z tych przypadków, które zmieniają bieg życia.

Zdenerwowana i zła z powodu przyjęcia, które Joseph na niej wymógł, Mary Anne pełna jest złych przeczuć. napięte jak postronki nerwy domagają się wyładowania i znajdują je. Sąsiednie miejsce przy stole zajmuje nieznamy w średnim wieku. Młodej kobiecie podobają się spojrzenia jego

- Kto chce cukierka od starego wujaszka Toma?

Do mnie, szanowna publiko! Do mnie! Zobaczyła go nagle na jarmarku, jak siedzi na ziemi i wali pałeczkami w bęben przed purpurową, szczelnie zaciągniętą kurtyną. Co za nią jest? Zapłać, piękna panienko, to się dowiesz.

Skuszone słodyczami dzieci przysuwają się bliżej. George, z usmarowaną buzią, podskakuje Taylorowi na kolanie. Nagle Mary Anne porwał gniew. Stary drań, jeszcze dzieci kusi! Podeszła do Dowlera.

- Zabierz mnie stąd. Nie mogę tego znieść.

Wytrzeszczył oczy. Co, tak zaraz? W tej chwili? Przecież ci ludzie przyjechali tylko na jeden dzień, to rodzaj przyjęcia. Jeszcze minutę temu widział ją wesołą, ożywioną, jak trajkocze z tym starym gadułą Taylorem. Łzy za zmarłym synkiem dawno obeschły, Mary Anne nigdy o nim nie wspomina, nie płacze też po nocach we wspólną poduszkę. Więc skąd to nagłe przygnębienie, zupełnie jakby ją nawiedziły duchy?

- Oczywiście, zabiorę cię, dokąd zechcesz - odrzekł uspokajająco. - Dziś, jutro, pojutrze... O co chodzi?

Mogłaby odpowiedzieć: O co? O życie, które toczy się naprzód. O to, że możesz stąd wyjść i zostawić mnie na lodzie. Nie, nie rozmyślnie, lecz zmuszony okolicznościami. Masz w Uxbridge starych rodziców. To oni są dla ciebie najważniejsi, czyż nie? Albo inaczej: pewnego dnia postanowisz poślubić córkę jakiegoś właściciela ziemskiego i zajmiesz się płodzeniem synów o pyzaty buźkach. Cóż, jeśli tak zrobisz, ja pójdę pod młotek. Ten stary cap, tam w kącie, wystawi mnie na sprzedaż. Ile za mało używaną matkę trojga dzieci? Zawsze do usług, pełna gwarancja!

Zamiast tego wszystkiego uśmiecha się tylko i mówi:

- Jestem znużona.

Tylko tyle. I wcale tego po niej nie widać. Żadnego wzruszania ramionami ani ziewania. A jednak... powiedziała to w sposób, który można by uznać za wyzwanie. Wynagrodź mi to, co utraciłam, dawała do zrozumienia. Przecież zrobił, co w jego mocy, czego jeszcze może żądać? Zawsze gotów na każde jej skinienie, każda zachcianka spełniona natychmiast, dzieci zadowolone, pani Andrews opłacona. Gdyby Mary Anne była wolna... Nie, wtedy też wynikłyby kłopoty. Choć tak bardzo ją kocha i będzie kochał zawsze, to stary rodzinny dom w Uxbridge... twarz ojca... No, ale przecież nie jest wolna, więc nie ma o co się kłócić. Może kiedyś, później, będzie go stać na nieduży, skromny domek, wygodny do składania wizyt, wybudowany na gruntach przyjaciela. A gdy zabraknie rodziców, problem sam się rozwiąże bez łamania komukolwiek serca.

Tymczasem wyrwie ją z tego młyna, zabierze od siostry, przyjaciół, wracających do zdrowia dzieci. Chce ją mieć tylko dla siebie.

- Znam takie miejsce - zaproponował. - Chalfont St Peter's, jakieś dwadzieścia mil od Londynu. Mała gospoda, mało ludzi. Pola, lasy, cisza, pustkowie...

Po wyrazie jej oczu zorientował się, że strzelił gafę.

- St Peter's - CO? Czy ja wyglądam na pustelnicę? Na miłość boską, użyjmy trochę życia! Pojedziemy do Brighton.

Jeśli tego właśnie chce, to dobrze, że ostatnio miał dobrą passę na giełdzie. W Brighton jest drogo, podczas gdy w St Peter's...

Nie minęło pięć minut, a już wszystko zaplanowała. Sprowadzi do Hampstead matkę. Jutro wyskoczy do miasta i kupi jakąś suknię - przecież w tym, co ma, nie pokaże się ludziom na oczy, wszystkie jej kapelusze też dawno wyszły z mody. Weźmie ze sobą Isobel i May. Jest koniec sezonu, więc wszystko będzie tańsze.

- A bućki? - zapytał znienacka Tom Taylor.

- Spotkajmy się wieczorem w salach recepcyjnych - proponuje. - Pogadamy sobie. Będzie jak za dawnych czasów.

Jak za dawnych czasów? Wręcz przeciwnie. Jak można porównywać przepych tych sal do domu przy Golden Lane, skrzypiących schodów w pasażu Black Raven, a Burtona do złotego młodzieńca, jakim był wtedy Joseph?

Burton uważa, że Mary Anne wygląda znakomicie i jest diabelnie atrakcyjna. Czyżby specjalnie dała wychodne Dowlerowi, żeby mogli spokojnie pogawędzić?

Kobieta bez żadnych wstępów przechodzi do rzeczy.

- Szukam domu. W Londynie.

- Ile pani może wydać? Czy chodzi o zakup?

- Mam na myśli dziesięcioletnią dzierżawę.

Przygląda się jej z namysłem. Kto za to zapłaci? Ten Dowler czy inny frajer?

- Właściwie mogę panu powiedzieć: zostawiłam Josepha na dobre. Sama będę utrzymywać siebie, dzieci i matkę.

W takim razie sprawa kosztów jest jasna. Strzała wypuszczona na oślep trafiła w środek tarczy.

- Mam domy w budowie przy Tavistock Place. Dzierżawa wyniesie tysiąc albo tysiąc czterysta funtów.

- Renta dzierżawna płatna z góry? Półroczna czy kwartalna?

Uśmiechnął się i potrzęsął głową.

- Nie chcę się teraz w to wglębiać. Załatwimy te sprawy przy okazji. Taka stara przyjaciółka jak pani...

- Kiedy będę mogła się wprowadzić?

- Na wiosnę. Jeśli się pani do tej pory zdecyduje, mogę pociągnąć za sznurki w Brighton. Tu aż do grudnia można się świetnie bawić.

Jest czas, by się rozejrzeć i coś ustrzelić, pomyślała. Pokazywać się, dać się poznać, wejść w towarzystwo. A potem Londyn.

- Chciałabym mieć dom zaraz po Bożym Narodzeniu. Ale proszę zatrzymać to przy sobie. Przynajmniej na jakiś czas.

- Nie powie pani swojemu przyjacielowi?

- Jeszcze nie teraz.

Perspektywy stają się coraz bardziej nęcące. Więc mimo wszystko to nie Dowler płaci. Co oznacza, że interes da się połączyć z przyjemnością.

- A co ze mną? Czy budowniczemu nie należy się jakaś... drobna premia? Muszę od czasu do czasu sprawdzić stan dachu. Czy nie odpada farba, czy wentylacja dobrze działa... Oczywiście przedtem dam pani znać.

Spojrzenie mówi za wszystko. Mary Anne wie już, o co mu chodzi. Innymi słowy, mogłaby zapomnieć o rencie. Pominąć milczeniem sprawę tysiąca czterystu funtów. Dziesięcioletnia dzierżawa za odrobinę figli na boku. Och, no dobrze... W końcu zna Jamesa Burtona od dziesięciu lat, dawny lokator matki prezentuje się wcale, wcale. Jest od niedawna żonaty, więc nie sprawi kłopotu, większość czasu będzie spędzał z rodziną. Gdyby nie musiała płacić za dzierżawę, mogłaby dać sobie spokój z wujem Tomem. Pokazać figę Bond Street i nawiązać własne kontakty.

Unosi szklaneczkę i spogląda Burtonowi w oczy.

- Architekt musi mieć zagwarantowane prawo wstępu.

Nie pada już ani jedno słowo. Mary Anne wie, że dzierżawę ma w kieszeni.

Skoczyła na głęboką wodę i teraz nie ma odwrotu. Sięga po to, co może zyskać i ma zamiar pilnować swoich spraw. Zapłaci w naturze. Będzie postępować uczciwie, nikogo nie oszuka. Nikt nie powie, że nie zapracowała na swoje zarobki. Płaci i wymaga. To taki sam zawód jak piekarz, rzeźnik czy lokaj. Wszyscy musimy jakoś żyć.

Rzecz w tym, że jest to sposób na zrobienie pieniędzy. Nie takich, które ciulała z trudem, tylko prawdziwych pieniędzy do wydawania. Pisanina nigdy nie przynosiła zbyt wiele. Teraz nareszcie kupi sobie, co zechce: suknie i narzutki, świecidelka, figlarne czepeczki, ubrania dla matki i Isobel, zabawki dla dzieci. Nie będzie już gwinei znikających bezpowrotnie w kieszeniach Josepha. Własny dom,umeblowany według jej gustu. Nowe twarze, nowi przyjaciele i znajomi. Bezwstydna radość samodzielnego życia i zarobkowania, której nikt na świecie jej nie odbierze.

Już miesiące spędzone w Brighton przyniosły Mary Anne pewne korzyści. Zrobiło się wokół niej tłoczno, krąg znajomych znacznie się powiększył. Teraz, kiedy Bill Dowler przyjeżdża na weekendy, by wyegzekwować swoje prawa, spotyka się już z konkurencją. Za lustro pozatykane są wizytówki woźniców czwórek. "Do zobaczenia w południe", rzuca w przestrzeń Mary Anne albo: "Do zobaczenia na kolacji" - po czym wymyka się na wyścigi z Johnnym Brunellem. A gdy nadchodzi południe - Bill znajduje ją w towarzystwie Charlesa Milnera.

- Kto ci dał tę brylantową miniaturkę szpicruty?
- Co? Ach, to taki żart Cripplegate'a Barrymore'a.
- Kosztowny sposób żartowania.
- Stać go na to.

Ciągle ktoś ją obwozi dwukółką albo faetonem. Wypytywana, udaje, że nie słyszy albo odpowiada nie na temat.

- Nigdy dotąd nie miałam rozrywek, więc teraz korzystam...

Krótko mówiąc, Bill musi to przełknąć albo się wynieść. Przeżyli już swoje najlepsze dni, to minęło. Może szukać szczęścia na giełdzie lub wrócić do Uxbridge, droga wolna.

Problem w tym, że ostatnio rzadko mu się szczęści. Rynki padają jeden po drugim i Dowler traci pieniądze. Musi wracać do Uxbridge albo zbankrutuje.

Późną jesienią przedstawia jej swój plan.

- Znam pewną przyjemną chatkę niedaleko mojego domu. Akurat dla ciebie i dzieci. Co o tym sądzisz?

No trudno, spójrzmy prawdzie w oczy. Karty na stół!

Zarzuca mu ręce na szyję, całuje jego oczy, szyję i guzik od kamizelki.

- Przeprowadzam się na Tavistock Place. To jest w Londynie. Wynajęłam dom od Burtona, policzył mi tanio. Nie chcę mieszkać w pobliżu Uxbridge ani ukrywać się w jakiejś chatce. Mam zamiar zrobić furorę.

Tak, tak, Brighton to eksperyment, próba generalna. Teraz Dowler będzie musiał wytrzymać cały spektakl.

- Mówiąc otwarcie, uważasz, że jesteś na sprzedaż?
- Kto wygrywa, zgarnia pulę. To kwestia szczęścia w grze. Wiesz, że nie zawsze ma się dobrą passę. Nie mogę na tym budować planów. Muszę być wolna.

- Po co ci wolność? Do rozbijania się powozami?
- To robię już teraz. Przy Tavistock Place będzie mi wygodniej.
- Przy czym Burton zapewni ci dom, a Cripplegate będzie wpadał z wizytami. I zostawiał dwieście gwinei za noc?

- Mam nadzieję, że dwieście pięćdziesiąt. Ukryte w dali!

Wybucha śmiechem i znów go całuje. Dowler wie, że przegrał.

- Słyszałaś kiedyś o Kitty Fisher? Albo o Lucy Cooper, albo o Fanny Murray? Poszły tą samą drogą i wszystkie skończyły w rynsztoku.

- To była bardzo niska klasa. Ja mierzę znacznie wyżej.

- Dlatego właśnie odchodzisz ode mnie. Nie mam tytułu, a mój ojciec to tylko kupiec. Nasza rodzina, jak ci mówiłem, zajmuje się handlem winem.

- Ale teraz ojczulek sprzedał firmę i wycofał się z interesów. To mnie już nie pociąga.

- Dobranoc.

Patrzyła przez okno, jak Ogilvie przechodzi przez ulicę. Pomachała mu ręką, odstawiła jego kieliszek na tacę, wygładziła poduszki i zdmuchnęła świece. Potem poszła na górę i położyła się, ale nie mogła zasnąć. Oto kolejny punkt zwrotny w jej życiu, ale tym razem nie wymusza go chrapiący na podłodze Joseph. Nie ma Edwarda, który śpi wiecznym snem. Nie ma przy niej Billa, do którego można by się przytulić i wyplakać. Charley jest za młody i nie zna się na niczym.

Mój Boże, myśli Mary Anne, jak samotna jest kobieta, która musi zarabiać na chleb. Mężczyźni nigdy nie rachują kosztów. Są do nich przyzwyczajeni.

Nadchodzi piątek. Dzień jak każdy inny, wypełniony zwykłymi sprawami. Kilku kupców, którzy przyszli z rachunkami odprawia się z przeprosinami. Ustalić z Martą jadłospis. Lekarz do cierpiącej na reumatyzm matki. Zakupy z Isobel, trzeba jej kupić pończochy i rękawiczki. O szóstej obiad z dziećmi - wreszcie coś miłego. George wydaje się jakiś niespokojny, marudzi... Może chory?

- To nic, proszę pani - uspokaja ją Marta. - Najadł się jabłek.

Rozpuszczony Charley domaga się pieniędzy.

- Paru chłopaków zaprosiło mnie na tenisa. Mogę iść?

- Oczywiście, że możesz. Nie bądź ofermą, Kochanie.

Już czas. Wszystko w domu załatwione, torba spakowana, na wieczorową suknię narzucony obszerny, ciemny płaszcz. Powóz stoi pod drzwiami, Sam Carter czeka. I nagle, bez żadnego powodu - nerwowy skurcz w żołądku.

- Sammy, życz mi szczęścia.

- Dlaczego, proszę pani? Dokąd pani jedzie?

- Sama chciałabym wiedzieć. Ale życz.

- Tak, proszę pani. Zawsze pani dobrze życzę.

- No, to zamknij drzwiczki i podaj woźnicy adres: Bond Street, numer 9.

Na początku kwietnia ulice o tej porze są już ciemne. Wiosna kryje się gdzieś za rogiem, spóźniona jak zwykle. Przy Hanover Square odbywa się przyjęcie, zatrzymują się pojazdy. Mary Anne chciałaby, żeby i jej powóz znalazł się w tym wesołym, przyjaznym towarzystwie, zamiast uwozić ją na spotkanie z jakimś nieznanym. Przypomniała sobie dorożkę, Islington i pana Daya w pomponiastej szlafmocy. Minęło jedenaście lat i Mary Anne ma za sobą tyle mostów... Powóz zatrzymał się przy Bond Street. Zawinęła się szczelniej w płaszcz. W oknie pierwszego piętra pali się światło; to wuj Tom zerka niecierpliwie przez szparę w zasłonie, pewnie nie może się doczekać. Och, w porządku, teraz już za późno, by zawrócić, kości zostały rzucone. W mrocznym świetle latarni widać szyld nad sklepem: "Taylor. Wyrób obuwia" i żeby sprawa była jasna - herb z napisem: "Dostawca Rodziny Królewskiej". Ambasador Marokinu lubuje się w dwuznacznikach.

Rozdział 2

Tom Taylor czekał na nią w holu, z upudrowanymi włosami, ubrany jak z igły w pawi aksamitny surdut - i buciki z klamerkami.

- Tak się cieszę, moja droga. Nie widzieliśmy się tak długo! Chyba ostatni raz trzy miesiące temu podczas przyjęcia, które wydałaś dla moich brataniczek. Jak się miewają dzieci? Śliczne jak zawsze? A ty? Ale nie muszę pytać. Świeżutka jak brzoskwinia!

Staruszek cmoka z zachwytem i wprowadza ją na schody.

- Powinienem się na ciebie pogniewać - ciągnie. - Jak długo się znamy? Ponad dwa lata, prawda? I żeby przez cały ten czas nie złożyć wujowi Tomowi wizyty! Choćby po to, żeby kupić buciki!

- Mówiłam już panu poprzednim razem. Za dużo pan sobie liczy.

- Nonsens, moja droga, to wszystko bzdury. Jak dla ciebie - podwójny rabat!

że dom przy Tavistock Place to najwygodniejsze miejsce, jakie zna; jedzenie smaczne, wino świetnie dobrane, a łóżka jak marzenie. Wystarczyłoby jedno słowo parę tygodni temu, a zdążyłaby zapiać wszystko na ostatni guzik. A tymczasem telepie się powozem do Fulham jak pierwsza lepsza kokota. Nie ma nawet jak zaprezentować swoich zalet - zabłysnąć rozmową, pokazać, jak się porusza, rozwinać całego kunsztu, dzięki któremu mężczyźni lgną do niej jak muchy do miodu. Ten rodzaj usług zaś może świadczyć byle siksa albo jakiś stary wycieruch, jeśli się odpowiednio wystroi.

- No! To było pokrzepiające. Co powiesz na kolacyjkę? Oto domek myśliwski w Fulham, tam, na prawo. Jestem głodny jak wilk.

Dyskretni służący nie patrzą na przybyłą. Jeden bierze torbę, drugi płaszcz, potem zaś prowadzą ją na górę, do dużego pokoju. Wszystko, czego mogłaby potrzebować, jest na miejscu, gotowe do użycia: szczotki, poduszcзки do szpilek, grzebienie i buteleczki przed lustrem na toaletce. Łoże z kotarami, nocna koszula, peniuar, miękkie pantofelki. Pomimo całej urazy Mary Anne musi przyznać, że całość wygląda zachęcająco. Trudno nie docenić klasy i dbałości o szczegóły. To jednak zupełnie inny świat - gdyby przyjmowała go na Tavistock Place, nie pomyślałaby zapewne ani o nocnej koszuli, ani o pantoflach. Brzytwa do golenia - owszem, także grzebienie w gotowni, ale nie to... Przygląda się baczным okiem prześcieradłom. Przyjemne w dotyku, pachnące lawendą, cienkie jak chustka do nosa... Szkoda, że matka tego nie widzi, przywiązuje taką wagę do bielizny pościelowej i wierzy w te bzdury o przeciąganiu prześcieradeł przez obrączkę...

- Jeśli pani już gotowa, to Jego Królewska Wysokość czeka.

O, doprawdy? No to niech jeszcze poczeka. Chyba bierze swą ptaszynę za kogo innego, jeśli uważa, że Mary Anne usiądzie do stołu z włosami w strąkach, całkiem potarganymi po tej... jeździe powozem. Najpierw trzeba się doprowadzić do porządku. Odrobina perfum z buteleczki. Bardzo przyjemny zapach. Powinny być dobre, na miły Bóg, skoro to na książęce zamówienie. Tom Taylor miał rację; przydałyby się rękawiczki, podkreśliłyby elegancję całości. No, ale skoro nie należą do wyposażenia pokoju, to chyba Jego Wysokość nie przywiązuje do nich aż takiej wagi. Można iść. Schodzi na dół powoli, z godnością i gracją. Teraz ma szansę zaprezentować się w całej okazałości. On jednak niczego nie dostrzega. Ciągnie ją do stołu i po chwili, stwierdziwszy, że zupa jest zimna, ryczy jak rozjuszony byk:

- Do wszystkich diabłów, jak długo mam to znosić?!

Trzy razy w jednym tygodniu! Wyrzucę tego kucharza na zbity pysk! Kiszki mi marsza grają z głodu! Przynieście trochę chleba!

Talerze zostały zmienione. Na stół wjeżdżają gorące bułeczki, a zaraz potem świeżo odgrzana zupa.

To jest służba, trzeba przyznać. Gdyby widziała to Marta!

Diuk chłepcze zupełnie jak piesek. George za coś takiego wylatuje od stołu. I to mają być książęce maniery? Czy ona ma coś mówić czy siedzieć jak mumia? W każdym razie może jeść, nie oglądając się na towarzysza. W paru kęsach pochłonął solę bonne femme, więc Mary Anne ostentacyjnie marudzi nad talerzem, domyślając się, że podadzą pieczone. Podano. Udziec jagnięcy z garniturem. Kiedy diuk rzuca się na niego z błyskiem w oku, pęka mu kamizelka i guzik szybuje nad stołem jak pocisk. Ach! Książę Charlie, klan Mackenzie, utracone majątki... To jakiś omen, którego nie sposób zlekceważyć.

- Czy Wasza Królewska Wysokość zechce podarować ten guzik mojemu bratu?

Kątem oka dostrzegła, że stojący za krzesłem lokaj zeszytniał. Diuk, patrząc jej w oczy z uśmiechem, wyciąga guzik z solniczki.

- Co to za pomysł? Te guziki pasują wyłącznie do kamizelek, które szyje mi na miarę pewien krawiec w Windsorze.

- Nie chodzi o to, żeby go przyszyć. To ma być symbol.

- Symbol? Czego? Rosnącego brzucha?

- Mój brat ma tylko dwadzieścia jeden lat i jest smukły jak trzcina. Guzik może mu się przydać jako breloczek przy dewizce do zegarka. - Powiedzieć mu? A jeśli uzna to za brak taktu? Uczucia hanowerskiej dynastii mogą być wciąż żywe po kilkudziesięciu latach... - Moja rodzina pochodzi ze Szkocji, z klanu Mackenzie. Jeden z naszych przodków miał srebrny guzik, który dostał "na szczęście" od Młodego Pretendenta. Niestety zgubił go. Ten jest wprawdzie inny, ale...

- Nie zaszkodzi, co? Nie byłbym taki pewien, skoro jesteś jakobitką.

- Ależ skąd!

- Wy, Szkoci, wszyscy jesteście tacy sami. Fałszywi jak Irlandczycy. Dać wam szansę, to wbijecie nóż w plecy. Powystrzelałbym większość z was.

- Co za krwawe zapędy! - Na widok miny lokaja.

(Słowo "krwawy" (bloody) w języku angielskim uważane jest za nieprzyzwoite).

szybko dodaje: - To znaczy, chciałam powiedzieć "wojownicze". Oczywiście rozumiem, że to pański zawód, tak pana wyszkolono.

Na tym etapie nie ma powodu go złościć. Skoro już w to wdepnęła, trzeba doprowadzić sprawę do końca, być wesołą, uległą, słowem zasłużyć na zapłatę za całą noc, jak przystoi uczciwej kobiecie.

- Z tego, co słyszałem u Toma Taylora, zrozumiałem, że nie wróżysz mojej rodzinie długiego żywota. Tylko patrzeć, jak zaczną budować szafot.

- Kto lubi podsłuchiwać, sam jest sobie... - zaczęła i ugryzła się w język. Musi pamiętać, do kogo mówi. - Ludzie gadają mnóstwo bzdur, czyta się je także w gazetach i różnych piśmiłkach. Powtarzałam tylko wujowi Tomowi to, co do mnie dotarło.

Fatalnie! Gotów ją wyrzucić za drzwi w środku nocy. Pewno nie wyprężone konie czekają, by odwieźć ją do domu. Jak można wyczuć książęcy humor i ocenić, czy się wypadło z łask? Może przejażdżka powozem to wszystko, czego od niej żądał? Kolacja - i wnocha. Inaczej niż z Cripplegate'em, niż z Burtonem... Przy końcu trzeciego dania Mary Anne zerka spod oka. Diuk wygląda spokojnie i dobrodusznie. Zabiera się właśnie do placka pigwowego i sauterne'a.

- A więc - przerywa milczenie, utkwivszy w niej wzrok - uważasz mnie za tyrana, który wysadził z siodła własnego brata?

Słyszał. Każde słowo! Nic nie umknęło jego uwadze, zapamiętał wszystko. Szlag by to trafił, teraz pozostało tylko znieść swój los z godnością. Jeśli wywali ją na zbitą twarz, sama będzie sobie winna.

- Musi pan przyznać - mówi z łokciami na stole - że dość surowo zachował się pan wobec księcia Walii, pozbawiając go dowództwa. Jeśli staruszek... to znaczy jeśli Jego Królewska Mość znów utraci... jasność myślenia, wtedy księżę Walii jako regent będzie rozdawał karty i pan pójdzie na trawkę, a nie on...

Lokaj napełnił mu kieliszek, jej także. Kątem oka zerknęła na służącego. Miał szklisty wzrok ryby, z której ucieka życie.

- To nie ma nic wspólnego ze mną - tłumaczy się diuk. - Takie były rozkazy króla. Ja tylko je wykonuję.

- Rozumiem. No cóż, w takim razie to poważny problem. Jeśli majestat maczał w tym palce, pan rzeczywiście nie ma ruchu.

- No to się zgadzamy. Więc powiedz swoim przyjaciółom, kiedy przyjdzie im ochota pogadać na pałacowe tematy, żeby się zapoznali z zasadami i nauczyli, jakie są uprawnienia naczelnego wodza. Wasza ignorancja jest wprost bezgraniczna.

Placek pigwowy zniknął, pojawił się ser. Stilton. Z opiętej kamizelki odpada kolejny guzik. Diuk rzuca go przez stół bez słowa. Mary Anne chowa go tam, gdzie pierwszy - za gorsem.

- No, dalej - zachęca ją diuk. - Lubię słuchać o swoich błędach.

Klaret, reńskie, słodki sauterne... Za dużo tego dobrego - jeszcze ta sola, a przedtem ciepły szampan u wuja Toma i trzęsionka w powozie... Mary Anne nie zachowała takiej przytomności umysłu, jak powinna. Z zasady nie pije, gdy interes się rozkręca, ale tym razem sprawy wymknęły się jej spod

kontroli od samego początku. Podparła brodę rękami i zapatrzyła się w świecę. Rzeczywistość płacze się z marzeniami, nic już nie wydaje się realne.

- Na pewno w Gibraltarze postąpił pan słusznie, usuwając Kenta. Nigdy nie nadawał się do tej roboty; po kiego licha pan go tam wysłał? Ta jego przerażająca drobiazgowość... Istny męczennik obowiązku! Ludzie go wprost nie znosili, naprawdę, wiem to z pierwszej ręki. Moi przyjaciele z marynarki znajdowali się w Gibraltarze podczas buntu i mieli do czynienia z tym paskudnym batalionem, na który spadła cała hańba. Czy pochodzili z rodziny królewskiej? Nie pamiętam. Nie doszłoby do tego wszystkiego, gdyby Kent miał choć szczyptę rozumu. To jasne, że ludzie stłoczeni w garnizonie, bez widoków na walkę, muszą się nudzić - a wtedy zaczynają popełniać głupstwa. I co wtedy robi Kent? Odcina ich od miasta, zamyka sklepy z winem i każe chłopcom siedzieć w koszarach! Mój Boże, gdybym ja była żołnierzem, poruszyłabym piekło! Nawiasem mówiąc, oni wszyscy uwielbiali pana, uważali pana za bohatera, choć oczywiście było i tak, że... że sprawy układały się niezupełnie po pańskiej myśli.

Prostuje się i próbuje ze wszystkich sił nie odrywać wzroku od świec. Co ona, na miłość boską, nawygadywała? Czy to nie równa się zdradzie?

- Które sprawy na przykład?

- No... Chyba w Holandii? - Usiłuje sobie przypomnieć. Chyba czytała o tym w jakimś pamflocie, czy nawet sama coś pisała zaraz po urodzeniu Mary? Klęska Dunkierki...

(Mowa o wyprawie z pomocą rojalistom francuskim, zakończonej klęską. Diuk Yorku miał opinię kiepskiego dowódcy).

tak, mniej więcej wtedy. - Nie wątpię w pańską odwagę, jest pan waleczny jak lew, ale samą odwagą nie wygrywa się bitew, trzeba obmyślić jakąś taktykę. Teraz pamiętam, jak krytycy się rozjazgotali - wygwizdali pana w kraju za brak planu. Odwaga! Mój Boże! Potrafiłby pan sterczeć cały dzień pod ostrzałem. Ale przyzna pan, że to było do przewidzenia i że przy odrobinie rozsądku dałoby się uniknąć tej przykrości. Sam pan nadstawił im tyłek. No cóż, najważniejsze, że udało się przetrwać. Pańskie zdrowie!

Wysączyła ostatnią kroplę sauterne'a, a potem błyskawicznym ruchem zamachnęła się kieliszkiem przez ramię. potłukł się w drobny mak. To sztuczka woźniców czwórek, nauczył ją tego prawdziwy ekspert i Mary Anne zawsze czuła wielką satysfakcję, gdy w rękę zostawała jej odłamana nóżka.

No, teraz jej się oberwie. Diuk zaraz przywoła straż i wpakuje ją na długie lata do Newgate. W pewnym sensie gra była warta świeczki, będzie miała co opowiadać wnukom: najpierw tarboszenie po drodze do Fulham, potem kolacja i dwa guziki od kamizelki...

Wstaje od stołu i wyciąga do niej rękę. Mary Anne spokojnie czeka na odprawę.

- Proponuję, żebyśmy wcześniej poszli spać, ale spotkamy się przy śniadaniu. Nikt nam nie przeszkodzi - możemy spędzić cały dzień na manewrach. Przyznaję, że na tym polu nie poczynam sobie zbyt ciekawie, ale chciałbym nauczyć się taktyki. W niedzielę muszę jechać do Windsoru, ale na obiad wrócę, a w poniedziałek chcę cię widzieć zainstalowaną w moim domu przy Park Lane. Przeznaczyłem go na specjalne okazje.

(Fryderyk August znany był jako właściciel licznych rezydencji, z których część stała pusta).

Jeśli będzie nam ze sobą dobrze, pomyślimy o czymś większym. Tom mówił, że masz dwoje czy troje dzieci i będziesz chciała zatrzymać je przy sobie! No to pójdziesz na górę sama, czy mam cię zanieść?

Głęboki wdech i rewerans niemal do ziemi. Jeśli nie da rady się podnieść... cóż, przynajmniej wykazała dobrą wolę. Niech się Stuartowie poprzewracają w grobach, nic ją to nie obchodzi. Ten człowiek jest aniołem!

- Wasza Królewska Wysokość mnie zawstydzła.

Nie wierzy własnym uszom. Chce się jej śmiać, i płakać. Zaraz wywiesi flagę i krzyknie: "Niech żyje Brunswick!"

- Masz te guziki?

Pokazała, gdzie są schowane. Pomógł jej wstać.

- Zatem dobranoc. Zobaczymy się o siódmej, może wcześniej. Rano jestem zawsze w najlepszej formie, więc śpij, póki możesz.

- Dobranoc, sir. I dziękuję.

O siódmej. Nawet przed świtem, jeśli on zechce. Już choćby za to, że tak ją potraktował, ma wszelkie usługi jak w banku. Puścił w niepamięć jej ordynarne zachowanie, a teraz dom przy Park Lane, coś większego w perspektywie... Górą nasi! Co za przyszłość!

Leżąc w osłoniętym kotarami łóżku myślała o Charleyu. Oprawia te guziki w srebrną ramkę z królewskim herbem, a pod spodem umieszczą w kółeczku datę: 1803.

Ogilvie miał rację. Trzeba się pożegnać z Burtonem, z Cripplegate'em, z Billem. Jednakowe działki dla wszystkich? Owszem, ale nie wtedy, gdy ma się za kochanka księcia. Diuk może być spokojny. Będzie wobec niego lojalna.

Dobiła do przystani. Osiągnęła szczyt. Będzie następna w kolejności po pani Fitz. Pytanie tylko, jak długo? Musi uważać na każdy krok. Nie wolno spocząć ani na moment. I użyje wszelkich sztuczek, aby go przy sobie zatrzymać.

A oto pierwsza lekcja do zakarbowania w pamięci w razie niebezpieczeństwa: w niepewnej sytuacji wygrywa się bezczelnością.

Rozdział 3

- Marto?

- Słucham panią.

- Przynies tabliczkę i zobaczymy, co z jedzeniem. Aha, jeszcze lista moich spotkań - zostawiłam ją w salonie.

Sięga po lizeskę i podkłada sobie poduszki wysoko pod plecy. Potem, podtrzymując na kolanach tacę ze śniadaniem, przysuwa bliżej papier, notatki i pióro ułożone z boku na dodatkowej poduszce. To już drugie śniadanie, jedzone bez pośpiechu i w znacznie spokojniejszej atmosferze. Pierwsze - jedno wielkie urwanie głowy przy herbacie i bułeczkach - odbyło się o wpół do ósmej, zanim diuk opuścił dom. Wpadał i wypadał z pokoju na pół ubrany, mówił coś do niej, krzyczał na służącego Ludovicka to o buty, to o pas, to znów o jakąś inną część garderoby, która akurat gdzieś się zapodziała. W tym zamieszaniu Mary Anne nalewała herbatę i wypytywała go o plany.

- O której wrócisz?

- Nie uda mi się przed szóstą. Może o wpół do siódmej. Nie licz na wcześniejszy obiad, mogę się spóźnić. Znosi się na taki sam dzień jak wczoraj, mam w dowództwie stos papierów na biurku, poza tym jeszcze materiał od Clintona do podpisu. Ta cała afera z rekrutacją skłóciła wszystkich, teraz każda jednostka w królestwie ma pretensje i Bóg wie ilu półpensjonowanych pułkowników żąda podniesienia kontyngentu.

- To chyba dobrze? Przecież potrzebujesz ludzi?

- Oczywiście, że potrzebujemy ludzi. Gdybym miał wolną rękę, wziąłbym przykład z marynarki i przemocą wcielał chłopaków do służby. Nie, diabeł tkwi w kontyngentach. Upłyną ze trzy miesiące, zanim dojdą do porozumienia, potem następnych sześć pochłonie zaciąg rekruta, a przez ten czas

Bonio

(Tzn. Bonaparte)

będzie śmiał się w kułak, obserwując nas z Calais. Ludovick!! - wrzasnął i wypadł do garderoby.

- Wasza Królewska Wysokość?

- Drugie buty, szybko, w tych nie mogę chodzić, bo mam odcisk. Kochanie, jeszcze filiżankę herbaty. Z cukrem.

Sięgnęła z łóżka po filiżankę, podczas gdy diuk przysiadł w nogach i zmagał się z klamerkami.

- Może będę musiał jechać w środę na trzy dni do Hythe. Głowię się nad obroną bagien Romney, chociaż dostali trzy kopie mojego tekstu. Nie mam czasu, wszystko przez ten młyn w Londynie, a na dobitkę wynikła jeszcze jakaś polityczna afera. Addington

(Henry Addington - premier Wlk. Brytanii w latach 1801_#1804. Rzeczywiście zmuszono go do rezygnacji na rzecz Pitta Młodszeo)

będzie musiał zrezygnować, Pitt zajmie jego miejsce, dłużej nie da się tak ciągnąć, dość już tego piekielnego bałaganu.

Z rękami pod głową obserwowała, jak się ubiera. Takie momenty, kiedy to wymykały mu się różne nie kontrolowane wypowiedzi, ceniła sobie najwięcej. Nim dopił herbatę, już zapomniał, co chlapnął, ale ona pamiętała.

- Jak się miewa Jego Królewska Mość?

- Diabelnie źle, między nami mówiąc. Dundas, ten chirurg, był wczoraj w Windsorze i odbył konsylium z internistą Symondsem. Chcą go wkrótce zabrać do Buckingham, jutro albo pojutrze, ale królowa się sprzeciwia. Mówi, że od tych politycznych niepokojów tylko mu się bardziej w głowie pomiesza, a jak się znajdzie w Londynie, to będzie próbował się wtrącać. Ludovick! Mój płaszcz!

- Jest tutaj, Wasza Królewska Wysokość.

Zakładał okrycie przed lustrem. Przez uchylone okno dobiegał stukot kopyt koni przeprowadzanych przez stajennego po Gloucester Place.

- Nie mam czasu na nic poza filiżanką herbaty, duszko. Zjem przy Portman Square, potem spieszę się do Gwardii Konnej. Jeśli się wieczorem spóźnię, to znaczy, że zostałem w Izbie Lordów. Chcę posłuchać, co mają do powiedzenia ci z St Vincent. Jestem całkowicie za tym, żeby admiralicja dała im w kość, to może Ministerstwo Wojny odzepi się od nas. Na ogół bywa odwrotnie, marynarze zbierają laury, a my tylko obrywamy. Uklęknij na chwilę i pocałuj mnie, nie mogę się schylić.

Wyciągnęła ręce i ze śmiechem pogładziła go po podbródku.

- Za ciężko pracujesz. Mogłabym ci w czymś pomóc.

- I tak za bardzo wścibiasz nos w moje sprawy. Wyobrażasz sobie minę Clintona, gdybym cię zabrał do Gwardii Konnej i przebrał w mundur? Chociaż to prawda, razem szybciej byśmy się uwinęli. Która godzina?

- Właśnie minęła ósma.

- To pośpij jeszcze. Niech ci się przyśni, że jest jedenasta wieczorem. Kochasz mnie troszkę?

- Sir... Jak możesz...?

- Nie mogę, to z przyzwyczajenia. Taka zachcianka, dla wzmocnienia morale przed wyjściem z domu. Słodkich snów, skarbie.

Brzęk na schodach, skrzypnięcie frontowych drzwi, tętent koni kłusujących w stronę Portman Square. Mary Anne opada z powrotem na poduszkę i zamyka oczy. Jeszcze godzina drzemki, potem i dla niej zacznie się dzień. Ten dziwny, rozkojarzony tryb życia stał się jej drugą naturą. Wieczory i noce - dwanaście godzin od siódmej do siódmej - należały do diuka, resztę doby miała do swojej dyspozycji i żebyż on wiedział, jak bardzo każdy moment był wypełniony.

Na pół drzemiąc, zastanawia się nad dawnym życiem. Jak rok po roku dojrzewało ono do tego momentu, niemal od czasów Bowling Inn Alley. Wczesne doświadczenia dziecka ulicy nauczyły Mary Anne rozumu i zmusiły do chwytania szansy; pobyt w Ham dał jej powierzchowną ogładę; najgorzej ze wszystkiego wyszła na małżeństwie z Josephem, przegrała w ten sposób młodość - tak dalece, że teraz żaden mężczyzna już nigdy nie złamie jej serca. Co do reszty... każdy z kochanków wycisnął jakieś piętno. Wiedziała, jak czerpać korzyści i jak je dyskutować, umiała być wdzięczna za naukę. To, czego się nauczyła od mężczyzn, nie tylko od kochanków, miało się przydać w świecie

przez nich rządzonym. Musi im dorównać, brać udział w ich grze, ale kierować się także kobiecą intuicją.

Sześć miesięcy przy Park Lane, choć upajających i na tyle burzliwych, by zawrócić jej w głowie i uspić czujność, to jedynie próba, w czasie której Mary Anne musi udowodnić własną wartość. Nie wystarczy tylko się śmiać i figlować. Jeśli diuk potrzebuje dziewczyny do łóżka, to całe zastępy chętnych czekają przy Bond Street na swoją kolej, gotowe zająć jej miejsce. Ale co naprawdę dzieje się w jego sercu, myślach? Musi to zeń wyciągnąć. Oczywiście nie przez bezpośrednie wypytywanie czy śledztwo. Trzeba posuwać się krok po kroku, patrzeć, słuchać, chłonać każde słowo.

Jego żona, diuszesa? To głupia, postrzelona kobieta, bezbarwna i pusta, zajęta tylko pokojowymi pieskami. Dlatego, przeciwnie niż u Burtona i innych, małżeńskie życie diuka było jałowe, pozbawione uroku. Ten człowiek czuł się samotny. Łaknął prawdziwego, tętniącego życiem domu, ze wszystkimi jego zapachami i odgłosami; miejsca, gdzie nad głową słyszałby tupot dziecięcych nóżek, gdzie mógłby żyć zwyczajnie, bez ceremonii i tłumu lokajów, odprężyć się, ziewnąć, wyciągnąć na sofie. Potrzebował kobiety, z którą mógłby porozmawiać, pośmiać się, razem jadać, nudzić się, spać i kochać się, gdy przyjdzie ochota. Która nie zmuszałaby go do wysłuchiwania babskich plotek, gadaniny o falbankach, koronkach, sukniach i czepkach. Która potrafiłaby się dopasować do jego nastrojów i śmiać z koszarowych dowcipów. Która, gdy wpadnie w złość, potrafiłaby go nawet uderzyć, a w chwili namiętności - ugryźć. Takiej właśnie kochanki pragnął - i taką znalazł. Sześciomiesięczny okres próby zaliczyła na medal.

- Dostaniesz dom w mieście - powiedział - i jeszcze coś na wsi. Poza tym tysiąc funtów rocznie, płatne w miesięcznych ratach, na utrzymanie. Jeśli to nie wystarczy, będziesz musiała poradzić sobie inaczej. Nikt nie przycisnie cię żadnymi rachunkami, jeśli rozejdziesz się wiadomościami - a już ja się postaram, żeby dotarła zwłaszcza do kupców - że jesteś moją protegowaną. Z taką etykietką dostaniesz każdy kredyt. Patronat oznacza łaskę, łaska - patronat. Wykalkuluj to sobie sama i nie zwracaj mi głowy. W sprawach pieniężnych jestem kompletnym durniem, w ogóle się na nich nie znam.

Te słowa padły przy Park Lane w końcu lata. Pomyślała wtedy, że tysiąc rocznie to niezbyt wiele, jeśli chce się żyć na pewnym poziomie. Ale gdyby domagała się wyższej sumy, mogłaby stracić wszystko.

- Oczywiście - odrzekła. - Dam sobie radę. Gdzie zamieszkamy?

- Mam dom przy Portman Square, o pięć minut stąd. Jest też drugi, przy Gloucester Place, i tam się wprowadzisz. Będę przychodził co wieczór na obiad i zostawał do rana. Służbę, umeblowanie i całe urządzenie zostawiam tobie.

Tysiąc rocznie wyniosą same pensje i liberie służby... Mary Anne odsunęła od siebie tę myśl i zaczęła kalkulować. Dziwne, że mężczyźni jej życia okazywali się tak nieudolni, gdy chodziło o pieniądze. Tym razem jednak nie musiała skąpić. Dostanie kredyt.

Kupcy pchają się jeden przez drugiego, żeby tylko jej dogodzić. Pani Clarke może im zapewnić królewski patronat. Złotnik Birkett zjawia się z przeszmyglowanymi z Francji srebrami diuka de Berry, do zapłacenia przy okazji; jubiler Parker przynosi brylanty: "Dar dla diuka, łaskawa pani".

Karty przy drzwiach, wszystkie od dobrze prosperujących kupców. "Potrafimy odwdziżyć się łaskawej pani za przysługę, jeśli..." I tak dalej. Mortlock z Oxford Street oferuje porcelanę i szkło; Summer i Rose z Bond Street przysyłają ruszty; Oakleyowie z Bond Street - tkaniny obiciowe i zasłony. "Pan Taylor spod numeru 9. sugerował, żebyśmy odwiedzili szanowną panią".

Tom Taylor pomaga przy angażowaniu służby.

- Zostaw wszystko mnie, moja droga, znam się na tym. Potrzebujesz personelu z długim stażem w dobrych domach. Kiedy tacy ludzie szukają miejsca, zawsze zwracają się do mnie.

- Dlaczego? Bierze pan procent od ich pensji?

Udał, że nie słyszy.

Pierson, kamerdyner, dziesięć lat pracy u lorda Chesterfielda. Lokaj Mc\$Dowell - pięć lat w Burlington House. Stangret Parker, gorąco polecany, szuka odmiany po siedmioletniej służbie u pani Fitzherbert. Pokojówki, praczka, kucharka, podkuchenna... wszyscy biegną na skinienie wuja Toma.

- Chcę, żeby moja osobista pokojówka zarządzała personelem.

- Sądziś, że nadaje się do tego?

- Marta zna się na wszystkim, jest wierna i lojalna. Poza tym dzieci za nią przepadają.

Temat wyczerpany.

Dwa powozy, sześć koni, czasem osiem. Stajenni, foryś (Sam Carter się nada), dziewczyna do szycia, posługaczka do cięższych prac przynajmniej dwa razy w tygodniu.

Bielizna pościelowa... Tom Taylor załatwi. Ręczna robota z pewnej zaprzyjaźnionej firmy w Irlandii.

- Ależ wuju Tomie, tym ludziom trzeba zapłacić!

- Nie ma pośpiechu, moja droga. Im zależy na patronacie.

Skoro tak, to do diabła ze skrupułami. Zamawiać same najlepsze rzeczy i niczym się nie przejmować. Nikt nie ośmieli się naciskać księcia krwi.

Słowa "pod patronatem diuka" wywoływały w świecie handlu magiczny efekt. Co do znajomych, przyjaciół, a nawet kochanków, to wyrazy zachwyty płynęły szeroką falą.

James Burton, który miał prawo czuć się urażony, pośpieszył z zapewnieniem, że matka może pozostać przy Tavistock Place, póki tylko dom będzie odpowiadał potrzebom rodziny.

- Słyszałem, że diuk Yorku zaszczyca cię swoimi względami. Jak to wspaniale! Jest zdecydowanie najlepszy ze wszystkich Brunszwików i jako jedyny nie wygląda na Niemca. Nawiasem mówiąc, bądź tak dobra i szepnij słówko w sprawie mojego pułku rzemieślników. Jeśli zyskamy jego poparcie, mój plan może się udać.

Cripplegate napisał z Irlandii:

"Co ja słyszę? Ponoć tarzasz się na sianie z Fryderykiem Augustem? Hip_hip hura, dziewczyno, złam kark, ale nie wypuszczaj z rąk bata i nie zapominaj o starych przyjaciółach, kiedy poproszą o przysługę. Dowiedz się od Yorka, co dostanę, jeśli dostarczę trochę rekruta."

Z ogólnego aplauzu wyłamał się tylko Bill Dowler. Kiedy przyszedł z wizytą, miał zaciętą, obcą twarz.

- Czy to prawda, że zostałam metresą diuka Yorku?

- Och, Bill, nie bądź taki sztywny, cóż za określenie? Wolę używać słowa "protegowana", w stosunku diuka do mnie jest coś ojcowskiego, czego nigdy nie zaznałam. Mówiłam przecież, że mierzę wysoko, prawda? No więc sądzę, że trafiłam w dziesiątkę. Ale zawsze będę cię potrzebować w odwodzie.

Pokazała mu dom przy Gloucester Place. James Burton sprawdził tam instalacje - jak to dobrze, że eks_kochanek zna się na budownictwie. A Bill mógłby wybrać zasłony i dywany.

- Czy diuk zawarł z tobą odpowiednią umowę?

- Umowę? O co ci chodzi? Dostałam ten dom.

- To dobrze, ale mam na myśli pieniądze na jego utrzymanie. Będzie cię to kosztować najmniej trzy, cztery tysiące rocznie.

Jakie to do niego podobne. Zawsze jest taki ostrożny. Chodził po pokojach, potrząsał głową, budząc w Mary Anne skrupuły i osłabiając jej entuzjazm.

- Obiecał mi płacić co miesiąc.

- Rozumiem. Cóż, na twoim miejscu zażądałbym tej obietnicy na piśmie. Albo jeszcze lepiej - potwierdzenia bankowego.

- Nie mogę tego zrobić. Pomyśli, że jestem pazerna.

- Najlepiej postawić sprawę jasno od samego początku.

Kwaśne winogrona. Biedny Bill, urażony i zazdrosny. Ciągłe snuje mu się po głowie ten domek w Chalfont St Peter's. Jakże daleko stamtąd do Gloucester Place. Protegowana diuka, nie pana Dowlera...

Will Ogilvie daje rady innego rodzaju. Takie, jakich nie odważyłaby się powtórzyć Billowi.

- Działaj powoli. Nie przyspieszaj biegu spraw. Ucz się. Kiedy już będziesz urządzona, wskażę ci dalsze posunięcia. Teraz, gdy moje biuro przy Saville Row zbankrutowało, nikt nie będzie mnie kojarzył ze sprawami ajencji wojskowej. Mam zamiar pracować na własny rachunek. Zostanę twoim agentem na ustalonej prowizji. Będę ci przysyłał ludzi, którzy chcą awansować, ty skierujesz ich do diuka - i gotowe. Ci, których nominacja zostanie ogłoszona w gazecie - zapłacą gotówką. Przeważająca część dla ciebie, procent dla mnie. J\$K\$W nie będzie stawiał żadnych pytań. Poproś go najpierw o jakąś bezinteresowną przysługę dla kogoś, zobaczymy, jak się zachowa.

Pierwsza prośba przyszła łatwo. Chodziło o Charleya, którego oczy rozbłysły na wieść o niespodziewanym zwrocie fortuny. Już się widział marszałkiem polnym po zaledwie trzech latach służby.

- Czy myślisz, że Jego Królewska Wysokość... Czy mogłabyś go poprosić?

Sprawa czysto prywatna, rodzinna. Załatwiona błyskawicznie.

- Sir, mój brat ma bzika na punkcie wojska. Już jako sześciolatek bawił się żołnierzami. Czy mogłabym ci go przedstawić... może kiedyś, wieczorem? Jest młody i nieśmiały, ale pełen zapału.

Nominacja Charleya Farquhara Thompsona na korneta w 13. Pułku Dragonów została zgodnie z przepisami ogłoszona. 25 lutego 1804 roku.

Lokajczyk Sam Carter pozazdrościł Charleyowi awansu. Skoro pan Thompson dostał się do wojska, to czy on nie mógłby także? Kapitan Sutton zawsze powtarzał, że mu dobrze w czerwonym.

- Pani, byłem szczęśliwy, mogąc służyć w twym domu. Zawsze dobrze mnie tu traktowano. Ale teraz, kiedy pan Thompson wyjechał, jestem nieco osamotniony, no i przecież mamy wojnę, i w ogóle, wszyscy coś robią dla kraju. Nie chciałbym za nic, żeby pani zawracała mną głowę Jego Królewskiej Wysokości, ale jedno słówko...

- Drogi chłopcze, oczywiście, jeśli sobie życzysz... Chociaż nie wiem, jak zniosę rozstanie z tobą.

To tak przyjemnie spełniać życzenia przyjaciół! Wprawdzie trudno nazywać Sama Cartera przyjacielem, ale dobrze jej służył, a przy tym tak rozbijająco wygląda, kiedy czyści noże w kredensie...

- Sir, znasz mojego Sama, tego, który podaje do stołu?

- Tego chłopaczka, który się wygina w pasie jak narcyz?

- Tak. Nie uwierzysz, ale on chce się zaciągnąć. Posyłałam go do szkoły, jest dość wykształcony. Sympatyczny chłopak, marnuje się jako lokaj.

- Więc podaj mi dokładne dane, zobaczymy.

Samuel Carter został wcielony jako chorąży do 16. Pułku Piechoty. Nominację ogłoszono w kwietniu 1804 roku. Dotąd było łatwo, jedno nazwisko raz na jakiś czas, poza tym chodziło właściwie o rodzinę i żadna suma pieniędzy nie przeszła do niczyich rąk. Prawdziwa próba nastąpi, kiedy po raz pierwszy awanse staną się przedmiotem gry. Mary Anne codziennie wynajdywała nowe wykręty, ale Ogilvie czekał.

Zegar wydzwonił dziewiątą - i oto Marta ze śniadaniem, spisem spotkań i nieodzowną tabliczką do zapisywania poleceń.

- Ten Few znów tu jest, proszę pani.

- Kto to taki?

- Ma sklep na Bernard Street. Podobno rok temu kupiła pani od niego lampę.

- Tę grecką, którą lord Barrymore potłukł w drobny mak? Pamiętam. Czego on jeszcze chce? Ma więcej takich rzeczy na sprzedaż?

- Nie, proszę pani, on twierdzi, że nie zapłacono mu za tę lampę. Podobno jej zdobycie kosztowało go dwadzieścia funtów.

- Bzdura! Robi takie lampy na zapleczu sklepu. Odpraw go.

Śmieszne, że akurat teraz ją nachodzą w sprawie rachunku sprzed roku. Tamte dni w Bloomsbury to już przeszłość. Długi także.

- Jak tam przeziębienie panicza George'a?

- Mówi, że lepiej się czuje, ale nie chce iść dzisiaj do szkoły. Chce popatrzeć na ćwiczenia gwardii w koszarach.

- Bóg z nim, niech sobie obejrzy. Zabierz go tam.

- A co z panienkami?

- Nie były przeziębione, więc muszą odbyć lekcje.

Sama też ma dziś lekcję. Mistrz Corri uczy ją muzyki i śpiewu. Ma przyjść o wpół do jedenastej. Corri, podobnie jak Carter, to dawny protegowany Suttona, ale bardziej niż narcyza przypomina lilię. I to nadwiędnięta.

- Marto, przyjdzie pan Corri. Dopilnuj, żeby sprzątnięto w salonie i zdjęto pokrowiec z harfy. O dwunastej będzie tu pan Ogilvie. Po południu wpadnie panna Taylor. Gdybym była wtedy zajęta z kim innym, może pójść do dzieci, powinny do tej pory wrócić. Powiedz Parkerowi, że aż do czwartej powóz nie będzie mi potrzebny. Piersonowi przekaz, że obiad ma być koło siódmej, ale niech wszystko będzie gotowe pół godziny wcześniej, na wypadek, gdyby Jego Królewska Wysokość zjawił się punktualnie. Obie wiemy, że nie znosi czekania. Co tam mamy na tej tabliczce? Pieczoną kaczkę? Kaczka była w niedzielę.

- Ludovick mówił, że kucharz na Portman Square ma łososia. Zmarnuje się, jeśli jego wysokość nie będzie tam jadł.

- Skoro już o tym wiemy, to się nie zmarnuje. Wyślesz Piersona, żeby przyniósł tego łososia tutaj. Ale musi być przyrządzony na George Street, nasz kucharz nie da sobie rady. Gdzie moje pantofle?

- Tutaj, proszę pani, pod łóżkiem.

- Co jest w tym pudle?

- Peleryny, proszę pani, od krawcowej. Przysłali kilka do przymierzenia, może je pani nosić na zmianę.

- Nie lubię chodzić w pelerynach, ludzie będą plotkować, że jestem w ciąży. Niech Pierson je odda, kiedy będzie szedł po łososia.

Muzyka można przyjąć w porannym peniuarze. Włosy upięte na czubku głowy, po bokach loki puszczone luźno. Odrobina błękitu na powiekach, nic więcej.

- Mamo, mamo!

- George, moje kochanie, mój aniołku! - Trzeba mu natychmiast wytrzeć nos. - No, biegnij teraz do Marty.

Dziewczynki są urażone i nadąsane.

- Dlaczego George może nie iść?

- Dlatego, kochane gąski, że ma tylko sześć latek, a was, jeśli będziecie grzeczne, zabiorę na przejażdżkę powozem. No, znikajcie teraz, bo muszę się ubrać.

Na dole czeka w salonie pan Corri o bladej, okrągłej twarzy, okolonej jedwabistymi kędziorami, i patykowatej, zgarbionej sylwetce. Siedzi upozowany przy harfie, drzwi specjalnie zostawił otwarte na wypadek, gdyby jakimś cudem Jego Królewska Wysokość był w domu.

Niestety. Nadzieje spęłzyły na niczym. Jest tylko pani Clarke, która właśnie zbiega po schodach, wymachując rękami.

- Dzień dobry, Corri. Długo pan czeka? Zawsze się spóźniam, nie mogę nadążyć z ubieraniem.

- Łaskawa pani, w tym domu czas się nie liczy. Już sama możliwość oddychania tym samym co pani powietrzem sprawia, że czuję się jak w raj. Spotkałem na schodach te słodkie dzieci. I

- Mam nadzieję, że George nie kopnął pana w łydkę?

- Nie, łaskawa pani, ściągnął tylko buziaczka i zrobił najśmieszniejszą minkę, jaką widziałem. Po prostu zażartował...

- Miło, że pana to śmieszy. Kiedy do mnie tak się wykrzywia, zwykle dostaje w tyłek. Co dziś śpiewamy?

- Trochę Mozarta?

- Tylko z początku, jako ćwiczenie, żeby się rozśpiewać. Jego Królewska Wysokość nie przepada za Mozartem. Mówi, że woli coś bardziej melodyjnego.

- Melodia... Łaskawa pani...

- Daj spokój, Corri, wiesz, o co mi chodzi. Nie żadne tam nabzdyczone tra_la_la, tylko jakaś modna piosenka z Vauxhallu, im bardziej pikantna, tym lepiej.

Przewraca strony nut, podczas gdy muzyk stoi z boku, lekko urażony.

- To na nic. Nie będę wyła jak krowa w rzeźni. Jego Królewska Wysokość lubi się śmiać, a nie zatykać uszy. - Mary Anne rzuca nuty na podłogę i znajduje inne. - Spróbujmy tego. Słyszeliśmy tę melodię we wtorkowy wieczór. "Do miasta zdążam, do Londynu..." Będzie mógł przytupywać do taktu. Albo to: "Gdy Sandy opowiadał historię swojej miłości". Trzeci wiersz dosłownie zwala z nóg.

- Skoro łaskawa pani nalega...

Uczennica siada przy harfie, stroi ją. Po chwili pokój rozbrzmiewa ich głosami. Jej - czystym, dźwięcznym, jego - gardłowym, namiętym. Powagę lekcji zakłóca pukanie.

- Przyszedł pan Ogilvie.

- Powiedz, żeby zaczekał.

Jeszcze tylko jedna piosenka, niech sobie gość posłucha przez drzwi, może zrozumie. "Młody William szuka mojego serca, aby je poruszyć..."

Po puencie rzeczywiście słyszy odgłosy dyskretnego aplauzu.

- No, panie Corri, na tym musimy dziś skończyć. Jutro o tej samej porze.

Muzyk zbiera nuty.

- Łaskawa pani wybaczy, że wspominam o tym jeszcze raz, ale ci panowie, którzy chcieliby panią poznać... Pułkownik French i kapitan Sandon. Czy jeden z nich albo obydwaj mogliby złożyć dziś po południu wizytę?

- Czego oni chcą?

- Nie wiem dokładnie. To przyjaciele mojego przyjaciela. Ja jestem tylko pośrednikiem.

To samo, co zawsze, oczywiście. Chodzi o jakąś przysługę, za którą Corri zgarnie procent.

- Myśli pan, że to jakaś wojskowa sprawa?

- Chyba tak, łaskawa pani. Pani wpływy są znane. Słówek w odpowiedniej chwili... Rozumie pani...

Rozumie doskonale. To się zdarza codziennie. Listy, bileciki, od obcych, od przyjaciół: "Szanowna pani Clarke, gdyby zechciała Pani użyć swoich sposobów, by popchnąć moją sprawę... jedno słówko Pani do Jego Królewskiej Wysokości więcej waży niż jakiekolwiek podanie do ministerstwa Wojny... I chyba nie muszę wspominać, że naturalnie zapłacę z przyjemnością tyle, ile Pani zażąda..."

Wzrusza ramionami i oddaje Corriemu nuty.

- Niczego nie mogę obiecać. To trudne i delikatne sprawy. Niech pańscy przyjaciele wpadną, ale mogą nie zastać mnie w domu.

- To oczywiście ich ryzyko, łaskawa pani. Ale jestem prawie pewien, że mówili coś o dwóch tysiącach gwinei.

Pani odwraca się tyłem i udaje, że poprawia kwiaty w wazonie. Gdy muzyk zmierza już w stronę drzwi, rzuca ostrożnie:

- Dla kogo te dwa tysiące?

Corri wzdycha ze zboląłą miną i kuli się w sobie, jakby chciał podkreślić, że sprawa absolutnie go nie dotyczy.

- Łaskawa pani ma bezpośredni dostęp do Jego Królewskiej Wysokości. Czyż muszę więcej mówić?...

Kłania się w pas i wychodzi. Dwa tysiące gwinei... Dwa razy tyle co roczna pensja przyrzeczona przez diuka! W dodatku cała kwota wpłynie od razu, a nie w miesięcznych ratach, które starczą w sam raz na opłacenie służby.

Otwiera podwójne drzwi i woła do Ogilvie'ego:

- No co, słyszałeś, jak śpiewałam?

Gość wchodzi do salonu, całuje jej rękę. Żadnych komplementów, żadnych oznak podziwu. To jedyny mężczyzna spośród jej znajomych, który nigdy nawet nie spróbował, który zawsze trzyma się na dystans.

- Ten kawałek o młodym Williamie? Interesujące słowa. Mnie tam nie zależy na poruszeniu twego serca. Tylko głowy.

- Która woli myśleć sama za siebie. Napijesz się czegoś?

- Nie, dziękuję.

Mary Anne wskazuje gościowi krzesło, po czym sama siada tak, aby go obserwować.

- Jesteś jak zły cień. Czemu nie zostawisz mnie w spokoju? Niczego mi nie brak do szczęścia.

- Czyżby? Żadna kobieta nie jest szczęśliwa, póki nie usidli na dobre swojego mężczyzny. A twój książę nie daje się usidlić.

- Trzymam klatkę otwartą. Może wyfrunąć, kiedy zechce. Ale to wierny ptak, zawsze wraca.

- Miło mi to słyszeć. Ciepło domowego ogniska... Bardzo wzruszające. Oczywiście, pod warunkiem, że trwa do grobowej deski.

Zawsze musi wsadzić jej szpilkę, posiać wątpliwości, przypomnieć, że nic nie trwa wiecznie.

- Pytałaś go o linie obrony na południe od Londynu?

- Nie i niech mnie diabli wezmą, jeśli to zrobię. Nie jestem szpiegiem.

- "Szpieg" to głupie określenie dla osoby o twojej inteligencji. Tak się składa, że te informacje mogą się okazać przydatne, niekoniecznie teraz, ale w przyszłości.

- Przydatne? Dla kogo?

- Dla ciebie, dla mnie, dla nas obojga. Jesteśmy współnikami w tej grze, czyż nie? A w każdym razie byliśmy na początku.

Aluzja, ukryta groźba. Pani nie dotrzymuje umowy.

- Nic nie rozumiesz. On jest taki szczery, bezpośredni. Mówi różne rzeczy, bo mi ufa. Gdybym to powtórzyła, czułabym się jak zdrajca.

- Bardzo wyszlachetniałaś w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. To widocznie wpływ Gloucester Place. Uważasz, że zadomowiłaś się tutaj na dobre. Może trzeba ci przypomnieć cytaty z mowy Wolseya? "Nie pokładajcie zaufania w książętach." A może jestem cynikiem?

- Myślę, że jesteś i cynikiem, i zdrajcą. Nie zdziwiłabym się, gdybyś po wyjściu stąd udał się prosto do jakiegoś szpiega francuskiego i wszystko powtórzył. W porządku. Możesz iść. Powiedz im, co jemy, co pijemy, o której godzinie idziemy spać i o której wstajemy. Prasa paryska może wziąć nas na języki, ale nie usłyszą żadnych sekretów.

Wykrzywia się do niego dokładnie w taki sam sposób, jak George do Corriego, po czym rzuca mu wyzywające spojrzenie.

Ogilvie wzdycha ciężko i wzrusza ramionami.

- Tylko mi nie mów, że popełniłaś ów niewybaczalny błąd, fatalny dla interesów, ale i dla twojego spokoju - mógłbym się tego spodziewać po każdej, tylko nie po tobie - nie mów mi, że się zakochałaś w twoim książęcym protektorze?

- Oczywiście, że nie. - Mary Anne wstaje i zaczyna krążyć po pokoju. - Co za bzdura!

Will patrzy na nią z namysłem.

- Nie byłbym taki pewien. To perfidia, prawda? Kiedy trzymasz się jednego mężczyzny, który w dodatku wygląda nie najgorzej i zajmuje wysoką pozycję, masz poczucie bezpieczeństwa. To musi budzić chęć do hojnego rewanzu.

Uwierzyć Ogilviemu, rzucić w błoto zaufanie i wdzięczność, przyjrzeć się bliżej skrywanej nawet przed samą sobą słabości. Miłość to uczucie zapomniane. Miłość się skończyła... ale chyba nie całkowicie umarła. Bo co czuje, gdy na jej poduszce spoczywa głowa ukochanego syna Jego Królewskiej Mości?

- Dużo bym dała, żebyś sobie stąd poszedł. Nachodzisz mnie dzień po dniu, a ja nic dla ciebie nie mam.

- Wszystko, czego żądam, to odrobina współpracy.

- Nie będę szpiegiem. To moja ostateczna odpowiedź.

- Nic nie jest ostateczne na naszym zmiennym świecie. Zapamiętaj sobie tę prawdę, bo może ci się kiedyś przydać. Ale w tej chwili inne sprawy są ważniejsze. Zamknąłem moje biuro, jak wiesz, żeby zostać twoim agentem. Kiedy mam zacząć?

- Powiedziałam już. Nic dla ciebie nie mam.

Wyciągnął arkusz papieru.

- Tu jest lista nazwisk oficerów z różnych pułków, każdemu na czymś tam zależy. Jedni pragną awansu, inni przeniesienia. Gdyby próbowali oficjalnych kanałów, potrwałoby to wiele miesięcy.

- I co z tego? Nie mogą poczekać?

- Oczywiście, że mogą, ale nic byśmy z tego nie mieli. Dasz tę listę diukowi i zobaczymy, co dalej. Potrafisz wybrać odpowiedni moment i nastrój.

- Prawdopodobnie odmówi.

- Nasza strata. Trzeba będzie znowu pomyśleć. Ale pozwól sobie coś zasugerować. Zanim mu to oddasz, poproś go o pieniądze. Powiedz, że dom kosztuje znacznie więcej, niż sądziłaś, że nie wiesz, co robić, że bardzo się martwisz. I po godzinie wręczysz mu listę.

- Czemu po godzinie?

- Bo przewód pokarmowy to delikatny organ, a księżęce narządy wewnętrzne długo trawią gorzkie pigułki. Nawiasem mówiąc, wcale nie skłamiesz. Ten dom istotnie kosztuje majątek, a ty naprawdę bardzo się martwisz.

Protesty na nic się nie zdadzą. Ten człowiek za dużo wie i zna jej najtajniejsze obawy: jeśli się nie uda, co będzie z dziećmi? Oto widmo, które wciąż się czai w zakamarkach duszy Mary Anne Clarke.

Patrzy na listę.

- Will?

- Tak, Mary Anne?

- Złożono mi ofertę za dwa tysiące gwinei. Nie wiem jeszcze, kto za tym stoi. Ci ludzie mogą tu dzisiaj przyjść.

- Więc ich przyjmij, dowiedz się, o co im chodzi, i złóż mi sprawozdanie. Nie rób takiej poważnej miny, to wszystko jest bardzo proste. To najłatwiejsza gra na świecie, tylko trzeba się nauczyć reguł. Dwa tysiące gwinei ułatwią ci rozgrywkę.

- Przysięgnij, że nie ma niebezpieczeństwa.

- Nie rozumiem. Niebezpieczeństwa - dla kogo?

- Dla diuka... dla mnie... dla nas wszystkich, dla kraju?

Nagły strach dziecka ulicy. Uważaj, strażnik ma na ciebie oko... schowaj się za tym wózkiem, szybko, albo uciekaj w zaułek... nie wygadaj matce, gdzie byłaś...

- Ten kraj opiera się na korupcji od czasu, gdy został podbity przez Normanów. Wszyscy, od najwyższego dostojnika Kościoła do najniższego biuralisty, jedziemy na tym samym wózku. Nie martw się. Pamiętaj swoją pierwszą pracę, kiedy robiłaś korektę za ojczyzna? Wywiodłaś w pole tamtego głupka, poradziłeś sobie i teraz.

- Ale to co innego.

- Och, nie, wcale nie co innego. To taka sama gra. Gdybyś jej wtedy nie podjęła, wylądowałabyś w rysztole, ale wykorzystałaś szansę i uratowałaś rodzinę. Jeśli brakuje ci odwagi... - Zawiesił głos. Frontowe drzwi trzasnęły, rozległy się chłopięce krzyki, potem tupot nóg na schodach. - Jeśli teraz zabraknie ci odwagi, co stanie się z nim?

- George ma iść na jesieni do szkoły kadetów w Chelsea, a po roku albo dwóch do Marlowe. Ma zapewnioną przyszłość, tak obiecał diuk.

Will Ogilvie uśmiecha się i macha lekceważąco ręką.

- Chrestny ojciec z czarodziejską pałeczką? To wprost rozczulające. Chociaż czarodziejskie pałeczki potrafią czasem zniknąć, podobnie jak obietnice. Na miejscu George'a polegałbym raczej na matce.

Do pokoju wpada jak burza podekscytowany malec.

- Widzieliśmy z Martą musztrę Gwardii! Pozwolisz mi zostać żołnierzem, prawda? I pogonię Bonia na koniku i rozsiekam go na kawałki! Witaj, wujku Willu! Poproś mamę, żeby mi pozwoliła!

- Właśnie mam zamiar zająć się tą sprawą w zastępstwie twojej matki. Do widzenia, potworze. Nie dotykaj moich spodni! Mary Anne, czy mogę rano spodziewać się raportu?

- Nie wiem. Niczego nie obiecuję.

Zostawia ją z dzieckiem. Mary Anne śledzi go wzrokiem, gdy oddala się ulicą. Nie potrafi się zdecydować. Ma wciąż tyle wątpliwości...

- Co czytasz, mamusiu, mogę zobaczyć?

- Nic takiego, kochanie. To tylko spis nazwisk.

Dziewczynki wracają ze szkoły, May Taylor przychodzi z wizytą. Wszyscy razem udają się na przejażdżkę po parku. Czy zaufać May i poprosić ją o radę? Ale to oznaczałoby przyznanie się do poprzednich kłamstw, odwołanie bajeczki wymyślonej na rzecz rodziny i przyjaciół, dotyczącej pierwszego spotkania z diukiem. "Opowiem ci, co się wydarzyło. Byłam na przyjęciu i nagle ktoś podszedł i powiedział: "Jego Królewska Wysokość pragnie cię poznać". No i od tego momentu..." Wszyscy to kupili i zaakceptowali. Więc jak może zwrócić się teraz do May, wyznać całą prawdę i oświadczyć prosto z mostu: "Twój wujek to alfons, podobnie jak Will Ogilvie. Uknuli całą tę aferę między sobą, potraktowali mnie jak inwestycję i teraz domagają się dywidend..." Jak przeszłoby jej przez gardło coś takiego?

To na nic. Zapomnijmy o tym. Tak łatwo zniszczyć przyjaźń. Kłótnia w rodzinie, skandal z wujem Tomem, kielkujące uczucie między Isobel i jednym z braci Taylorów zniszczone w zarodku - i wszystko to psu na budę.

- Mary Anne, nigdy nie widziałam cię tak zatroskaną. Czy coś cię dręczy?

- Owszem. Brakuje mi pieniędzy.

- Chyba żartujesz! Przy twojej pozycji? Przecież wystarczy, że poprosisz Jego Królewską Wysokość.

- Tak sądzisz? Właśnie się nad tym zastanawiam. Zresztą mniejsza o to. Parker, zanim wrócimy do domu, zajedź do złotnika Birketta. Zamówiłam u niego kilka świeczników, powinny być gotowe.

Powinny i są. Sam Birkett, kłaniając się w pas, zapewnia, że odesłano je do domu.

- Czy da się pani skusić na te kupidynki? Właśnie nadeszły.

- Niczym nie dam się skusić, bo mnie utopia w sosjerce. Z wygrawerowanym herbem.

- Pani lubi żartować. Używała już pani tych sreber obiadowych?

- Raz. Jego Królewska Wysokość stwierdził, że czuje smak pasty do polerowania.

- Wykluczone, proszę pani. U diuka de Berry nigdy nie czyściło się sreber. Kupiłem je od emigranta, który znał tamtejszą służbę.

- W takim razie musieliśmy czuć zwykły brud. Następnym razem przed przyjęciem każdą sztukę wyszoruję osobiście mydłem i wodą.

- Pani zawsze jest taka dowcipna. Może pani chce duży półmisek? Mam tu jeden, należał kiedyś do markiza de St Clair. Stracił głowę, biedak, jak wielu z jego sfery.

- Rzeczywiście, jest co dźwigać. Ale ja nie jestem Salome, która prosi Heroda o łaskę. Ile ci jestem winna, Birkett?

Przerażona mina, wymachiwanie rękami. O takie sprawy nie należy pytać, mamy dużo czasu.

- Powiedz, proszę. Chcę wiedzieć.

- Skoro pani nalega... Około tysiąca funtów. Pięćset zaliczki zawsze się przyda. Tylko proszę nie naciskać w tej sprawie Jego Królewskiej Wysokości!

Odprowadza ją w lansadach do drzwi. Dzieci machają rączkami na pożegnanie. Lokaj zamyka drzwiczki powozu i siada z założonymi rękami na swoim miejscu koło stangreta.

Kiedy dojeżdżają do domu, świeczniki już tam są. Obok leży rachunek, na którym widnieje ukośny napis: "Uregulowanie powyższego będzie mile widziane". Patronat jest dobry, gotówka jeszcze lepsza. Każdy kredyt, jaki zechce... ale tylko na pół roku. Ciekawe, że ostatnio nadchodzą całe stopy takich żądań. Czy może kupcy wychodzą z założenia, że po pół roku księżętom zmienia się gust?

Mary Anne gniecie w rękę rachunek i odsyła dzieci do Marty.

- Tak, Pierson, o co chodzi?

- Dwaj dżentelmeni do pani. Niejaki kapitan Sandon i pułkownik French.

- Powiedzieli, w jakiej sprawie?

- Nie, proszę pani, ale wspomnieli coś o panu Corrim.

- Doskonale. Zaprowadź ich do salonu i powiedz, że zaraz przyjdę.

Zerknąć w lustro, poprawić włosy. Gotowe. Tysiąc funtów Birkettowi za srebra... A ci panowie obiecują dwa tysiące gwinei. Uregulowanie powyższego będzie mile widziane, ale pięćset zaliczki całkowicie wystarczy.

Czemu nie użyć tych samych słów i nie dobić targu?

Rozdział 4

Obiad dobiegł końca. Dzieci ucałowane na dobranoc, w salonie palą się lampy, zasłony zaciągnięte.

- Pierson!

- Wasza Królewska Wysokość?

- Powiedz Ludovickowi, że chcę go tu widzieć o szóstej rano. Wyjeżdżam do Hythe, nie będzie mnie do soboty.

- Słucham, Wasza Królewska Wysokość.

Diuk sadowi się przy kominku, z kieliszkiem brandy pod ręką. Rozpina kamizelkę, wzdycha, przeciąga się.

- Zaśpiewaj mi coś, duszko.

- Co na przykład?

- Coś z Vauxhallu. Sama wybierz.

Patrząc mu w oczy znad fortepianu, Mary Anne śpiewa piosenki, które rano ćwiczyła z Corrim. Jego Królewska Wysokość przytupuje do taktu, klaszcze w ręce, nuci bezgłośnie akompaniament. Głowa coraz bardziej opada mu na piersi, lecz po chwili diuk podnosi ją z wysiłkiem, by jeszcze raz zanucić. "Miasto Londyn" to żywa, wpadająca w ucho melodia, "Sandy" - kpina z miłości, wyrażona dość prostackimi słowami. Po tych dwóch pora na szlagiery ostatnich sześciu miesięcy - nieco pikantną balladę "Dwie drogi do celu" i "Już tego nie zrobię" - senną, nastrojową melodyjkę, sprzyjającą porozumieniu serc.

Wreszcie, kiedy w kieliszku widać dno, kiedy kamizelka leży porzucona na podłodze, a dla mężczyzny przy kominku zdaje się nie istnieć nic poza niebieskookim spojrzeniem, przychodzi pora na prawdziwy afrodyzjak:

"Miłość to oszustwo,@ weselmy się dziś...@"

Mary Anne zamyka fortepian i klęka u boku kochanka.

- Cemu przestałaś, moja duszko?

- Bo nie widziałam cię przez cały dzień. A jutro wyjeżdżasz. Masz coś przeciwko temu?

Podnosi ją jak piórko i zamyka w ramionach. Mary Anne kładzie mu głowę na ramieniu.

- Jeśli myślisz, że chce mi się telepać po wiejskich drogach i spać na pryczy w koszarach zamiast być z tobą... Co to jest?

- Tasiemka od halki, nie ruszaj. Gdzie jutro będziesz?

- W Hythe, potem jadę do Folkestone, Deal i Dover. Jak mi się uda, to wrócę w sobotę koło południa.

Bierze jego rękę, bawi się palcami; przygryza każdy po kolei, pieści dłoń.

- Musisz jechać do Oatlands?

- Diuszesa będzie się dąsać, jeśli nie pojedę. Zawsze w niedzielę jest pełno gości. Poza tym ludzie mielią jezorami, jeśli się nie zjawiam na niedzielnym nabożeństwie. Jeszcze doniosą królowi, a wtedy rodzic wezwie mnie na dywanik i skrzyczy jak uczeniaka.

- Nie postępuje tak z księciem Walii.

- Oczywiście, że nie. Nie rozmawiają ze sobą, więc ja jestem kozłem ofiarnym. Coś ci powiem, najmilsza... Nie przerywaj, lubię tak... Naprzeciwko parku w Oatlands jest dom - pusty. Przeznaczony był dla rządcy, ale on go nie używa. Umebluj go, zgódź służbę, a wtedy mógłbym tam przychodzić na noc, kiedy diuszesa zaśnie.

- Nic nie sprawi mi większej radości. A co z tymi jezorami?

- Och, nie będą się czepiać. Przecież będę mieszkał w Oatlands. Nic łatwiejszego w świecie, jak wymknąć się przez park.

- Nigdzie się nie wymkniesz przy wzroście ponad sześć stóp i z takim brzuchem... Cudownie byłoby jeździć do Weybridge na sobotę i niedzielę, łyknąć trochę wiejskiego powietrza, ale czy to nie wypadnie za drogo?

- Dom nie powinien cię dużo kosztować, stoi bezużytecznie.

- Trzeba go wyposażyć: umeblować, ozdobić. Doprawdy sir, cały kłopot w tym, że pod niektórymi względami zachowujesz się jak dziecko. Wszystko przez to, że całe życie spędziłeś w pałacach. Po prostu nie masz pojęcia, jak żyjemy my, zwykli śmiertelnicy.

- Pobieram przyśpieszone lekcje.

- Jak dotąd, nauczyłeś się tylko kłaść do łóżka bez pomocy służącego. A rano? Gorzej niż niemowlę! Ludovick musi ci wkładać ubranie jak piastunka pieluchy.

- To wyłącznie twoja wina. Nie jestem już taki zwawy po przebudzeniu jak dawniej. Kiedyś jeszcze przed śniadaniem jeździłem konno po parku.

- Teraz też uprawiasz coś w tym rodzaju... Ale w nieco innym tempie. Któregoś dnia wsadzisz mi przez pomyłkę głowę do worka na obrok. Sir, naprawdę polecałabym do Weybridge jak na skrzydłach, tylko zwyczajnie nie stać mnie na to. Urządzenie i utrzymanie takiego domu, przy moich obecnych dochodach, jest po prostu wykluczone.

Cisza. Chwila ponurego milczenia, niespokojne ruchy. Mary Anne zmienia pozycję, teraz już tylko lekko opiera się o ramię diuka.

- Mało ci daję?

- W sam raz na utrzymanie małego domku.

- Cóż, sam nie wiem, diabli nadali. Wiecznie to zawracanie głowy. Na moich finansach trzymają łapę Greenwood i Cox. Oni, Coutts i cała reszta przedzierają się przez wszystkie zawilości, a Adam, mój skarbnik rzuca tu i tam stosowne słówko. Jestem ciągle pod kreską i nie potrafię dać sobie rady z dotrzymaniem oficjalnych zobowiązań, a cóż dopiero wobec ciebie. Powiadasz, że nie wiem, jak żyją

zwykli śmiertelnicy. Ty natomiast nie masz zielonego pojęcia o naszych ogólnych wydatkach. Jak żyję ja, moi bracia Clarence i Kent, cała reszta rodziny... Księżę Walii ma dochody z własnego księstwa i jakoś wiąże koniec z końcem, ale my siedzimy w długach po uszy. Cały ten kraj stoi na głowie, zawsze to powtarzam.

Uwaga, robi się ślisko, lepiej nie podtrzymywać tego tematu. Ziarno trafiło na podatny grunt, niech sobie poleży.

Mary Anne zsuwa się z książęcych kolan, poprawia ogień.

- Nie chcę powiększać twoich kosztów. Nigdy. Może nie trzeba było przeprowadzać się na Gloucester Place? Chociaż... tak stąd blisko do ciebie i tak lubię to miejsce, a i ty także... Ale, sir, skoro cię rujnuję, dajmy sobie z tym spokój. Wynajmę jakieś mieszkanie, dzieci odeślę do matki, zwolnię służbę...

- Do diabła z tym, nie!

Znów przyciąga ją bliżej. Mary Anne klęka mu między kolanami, obejmuje w pasie.

- Nie powiedziałem, że jestem nędzarzem. Po prostu nie mam ani grosza. - Mówi gniewnym, gderliwym tonem. - Jeśli jest jakiś temat, którego naprawdę nie cierpię, to pieniądze. Mówiłem ci sto razy, że możesz żyć na kredyt.

- Ty możesz, sir. Ale nie twoja wybranka.

Przytula policzek do jego twarzy, dotyka włosów.

- Kto cię nęka rachunkami?

- Birkett... i inni... Nie powinniśmy kupować tych sreber. Ale to była taka pokusa, pomyśl tylko o piersi kurczęcia spoczywającej na herbowych liliach... Chociaż prawdopodobnie smakuje tak samo jak z emaliowanej miski.

- Jeśli Birkett zacznie ujadać, każę go aresztować.

- Biedaczek. Jaki ty jesteś twardy, zupełnie bez serca. - Głaszcze go za uchem, muska ustami czoło.

- Czy naprawdę możesz wtrącić kogoś do więzienia?

- Jeśli będę miał powód.

- Czy to będzie znaczyło, że "Jego Królewska Wysokość działa z mocy królewskiej prerogatywy"?

- "Wysokości" nie mają takich prerogatyw. Tylko sam król.

- A arcybiskupi mają.

- Taki przywilej. Musimy się w to wgłębiać?

- Ach, sir, ja uwielbiam informacje... to sól życia! Sesja parlamentu znów uległa prorogacji; czy znów się poróżnili?

- Definitywnie. Prorogacja to, inaczej mówiąc, odroczenie.

- Prerog..., prorog... to się jakoś wiąże. Czy proroguJesz pocałunek, jeśli go otrzymasz?

Przeprowadzona natychmiast próba wyklucza taką możliwość. Na ruszcie kominka zostało tylko trochę żaru. Pojedynczy fotel okazuje się stanowczo zbyt niewygodny.

- Czemu właściwie tu siedzimy?

- Ty siedzisz. Ja klęczę.

- Musi ci być diabelnie niewygodnie.

- Rzeczywiście. Czekam tylko na książęcy rozkaz wymarszu.

Trzymając się za ręce idą na górę. Przez uchylone drzwi sypialni Mary Anne słyszy odgłos spadających na podłogę części garderoby. Ciekawe, jak postępuje proces trawienia. Miał Ogilvie rację czy nie? I czy rzeczywiście trzeba czekać godzinę? Bierze listę nazwisk i studiuje ją przez chwilę. Przeważnie kapitanowie, którzy pragną awansować na majorów. Nie sposób spamiętać wszystkie nazwiska. Przypina spis do wezłowania łóżka tuż nad poduszką, żeby przyciągnął oko.

- Sir? - woła w stronę garderoby.

- Już idę.

- Sir, czy znasz niejakiego pułkownika Frencha?

- Trudno powiedzieć tak od razu. Z jakiego pułku?

- Chyba teraz z żadnego. On już jest na emeryturze, a właściwie na połowie pensji, zresztą to nieważne. Ale podobno pisał do ciebie do dowództwa Gwardii Konnej.

- Oni wszyscy to robią. Z tego całego sakramenckiego kraju codziennie płynie rzeka listów od półpensjonowanych pułkowników.

- On chce prowadzić zaciąg.

- Cóż, wolno mu.

- Tak, ale strasznie długo trwa uzyskanie dokumentu wcielenia. Nie wiem, co to znaczy, ale ty chyba wiesz.

- Może go dostać w niedługim czasie, jeśli prośba zostanie załatwiona pozytywnie. Takie sprawy wpływają do Clintona, sekretarza do spraw wojskowych, albo do jego zastępcy Loraine'a, a ci przesyłają papiery do generała inspektora armii Hewitta.

- I co dalej?

- Potem przynoszą te podania do mnie, do zaopiniowania i podpisu, jeśli wyrażę zgodę. Ci faceci są tacy niecierpliwi, oczywiście, że to musi potrwać. Czy oni sobie wyobrażają, że my nie mamy nic lepszego do roboty, jak tylko siedzieć na tyłkach i czytać ich sakramenckie listy?

- Wiesz... Chyba tak właśnie myślą. Nie mają wyobraźni. Ale ten pułkownik French jest taki sympatyczny. Tak przeproszał, że zawraca głowę... i w ogóle... Powiedział, że jeśli tylko wspomnę jego nazwisko, to będzie bardzo zobowiązany, a może nawet więcej...

- Co on przez to rozumie?

- Skąd mogę wiedzieć. Może chce mi przysłać bukiet?

Cisza. Potem odgłos otwierania okna i ciężkich kroków na dywanie.

Ścisłe rzecz biorąc, mówił głównie kapitan Sandon. Pięćset gwinei zaliczki, a po otrzymaniu dokumentu półtora tysiąca... Wtedy French pojedzie do Irlandii prowadzić zaciąg, a od każdego wcielonego rekruta pani Clarke dostanie dodatkową gwineę. Wypłata następuje po wcieleniu pięciuset ludzi.

- A ile dla pana? - zapytała, bardzo zaciekawiona.

Sandon, człowiek o lisiej twarzy, próbował jej wyjaśnić.

- Oficjalna premia rządowa, proszę szanownej pani, wynosi trzynaście gwinei za jednego rekruta dla każdego punktu rekrutacyjnego. W niektórych pułkach liniowych płaci się dziewiętnaście. Chcielibyśmy tyle dostawać i znaleźlibyśmy więcej rekrutów, tylko nasze listy do Ministerstwa Wojny pozostają bez odpowiedzi. Jedno słowo do naczelnego wodza - i sprawę mamy w kieszeni. Im wyższa premia, tym wyższy pani dochód.

Jakie to proste. Cena od łebka. Każdy dzielny wojak z Irlandii to gwinea w kieszeni.

Mary Anne układa się wygodnie na poduszce. Nad głową wisi lista. Z garderoby słychać głośne przekleństwo, coś się stłukło. Proces trawienia się opóźnia... albo wręcz przeciwnie. Zamknęła oczy i czeka. Czuje, jak diuk kładzie się koło niej.

- Wiesz? Gdybyś była naprawdę sprytna, wcale nie musiałabyś szarpać mnie o pieniądze. Ten facet French...

- Masz na myśli bukiet kwiatów?

- Bukiet byczych ogonów! Po prostu okaże ci swą wdzięczność. Przy twojej pozycji będziesz mogła wodzić ich za nos. A jeśli nie zechcą, pokażesz im drzwi.

- Czy mógłbyś jasno określić, na czym polega ta moja pozycja?

- Nic nie rozumiem. Na dole to było jakoś inaczej...

Interludium na dogłębne przedyskutowanie tematu. Okazało się, że problem można rozwiązać w wieloraki sposób.

- Ki diabeł?

- Zastanawiałam się, kiedy zauważysz.

- Dopiero teraz miałem okazję podnieść głowę. Co to za nazwiska?
- Nazwiska dżentelmenów.
- Wielbicieli z przeszłości, którzy stanęli na wysokości zadania?
- Nie, żołnierzy Korony. Oni służą tobie. Prawdę rzekłszy, nigdy o żadnym z nich nie słyszałam.
- Co to za pomysły? Czy brak mi wigoru? Czy to subtelna aluzja, że ubywa mi sił, a tych piętnastu facetów spisałoby się lepiej? Skoro tak...

Konwersacja ulega zawieszeniu. Kolejna rundka dla pokrzepienia serc i zyskania nowych bodźców.

- Przypięłam tę listę tylko po to, żebyś sobie pogimnastykował umysł.
- Lubię to robić w dowództwie, a nie w domu.
- Ci biedacy proszą tylko o odrobinę łaski...
- Ja też... Nie rzucaj poduszką!
- Pomyśl, jacy będą szczęśliwi, że dostąpili awansu... Bukiety w każdej ręce, a wszystkie dla mnie. Dom będzie wyglądał jak cieplarnia, wszędzie róże...

- Brakuje ci kwiatów?

- Brakuje mi wielu rzeczy.

Takie oświadczenie wymaga specjalnych badań. Braki w stanie posiadania niezupełnie się potwierdzają... Więc bierzmy, co nasze, i niech diabli porwą dawczynię.

- Śpisz?

- Spałam. Gdybyś знаła się cokolwiek na sprawach wojskowych, wiedziałabyś, że nie mogę awansować każdego Toma, Dicka czy Harry'ego. Każdy przypadek wymaga przestudiowania dokumentów, sprawdzenia, czy żołnierz zasłużył na wyróżnienie.

- Och, dobrze, skończmy z tym. Niech sobie idą do floty.

- Zobaczą, co się da zrobić, ale nie dla wszystkich naraz. Odwróć się do mnie...

Soki trawienne wyraźnie robią, co do nich należy. Lekarstwo zostało wchłonięte i krąży w organizmie. Według recepty małe dawki wymagają powtórzeń.

- Musisz przyjeżdżać na weekendy do tego domku w Weybridge. Jeśli się nie zgodzisz, poderżnę sobie gardło. Nie mam ochoty snuć się wokół grot z diuszesa.

- Zajmiesz się pieskami.

- Parszywe bydłaki. Gryzą, kiedy próbuje się je pogłaskać.

- Więc powinieneś się cieszyć i dać im swój patronat. Przecież to lubisz. Czy zegar wydzwonił pierwszą?

- Nie wiem. Mam zakryte uszy.

- Masz tylko pięć godzin do wyjazdu do Dover.

- Słyszałem, że Boniowi wystarcza o wiele mniej.

- Mniej czego?

- Godzin snu.

- On ma tylko pięć stóp i cztery cale, ty masz więcej do dźwigania. Byki wymagają odpowiedniego doglądania i traktowania.

- To brzmi, jakbyś mówiła o kawałku solonego bekonu. Kochanie, czy to twój łokieć, czy podbródek?

- Myślę, że pięta, ale nie założylabym się.

- Ręczę, że Bonio cierpi mniej niż ja. Gdybyśmy się tak zmierzili na wytrzymałość, jak mężczyzna z mężczyzną...

- Musiałby się pogodzić z przegraną. Zwycięzca bierze wszystko plus ciasteczko.

Na Gloucester Place zapada cisza. Nastaje czas pokoju, a może tylko zawieszenia broni. Dogorywające świece nrugnęły i zgasły na dobre. Ciemność okrywa pokój. Z jednej poduszki dobiega spokojny, równy oddech, z drugiej - donośne chrapanie.

- Szósta godzina, Wasza Królewska Wysokość.
- W porządku, wynoś się.

Przez okno wpada blade światło poranka, niechętny zwiastun nieprzyjemnego dnia. Wiosenny deszcz, zabłocone drogi, trzęsący się powóz. Na końcu obóz, w najlepszym razie koszary. Odór skóry i spiżu, nowego ekwipunku. Charakterystyczny zapaszek mężczyzn en masse, dymu i prochu.

- Obudziłaś się?

Nie, śpi. Najlepiej zostawić ją w spokoju, ucałowawszy tylko rozburzone włosy i ciepły policzek. Teraz się obudziła. Wyciąga ręce, przywiera do jego ramienia.

- Zostań. Jeszcze nie rano.
- Owszem, rano. I jest tu Ludovick.
- Zrzuć go ze schodów.

Żale i protesty na nic się nie zdadzą. Obowiązki przede wszystkim, figle muszą zaczekać na swoją kolej. Trąbka wzywa.

- Do widzenia, duszko. Spróbuję wrócić w sobotę.
- Nie jedź do Oatlands. Spędź weekend ze mną.

Mary Anne wtula się znów w poduszki. W głębokim śnie pojawiają się Bóg wie skąd obrazy przeszłości. Ukradkowe polowanie na frajerów w ciemnych uliczkach, z Charleyem wleczonym za rękę i Eddie'em na plecach. Uliczne dźwięki, uliczne krzyki, odór cebuli i rozkładającej się w rynsztoku kapusty, odgłos wylewanych pomij...

Kiedy Mary Anne o dziewiątej otwiera oczy, na dworze świeci słońce. Ledwie rozbudzona, sięga ręką za głowę. Lista zniknęła.

Rozdział 5

Will Ogilvie miał rację, wszystko okazało się bardzo proste. A gdy już raz rozeszła się wieść, że awans można uzyskać przez osobiste dojsścia, popyt znacznie wzrósł.

- Wyznacz stawkę - radził Will. - Tylko nie za wysoką. Rozpuszczę pogłoskę, że przy wykorzystaniu twoich wpływów stopień majora kosztuje dziewięćset, a dowództwo kompanii siedemset. Za porucznika musisz brać czterysta gwinei, inaczej szkoda twego czasu, i powiedzmy, dwieście za chorążego, to przyzwoita cena. Postaw sprawę jasno, że ty tylko przekazujesz nazwiska, ustnie, bez żadnej korespondencji. Po ogłoszeniu nominacji klient płaci gotówką. Nie przyjmuj weksli - łatwo je wyśledzić, a to mogłoby być fatalne w skutkach. Upieraj się przy banknotach o niezbyt dużych nominałach.

- Mógłbyś się tym zająć?

- Zrobię, co się da, ale moje nazwisko musi pozostać w ukryciu. Jestem po prostu znajomym znajomego, który słyszał, że potrafisz być wspaniałomyślna.

Przemyślawszy dokładnie całą sprawę, doszła do wniosku, że nie ma w tym nic nieuczciwego. Jako lojalna patriotka ratuje kraj, zapewniając armii dopływ kadry oficerskiej spośród ludzi, którzy aż się palą do służby. Zdobywa dla nich upragnione nominacje, licząc sobie za to rozsądną cenę - przecież to naturalne, że później chcą okazać wdzięczność, a poza tym awanse zyskują tylko ci, co mają papiery w porządku.

Te pieniądze to istny dar niebios. Po przyjeździe tego lata do Weybridge Mary Anne podliczyła koszty. Dom na tyłach parku był kiedyś zwyczajną chałupą, niepodobna zamieszkać w czymś takim bez gruntownego remontu. Stajnie należy wyburzyć i pobudować od nowa, dodać skrzydło dla służby, pokryć na nowo dach, dwa pokoje połączyć w jeden. Personel trzeba nakarmić - powinni być stajenni, stangret, dwóch mężczyzn i chłopak do ogrodu - nigdy w życiu nie dałaby sobie rady, gdyby nie ten interes z "patronatem".

French otrzymał dokument wcielenia i odpłynął do Irlandii. Sandon, jego przyjaciel, też okazał się wiernym sprzymierzeńcem i czasem wpada z wizytą. Mary Anne musi bardzo uważać, żeby uniknąć kolizji, ponieważ on również zwykł przynosić listy nazwisk. Gdyby Ogilvie się dowiedział, że jeszcze ktoś poza nim należy do interesu, mogłoby dojść do niezręcznej sytuacji. Na razie zdarzyło się kilka razy, że listy się dublowały i gdy ogłoszono nominację, musiała wypłacić procent jednemu i drugiemu, ponosząc stratę.

Jednakowoż wszystko szło jak z płatka, a diuk nie zadawał żadnych pytań. Ona wymieniała tylko nazwisko - kapitan Taki_to_a_taki życzy sobie zostać majorem - albo zapisywała dane i zostawiała karteczkę na widocznym miejscu. Do niego należała reszta. Nigdy nie dyskutowali na ten temat - obie strony zachowywały dyskrecję.

Jedyny dysonans, łyżka dziegciu w beczce miodu - to Bill. Pech chciał, że zjawił się tego samego ranka co French. Trafił akurat na moment, gdy pułkownik przyniósł jej pięćset funtów zaliczki za swój dokument.

Ubierała się jeszcze na górze, gdy Pierson przysłał wiadomość przez Martę. "Przyszedł pan Dowler, udał się prosto do salonu." Tymczasem French czekał tam już od dziesięciu minut. Szybko dokończyła toalety i zbiegła na dół, ale wystarczyło spojrzeć na Billa, by się domyślić, co zaszło. Gdy tylko Dowler przedstawił się jako serdeczny przyjaciel, podekscytowany French gładko wypaplał cel swojej wizyty - i tak szydło, przynajmniej częściowo, wyszło z worka.

- Ktoś powinien popędzić im kota - usłyszała wchodząc do salonu. - Jak, u diabła, mogą spodziewać się rekruta, jeśli marudzą w nieskończoność z wydawaniem dokumentów wcielenia ludziom, którzy chcą prowadzić zaciąg? Tłumaczyłem to w kółko w listach do pułkownika Loraine'a z Ministerstwa Wojny. Po prostu nie odpowiada, a listy trafiają do teczek. Pani Clarke obiecała mi, że zrobi, co może, i mam nadzieję na rychłe rezultaty.

- Pułkownikowi French, miło mi pana widzieć. O, Bill, co za niespodzianka!

- Na górze jest tyle utrudnień, a główna przeszkoda to generał Hewitt. Jest inspektorem generalnym i blokuje każdą prośbę. Ma uprzedzenia w stosunku do tych, którzy trudnią się rekrutacją ochotników. Są to oficerowie półpensjonowani, tacy jak ja. A my tymczasem nie pragniemy niczego więcej, niż służyć swojemu krajowi. Gdyby pani Clarke szepnęła choćby słówko naczelnemu wodzowi, jak Hewitt nas traktuje...

I tak dalej, i tak dalej, podczas gdy Billowi coraz bardziej rzednie mina.

Wreszcie najbardziej krepujący moment - pieniądze.

- Zechce pan nam wybaczyć, panie Dowler? Sprawy finansowe. - French ciągnie ją do kąta i zaczyna szeptać.

Kłęska na całej linii. Mary Anne trzęsie się cała z gniewu. Jedyny sposób, by wybrnąć z sytuacji, to udawać, że nic się nie stało, i traktować sprawę w sposób naturalny. Wreszcie French się wyniósł. Bill z miną pastora na ambonie patrzy w sufit. Atak to najlepsza forma obrony, więc Mary Anne wpada na niego z góry:

- Wielki Boże, co za mina! O co ci chodzi? Czy wracasz z pogrzebu? Od tylu dni nie dajesz znaku życia, no i proszę. Czy to moja wina, że akurat trafiłeś na tego pierdołę?

Milczenie. Po chwili Dowler uderza w mentorski ton:

- Nie obchodzi mnie, czy jest pierdołą. Tak się jednak składa, że cię kocham, i dlatego obchodzi mnie co innego. Mieszając się w sprawy wojskowe, prowadzisz grę, której nie rozumiesz.

- Och, nie gadaj głupstw. Zawsze ci się wszystko nie podoba. Oczywiście, że ludzie mnie nachodzą, spodziewałam się tego w mojej sytuacji. Sam diuk mi mówił, że tak będzie, a on powinien wiedzieć. Nic mnie bardziej nie cieszy, niż to, że mogę służyć pomocą komuś, kto jej potrzebuje. Uczciwym, ofiarnym ludziom, którzy nie kryją swych intencji.

Brnie dalej, odgrywając przed nim święte oburzenie:

- Siedzisz w tym swoim Uxbridge, szwendasz się od rana do wieczora koło domu jak jakiś kmiotek i nie masz pojęcia, na jakim świecie żyjesz. Śmiem twierdzić, że w ciągu jednego ranka spotykam więcej ludzi, w tym takich, którym pomagam, niż ty w ciągu tygodnia. To wcale nie są tylko wojskowi. Zwracają się do mnie przedstawiciele dosłownie wszystkich zawodów, sam byś nie uwierzył. To nie moja wina, tak się po prostu dzieje i już. Gdyby diuszesa wykazała trochę charakteru i zachowywała się jak żona, wtedy to ją by nachodzono, a ja miałabym spokój. Ale ludzie wiedzą, że ona nic nie znaczy, że jest bezsilna jak te jej pieski, no więc przychodzą tutaj i wszystko spada na moją głowę...

Pozwolił jej się wygadać, ale na nic się to nie zdało. Nie wierzy ani trochę, poznała to po oczach.

- Może żyję jak kmiotek, ale nie jestem całkiem głupi. Oczywiście, powinnaś za wszelką cenę używać swych wpływów, by pomagać ludziom, ale nie bierz łapówek. Wciągniesz tylko w bagno i siebie, i jego.

- Nie biorę łapówek.

- Więc co to za banknoty?

- To tylko uprzejmość, rodzaj podarunku za rozpatrzenie sprawy. Słyszałeś, co mówił: utrudnienia w Ministerstwie Wojny, nic się nie daje przepchnąć, ja jestem tylko dodatkowym kanałem, bardziej bezpośrednim.

- I gotowa jesteś powtórzyć to samo w dowództwie Gwardii Konnej?

- Czemu nie? Może bym ich popchnęła do działania.

- To czeze przechwałki, sama zresztą wiesz. To, co robisz, jest absolutnie nielegalne i na miłą pachnie korupcją. Na miłość boską, daj spokój i zachowaj czyste ręce. Nie wystarcza ci, że jesteś jego metresa? Masz dość powodów do triumfu, nie musisz babrać się w błocie.

- Jak śmiesz na mnie napadać!

- Nie napadam na ciebie. Po prostu łamiesz mi serce, zachowując się w ten sposób.

- W porządku. Więc wynoś się z tego domu. Wracaj do nieskalanej atmosfery Uxbridge, tam twoje miejsce. Nie proszę cię o radę ani o aprobatę. Od moich przyjaciół oczekuję, że przyjmą do wiadomości to, co robię i będą siedzieć cicho.

- W Hampstead mówiłaś inaczej.

- Hampstead to co innego. Od tej pory cały świat się zmienił.

- Może dla ciebie.

Rusza do drzwi. Mary Anne pozwala mu się oddalić, ale nim jeszcze doszedł do schodów, woła:

- Bill... zostań!

Zatrzymuje się w drzwiach. Mary Anne wyciąga rękę.

- Dlaczego tak mnie traktujesz, co ja zrobiłam?

Na nic się zdadzą kłótnie, zakłęcia, dobre rady. Potrzebuje teraz akceptacji, paru serdecznych słów, przyjacielskiego pocałunku, zrozumienia.

- Muszę to zrobić, Bill. Potrzebuję pieniędzy.

- Przecież on ci daje na utrzymanie.

- Tak, ale tego nigdy nie wystarcza... wydatki są wprost przerażające. Samo utrzymanie tego domu kosztuje trzy razy tyle, a teraz jest jeszcze drugi, w Weybridge. Konie, powozy, jedzenie, meble, ubranie... Tylko mi nie mów o ograniczeniach, to niemożliwe. Muszę żyć na odpowiednim poziomie, on jest przyzwyczajony do komfortu. Nigdy by się nie zadowolił pokoikiem na poddaszu czy czymś podobnym. Tu jest jego drugi dom, sam tak mówi. Prawdę powiedziawszy innego nie ma.

- Zależy ci na nim?

- Może... Nie o to chodzi. Po prostu nie mogę i nie chcę prosić go o więcej pieniędzy. Nie ma skąd ich brać... Dlatego jestem zmuszona sobie radzić. - Pomachała banknotami. - Korupcja - jak to nazywasz - to taki sam interes, jak każdy inny, takie jest życie. Można się z nią spotkać w każdej dziedzinie. Politycy, pastorzy, wojskowi, marynarze... Wszyscy są tacy sami. Słyszałeś ostatnią

plotkę? Może czytałeś w gazecie? Jak myślisz, co lord Melville namieszał w admiralicji? Mają powołać komisję śledczą do zbadania jego sprawek.

(Henry Dundas, lord Melville, Pierwszy Lord Admiralicji w latach 1794_#1801, oskarżony był przez opozycję o malwersacje finansowe, których naprawdę dokonał jego podwładny. Rozprawa w Izbie Lordów udowodniła jego niewinność, ale kariera polityczna była skończona).

- Tym bardziej powinnaś się pilnować.

- Och, będą siedzieć rok za zamkniętymi drzwiami i w końcu niczego mu nie udowodnią. Tak mówi diuk.

- Ciekawe. Bardzo wątpię. Radykałowie nie puszczą tej sprawy płazem, dużo od tego zależy.

- No to niech nas wszystkich skażą, świat się od tego nie zawali. Będę trzymać głowę nad wodą, póki się da.

Pocałował ją i wyszedł. Mary Anne wyczuła potępienie, w tym pocałunku kryła się nagana. Och, trudno, skoro Bill tak uważa, to nie ma o czym mówić. Niech się trzyma z daleka od tego domu, niech tu nie przychodzi. Bardziej ukarze siebie niż ją, ona sobie poradzi. Jej życie jest już tak wypełnione, że nie ma czasu na dręczenie się afrontami ze strony przyjaciół czy eks_kochanków. Współczucie tak, ale żadnego strofowania, żadnej krytyki. Ten mentorski ton nie pasuje do jej obecnej pozycji. Bill ciągle traktuje ją jak dziecko i zdaje się nie rozumieć, że zmieniła się i wydorosłała.

Mężczyźni, wśród których teraz obraca się pani Clarke, są światowcami, przy nich nieszczęsny Dowler wygląda, jakby kij połknął... przystojny, ale nudny. Do grona jej faworytów należy między innymi James Fitzgerald, elokwentny prawnik o języku jak brzytwa. Podlany kieliszkiem brandy, lubi szeptać o irlandzkich skandalach, w jego kraju każdy protestant ma w szafie jakiś szkielet. Inny, który kryje się w cieniu, to William Coxhead_Marsh, przyjaciel diuka, często zapraszany na obiady. Twierdzi, że ją uwielbia, że jest gotów na każde skinienie. Jeśli będzie miała dość diuka, to on służy rezydencją w Essex, wystarczy szepnąć słowo... Mówi to sotto voce, przyciskając pod stołem jej nogę kolanem. Takie same aluzje robią Will Boodle, Russel Manners i paru innych. Schlebają, szepczą czułe słówka - oczywiście to wszystko żarty wypowiedane z uśmiechem i odrobiną pikanterii, ale zawsze jakaś rozrywka.

Szkoda, że książęcy kochanek nie jest bardziej towarzyski. Pięknie umeblowany dom świetnie się nadaje do przyjmowania gości. Obiady, przyjęcia, koncerty - Mary Anne uwielbia takie rozrywki. On natomiast woli od czasu do czasu zaprosić paru przyjaciół, ale żadnego tłumu, najlepiej posiedzieć w spokoju po obiedzie, posłuchać jej śpiewu, zagrać w karty z serdecznymi druhami czy nawet z May Taylor. Tymi niewybrednymi, plebejskimi upodobaniami przywodzi na myśl Boba Farquhara - jakie to dziwne. Ordynarny żart czy piosenka, potem wybuch śmiechu - służący rozlewa zupę, diuk zrywa boki. Za najlepszy temat uważa wyścigi. Jest szczęśliwy, gdy może przez cały wieczór dyskutować o formie różnych koni z paroma przyjaciółmi przy kieliszku porto. Natomiast książę Walii i pani Fitzherbert... ach, dajmy temu spokój. To zupełnie inne środowisko. Książę ma swoje ścisłe kółko, jest tam Charley Fox i cała reszta, sama śmietanka wigów, wszyscy błyskotliwi, efektowni, na pewno o wiele bardziej interesujący. Ale cóż, jest, jak jest. Skoro diuk po powrocie z dowództwa lubi bawić się na podłodze z dziećmi, ona nie będzie przeszkadzać. Lepiej niech gra w pikietę z May Taylor przy Gloucester Place, niż żeby miał rozwalać się na kanapie z lady Hertford w Carlton House.

A jednak trochę jej przykro, że nie może częściej rozsyłać zaproszeń. "Pani Clarke zaprasza na wieczorne przyjęcie. Powozy o jedenastej." I na dole małymi literkami: "Z udziałem J\$K\$W diuka Yorku". Zwykle oddalał takie propozycje.

- Gdybyś siedziała na tyłku od dziewiątej do siódmej nad sprawami armii Jego Królewskiej Mości, też byś chciała potem odpocząć w spokoju, a nie napychać sobie brzuch i słuchać idiotycznej paplaniny.

- Książę Walii i pani Fitzherbert urządzają przyjęcia.

- Bo on nie ma nic do roboty. Musi zabijać czas.

- Tak wiele mógłbyś się dowiedzieć, gdybyśmy wydali kilka obiadów. Można by zaprosić polityków i w ogóle interesujących ludzi, nie jakąś hołotę.

- Politycy to banda łobuzów, niech mój brat się nimi najmuje. I nie potrzebuję niczego się dowiadywać; nie chcę się wdawać w intrygi. O co ci chodzi, aniołku? Nudzisz się, masz mnie dosyć?

- Oczywiście, że nie. Ja tylko...

- Przyjmuj ich sobie, kiedy mnie nie ma, proszę bardzo. Masz wolną rękę.

Ale przecież to nie to samo. Chciała rozgłosu, przepychu, chciała błyszczeć w salonie u jego boku, rozdawać ukłony i uśmiechy, chciała tłumy gości, arystokratów obwieszonych brylantami (hrabia - to absolutne minimum). I wszyscy szczyrzyliby zęby, płaszczyliby się, podlizywali jej, dziewczynie z zatechłej uliczki, która wreszcie złowiła naprawdę grubą rybę.

Z rzadka owszem, zdarza się, że diuk wyraża zgodę. Pozwala wydać obiad. Dziesięć, dwanaście osób, nie więcej, i nie mogą siedzieć zbyt długo. Wtedy cały dom ogarnia radosny, świąteczny nastrój. W kuchni urzęduje dwóch kucharzy, zatrudnia się dodatkowego lokaja do pomocy Piersonowi. Obiad, złożony z czterech albo pięciu dań, podają na pięknie błyszczących srebrach (dzięki Bogu spleconych pieniędzmi od pułkownika Frencha), potem chwila muzyki - Mary Anne siada do harfy - wszyscy klaszczą. Wtedy wie, że naprawdę żyje, jest w siódmym niebie, nic więcej się nie liczy. Rozpromienione twarze, wrzawa, śmiechy - i on, górujący nad wszystkimi, z rękami założonymi do tyłu, z iskierkami wesołości w oczach, pobłażliwy, serdeczny, wychwalający ją pod niebiosa: "Na Boga, powiadam wam, te z Vauxhall mogą jej buty czyścić!" Przesyła ukochanej pocałunek, wszyscy się gapią, już ona dobrze widzi te miny. To siła i zarazem czar, rozkosz, sam miód. A kiedy po wyjściu gości patrzy na pobojuwisko w salonie - resztki jedzenia, obtluczoną nóżkę kieliszka na krześle, plamy na dywanie - traktuje to wszystko jak oznaki udanego wieczoru, świadczące o jej triumfie.

- Och, sir... Jestem taka szczęśliwa! Tak bardzo mnie to cieszy!

- Co, odgrywanie gospodyni?

- Tylko przy tobie jako gospodarzu.

Leżąc u jego boku, z nerwami zbyt jeszcze rozedrganymi, by zasnąć, stara się zajrzeć w przyszłość, puszcza wodze fantazji, przed jej oczyma przesuwają się szalone wizje, co mogłoby się wydarzyć, gdyby pewni ludzie odeszli z tego świata. O księciu Walii zawsze się mówiło, że jest słabego zdrowia, księżniczka Charlotta taka chorowita... Diuk jako ewentualny następca tronu... Król ciągle chory, miesza mu się w głowie... diuk w ciągu dwudziestu lat mógłby spokojnie dojść do tronu. A wtedy... Cóż za olśniewająca perspektywa!

Tymczasem nawet drobne okrucieństwa władzy uderzają do głowy i sprawiają przyjemność. Manipulacje z oficerskimi awansami i przeniesieniami, przemienianie majorów w pułkowników... Niby drobiazgi, ale lukratywne. Jakie to podniecające, kiedy się wysyła do Sandona pośpiesznie nagryzmołony przy śniadaniu bilecik:

"Bądź tak dobry i zajrzyj jutro do wieczornej gazety, spodziewam się tam kilku nazwisk. Zapewniam Cię na honor, że o innych też pamiętam. Opłata za moje starania w przypadku stopnia majora wynosi siedemset gwinei, więc uprzedź o tym innych chętnych. W poniedziałek wybieram się do miasta, gdybyś miał coś do zakomunikowania..."

Potem następnym:

"Jestem absolutnie przekonana, że to wprost śmieszna suma, wspomniałam o tym osobie, która naprawdę wie, ile te rzeczy są warte, więc powiedz Baconowi i Speddingowi, że muszą dodać jeszcze po dwie setki, a kapitanowie po pięćdziesiąt. Obecnie za wyższe stopnie proponują mi po tysiąc sto funtów. Muszę mieć jasną odpowiedź, ponieważ wkrótce mam rozmawiać z Nim. Wspomniałam już o Tobie, że tak się o mnie troszczysz... Dziś wieczór wybieram się do Teatru Małego".

Po namyśle dodaje:

"Kapitan Sandon jest przez panią Clarke zawsze mile widziany, ale niech lepiej nie odwiedza jej łoży dziś wieczorem, ponieważ w teatrze ma być Greenwood z obydwoma diukami i oczywiście będzie się rozglądał. Gdyby zobaczył i rozpoznał kapitana Sandona, mógłby wspomnieć coś na temat poboru rekruta, co mogłoby zaszkodzić interesom zarówno kapitana, jak i pani Clarke".

Ale sprawy nie zawsze idą według planu. Oto pewne nazwiska pchnięto do przodu, ale wskutek błędów pary wspólników awanse ugrzęzły w miejscu.

Znów liścik do Sandona:

"Umieram ze zdenerwowania. Znasz stan moich finansów, więc wyznaczyłam sobie na wtorek sprawę Speddinga, a tymczasem okazało się, iż jego pułk sprawił się tak marnie na manewrach, że diuk ich skłął ile wlezie i wstrzymał wszystkie awanse! Pułkownikowi Wemyssowi powiedział ni mniej ni więcej, że gdyby ten był dżentelmenem, natychmiast подаłby się do dymisji! Ma jednak zamiar przejrzeć dziś petycję, ponieważ Spedding służył w tym pułku dość krótko, no i jest starym oficerem; sam więc widzisz, że jeśli dostanie ten awans, będzie mi naprawdę dużo zawdzięczał. Muszę bardzo, ale to bardzo za nim prosić. Diuk jest zły na Ciebie, bo kiedy widziałeś się z nim ostatni raz, obiecałeś mu trzystu cudzoziemców, a nie dostarczyłeś ani jednego - można polegać na panu Sandonie, nie ma co! Mówiłam Ci, że trzeba działać powoli, jego urzędnicy są tacy przebiegli. Niech Spedding opisz przebieg służby i przyslij mi to zaraz jako prywatny list do pokazania diukowi, bez żadnych nazwisk. Adieu".

Czasem Mary Anne dodaje na górze uwagę "Spal to", czasem zapomina. Gdy sprawy układają się pomyślnie, środki ostrożności wydają się zbyt liczne. W końcu lipca przeżyła moment prawdziwej paniki. Pułkownika Clintona, sekretarza do spraw wojskowych w Ministerstwie Wojny, zastąpił pułkownik Gordon, uważniejszy, bardziej czujny. Rozeszły się plotki; nowy sekretarz to chytrus, ma zamiar wniknąć w różne sprawy, uważa, że jego departament jest zbyt opieszale. Poszedł pośpieszny liścik do Sandona:

"Wyjeżdżam z miasta, więc kreślę tych kilka linijek. Zaklinam Cię, uważaj na każdym kroku, niech nikt nawet nie wspomni mojego nazwiska. Jestem pewna, że masz wrogów, bo wczoraj sześć czy siedem różnych osób zasypało D. inwektywami pod Twoim adresem. Jest z jakiegoś powodu trochę zły, ale nie chce powiedzieć, dlaczego".

Może dlatego, że Gordon zadaje pytania i wtyka nos w sprawy, które umknęły uwadze Clintona? Było trochę ujadania co do poboru rekruta, plotki krążyły na ten i inne tematy. Za dużo pośredników i mielących jęzorów. Nie, na pewno nie Ogilvie, jemu można zaufać, ale może ten French w Irlandii albo nawet Corri?

- Wygadałeś się, panie Corri?

- Łaskawa pani, protestuję...

- Krążą plotki i Jego Królewska Wysokość o nich wie. Jeśli masz pan jakiegokolwiek notatki na temat afery z prowadzeniem zaciągu, to, na miłość boską, spal je.

Corri zbladł. Wysłała go czym prędzej do domu.

- Spokojnie - pocieszał ją Will. - Niedługo burza ucichnie. Gordon to nowa miotła, niech sobie robi, co chce.

- Przysięgałeś, że nie ma niebezpieczeństwa!

- Bo nie ma. Zaczekamy, aż zapuści korzenie.

Gordon zabrał się do roboty nie na żarty. Jednym z pierwszych kroków nowego sekretarza było pismo skierowane do wszystkich agentów wojskowych, wydane przez dowództwo Gwardii Konnej 28 września 1804 roku:

"Panowie, Jego Królewska Wysokość Naczelnny Wódz ma niepodważalne podstawy, by wierzyć, że istnieją rozległe powiązania oficerów armii z osobami określającymi się jako pośrednicy wojskowi. Wciągają oni oficerów w proceder uzyskiwania awansów w sposób sprzeczny z regulaminem. Naczelnny Wódz pragnie z całą mocą przeciwstawić się tym praktykom, które przynoszą wielką ujmę

całej armii. Polecono mi zwrócić Waszą uwagę na ten ważny problem i przekonać Was o potrzebie natychmiastowego zwiększenia czujności oraz sprzeciwienia się, na ile jest w Waszej mocy, jakimkolwiek próbom komunikowania się tych osób z urzędnikami Waszej agencji. Gdyby kiedykolwiek wyszło na jaw, że taka transakcja została zrealizowana za pośrednictwem Waszego biura, Naczelnny Wódz uzna za swój obowiązek zalecić dowódcom odpowiednich pułków, by wycofali swe jednostki z Waszej agencji i przekazali je w inne ręce.

Polecono mi również oświadczyć, że możecie mieć zaszczyt przekazania dowódcom pułków, znajdujących się w gestii Waszej agencji, najwyższej dezaprobaty Jego Królewskiej Wysokości dla tego niewłaściwego proceduru oraz zapewnienia ich, że jeśli począwszy od daty tego listu zostanie ujawniony jakikolwiek przypadek nieregularnego uzyskania awansu, wówczas taka nominacja ulegnie natychmiastowemu unieważnieniu, a na oficera wpłynie do Króla raport, że działał on wbrew wyraźnemu rozkazowi Naczelnego Wodza".

J.W. Gordon

I jak tu się śmiać? - zastanawiała się Mary Anne, obserwując jesienne liście z okna swojego domu w Weybridge, gdzie oczekiwała powrotu diuka od żony w Oatlands. Bilecik od wdzięcznego oficera powędrował do ognia, a czterysta funtów w banknotach - za gors.

Rozdział 6

Gra trwała, ale działano ostrożniej, w większej konspiracji. Mary Anne zabrnęła za daleko, by teraz się wycofać, tkwi w interesie po szyję. Na jakiś czas tempo awansów osłabło - rybki się spłoszyły, ale pod koniec roku znów wyszły na żer. Inaczej nie dałoby się żyć. Rozpaczliwie potrzebowała pieniędzy. Koszty utrzymania obu domów podwoiły się, potem potroiły - nie potrafiła ograniczyć wydatków ani oszczędzać. Marta codziennie przychodzi z pretensjami.

- U rzeźnika zalegamy już od trzech miesięcy, proszę pani. Mówi, że przestanie dostarczać mięso, jeśli nie wpłacimy choćby zaliczki.

- Marto, nie dręcz mnie, mam zaraz lekcję malowania.

Ciągle jakieś lekcje: śpiewu, rysunku, tańca - żeby dotrzymać kroku najmodniejszemu szaleństwu Londynu. Ostatni krzyk mody to malowanie na aksamicie.

- Jeśli przestanę panią dręczyć, rzucą się na mnie. Rzeźnik powiada, że to ja trzymam kasę i nie chcę mu oddać długu.

- No dobrze, masz tu.

Miała w szufladzie kilka banknotów przeznaczonych dla jubilera (para kolczyków, wprost fantastycznych na tle bieli, musiała je mieć); część tych pieniędzy trzeba wydać na ugłaskanie rzeźnika.

- Dostawca węgla także pyskuje, proszę pani. Kiedy ostatnio przywiózł opał, gderał bez końca. W ciągu kilku dni musimy zapłacić za następną dostawę, co zrobić, przecież pali się we wszystkich pokojach.

Jeszcze trochę gotówki, znalezionej w szkatułce, by zaspokoić węglarza. Drobnymi dostawcami muszą mieć pierwszeństwo, tak jest sprawiedliwie. Jubiler zawsze może poczekać, w ostateczności zwróci się kolczyki.

- Marto, to kuchnia wyjada mięso.

- Zawsze wszystko zwała się na kuchnię.

- Jego Królewska Wysokość i ja mamy bardzo małe apetyty. Duże kawałki idą do suterenu, sama widziałam.

- No cóż, a czego pani się spodziewała? Jest nas w kuchni dziesięcioro. Mężczyźni mają swoje potrzeby, muszą być dobrze karmieni.

Dziesięć osób w kuchni - to już doszło do takiej liczby? Ciągłe pojawia się ktoś nowy do kolejnych usług. Kucharka nie usiądzie do stołu z pomywaczkami, pokojówki z lokajami; ta, która ściele łóżka, nie będzie zmywać naczyń.

- Och, Marto, zajmij się tym, ja nie mam czasu.

I wraca do malowania. Potem czeka ją wyprawa do Kensington, wieczorem teatr, jutro wyjazd do Weybridge - i znów prośby o pieniądze, tym razem tamtejszego personelu. Zachciało się jej w lecie uprawiać jarzyny, ale zamiast małego ogródka z tyłu domu ogrodzono, wskutek czyjegoś błędu albo źle zrozumianego polecenia, ogromny kawał pola - i teraz ma na utrzymaniu dwa konie gospodarskie. To oczywiście wymaga dodatkowego człowieka. Jej stajenni zajmują się wyłącznie końmi do powozu. Ale gdzie ten człowiek zamieszka? Trzeba mu dać domek, ma żonę i czworo dzieci.

I tak się kręci ta szalona karuzela. Mechanizm, raz wprawiony w ruch, nigdy się nie zatrzymuje. Poza kupcami i służbą wysuwa żądania rodzina. James Burton, chwala Bogu, nie upomina się o rentę dzierżawną, ale dom przy Tavistock Place trzeba utrzymywać ze względu na matkę i Isobel, świeżo zaręczoną z jednym z braci Taylorów. Sytuacja Taylorów ostatnio się pogorszyła. Ojciec May ciągle traci pieniądze na giełdzie i biedna dziewczyna się zapłakuje. Ponieważ muszą opuścić dom, May z siostrą myślą o założeniu szkoły, ale to nie wchodzi w rachubę, jeśli nie znajdą jakiejś pomocy.

Trzeba znów zajrzeć do szuflady i wyskrobać jakimś cudem pięć setek, żeby zainstalować nieszczęsną May i jej siostrę w Islington. Potem jeszcze dwie na ślub Isobel. Ceremonia się odbyła, pieniądze popłynęły.

Następny problem z Charleyem. Nie jest zadowolony z 13. Pułku Dragonów, chce przeniesienia. Czy siostra może to załatwić? Trafił akurat na niefortunny moment, kiedy sprawy zaczęły się komplikować, ale mimo wszystko jakoś się udało i przeniesiono go do 7. Pułku Piechoty, do fizylierów. Nie minęło pół roku, a znów był z powrotem.

- Nie mogę wytrzymać w siódmym, chcę się przenieść.

- Ależ, drogi chłopcze, to samo mówiłeś we wrześniu!

- Wiem. To była pomyłka, nie powinienem stamtąd odchodzić. Siódmy to absolutne piekło, wolę kawalerię. Powiedziano mi, że mogę dostać przeniesienie do czternastego dragonów, ale oczywiście trzeba poszachrować. Możesz coś z tym zrobić?

- Zobaczę... Ale zrozum, wojsko to nie zabawa.

- W dragonach na pewno lepiej mi się powiedzie.

Nie podzielała tej pewności, ale powstrzymała się od komentarza. Fakt, że siostra jest metresą diuka, uderzył Charleyowi do głowy. Do Mary Anne doszły pogłoski, że go nie lubiano. "Powiedz temu swojemu braciszкови, żeby trzymał gębę na kłódkę, bo ludzie z nim nie wytrzymują. Okropnie zadziera nosa".

Kiedy już urządziła Charleya, nadszedł rozpaczliwy list od Sammy'ego. Biedny Sammy Carter; Mary Anne przypuszczała, że gdzieś za morzem zadaje szyku w eleganckim mundurze chorążego. A jednak nie - wsadzono go na transportowiec "Clarendon", stojący na redzie w Spithead.

"Wielce szanowna Pani!

Ufam, że wybaczy mi Pani śmiałość, ale okropna sytuacja, w jakiej się znalazłem, zmusza mnie do ponownego zaapelowania do Pani niezmiernie dobrej dobroci. Od czasu ostatniego zaokrętowania moje położenie nie da się wprost opisać. Nie mam żadnego wyposażenia na podróż ani pieniędzy na różne niezbędne drobiazgi. Muszę co noc stać cztery godziny na warcie, do jedzenia dostaję tylko solone mięso, piję zaś wyłącznie wodę, bo rum jest tak podły, że nie sposób go przełknąć.

Nigdy nie miałem najmniejszej wątpliwości, że Pani dobre serce nie mogłoby znieść myśli, iż cierpię głód tam, gdzie Pani zechciała mnie łaskawie umieścić. Wiem, że Pani życzeniem było uczynić mnie najszcześniejszym i najwdzięczniejszym z ziemskich stworzeń. Gdyby zatem zechciała Pani wziąć pod uwagę mój straszliwy los i dzięki drobnej pomocy finansowej uratować mnie od

wszystkiego, co najgorsze, byłby to akt prawdziwie Jej godny, który zapisałby się na wieki w moim sercu.

Pozostaję na zawsze Pani wdzięcznym sługą
Sam Carter

Biedny pieszczonek Sam, ginący w oczach nad solonym mięsem! Natychmiast wysłała mu pięćdziesiąt funtów na odzyskanie sił. To wielki błąd, że w ogóle od niej odszedł, on się nie nadaje do wojska, zawsze o tym wiedziała. Rozpłynął się w podziękowaniach, a do listu dołączył rachunek za umundurowanie. Szpady, szarfy, pasy, pióra, kurtka mundurowa z galonami, rękawiczki i pończochy, nawet zegarek do wykupienia z zastawu za dwa i pół funta, wszystko razem następnych czterdzieści funtów. Och, trudno, co zrobić, trzeba poratować biedaka. Miała nadzieję, że jakoś się urządzi, że nie będzie prosił o przeniesienie.

- Proszę pani...
- Co tam znowu, Marto?
- Przyszedł doktor Thynne.

Temu przynajmniej nie chodzi o pieniądze. Dostał, dzięki Bogu, swoje honorarium - dziecięce przeziębienia w zimie, reumatyzm matki, kataplazmy dla Marty, postawione stangretowi bańki, ona sama też miała przez dwa dni jakieś mdłości (wyleczone sprawnie i dyskretnie - niestety nadzieje diuka spęzły na niczym).

- Drogi doktorze, co mogę dla pana zrobić?
- Dla mnie nic, pani Clarke. Jedno słowo w sprawie przyjaciela...

Stara śpiewka. Ale Thynne dotąd o nic nie prosił. No to przestajemy pozować na pacjentkę ("dziękuję, doktorze, dziś się lepiej czuję") i przybieramy urzędowy ton.

- Proszę o dokładne dane.

To rutynowa formułka.

- Jedna z moich pacjentek ma męża, mąż zaś ma brata, niejakiego pułkownika Knighta.
- Krótko i węzłowato: petentem jest Knight?

- Tak, pani Clarke. Pułkownik Knight pragnąłby się wymienić z towarzyszem broni, niejakim pułkownikiem Brookiem. Sprawie nadano urzędowy bieg, ale są olbrzymie opóźnienia...

- Wiem, wiem. - Zwykle tłumaczenie, Mary Anne zna je na pamięć. - Zrobię, co się da. Czy wspomnieli o załączniku?

- Moja pacjentka mówiła o dwustu funtach.

Za wymianę brała trzysta pięćdziesiąt, ale jeszcze przed Gordonem, teraz to przeszłość. Zważywszy na okoliczności, dwieście funtów jest nie do pogardzenia.

- To raczej niewiele, ale dla przyjaciela zrobię wyjątek. Oczywiście w banknotach.
- Jak pani sobie życzy. Moja znajoma będzie wdzięczna.

- Gotówka ma być wypłacona w momencie ogłoszenia nazwisk. Postaram się, by to nastąpiło do końca miesiąca.

Boże, te lipcowe upały! W Londynie można się udusić, nawet w Weybridge oddycha się z trudnością. Morze - oto, czego jej trzeba. Morze i absolutny wypoczynek. Jeśli sobie trochę nie odpuści, oszaleje, tak jak król. Wysłano go do Weymouth na słońce kąpiele - to teraz najnowsze lekarstwo na myszki w głowie. Pani Clarke też by się wybrała do Weymouth, gdyby miała za co. Myśli wirują w głowie jak w jakimś szalonym tańcu...

Gorączka wojenna ogarnęła tego lata cały kraj, wszyscy mówią tylko o inwazji. Czy Bonio się odważy? Ma ludzi, ale brak mu floty, pogoda jest nieodpowiednia, mgła nad kanałem, jeden Anglik da radę dziesięciu Francuzom, ale jeśli nieprzyjaciel jednak wyląduje? Jaki jest plan obrony Londynu?

- Przy twojej pozycji na pewno dużo słyszysz. Powiedz, co diuk zamierza? I czy to prawda, co twierdzi lord Stanhope, że Francuzi mają sekretne urządzenie do zatapiania okrętów?

Jakby naprawdę coś wiedziała... Zresztą gdyby nawet, niczego by nie zdradziła. Tak wiele jadowitych jęzorów czyha tylko na okazję, by obsmarować kampanię i zdyskredytować diuka. Te listy w "Morning Post", podpisane "Belizariusz" - próbowała trafić na ślad ich autora, ale się nie udało. Sutton przysięgał, że ten człowiek nazywa się Donovan; to półpensjonowany weteran, który ma jakąś urazę. Donovan jednak udowodnił swą niewinność i nawet zaczął przysyłać Mary Anne klientów (biorąc oczywiście prowizję na boku).

Największą niespodzianką tej wiosny było wsparcie ze strony Billa. Od czasu owej kłótni w salonie rok temu Mary Anne prawie go nie widywała, gdyż postanowił trzymać się z daleka. A teraz Dowler także wystraszył się inwazji. Przyznał się do tego na przyjęciu weselnym Isobel. Był w patriotycznym nastroju, mówił dużo i wzniośle.

- Gdy kraj jest w potrzebie, nie mogę stać z boku. Mam zamiar jak najprędzej rozejrzeć się za jakąś robotą.

- Jaką, na przykład?

- Trudno powiedzieć. Taką, w której najbardziej się przydam. Jestem gotów zaoferować swe usługi w każdej dziedzinie, w jakiej rząd uzna za stosowne mnie zatrudnić.

Pomyślała o kosztach wesela, wciąż jeszcze nie zapłaconego.

- Nie tak łatwo dopchać się do żłobu. Najlepsze miejsca już zajęte.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Ale nie chodzi mi o miejsce przy żłobie. Chcę tylko służyć mojemu krajowi.

- Może będziesz zmuszony zapłacić za ten przywilej.

- Jestem tego świadom.

- Wobec tego znajdę ci posadę i możesz zapłacić mnie.

Powiedziała to z uśmiechem. Odwrócił się tyłem. Ale kiedy młoda para w deszczu płatków różanych opuściła dom i goście się rozeszli, Mary Anne przyłapała Billa samego w kącie. Tym razem się nie uśmiechała - miała w oczach łzy.

- O co chodzi?

- Płacę, bo Isobel jest taka szczęśliwa. Mój ślub trzynaście lat temu wyglądał zupełnie inaczej. Żadnych gości ani płatków róż. Trzeba tylko zapłacić za tę fetę, Bóg jeden wie z czego.

- Ciągłe masz kłopoty finansowe?

- Większe niż kiedykolwiek, ale nie chcę cię nudzić. Mam nadzieję, że ci się powiedzie z tą posadą.

Wiedział, co ma na myśli. Patrzył na nią rozdzierany sprzecznymi uczuciami. Normy, zasady, wszystko, na czym zawsze mu zależało, przeważyła konieczność przyjścia jej z pomocą w potrzebie.

- Powiedz dokładnie, czego chcesz.

- Mówiąc prosto z mostu, potrzebuję tysiąca funtów. Pięćset do zapłacenia za to wesele. A reszta? Żeby zatkać gębę jubilerowi, który zaczyna mnie naciskać. W rewanżu znajdę ci posadę i nikt poza nami się nie dowie.

- Będę musiał powiedzieć ojcu. Nie mam pieniędzy.

- Więc powiedz. On zna życie. Posady nie rosną na drzewach i nie spadają na zawołanie. Ktoś musi pośredniczyć. Dlaczego nie twoja najdroższa, najbardziej zaufana przyjaciółka? A może już nią nie jestem? Czy to koniec?

Na to nie znalazł argumentu. Wszystko przepadło, teraz już nie może się wycofać. Miała go, bezbronego, na widelcu. Nie minęły trzy miesiące, jak znalazł się w Colchester jako asystent komisarza w składach zaopatrzeniowych armii Jego Królewskiej Mości. Wesele zostało spłacone, jubiler także.

- Sir?

- Co powiesz, moja duszko?

- Czy mogę pojechać do Weymouth?

- Wykluczone, aniołku. Król tam będzie.
- Ale nie o drugiej w nocy w twojej rezydencji.
- Mnie też tam nie będzie. To oficjalna wizyta. A w niedzielę są chrzciny synka Chesterfielda, mam być ojcem chrzestnym, zrobi się kolosalne zamieszanie. Gdybyś przyjechała, mógłbym tylko popatrzeć na ciebie z daleka.

Zawsze ta wyraźna granica oddzielająca sprawy oficjalne od prywatnych. Nie ma cienia szansy, by kiedykolwiek powstał most nad tą przepaścią, podczas gdy księżę Walii i pani Fitzherbert... diuk Clarence i pani Jordan... nawet Kent z tą starą Francuzicą. To na pewno poczucie obowiązku, chęć oszczędzenia uczuć diuszesy.

- Chyba się mnie nie wstydzisz?

Znad stołu, przy którym jedzą obiad, diuk rzuca jej zdumione spojrzenie.

- Co ci dolega, skarbie? Masz kolkę?

- Niee... Burza wisi w powietrzu, jestem podenerwowana.

Nie zrozumiałby przecież tego impulsu, który czasami nią kieruje. Zdobyć większą władzę, układać plany, decydować, dzielić jego życie - nie tylko tak jak dotychczas, ale na równych prawach. Przypomniała sobie o fatalnej gafie, jaką popełniła pewnej niedzieli w Weybridge. Nie zastanawiając się nad konsekwencjami, zajęła beztrosko ławkę w kościele, a kiedy Fryderyk August wszedł z diuszesa, odwróciła się i uśmiechnęła. Z miną jak chmura gradowa spojrział natychmiast w przeciwną stronę, ale wieczorem wybuchnął gniewem.

- Co, do diabła, ma znaczyć to afiszowanie się w kościele przed moją rodziną? Spróbuj jeszcze raz, a wysmagam cię batem!

Boże, naprawdę byłby gotów to zrobić! Nie zapomniała o tym. A jednak o obecności pani Clarke w Weybridge wszyscy wiedzieli i przyjmowali obojętnie do wiadomości, że diuk składa jej nocne wizyty. Znowu ta linia graniczna. Na gruncie prywatnym wszystko uchodzi. Ale śpiewać "Glorię" razem z diuszesa? To czysta profanacja! Chociaż nie do diuszesy wpływają prośby o awanse.

- Sir... Znasz niejakiego doktora O'Mearę?

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Jest bodajże dziekanem w Irlandii. Życzy sobie zostać biskupem. Prosił mnie już kilka razy o spotkanie z tobą.

- Nie mój resort, nie mam do czynienia z Kościołem. A nawet gdybym miał, nie podobają mi się irlandzkie nazwiska.

- To protestant. Lojalny jak ty sam.

- Żaden Irlandczyk nie jest lojalny. Chyba że wobec własnej skóry. Powiedz ode mnie panu O'Mearze, żeby siedział w swoich bagnach.

Och, dobrze... Skoro tak, to nie ma awansu dla dziekana. Nie będzie też pachnącego kadzidłem billet-dux z wyrazami wdzięczności. Ile można by wziąć za biskupa? Tyle samo co za pułkownika? Will Ogilvie nie będzie wiedział, może Donovan.

- Jeśli nie pozwalasz mi jechać do Weymouth, to wybiorę się do Worthing.

- Po co do Worthing, duszko? Czemu po prostu nie zostaniesz w domu?

- Siedzieć w Londynie w końcu lipca? To pustynia!

W Worthing jest Coxhead_Marsh i Willy Fitzgerald, syn posła irlandzkiego, dość zabawny młodzieniec. Sama miejscowość to niezwykle modny kurort, konkurencyjny w stosunku do Brighton. Worthing to rewanż za chwilę rozgoryczenia. Dzieci siedzą z matką w Weybridge, pieniądze dziś wpłynęły - dwie setki od pana Roberta Knighta, brata pułkownika, który uzyskał zgodę na przeniesienie (za pośrednictwem doktora Thynne'a).

- Doskonale, więc jedź do Worthing. Proszę bardzo, nie krępuj się. Jak stoisz z pieniędzmi, dasz sobie radę?

Zaskakujące pytanie! Prawie nie poruszali dotąd tego tematu. Czyżby dręczyły go wyrzuty sumienia? Zważywszy na okoliczności, nic w tym dziwnego. Od pierwszego maja nie wypłaca jej pensji.

- Prawdę powiedziawszy, tarzam się w forsie. Dzięki doktorowi.

- Jakiemu doktorowi?

- Thynne'owi. Nie, nie ten irlandzki dziekan. Taka drobna zamiana, nie pamiętasz? Dziś ją ogłoszono, pewnie nie zauważyłeś. Jedyne problemy to to, że przysłał dwa banknoty stu funtów, przy wynajmowaniu mieszkania są bezużyteczne.

- Pierson pójdzie je zmienić.

- Co, o tej porze?

- Oczywiście. Jeśli powie dla kogo, każdy kupiec mu zmieni.

Właściwie Mary Anne nie potrzebuje dużo pieniędzy. Coxhead_Marsh i Fitzgerald zaopiekują się nią na spółkę. Dostanie najlepsze pokoje w całej gospodzie, a obaj panowie będą koło niej skakać.

- Pierson, zmień to na dziesiątki i dwudziestki.

- Słucham panią.

Diuk wstaje od stołu i bierze ją za rękę.

- Czy mój skarb będzie za mną tęsknił?

- Przecież wiesz, że tak.

- Spróbuję wrócić za nie więcej niż dziesięć dni.

- To i tak za długo. Pomyśl, jaka będę samotna w Worthing...

- Poproś May, żeby z tobą pojechała.

- Może. To zależy...

Zależy od czego? Od tego, czy Coxhead_Marsh okaże się interesujący, a Irlandczyk Fitzgerald tak zamożny, jak się wydaje.

Długi pocałunek.

- Uważaj na swoją Królewską Wysokość.

Przesuwa ręką po jego włosach, gładzi uszy.

- A niech to diabli porwą! Zabrałbym cię do Weymouth, gdybym mógł. Ten przeklęty Chesterfield i jego bachor...

- Wiem, wiem.

Dwie godziny na rozproszenie wątpliwości - i już są konie. Diuk ma zamiar jechać nocą, nie może zwlekać. Czułe pożegnanie, z okna powiewa chusteczka.

- Pierson przyniósł rozmiennione pieniądze, proszę pani.

- Och, dziękuję, Marto.

- I, proszę pani, przyszedł doktor O'Meara. Miał nadzieję, że zobaczy się z Jego Królewską Wysokością przed wyjazdem. Mówił, że też się wybiera w niedzielę do Weymouth.

- To niech nadzieja go prowadzi i utrzymuje w dobrym humorze. Lepiej by zrobił, usuwając O sprzed nazwiska.

- Prosił, żeby pani przekazać, iż przyniósł podarunek.

Podarunek! To trochę przedwczesne. Poza tym nie można przyjmować osoby duchownej po północy, w negliżu.

- Powiedz doktorowi O'Mearze, iż zaraz napiszę parę słów do Jego Królewskiej Wysokości. Niech sam zabierze ten liścik, skoro jedzie do Weymouth. Podziękuj mu też w moim imieniu za prezent i przynieś go na górę.

Gotówka bez gwarancji - to dość niezwykle. Zaprawdę dziekani mają więcej wiary niż wojskowi. Obdarowana bierze się do pisania.

"Był dziekan, przyniósł załącznik. Resztę zostawiam królewskiej łasce. Twoja poduszka wygląda smutno. Jestem bardzo samotna. M.A." Data - 31.

Znowu w drzwiach Marta. Trzyma paczkę w grubym brązowym papierze.

- Rozpakuj to, ale najpierw zanieś dziekanowi ten bilecik.

Nim Marta nadejdzie z nożyczkami, Mary Anne zмага się ze sznurkiem, łamiąc przy tym paznokieć. Może to obrus kościelny z ukrytymi w środku banknotami? Nie, za twarde, wygląda na jakieś pręty. Wreszcie rozrywa papier.

- Komplet palików do krykieta dla panicza George'a! - wykrzykuje Marta.

Na paczce odręczne pismo dziekana: "Dla Pani uroczego chłopczyka. Lalki dla dziewczątek w drodze. Uniżony sługa".

Za późno, by wycofać bilecik. Dziekan już wyszedł.

- W porządku, Marto. Załaduj to rano na wóz i zabierz ze sobą do Weybridge.

- To ci dopiero klecha, no nie?

- Bardzo zmyślny.

Tyle, jeśli chodzi o Kościół. Dziekan może pozostać dziekanem. W jaki sposób zaszedł tak wysoko, pozostanie jego słodką tajemnicą. Podarował królowej rakietę tenisową? Albo komplet do krokieta? Doprawdy, ci protestanci! Nic dziwnego, że katolicy chcą się od nich uwolnić.

Paliki krykietowe dla George'a... Czy to ma jakieś ukryte znaczenie? Aluzja, zachęta do gry? Jakieś irlandzkie insynuacje, gra słów? Willie Fitzgerald będzie wiedział, zapyta go w Worthing.

Senna, układa się na poduszce. Ziewa. Jak to przyjemnie mieć tyle miejsca dla siebie, jak miło spać do dziesiątej bez żadnych przeszkód! Jutrzejszy wyjazd nad morze rozwieje pajęczkę sieci, rozproszy nudę, odświeży wiedzę o krykiecie... Willie zapozna ją z zasadami, przecież dopiero co przyjechał z Oksfordu... Diuk zawsze się śpieszy, ciągle jest zajęty, a Willie, świeżo opierzony kogucik, działa na Mary Anne jak balsam. Już najwyższy czas przekroczyć linię boiska i puścić piłeczkę w ruch.

Rozdział 7

Po jakimś czasie strach przed inwazją ustąpił za przyczyną admirała Nelsona, który przypłacił swe męstwo życiem. Chwała zwycięstwa pod Trafalgarem ogarnęła cały kraj, podgrzewając patriotyczne nastroje niemal do wrzenia, by ostygnąć gwałtownie po klęsce Austerlitz. Nieprzyjacieli na lądzie wciąż był nie do pobicia, a przynajmniej tak się wydawało.

Naczelnym wódz niewiele miał czasu na figle_migle. Od siódmej rano do dziewiątej wieczór przesiadywał w dowództwie Gwardii; jego życie było nieustanną batalią o podolewanie wszystkim obowiązkom. Z jednej strony armia wołała wielkim głosem o wyposażenie, priorytet na zakup broni i umundurowania (planowany Korpus Ekspedycyjny ani trochę niegotowy, wyćwiczony zaledwie w połowie), z drugiej zaś politycy domagali się natychmiastowego wysłania na front rzeczonoego Korpusu oraz wyjazdu lorda Cathcarta na Elbę do generała Dona. Mniejsza o to, że koldra jest za krótka, byle tylko przerzucić ludzi za morze.

Diuk nie pozwalał się staranować. Jego listy do premiera były stanowcze i rzeczowe. "Korpus Ekspedycyjny nie osiągnął jeszcze sprawności bojowej" - pisał. Dobrze Pittowi teraz agitować, a przecież pierwszy wybuchnie, jeśli ludzie zostaną wystawieni na rzeź, podobnie jak cały kraj. Kolejna klęska! To wina naczelnego wodza, wina złego dowodzenia. No więc przenieść gabinet do dowództwa Gwardii Konnej i niechaj rządzą wojskiem - w niedługim czasie będą błagać o dymisję.

Stan zdrowia premiera nie ułatwiał sprawy. Sądy chorego człowieka rzadko bywały trafne, ale nikt nie miał dostatecznych kwalifikacji, by go zastąpić i zdobyć poparcie narodu. Lukę powinny by wypełnić obie partie, wejście Foxa w skład gabinetu uspokoiłoby nastroje, a jeśli król zaprotestuje, to król będzie musiał ustąpić. Z nim też ustawiczna huśtawka - w jednej chwili jest bystry i potrafi jasno myśleć, w następnej staje się kompletnie zbzikowany.

- Jeśli ktoś chce mojego stanowiska, to serdecznie zapraszam - oznajmił diuk pewnego jesiennego wieczoru.

Przyszedł na obiad spóźniony, głodny jak wilk, a jego humor pozostawiał wiele do życzenia. Miał za sobą bezowocną rozmowę z Pittem i półgodzinne spotkanie z królem, który nie podpisał dokumentu, tylko snuł się w szlafroku i grał w wista. Reporterzy w gazetach domagali się "działania", w idiotycznym artykule wstępnym w "Timesie" były niesmaczne aluzje do sprawy Melville'a - najwyraźniej nie zapomniano jeszcze skandali ostatniej wiosny. Jeśli Pierwszy Lord Admiralicji musiał pójść do dymisji, może by tak zabrać się za armię? A na dobitkę w holu przy Gloucester Place czekał ten szyderczy anonim. Wyciągnął go z kieszeni po obiedzie i stanąwszy plecami do kominka, odczytał na głos:

"Wasza Królewska Wysokość jest cudzołożnikiem. Zna Pan na pewno prawo, ale jeśli nie, są fachowcy, którzy je znają i spełnią swoją powinność. Ten, kto odbiera mężowi żonę i pozbawia ojca uczuć dzieci, popełnia przestępstwo kryminalne. Pan uczynił jedno i drugie. Proszę spodziewać się konsekwencji".

Diuk rzucił list na kolana Mary Anne i roześmiał się głośno. Był to jednak śmiech cokolwiek wymuszony.

- Jakiś szaleniec z twojej zamierzchłej przeszłości, jak sądzę?

Rozpoznała w jednej chwili ten charakter pisma. Coś zakłuło ją w sercu i zaciążyło na nim jak kamień. Joseph... Litery trochę zamazane, ale nie ulega najmniejszej wątpliwości, że to on. Joseph, który, jak słyszała, mieszka gdzieś na wsi, koło Northampton, pod opieką krewnych, jest bezsilny, zbolały, nie zadaje żadnych pytań i podobno nigdy nie wymawia nawet jej imienia.

- Wariat albo pijak - odrzekła drąc list na drobne kawałeczki.

- O co chodzi z tym odbieraniem żony? Przecież wdowa nie musi grzebać swych uczuć w grobie?

- Najwidoczniej ten człowiek właśnie tego po mnie oczekuje. Musiał zobaczyć gdzieś nasze imiona. Nie przejmowałabym się tym. Wrzuć to do ognia, takie listy nie zasługują na nic innego.

Usłuchał, ale stracił jakoś humor i sposepniał. Ten anonim poruszył pewną strunę w jego pamięci, chociaż nigdy nie brał poważnie bredni, którymi go częstowała: mąż łajdak umiera na delirium tremens, ona bez środków do życia, z czwórką małych dzieci, po długich zmaganiach przyjmuje pomoc budowniczego Burtona...

- Czy widziałaś się kiedykolwiek z krewnymi męża?

- Nie, nigdy... Oni mieszkają na wsi. Rodzina jest rozproszona.

Ziewnął i zmienił temat. Sprawa zamknięta. Mary Anne patrzyła na dopalające się strzępki listu. Straciła okazję? Powinna wszystko wyznać? Powiedzieć ze skrucą: "Właściwie to nie jestem wdową. Mój mąż żyje, ale nie wiem gdzie. Opuściłam go, bo nie mógł utrzymać mnie i dzieci." To proste stwierdzenie, bez znaczenia, niewiele różniące się od wersji, którą mu opowiedziała, a jednak, nie wiadomo czemu, coś ją wstrzymywało. Może obawa, że wyda mu się głupia, nieuczciwa, że zaraz potem padnie pytanie: "Po co zawracać sobie głowę kłamstwem?" Zawsze będzie czas, by wyznać: "To pismo mojego męża."

Diuk siedzi przy kominku i drzemie, ona gra na fortepianie. O wpół do dziesiątej doszła do wniosku, że chwyci byka za rogi. Powie, że zawsze uważała się za wdowę, aż pewnego dnia doniesiono jej, iż to nieprawda. Mąż żyje, ale jest niespełna rozumu, przebywa w zakładzie... Wskazówki zegara przesunęły się o kolejny kwadrans, potem wybiła dziesiąta. Diuk wstał, przeciągnął się i oznajmił, że pora spać. Dziś już za późno... Jutro, może za dwa dni...

Po tygodniu nadszedł następny list, tym razem nie do domu, tylko do dowództwa Gwardii Konnej.

"Chcę odzyskać żonę i dzieci. Proszę je odesłać, inaczej podejmę odpowiednie kroki. Sprawa w sądzie kryminalnym o jawne cudzołóstwo w sam raz się przyda w czasie, gdy kraj jest w niebezpieczeństwie".

Podpisano tym razem wyraźnie: Joseph Clarke.

Pokazał jej ten list wieczorem.

- I co teraz powiesz?

Sekunda wahania. Łzy czy śmiech? Łzy to przyznanie się do winy, więc lepszy będzie śmiech. Zlekceważyć sprawę, odsunąć ją na bok.

- Czyli że żyje. Nie byłam pewna w zeszłym tygodniu. Wprawdzie pismo trochę zmienione, ale teraz widzę wyraźnie. Wszyscy przysięgali, że umarł, a ja uwierzyłam.

- Ale przedtem mówiłaś, że czuwałaś przy jego łóżku, póki nie skołał.

- Naprawdę? Nie pamiętam, to był taki straszny okres. Mało rozum mi się wtedy nie pomieszał, mój synek chorował. - Nie potrafi teraz przypomnieć sobie dokładnie, co mu naopowiadała. - Szwagier pastor, błagał mnie, żebym wyjechała z dziećmi, przekonywał, że inaczej nigdy się nie pozbieramy, Josepha musiało trzymać dwóch ludzi. Potem napisali do mnie do Hampstead, że jestem wolna.

Diuk w nocnej koszuli stoi obok łóżka. Wyjątkowo nieodpowiedni moment. Ona przy toalecie przewiązuje wstążką włosy.

- I co teraz zrobisz? Wrócisz do niego?

- Och, Boże, co za pytanie! Oczywiście, że nie! Wystarczy dziesięć funtów, by go uciszyć, zajmę się tym rano.

Dziwne skrepowanie wkradło się między nich. Na obu poduszkach cisza.

- Jakbym miał mało na głowie - słycać po chwili - bez tego sakramenckiego pasztetu.

- Kochany! Niczym się nie martw. Obiecuję, że dam sobie z nim radę.

- Pokażę ten list Adamowi.

- Po co, na litość boską?

- To mój osobisty doradca, będzie wiedział, co zrobić. Codziennie przechodzi przez jego ręce pięćdziesiąt listów z pogroźkami. Zajmie się facetem do spółki z Greenwoodem.

Serce podeszło jej do gardła. Greenwood... Adam... Ludzie, którzy zajmują się wszystkimi jego urzędowymi sprawami, którzy przyglądają się jej podejrzliwie, nie lubią jej i nie darzą zaufaniem. Wie o tym aż za dobrze, słyszała od wszystkich przyjaciół. "Uważaj - ostrzegał James Fitzgerald - oni mają na ciebie oko, zwłaszcza Adam." Wyciągnęła rękę, ale diuk nie zareagował. Był zimny, obojętny.

- Proszę, zostaw to wszystko mnie. Znam mojego Josepha. Dziesięć, dwadzieścia funtów - i spokój.

- Zastanawiam się... Ten język. Jawne cudzołóstwo. Wiem, jak takie słowa brzmią w sądzie. Lepiej przekażę to Adamowi.

Przyjemny początek zimy. Szczęście się odwróciło. Każdy dzień przynosi nową przykrość, nową troskę. Jakies śmieszne kłótnie wśród służby, zamieszanie w domu, cały personel skarży się na Martę, która stroi fochy.

- Nie będziemy słycać jej rozkazów, tylko pani.

- Pani Favoury zarządza moim domem od trzynastu lat. Macie jej słycać albo odejść.

Marta nadałana, płacze.

- Prędzej sama odejdę, nie chcę być powodem tych ustawicznych awantur. Poza tym chcę wyjść za mąż.

- Za kogo, na miłość boską?

- Za węglarza Walmsleya. Zaleca się do mnie od pół roku.

- Ależ Marto, co ja bez ciebie pocznę?

- Proszę tak nie mówić, teraz panienki są w szkole panny Taylor, panicz George w Chelsea, nie jestem tu nikomu potrzebna, a jeszcze ci służący tacy kłótniwi, tacy wredni, wszyscy zawsze przeciwko mnie...

- Och, cicho bądź wreszcie! Wyjdz stąd i przestań jazgotać. Daj mi pomysleć.

Coraz więcej rachunków, wprost końca nie widać, przeważnie z Weybridge. Belki stropowe w stajniach przegniły, przegrody trzeba odnowić, urządzić nowe pokoje dla stangreta. Rachunki za ziemniaki - wystarczy, by wykarmić cały pułk. Niedawno zakupione krowy rasy Jersey przestały dawać mleko, zaraziły się jakąś chorobą i padły, trzeba kupić następne. Wezwała na pomoc swego osobistego doradcę, bardzo zdolnego i życzliwego adwokata, pana Comrie.

- Panie Comrie, grozi mi katastrofa!

- Na to wygląda. - Prawnik poprawia okulary i sortuje papiery; dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści rachunków ciśniętych na podłogę salonu. Chyba ze stu miejsc, wszystkie nie zapłacone. - Czy Jego Królewska Wysokość nie wypłaca pani stałej pensji?

- Osiemdziesiąt miesięcznie. Co mogę z tym zwojować?

Przecież mu nie opowie o lewych interesach, podupadających z miesiąca na miesiąc z powodu Gordona.

- Musi pani oddać się pod kuratelę męża. To jedyne wyjście. Ogłosi pani wszystkim kupcom, że nie jest pani wdową.

Comrie wiedział - już kiedyś dla niej pracował, udało się wtedy uniknąć sądu. To największy spryciarz na świecie.

- Co się stanie, jeśli to zrobię?

- Żadne prawo nie zmusi pani do zapłacenia.

Słyszała już te słowa. Całe wieki temu. Właśnie takiej rady udzielono matce, kiedy Bob Farquhar ją opuścił.

- Czy wtedy odeślą rachunki mojemu mężowi?

- Jeśli go znajdą. Wie pani, gdzie on mieszka?

- Nie... Nie jestem pewna.

Wysłać sto rachunków niewypłacalnemu Josephowi? Odeśle je do diuka z kolejnym listem z pogróżkami. A rachunki i tak wrócą do niej. To nie jest rozwiązanie.

- Znów miałem list od tego pijaka, twego męża.

Truchleje na te słowa, a słyszy je ostatnio co najmniej raz na tydzień.

- Mam nadzieję, że wyrzucasz je do kosza?

- Przeciwnie. Oddaję wszystkie Adamowi. Wszczął jakieś dochodzenie.

Dochodzenie. Jakie znów dochodzenie, co on ma na myśli? Mary Anne nie śmie zapytać. Diuk dziwnie się zachowuje, jest przepracowany, jakiś nieswój, jak gdyby to on zawinił. Jej nerwy są napięte do ostatecznych granic, lada moment może nastąpić wybuch. Coś się dzieje, a on nic jej nie mówi. Przysyła wiadomość przez służącego: "Nie czekaj z obiadem. Nie wiem, kiedy wrócę".

To dziwne, niepodobne do diuka. Zawsze przynosiło mu ulgę, gdy mógł otrząsnąć z siebie pył urzędowych spraw i odpocząć u jej boku.

W całym domu nie ma nikogo, kto pomógłby oderwać się od rozmyślań. Bez dzieci panuje głucha cisza. Mary i Ellen są w szkole (utrzymywanej w znacznej części dzięki jej pomocy), George, mały kadecik, który skończył osiem lat, udaje paniątko w Chelsea, zanim się go wyśle do Marlow.

Mary Anne ciągle przyjmuje gości, ale sama, bez pana i władcy; ojciec i syn Fitzgeraldowie, Russel Manners, Coxhead_Marsh, zwykły tłum wielbicieli. Nastrój jednak nie jest już tak spontaniczny. Na twarzy maska wymuszonej wesołości. Śmiech jest sztuczny, rozmowa zdawkowa, a gdzieś w zakamarkach umysłu czai się nieznanym dotąd rodzaj lęku: Nie mam już takiej władzy, jak kiedyś... Tracę go... Wymyka mi się z rąk...

Pewnego ranka zjawił się pan Adam. Oświadczył, że przysyła go diuk Yorku, by wypytać panią Clarke o różne sprawy, jak na przykład: data ślubu, pierwsze miejsce zamieszkania, wszystkie okoliczności, w gruncie rzeczy o całe jej poprzednie życie.

Z lodowatą uprzejmością pokazała mu drzwi.

- Moja przeszłość należy wyłącznie do mnie. Ani pan, ani Jego Królewska Wysokość nie mają najmniejszego prawa, by się w niej grzebać.

- Czy przyznaje pani, że przez cały czas wiedziała doskonale, iż jej mąż żyje? Czy pani oświadczenie o wdowieństwie, złożone Jego Królewskiej Wysokości, było fałszywe?

- Ani trochę.

- No dobrze. Jak więc pani wytłumaczy, że na początku roku 1804 wniesiono przeciwko pani oskarżenie - co zresztą ukryła pani przed Jego Królewską Wysokością - które następnie sąd oddalił, ponieważ pani adwokat wniósł o oddanie pani pod kuratelę męża?

Bardzo sprytnie zapędził ją w kozi róg. Wzruszyła ramionami.

- Uznaliśmy z moim adwokatem, że to najlepsze wyjście. Nie miałam potwierdzenia śmierci męża.

Patrzył na nią zimno, bez wyrazu.

- Czy posiada pani akty urodzenia dzieci?

- Nie, nie sędzę. Na co one panu?

- Pewne osoby, których nie ma potrzeby wymieniać, sugerują, że dzieci przyszły na świat przed zawarciem związku małżeńskiego.

Dobry Boże, co za bezczelność! Teraz zrozumiała. Musiał wysłać swoich szpiegów do Hoxton, węszyć wśród sąsiadów przy Charles Square, a potem pomylił Josepha z bratem Johnem, więc przypisał Mary Anne dzieci tamtego, starsze od jej własnych, teraz już dorosłe, rozproszone Bóg wie gdzie.

- To pomyłka spowodowana pierwszą literą imienia - J. Proszę wrócić do Hoxton i sprawdzić fakty. Mój mąż ma jeszcze drugiego brata na - J Jamesa, który jest pastorem. Mogę ułatwić panu śledztwo i przyznać się do poślubienia wszystkich trzech braci.

- Nonszalancja nie poprawi niestety pani sytuacji. Zechce pani podać mi datę i miejsce ślubu?

Prędej piorun ją strzeli! Niech sobie idzie i przeszukuje cały kraj. Mary Anne przypomniała sobie ślub matki z Bobem Farquharem. Puści go tym tropem, skoro tak mu zależy na jej przeszłości.

- W Berkhamsted. Proszę sprawdzić tamtejsze księgi, znajdzie pan wzmiankę o mojej rodzinie. A jeśli chce pan szukać jeszcze głębiej, musi pan udać się do Szkocji i przekopać wrzosowiska albo patroszyć dorsze w Aberdeen, może znajdzie pan kogoś z klanu Mackenzie.

Była tak wściekła, że wieczorem nie wytrzymała nerwowo. Kiedy diuk przyszedł na obiad, z miejsca go zaatakowała.

- Jak śmiesz nasyłać na mnie tego człowieka, żeby wtykał swój brudny nochal w moje sprawy?

Trafiła w czułe miejsce, zmieszał się.

- Jeśli chodzi ci o Adama, to nie mam z tym nic wspólnego. Nakazałem mu po prostu, żeby odnalazł twojego męża, dał mu do wiwatu i zakończył sprawę.

- Dobrze, powiedz mu, że na drugi raz nie zostanie tu wpuszczony. Nigdy w życiu nikt mnie tak nie obraził, mój Boże, to chyba coś znaczy...

Marzyła o potężnej awanturze, żeby oczyścić atmosferę. Rzucić butelką, rozbić i butelkę, i książeczką głowę... Pozostał obojętny. Siedział z ponurą miną, taką samą od kilku tygodni, nadęty, zamknięty w sobie jak urażony chłopczyk.

- Brak mi czasu, by się w to wszystko mieszać. Za dużo mam spraw na głowie przez cały dzień. Kłopoty w Gwardii niemal mnie wykańczają, nie mówiąc o gderaniu Greenwooda, i jeszcze ten Adam...

- Ale znalazłeś czas na teatr, pisali wczoraj w gazecie. To było tego wieczoru, kiedy przysłałeś wiadomość, że król cię zatrzymał.

- Tak właśnie było. Ale zanim skończyłem w Buckingham, zrobiło się za późno na obiad w domu.

- Teatr Królewski. Pani Carey... Dobrze tańczy?

- Ujdzie. Niezbyt się przyglądałem.

- Więc może przyjrzałeś się jej w czasie późniejszej kolacji?

Poczerwieniał. Dopił porto i nie odezwał się ani słowem. Więc Will Ogilvie miał rację, coś w tym jest. Mary Anne zaciska dłonie i próbuje się opanować.

- Zdaje się, że jest wysoka. To cenna zaleta. Przynajmniej nie naciągnie sobie podbicia, wspinając się do ciebie na palcach. To byłoby fatalne dla tancerki.

Zanim odpowiedział, dobiegły ich hałasy z sutereny. Awantura w kuchni, służba się pobila? Nie ma Marty, która zaprowadziłaby zaraz porządek. Wyszła za mąż i wyprowadziła się z domu.

- Pierson, na miłość boską!

Szepty w holu, jakieś szmery, odgłos rozmów. Twarz diuka przybrała kolor indyczego podgardla. Przeszkoda posłużyła za pretekst do wybuchu.

- Na Boga! Przyjemny dom, nie ma co! Wracam wieczorem zmordowany i słyszę wrzaski służby! Wolę jadać obiady w koszarach, tam jest więcej spokoju.

- Albo w garderobie teatralnej.

Pojawił się Pierson ze skruszoną miną.

- Najmocniej panią przepraszam, ale jakaś kobieta twierdzi, że jest legalną żoną dostawcy węgla, tego samego, który miesiąc temu ożenił się z panią Favoury. Krzyczy i krzyczy, domaga się sprawiedliwości.

- Wyrzucić ją - wycodził diuk przez zęby.

- Właśnie próbują, Wasza Królewska Wysokość. To, co ona mówi, nie nadaje się do powtórzenia.

- Co takiego mówi?

- Mówi, że to pani Clarke zachęciła węglarza do opuszczenia żony i zejścia się z panią Favoury. Że to, co się dzieje w suterenie, wystarczyłoby, by wstrząsnąć światem, nie wspominając o tym, co na górze. Że cały ten dom to jeden wielki...

Urwał i zakaszłał. Lojalność wzięła górę.

- Wyrzucić tę kobietę - powtórzył diuk - i ma się zamknąć. Niech lokaj ci pomoże.

- Słucham, Wasza Królewska Wysokość.

Burda na dole rozgorzała na nowo. Nim wreszcie nastął spokój, usłyszeli przez cienki strop kobiecy jazgot:

- To ta zdzira jest wszystkiemu winna! Bierze sobie żonatego chłopca do łóżka, i to kogo? Królewskiego syna, który powinien świecić przykładem!

Dawniej były to temat do żartów i stłumionych śmiechów. Dawniej to Mary Anne odgrywałyby przed nim ową scenkę, a on słuchałby zrywając boki. Ale nie teraz. Teraz siedzą jak kołki, jak obcy sobie ludzie, nie widząc nic śmiesznego w całej sytuacji. Godność przede wszystkim.

- Pójdziemy na górę?

Fortepian nie tknięty, żadnych rozmów, każde siedzi ze swoją książką, ale nie czytają. Zegar w salonie tyka, czas wlecze się niemiłosiernie aż do jedenastej. I wreszcie - gdy wybija godzina - ostateczny cios. Dzwonek przy wejściu dźwięczy jak na alarm, ktoś wali w drzwi pięściami, słychać odgłosy awantury. Diuk rzuca książkę na podłogę.

- Jeśli to znów ta kobieta, wezwę straż.

Kroki na schodach, wchodzi Pierson.

- Przepraszam, że przeszkadzam, Wasza Królewska Wysokość... Proszę pani, ktoś bardzo nalega, żeby się z panią zobaczyć. Podał nazwisko: Joseph Clarke.

No tak. Nie mógł wybrać lepszego momentu, nawet gdyby sam szatan mu doradzał. Szach i mat. Trzeba się poddać.

- Dziękuję, Pierson. Zobaczę się z nim. Wprowadź go do małego pokoiku na dole. I bądź w pobliżu, możesz mi być potrzebny.

Wstała i wykonała głęboki dyg. Diuk nawet nie spojrział. Na nic cała ironia, a może wziął ten ukłon na serio, jako należny sobie. Mary Anne zeszła na dół, do poczekalni dla gości. Stał tam Joseph, a raczej jego cień. Gorzej, karykatura. Spasiony, obszarpany potwór, z siwymi włosami sięgającymi przygarbionych pleców, nie ogolony, o spuchniętych, popękanych wargach, oczach ginących w obwisłej twarzy.

Oto człowiek, którego poślubiła, kochała, pieściła, ojciec jej dzieci, ojciec George'a...

- Czego chcesz? Mów krótko, mam gości.

Nie odpowiada od razu. Wodzi wzrokiem po jej wydekoltowanej wieczorowej sukni, klejnotach, wysoko upiętych lokach. Wreszcie wybuchają pijackim rechotem.

- Wyglądasz jak ta lala - bełkocze. - W różowym zawsze było ci do twarzy. Czy to nie w różowej sukni brałaś ślub? Pamiętam, jak zwisała z poręczy łóżka. Potem na Golden Square nosiłaś ją w niedzielę, chociaż bez tych błyskotek. Ładnie ci w brylantach. Nie mogłem ci ich kupować, nie miałem pieniędzy. Robiłem, co mogłem, żeby coś zaoszczędzić, ale ty wszystko przepuszczałaś.

Chaotyczny pijacki bełkot człowieka, któremu wszystko się miesza, pozbawionego wszelkiego krytycyzmu, naginającego fakty z przeszłości do swoich wyobrażeń.

- Jeśli tylko to masz do powiedzenia, to tracisz czas.

Mary Anne nie czuje do niego nic oprócz gniewu. Dla niej Joseph jest pustą, zeschniętą skorupą. Nawet nie umie go żałować. Dla niej jest już martwy.

- Chcę, żebyś do mnie wróciła. Chcę Mary i Ellen. Chcę mojego synka.

- To znaczy, że chcesz pieniędzy. Dobrze, ile konkretnie? Mam w domu dwadzieścia funtów, mogę ci dać. Powinno ci wystarczyć na jakiś tydzień, póki nie opróżnisz butelek.

Robi krok w jej stronę. Ona cofa się do drzwi.

- W domu jest pełno służby. Wystarczy, że zawołam, a wyrzucą cię na bruk, więc lepiej mnie nie dotykaj.

- On tu jest?

- Kto?

- Wielka szucha... - przykładając rękę do ust, zasłaniając głupkowaty uśmiešek. Potem ścisza głos i wskazuje głową drzwi. - Ale go wystraszyłem! Widziałem się z jego prawnikiem. Powiedział, żebym się trzymał z dala od dworu.

- Masz na myśli Adama?

Joseph znów się głupio uśmiecha i puszcza oko, grożąc palcem.

- Spotkałem się z kimś... Ponoć jest skarbnikiem - mówi z pijacką powagą, z trudem dobierając słowa. - Nie pamiętam jego nazwiska. Opowiedziałem mu całą historię. Och, tak, wszystkie szczegóły, jak się całowaliśmy w ciemnych zaułkach i jak to najpierw kręciłaś z tym facetem z drukarni, no i z ojczymem po cichu... I jeszcze, że doprowadziłaś mojego brata do samobójstwa, że przepuściłaś cały jego i mój majątek, a potem uciekłaś z tym, co zostało, kiedy ja leżałem umierający. Ten gość był bardzo wdzięczny, zachował się bardzo uprzejmie. Wyraził mi swoje najgłębsze współczucie i obiecał, że nie dopuści, byś dalej wodziła jego pana za nos.

- Pierson! Odprowadź tego człowieka do drzwi.

- Nie tak prędko. Mam ci jeszcze coś do powiedzenia.

- Dość już usłyszałam.

- Odświeżyłem sobie w pamięci wiele drobnostek. Na przykład, że zrobiłaś z własnej siostry kucharkę... wiesz, z córki Boba Farquhara, którą wystroiłaś w fartuszek. Opowiedziałem mu o twojej matce, która wynajmuje pokoje do różnych celów... O tak, naprawdę był bardzo wdzięczny, zapisał sobie wszystko w takim małym notesiku. "Dziękuję, panie Clarke - powiedział. - Bardzo mi się to przyda."

Pierson i jeszcze jeden lokaj słyszeli każde słowo. Patrzą na nią rozszerzonymi oczyma, czekając na dalsze rozkazy.

- Zabierzcie go.

Nie próbował się awanturować. Nie trzeba było wyrzucać go siłą jak żonę węglarza. Poczłapał sam przez hol, przygarbiony, ze zmiętym kapeluszem w rękę, zataczając się z lekka i rzucając na boki chytre spojrzenia.

- Spodziewam się, że do soboty wrócisz razem z dziećmi. Zbliża się nasza rocznica ślubu, urządzimy sobie jak zawsze rodzinną uroczystość. Tak jak na Golden Lane, pamiętasz?

Wypchnęli go na schodki i zamknęli drzwi. Pierson, nie patrząc na nią, odprowadził obu służących do kuchni. Na szczycie schodów stał diuk.

- Pozbyłam się go.
- Widzę.
- To nie tylko pijak, to wariat.
- Mówił całkiem do rzeczy.
- Dla tego, kto lubi słuchać. Dokąd się wybierasz?
- Zamówiłem powóz. Nie będę tu dzisiaj spał.
- Co się stało?
- Muszę bardzo wstąpić. Mam być o wpół do jedenastej w Windsorze.
- Nic nie mówiłeś.
- Zapomniałem.

Żadnego porozumienia, kontaktu, tylko chłodna uprzejmość. Przed wyjazdem musnął jej dłoń ustami i wymamrotał coś na temat obiadu w piątek. Mary Anne słuchała, jak odjeżdża powóz, a potem z ciężkim sercem powlokła się na górę. W sypialni przejrzała się w lustrze. Niespokojne oczy, wylękle i zgaszone. Od nosa do ust biegną dwie głębokie bruzdy. W tym tygodniu będą jej urodziny. Kończy trzydzieści lat... Usiadła i próbowała wygładzić zmarszczki. Nie ma do kogo ust otworzyć. Nie ma nawet Marty.

Rano, o jedenastej, przyniesiono jej bilecik napisany ręką diuka: Adam odwiedzi cię o szóstej. Tylko tyle, ani słowa o tym, w jakiej sprawie. Nie wyszła z domu przez cały dzień, czekała. Po paru godzinach zaczęła krążyć po pokojach. Najpierw dziecinne, utrzymane w wielkim porządku z powodu nieobecności małych mieszkańców. Pokój Mary - już trzynastoletniej - surowy, z akcentami religijnymi; Biblia, święte obrazki - to jej przejdzie. U dziesięcioletniej Ellen - jak to u dziecka: skakanka, dwa tomiki poezji (romantycznej), nad łóżkiem ogromny kolorowy portret diuka, wycięty z gazety. U George'a pudełka z farbami, kulki, żołnierzyki bez głów, z połamanymi kończynami i znowu diuk, tym razem na koniu. Prócz tego portret George'a jako kadeta, wojskowa szkoła w Chelsea, mali chłopcy na mustrze.

Trzasnęły frontowe drzwi. Pośpieszyła na dół. To nie Adam, tylko Will Ogilvie. Pogadali o tym i owym. Powstrzymała się od wszelkich aluzji na temat tego, co się wydarzyło i jeszcze mogło wydarzyć. Poczula, że gość bacznie ją obserwuje, jakby na coś czekał, dlatego starała się zachowywać jak gdyby nigdy nic. Ostatnio nic się nie działo w sprawach wojskowych i wzajemne kontakty bardzo się rozluźniły. Zaryzykował wzmiankę na temat awansów. Wzruszyła ramionami - ostatnio nic nie przyszło. Nie wywierał nacisku, ale przy pożegnaniu, całując jej dłoń, rzucił mimochodem:

- Słyszałem, że pani Carey mieszka w Fulham.
- Och, doprawdy? Nie wiem o niej zbyt wiele. Występuje, zdaje się, w Teatrze Królewskim? Nie widziałam jej.
- To jesteś w mniejszości. Wszyscy szaleją na jej punkcie. Podobno Jego Królewska Wysokość zna tę osóbkę i nawet wydał dla niej przyjęcie w pałacyku w Fulham.

Miła uwaga na pożegnanie. Szczęśliwej drogi.

Z uderzeniem szóstej pojawił się Adam. Mary Anne oczekiwała go w salonie, ubrana w wieczorową suknię, z brylantami od diuka na szyi.

- Obawiam się - zaczął - że moja misja okaże się niezbyt przyjemna. Nie przyszedłem tu z własnej woli.
- Proszę mówić dalej.
- Jego Królewska Wysokość diuk Yorku upoważnił mnie do poinformowania pani, że z dniem dzisiejszym pani kontakty z nim muszą zostać zerwane. Diuk nie życzy sobie pani widywać ani komunikować się z nią. To absolutny koniec.

Czuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Nie poruszyła się, tylko mocniej zacisnęła założone do tyłu dłonie.

- Czy Jego Królewska Wysokość podał jakiś powód tej decyzji?

- Nie, proszę pani. Ale ostatnio wyszły na jaw fakty, które świadczą, że przez cały czas okłamywała go pani - na temat swojej przeszłości, rodziny i wielu innych spraw. Jego Królewska Wysokość wierzył, że jest pani wdową, a tymczasem pani mąż próbuje oskarżyć go przed sądem o cudzołóstwo. To tylko jeden szczegół spośród wielu. Poza tym diuk nie może już dłużej znieść pani ekstrawagancji i ustawicznego domagania się pieniędzy.

- To, co wydawałam, było wyłącznie dla niego. Ten dom, drugi w Weybridge, to wszystko na jego prośbę...

Adam podniósł ostrzegawczo dłoń.

- Wybacz pani, żadnych tłumaczeń. Jego Królewska Wysokość polecił mi jeszcze powtórzyć, że jeśli zachowa się pani przyzwoicie, to będzie jej wypłacał czterysta funtów rocznie w kwartalnych ratach. Ale absolutnie nie czuje się do tego zobligowany - to tylko akt wspaniałomyślności i wypłaty zostaną natychmiast wstrzymane, jeśli diuk uzna to za stosowne.

Patrzyła na niego, oszołomiona. Czterysta funtów? Jej długi sięgają czterech tysięcy... Przecież w samym Weybridge koszt różnych ulepszeń, dokonanych na jego osobiste życzenie, a nawet żądanie, wyniósł około dwóch tysięcy. Gospodarstwo, ogród...

- Musiał pan źle zrozumieć rozkazy. Jego Królewska Wysokość wie o moich trudnościach finansowych. Nigdy by nie zaproponował czterystu funtów, to zaledwie ćwierć sumy, którą pochłania sama tylko służba.

- Czterysta funtów i koniec. Co do długów, to Jego Królewska Wysokość nie przyjmuje ich do wiadomości. Musi pani poradzić sobie sama, na przykład sprzedając wyposażenie domu.

Próbowała zebrać myśli, coś zaplanować, przewidzieć przyszłość. Gdzie zamieszkają? Co jeszcze się stanie? A George, który jest w wojskowej szkole, co z George'em?

- Co będzie z moim synem? Jego Królewska Wysokość obiecał, że go wykształci. Teraz chłopiec jest w szkole w Chelsea, za dwa lata ma iść do college'u w Marlow. Już go tam zapisano, rozmawiałam z komendantem.

- Żałuję, ale nie mam żadnych instrukcji co do pani syna.

Dopiero teraz Mary Anne zaczęła uświadamiać sobie w pełni sytuację. Trzeba powiedzieć służbie, wypłacić im odprawę, wszyscy muszą być zwolnieni. Zaspokoić dostawców, zdjąć zasłony, zrolować dywany, odesłać konie i powozy... I wreszcie wśród tego całego szalonego zamieszania rozmówić się jakoś z rodziną i przyjaciółmi. Oznajmić im, że wszystko się skończyło... Litościwe spojrzenia, udawane współczucie, szydercze uśmiešky, pogardliwe miny...

- Muszę... muszę się z nim widzieć - rzekła urywanym głosem, czując, jak ogarnia ją panika. - Nie może zostawić mnie tak bez jednego słowa.

- Jego Królewska Wysokość nie zgadza się na spotkanie.

Uklonił się i wyszedł. Nie próbowała go zatrzymać. Usiadła przy oknie, drżąc na całym ciele. To nie może być prawda. To jakiś koszmar... Albo też Adam kłamie, bo sam wymusił tę decyzję. Diuk przyjdzie wieczorem i wszystko wyjaśni - może tu być lada chwila. Mówił o obiedzie w piątek, on nie łamie obietnic. To jego ostatnie słowa - obiad w piątek. Mary Anne nie rusza się z salonu, czeka.

Siódma, ósma... Nie słysząc nadjeżdżających koni. Dzwoni na Piersona.

- Pierson, musiało zajść jakieś nieporozumienie. Poślij kogoś na Portman Square, niech się dowie, czy Jego Królewska Wysokość przyjdzie na obiad. I powiedz kucharce, żeby trzymała wszystko na ogniu.

Nędzny pretekst dla zachowania twarzy zarówno jej, jak służby. Wiedzieli, że coś wisi w powietrzu. Służba zawsze nieomylnie wyczuwa groźbę katastrofy.

Wraca Pierson.

- Przepraszam panią, ale nikt nic nie wie. Służba przy Portman Square myśli, że Jego Królewska Wysokość jest u nas. Nie kazano im przygotowywać obiadu, więc pewnie zaraz tu będzie. Być może Jego Królewską Wysokość zatrzymano w dowództwie.

Zatrzymano? Bzdura! Raczej poszedł do teatru. Albo pojechał do Fulham przygotować sypialnię. Miękkie pantofelki, pachnidła na toaletce, dwie poduszki za firankami łóżka...

- Pierson, przed dziewiątą poślij jeszcze raz. Może rzeczywiście go zatrzymano.

O wpół do dziesiątej Pierson jest z powrotem.

- Jego Królewska Wysokość jest na Portman Square. Je obiad z panami Greenwoodem i Adamem. Służący dał mi to dla pani.

Wręczył jej list. Pismo diuka, ale nie jego język: sztywne, oficjalne, prawnicze sformułowania:

"Zapewne przypominasz sobie sytuację, w której, zagrożony z Twojego powodu procesem, zostałem zmuszony do zatrudnienia adwokata. Już wtedy wyniki dochodzenia przyczyniły się do wyrobienia nieprzychylniej opinii o Twoim zachowaniu. Dlatego nie możesz mnie oskarżać o pochopne i zbyt pospieszne decyzje względem Ciebie. Ostateczne dowody, które mi dostarczono, a którym nie sposób zaprzeczyć, utwierdziły mnie tylko w postanowieniu, podjętym z uwagi na moją pozycję i sytuację. Wycofanie się z tej decyzji uważam za niemożliwe. Ewentualne spotkanie byłoby bolesne dla nas obojga i nie przyniosłoby Ci żadnej korzyści, dlatego nie wyrażam na nie zgody".

Panika Mary Anne ustąpiła w jednej chwili. Teraz ogarnęła ją furia. Pobiegła na górę, znalazła płaszcz i narzuciwszy go na ramiona, wypadła jak burza z domu. Był ciepły, majowy wieczór, zachodzące słońce kładło się złotym blaskiem na ulicach. Ruszyła biegiem na Portman Square. Nie dbała, kto ją zobaczy, czyje głowy podwracają się na jej widok. Myślała tylko o jednym: spojrzeć mu w oczy. Ale to niemożliwe, póki Greenwood i Adam tam siedzą, więc trzeba przyciąć się za rogiem i nie spuszczać oka z kolumnowego podjazdu i świetlika nad drzwiami. Minęła godzina, mniejsza o to, zaczeka. Niechaj przechodnie myślą sobie, co chcą.

Nareszcie w drzwiach ukazują się niewyraźne sylwetki wychodzących gości. Zapadł już mrok, placyk pograżył się w cieniu. Po chwili na podjazd zajeżdża powóz. No tak. Tej nocy nie wchodzi w grę pojedyncze łóżko przy Portman Square, ale szerokie na dziesięć stóp puchowe gniazdko w Fulham. Przeszła przez plac i gdy frontowe drzwi się otworzyły, ukazując objuczonego bagażami służącego, wstąpiła na schodki i wkroczyła do holu.

- Dobry wieczór, Ludovicku.

Służący jakby wrósł w ziemię.

- Dobry wieczór pani.

- Gdzie Jego Królewska Wysokość?

- Nie bardzo się orientuję, proszę pani.

Wstrząśnięty i blady zezuje w stronę schodów. Mary Anne uniosła suknię i pobiegła na górę.

- Wszystko przygotowane do trzęsionki w drodze do Fulham? - zawołała głośno. W drzwiach sypialni pojawił się nie znany jej służący. - Precz mi z drogi!

Odepchnęła go bez ceremonii, on zaś, zbyt zaskoczony, by zareagować, pozwolił jej wtargnąć do środka.

- A więc to jest ten kawalerski pokój. Cieszę się, że mogę go wreszcie zobaczyć.

Zatrzymuje się w progu, z uśmiechem na ustach, zawinięta w obszerny płaszcz. Diuk zmienia właśnie spodnie, stoi pochylony, z jedną nogą na krawędzi krzesła.

- Ach, przyłapałam cię bez spodni. Najmocniej przepraszam. No cóż, nie po raz pierwszy ci się to zdarza. Tak właśnie przyłapali cię Francuzi w Holandii. I Flamandowie, o ile mnie pamięć nie myli.

Twarz diuka przybrała kolor purpury. Sięgnął po szlafrok. Mary Anne zatrzasnęła z hukiem drzwi i oparła się o nie ze śmiechem.

- Ależ dlaczego tak się czerwienisz? Przywykłam do widoku gaci. Widziałam setki razy, jak suszyły się po praniu na Gloucester Place. No to za udany wieczór.

Podniosła rękę, udając, że wznosi toast. Diuk owinał się szczelniej szlafrokiem, próbując odzyskać godność.

- Błagam cię - wyszeptał gorączkowo - opuść ten dom natychmiast, zanim służba cię wyrzuci. Przez pamięć przeszłości i tego wszystkiego, co nas kiedyś łączyło...

- Przez pamięć przeszłości! - powtórzyła przedrzeźniając go. - Dzięki za przypomnienie! Ja mam pamiętać, ale ty wykręcasz się sianem i zapominasz. Musisz sobie odświeżyć trochę pamięć. Zresztą, jesteś po obiedzie, jak mi powiedział służący, więc nie będziesz rzucać się jak wilk na jedzenie, które czeka w Fulham. Zimna zupa, o ile sobie przypominam, a potem udziec barani. Czy pani Carey lubi do pieczystego szpinak? A ciasto na deser, kruche czy biszkoptowe? A może w ogóle nie je deseru? Dobrze, że pasujecie do siebie pod względem wagi, to jej pomoże zachować formę. Jak zacnie kręcić piruety w łóżku, gotowa podrzeć prześcieradło!

- Zabierzcie ją - polecił diuk lokajom. Tych samych słów i ona użyła kilka dni temu. "Zabierzcie go", powiedziała na Gloucester Place. Wtedy wyrzucanym był Joseph - służący jej usłuchali. Tym razem to Mary Anne stoi samotnie na szczycie schodów. Nikt nie ośmiela się jej tknąć. Uśmiecha się do diuka i po raz ostatni robi głęboki dyg.

- Wychodzę. Ale najpierw powiem ci jedno. Jeśli wycofasz się z opieki nad George'em, nad dziećmi - mniejsza o mnie, dam sobie radę, jestem kobietą - to odpokutujesz za to i całe życie będziesz gorzko żałował. Dopilnuję, by twoje imię śmierdziało do siódmego pokolenia. Pamiętaj! No to życzę szczęścia.

Zeszła na dół, skinęła ręką służącym i ruszyła przez plac do domu. W budynku było ciemno, lampy się nie świeciły. Pukała i dzwoniła - nadaremnie, nikt nie otwierał. Szczury z tonącego statku? Wzruszyła ramionami. Po chwili usłyszała turkot powozu odjeżdżającego z Portman Square. Noc była bezwietrzna i ciepła, na niebie świeciły gwiazdy.

Rozdział 8

Reakcja była szybka i gwałtowna. To się nie wydarzyło. Pięć godzin niespokojnego snu - i wczorajsze przeżycia zmieniły się w senny koszmar. Adam to podły szpieg. Wszystko da się wyjaśnić. Jeszcze jedno spotkanie - spuścimy zasłonę na wczorajszy wieczór - i nieporozumienia pójdą w niepamięć, a winy zostaną wybaczone. Diuk nie myślał naprawdę tego, co mówił, wróci, Mary Anne potrafi go odzyskać. Ruszyły w drogę bileciki - na Portman Square, do Fulham, w piątek do Oatlands, nawet do Windsoru. W odpowiedzi nadeszły dwa lakoniczne świstki:

"Gdybym wiedział, że spotkanie przyniesie choćby najmniejszą korzyść któremuś z nas, nie zawahałbym się, by spełnić Twoje życzenie. Sądzę jednak, że w obecnej sytuacji byłoby to zbyt bolesne dla nas obojga i dlatego muszę odmówić".

Styl nie był jego własny, tylko znowu Greenwooda. Greenwood i Adam stali między nimi, nie odstępowali go na krok.

"W pełni rozumiem Twoje uczucia do dzieci, ale nie mogę podjąć zobowiązań, nie będąc pewnym, czy się z nich wywiążę. Co się tyczy Weybridge, to najlepiej będzie, jeśli usuniesz stamtąd swoje meble".

I zostawisz gołe ściany dla pani Carey? Czy z pałacyku w Fulham tak daleko do Oatlands?

Siedziała z bilecikami w rękach. Koniec złudzeń. To nie senne majaki. Po prostu powiększyła szeregi odrzuconych metres, kobiet, których czas się dopełnił. Nie miał odwagi powiedzieć jej tego prosto w oczy. Mętne tłumaczenia dotyczące jej przeszłości, jak również rewelacje Adama, ratowały go przed wyrzutami sumienia. Kiedy kobieta przestaje się podobać, staje się kulą u nogi. Więc niech się wynosi, im szybciej, tym lepiej, i zrobi miejsce następnej. Jeśli żadasz zadośćuczynienia, pošlij po adwokata, ale przykaż mu, by się dobrze namyślił, nim zaatakuję. Książęta krwi nie poddają się

szantażowi, adwokat wraz z klientką mogą znaleźć się za kratkami. Zatem przyjmij swą odprawę z wdzięcznym uśmiechem albo idź do Newgate - wybór należy do ciebie.

Mary Anne włożyła bileciki między listy miłosne, które trzymała wszystkie razem, związane czerwoną wstążeczką, po czym posłała po swego adwokata, pana Comrie. Powiedziała mu prawdę (zbyt dobrze go знаła, by prosić o litość), po czym zapytała:

- Czy mogę się czegokolwiek domagać? Coś wymusić?

- Nie. Nie ma pani żadnych przyrzeczeń na piśmie.

- A obietnice z przeszłości? Ciągłe zapewnienia, że nic i nikt nas nie rozdzieli, że gdyby coś się ze mną stało, zaopiekuje się dziećmi?

- To tylko ustne obietnice. Nic nie jest udokumentowane.

- Zachowałam wszystkie jego listy. Mam je tutaj, może pan przejrzeć.

Potrząsnął głową, ściągnął usta i odmówił.

- Prywatne listy mężczyzny do kochanki, bez żadnych przyrzeczeń stałego kontraktu, pensji czy renty nie mają przed sądem żadnej wartości. Mogę jedynie zobaczyć się z panem Adamem i poczynić pewne kroki, żeby uzyskać dla pani obiecaną pensję. Czteryście funtów rocznie to mało po tym całym przepychu, ale oczywiście nic nie poradzimy, musi pani żyć stosownie do dochodów.

- A co z długami? Kto je spłaci? Nawet panu jestem winna co najmniej tysiąc funtów...

- Może Jego Królewska Wysokość wyrazi zgodę na sprzedaż domu. Ta suma powinna zaspokoić część wierzycieli.

- A te listy?

- Jakie listy, pani Clarke?

Wskazała paczkę związaną wstążeczką.

- To listy miłosne. Ile są warte dla świata? To nie jest tylko zwykła bazgranina o namiętności. Jego Królewska Wysokość bywał czasem mocno niedyskretny. Można tu znaleźć uwagi dotyczące króla, królowej, księcia Walii, księżnej, diuka Kentu... Tak sobie myślę, że gdyby rodzina królewska je zobaczyła...

Pan Comrie miał bardzo poważną minę. Uniósł dłoń.

- Wobec tego radzę pani je spalić, i to natychmiast. Każda próba grożenia królewskiemu synowi czy jego rodzinie może okazać się katastrofą dla pani i dzieci. Zapewniam panią, że to prawda.

Ci prawnicy! W porządku, nie trzeba nalegać. Pominiemy te uwagi milczeniem, ale listy zachowamy.

- Dziękuję, panie Comrie. Polegam na panu. Czy spotka się pan z Adamem natychmiast?

- Jeszcze dzisiaj. A przy okazji, jakie pani ma plany? Ma pani zamiar tu zostać?

Plany? Nie ma żadnych planów, jej świat się zawalił. Pan Comrie jednak nie musi o tym wiedzieć. Niech się zajmuje finansami, co go obchodzą wstrząsy uczuciowe, zraniona duma, upokorzenie, niesprawiedliwość?

- Sądzę, że wyjadę z miasta i zatrzymam się u przyjaciół.

Pani Clarke wystawi ich przy tym na ciężką próbę. Ilu pochlebców zostanie przy niej? A może wszyscy kręcą się już koło Fulham? Okaże się w ciągu tygodnia, kiedy plotki dotrą, gdzie trzeba. Szu_szu_szu - słyszeliście? To prawda, rzucił ją... Dobrze jej tak, tej dziwce... Najwyższy czas odesłać ją do rynsztoka... Koniec balu, panno lalu...

Zwinąć dywany, wywiesić tabliczkę z napisem "NA SPRZEDAŻ". Ale nikt nie musi wiedzieć, ile ją to kosztuje, jak bardzo jest rozgoryczona. Utrata twarzy, pozycji, stylu życia, przywilejów, nie mówiąc już o utracie mężczyzny, i to księcia. W książęcym łóżku uściski może i są bardziej zaszczytne, ale wspólne doznania bez względu na to, czy dzielone z księciem czy z kim innym, rodzą uczucia. Zmienne, przemijające, trwałe - czy to ważne? Każde ciało czuje to samo, przez trzy godziny albo trzy lata, lecz po trzech latach daje znać o sobie piętno indywidualności. Ręce, uda, ramiona stają się znajome, podobnie jak nastroje, humor przy śniadaniu, śmiech bez powodu w środku nocy, swoboda

intymności, duma posiadania, przyjemne ciepło w sercu, świadomość, że "ten mężczyzna jest mój". Teraz to wszystko skończone. Wypędzono ją kopniakiem z łóżka niczym pomywaczkę z kuchni. Dlatego musi udawać, pokazywać światu podniesione czoło, uwagi zbywać beztróskim wzruszeniem ramion, opowiadać największe kłamstwa, byle tylko uniknąć wstydu.

- Jego Królewska Wysokość tonie w długach. - Dodawać do kłamstw ziarenko prawdy, to zawsze się opłaca. - Nie mam sumienia go obciążać, dlatego postanowiłam, że opuszczę Gloucester Place, sprzedam większość mebli, a resztę oddam na skład. Tak samo Weybridge, jego nie stać na ten dom. To smutne dla nas obojga, ale tak naprawdę będzie lepiej. Przeprowadzę się z dziećmi na wieś, a do Londynu wrócę, gdy sytuacja się poprawi. Biedaczek, tak go pochłania ta przekłeta wojna, że praktycznie sypia w dowództwie Gwardii Konnej. W ogóle go nie widuję.

Jeśli będzie powtarzać tę bajeczkę wystarczająco często, wkrótce sama w nią uwierzy, podobnie jak znajomi i ci, na których zależy jej najbardziej - rodzina, a nade wszystko matka i Charley. I Bill, żeby nie mógł powiedzieć: "A nie mówiłem? Ostrzegałem cię wiele razy. Wiedziałem, że to się tak skończy." Potem pewnie z nieśmiałą nadzieją w głosie znowu zaproponowałby słynną chatkę w Uxbridge. "To wszystko, co mogę zrobić w tej chwili, ale później..."

Bill, w rzeczy samej, będzie ostatnim, który się dowie prawdy. Im bliższy przyjaciel, tym większy ból upokorzenia. Kamień spadł jej z serca, gdy usłyszała, że na początku czerwca wysyłają go z ekspedycją do Buenos Aires.

(W r. 1806 miała miejsce wyprawa lorda Beresforda na Buenos Aires zakończona zdobyciem miasta, co w Londynie wywołało zrozumiały entuzjazm. Jednak Hiszpanie bardzo szybko je odbili, biorąc przy tym do niewoli garnizon brytyjski).

Ma więc czas do jego powrotu.

Dzieci... Jak się zachować wobec dzieci? Trzynastoletnia Mary to dziewczuszka obdarzona intuicją, dziesięcioletnia Ellen jest wścibską osobką o ostrym języczku. Na razie pozostają pod opieką May Taylor w jej szkółce, ale trzeba pomyśleć o wakacjach, wszystko przygotować, obmyślić wiarygodne odpowiedzi na pytania w rodzaju: "Ale dlaczego musimy się wyprowadzić z Gloucester Place?" Na to zawsze można odpowiedzieć: "Londyn jest za drogi, moje kochaneczki, a pobyt na wsi przyda się nam wszystkim". Gdy nadejdzie stosowny moment, Mary Anne poprosi kogoś o gościnę.

Irlandia. Może pojechać do Irlandii, do Fitzgeraldów? I ojciec, i syn nie ustają w zapewnieniach o przyjaźni. "Gdybyś potrzebowała pomocy, wystarczy zawołać". Rozpuściła wici i doszła do wniosku, że kanał St George to bardzo skuteczna bariera na wypadek kryzysu. Jednak obaj odmówili, gęsto się przy tym tłumacząc. Klimat w Irlandii jest taki wilgotny, wiedzą przecież, jak ona nie znosi deszczu; żona Jamie'ego Fitzgeralda ma skłonności do podejrzeń, Willie jest taki zapracowany, na każdym kroku kłopoty i tak dalej, ale może spotkają się na jesieni?

Innymi słowy, pani Clarke, nic się nie da zrobić. W każdym razie nie w tej chwili. Członkowie parlamentu, nawet jeśli są Irlandczykami i radykałami, muszą uważać na swoje postępowanie, ale czas pokaże, skąd wieje wiatr. Mary Anne pomyślała o listach, które Jamie Fitzgerald pisał po trzech kieliszkach porto przy Gloucester Place, i o tym, co jej szeptał przy obiedzie. Nic dziwnego, że jego żona jest podejrzliwa, byłaby jeszcze bardziej zazdrosna, gdyby przeczytała listy przechowywane starannie w pudełku. Kto tam jeszcze przysięgał wieczną przyjaźń i wierność? Will Ogilvie, ale on nie trzymał się za serce. Traktował Mary Anne po męsku, jak współniczkę w interesach. Interes się rozleciał, więc należy oczekiwać lakonicznego pożegnania. Inni może dadzą się oszukać, ale na pewno nie Will.

Przyszła ze zwykłą, grzecznościową wizytą tego ranka, kiedy właśnie się zastanawiała, które meble sprzedać, a które oddać na przechowanie.

- Nie wpadaj w panikę - powiedział spokojnie. - Zachowaj to, co najwartościowsze. Ruchomości to dobra lokata, będziesz ich potrzebować. Pozbądź się efektownej tandety. Takie rzeczy mogą cieszyć się teraz pewnym popytem i uzyskasz niezłą cenę.

Przyjrzała mu się bacznie. Zachowywał się jak zawsze.

- Nie sądziłam, że cię jeszcze zobaczę. Raczej przypuszczałam, że przeprowadziłeś się do Fulham.

- Nie spodziewam się tam interesu. Nie ten typ. To nie potrwa długo. Daję jej około pół roku.

- A potem?

Wzruszył ramionami.

- Właściwie ciągle stawiam na ciebie. Uważam za wysoce prawdopodobne, że go odzyskasz.

Fala się odwróciła. Mary Anne poczuła przypływ nadziei.

- Dlaczego tak myślisz? Słyszałeś jakieś plotki?

- Tylko tyle, że to Adam z Greenwoodem upiekli ci ten pasztet. Oczywiście wiedzieli, czym się zajmujemy. Nasze interesy popsuły ich prywatny rynek, więc musieli się ciebie pozbyć. Przygotowywali to od miesięcy, odkąd tylko Gordon zajął miejsce Clintona. Nawiasem mówiąc, to Adam przedstawił diuka pani Carey. Ona ma ptasi mózdzek, więc nie jest niebezpieczna.

- Ale diuk jest zakochany?

- Słomiany ogień. Podnieta dla osłabionych zmysłów. Ten człowiek za ciężko pracuje i jest wyjątkowo wrażliwy na krytykę. A w najbliższym czasie będzie musiał bardzo wiele przełknąć, przekonasz się. Patrz tylko, co się zacznie dziać w Parlamencie podczas nadchodzącej sesji. Wigowie są żądni krwi, a nic nie da im takiej satysfakcji jak skok w bok naczelnego wodza.

Zamęt w głowie nagle się uspokoił. Will ocenia trzeźwo sytuację, trzyma się ziemi, jego argumenty są proste jak parasol i ostre jak brzytwa, tak różne od moralizowania Dowlera. U Willa nie można liczyć na współczucie ni na chatkę w Uxbridge, tylko na pokrzepiające klepięcie w plecy czy wręcz na kopniaka w tyłek.

- No dobrze. Obaj z Tomem Taylorem wpakowaliście mnie w to bagno. I co teraz?

Przyjrzał się jej okiem fachowca. Dotknął twarzy, wygładził zmarszczki, które z braku snu jeszcze się pogłębiły.

- Szczerze?

- Tak, na miłość boską. Mdli mnie od pochlebstw.

- Siedź cicho i odpocznij przez rok. Nerwy fatalnie wpływają na wygląd kobiety, zwłaszcza takiej, której głównym atutem jest wdzięk i poczucie humoru. Nie masz klasycznych rysów, u ciebie liczy się przede wszystkim wyraz oczu.

- Więc co proponujesz? Mam iść do klasztoru?

- Nie. Ponudzisz się przez pół roku, dobrze się wyśpisz w dużym łóżku, sama, chyba że masz pod ręką jakiegoś fircyka, który czeka, aż na niego zagwizdziesz, i który cię trochę rozerwie. Nie martw się o koszty. Gra toczy się dalej.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Minąłeś się z powołaniem. Powinieneś być lekarzem i kręcić mikstury. Dla kobiet po trzydziestce żadnych pigulek, tylko szampan. Dlaczego mówisz, że gra dalej się toczy? Gdzie i kiedy?

- Jak dotąd wiadomość o waszym rozstaniu nie rozeszła się zbyt szeroko. Drobne plotki nadal uważają, że masz wpływy. Z awansami wojskowymi koniec, ale jest pełno innych rządowych departamentów, z którymi potrafię sobie radzić, a ty, przy poparciu diuka, możesz wodzić klientów za nos. Jeśli nie popełnisz błędu, gotówka popłynie znowu. Kiedy pani Carey dobiegnie do mety, a ty odzyskasz swoją pozycję, zbadamy możliwości. Aha, czy zatrzymałaś listy?

- Co do jednego.

- Grzeczna dziewczynka. Mogą się przydać, pilnuj ich. I jeszcze jedno: jeśli masz wśród przyjaciół jakichś wigów, to się ich trzymaj, torysów sobie daruj. Ta koalicja nie przetrwa następnego roku.

- Myślisz, że wigowie spróbują się wepchnąć? Król ich nie dopuści do władzy.

- Nie tyle się "wepchną", jak to określasz, ale jako silna opozycja mogą się stać nieprzyjemni. Wyniuchają każdy skandal, który da im szansę. Wtedy nam się przydadzą. Ale tym się na razie nie

przejmuj, wszystko po kolei. Rozumiem, że pan Comrie jest twoim oficjalnym pełnomocnikiem i wycisnął, co się dało z Adama, Greenwooda i spółki?

- Czteryście rocznie i dzierżawa domu. Nic poza tym.

- To najpaskudniejszy układ, jaki można zaoferować kobiecie. I jakie to typowe, że się tak wyrażę, dla wielkich tego świata. Przypadkiem się dowiedziałem, że nie ty jedna zostałeś wysadzona z siodła. Księżę Walii zamieszkał z lady Hertford, a Maria Fitzherbert mocno straciła na wadze.

- Wróci do niej w końcu. Zawsze wraca. Był bardzo młody, kiedy Fitz go złapała. Myślę, że to wszystko tłumaczy.

- Bzdura. Im dojrzalszy owoc, tym bardziej druzgoczący upadek. Jeśli nie odzyskasz Yorka, znajdę ci następcę. Jest jeszcze pięciu innych braci, wszyscy bardzo krzepcy.

- Dziękuję. Po moich doświadczeniach... Raczej rozejrzę się za jakimś parem. Pamiętam, co mówiłeś o wigach. Czy znasz lorda Folkestone'a?

- Jego Lordowska Radykalność William Pleydell_Bouverie? Spędził wczesną młodość we Francji i dużo gada o rewolucji. Widziałem go dwa czy trzy razy. Fanatyk, ale sympatyczny.

- Odwiedził mnie w łoży jakieś trzy tygodnie temu, zanim to wszystko się wydarzyło. Nie myślałam o nim do tej pory, ale miło wspominać to spotkanie. Jest bardzo atrakcyjny.

- Więc trzymaj go w szachu, jeśli dasz radę, może się okazać cennym sprzymierzeńcem. Są jeszcze jacyś wielbiciele, którzy zechcą pośpieszyć na pomoc? Ten zacny Dowler na pewno jest gdzieś w pobliżu.

- Bill odpada, wyjeżdża do Buenos Aires. Jest jeszcze w Essex Coxhead_Marsh, wprowadzie uwikłany w małżeństwo, jak oni wszyscy, ale siedzi na forsie i może się przydać - ewentualnie wytrzymam z nim z pół roku. Mój irlandzki kontyngent raczej się nie sprawdził, szkoda, w Dublinie byłoby całkiem ciekawie. Ale na najbliższą przyszłość mam oczywiście wyjście. Poseł Russell Manners, syn generała, wprost marzy o oddaniu się na moje usługi. Wystarczy jedno słowo, a jego dom przy Old Barlington Street jest mój.

- No to bierz, jeśli pusty.

- Niestety nie, w tym problem. On ma zamiar przyjmować mnie osobiście i wyciągnąć łapę po nagrodę.

- Zawsze możesz wykręcić się nerwami.

- Przez trzy noce, ale nie dwa tygodnie. Zresztą jakoś zniosę to jego sapanie, a potem może coś wymyślę... Tak, to się nadaje na pied-à-terre. Poza tym on ma bogatego szwagra, Rowlanda Maltby'ego, który poręcza mu rachunki i jest hurtownikiem z Fishmongers' Hal

(Gildia hurtowników handlu rybami)

w City. Możemy zrobić za ich pośrednictwem jakieś pieniądze, oni znają wielu ludzi z nosami wycelowanymi w odpowiednie tyłki.

- No to naciskaj, naciskaj. Temperatura stale wzrasta.

- Mój Boże, zapomniałam o lordzie Moira! On jest jak wosk w moich rękach, a przynajmniej był, kiedy się z nim widziałam w kwietniu... dwa miesiące to jednak różnica. Ale wszystko bardzo poprawnie, bez sięgania pod pokład, żadnej szamotaniny. Zainteresował się George'em, bawił się z nim żołnierzkami. Myślę, że nabrałby się na ckliwą opowiadkę o porzuconej kobiecie.

- Trzymaj go w rezerwie, Mary Anne. Jako ostatni atut.

- Kiedy już wszystko się zawali?

- Kiedy wyciśnie się ostatnią kroplę soku. Teraz usłuchaj mojej rady, odpręż się i wyjedź z Londynu. Zapomnij o JSK\$W na sześć miesięcy, niczego więcej nie żądam.

Dziwne, ale ta wizyta dodała Mary Anne animuszu. Przedtem była ogłuszona, sparaliżowana, nie widziała wyjścia, nie miała nawet odrobiny nadziei. Duch opadł w niej do zera. Po tej pogawędce mogła znowu śpiewać. Zwątpienie pierzchnęło bez śladu, pesymizm wyfrunął przez okno. Pech to złośliwy diabełek, wart, by go opluć i zdeptać, a szczęście - dobry duszek, którego trzeba pochwycić,

zatrzymać i strzec. Życie jest przygodą, sprzymierzeńcem, a nie przeciwnikiem. Pani Clarke krząta się wśród swych sprzętów spokojnie i rozważnie. Nie tracąc czasu na sentymenty, wybiera wartościowe przedmioty i oddziela je od śmieci.

- To wyrzucimy, i to, i tamto też.

Świeczniki i lampy, szyte na miarę zasłony... Za dom z wyposażeniem można uzyskać lepszą cenę.

- Ale to zatrzymam, to też i jeszcze ten tuzin krzesel.

Może ze sześć lat temu na Golden Lane... Komornicy, Joseph w pijackim odretwieniu. Tylko sześć lat? Cała epoka. Wieczność. To także wina Josepha, tak jak wtedy na Golden Lane. Joseph i Adam rozdzielili ją z diukiem swymi kłamstwami i przebiegłością.

Tak, sprzeda to łożo z firankami. Powinna uzyskać niezłą cenę, zwłaszcza gdy rozgłosi, kto w nim sypiał. Materac także, ma za sobą długą służbę. Ale nie prześcieradła. Monogramy mają swoją wartość.

Sentyment? Nie... Perspektywa interesu. Mogą się przydać diuszecie w Oatlands, na wypadek, gdyby miała pustą szafę. Oferta sprzedaży powinna spotkać się z odzewem.

"Może Waszej Królewskiej Wysokości przyda się kilka prześcieradeł. Trochę przetarte, ale w dobrym stanie i z monogramami. Jeśli zakup nie dojdzie do skutku, zostaną wystawione na aukcję w Christie z dokładnym wyszczególnieniem, kiedy i kto ich ostatnio używał. Oferując prawo pierwokupu Waszej Królewskiej Wysokości, kieruję się wrodzoną delikatnością i chęcią uniknięcia obrazy dobrego smaku."

Warte sto gwinei? Diuszesa może sobie pozwolić. Niech kupi prześcieradła i podrze je na podściółki dla piesków.

Ile za ten przysadzisty pokojowy tron? Nie, nie na aukcję. Kolejny interes, tym razem z pułkownikiem Gordonem.

"Ponieważ chodzą słuchy, że dowództwo Gwardii Konnej odczuwa braki w wyposażeniu w związku z kosztami wojny, pani Clarke pozwala sobie zaoferować jeden duży sedes pokojowy. Trwałość gwarantowana. Ostatnio zainstalowany był przy Gloucester Place 18, gdzie wypróbował go sam Naczelnny Wódz. Przeznaczam go do osobistego użytku pułkownika Gordona, sekretarza do spraw wojskowych. W razie braku zgody na prywatną transakcję, sprzęt zostanie zaoferowany domowi Christie albo na Królewskiej Giełdzie za podwójną cenę."

Gordon nie odważy się dopuścić do publicznej sprzedaży. Wybuli gotówkę, żeby ukreślić łeb sprawie. Jakie jeszcze suweniry zarobią na sobie, poruszą litościwe ręce, zaszokują chciwe sensacji oczy? Podarta nocna koszula, która właśnie wróciła z pralni? Wysłać do pani Carey z kawałkiem mydła i szpulką nici.

A tę parę gaci może do królowej?

"Znając głęboki afekt Waszej Królewskiej Mości do Jej drugiego Syna, księcia Fryderyka Augusta, Diuka Yorku i Albany, ja, Mary Anne Clarke, najbardziej oddana ze sług, ośmielam się pokornie wysłać Waszej Królewskiej Mości tę oto wzruszającą sztukę garderoby, która okrywała dolną część ciała Jej drugiego syna, a którą właśnie ku memu wielkiemu zdumieniu znalazłam za kanapą w salonie."

To powinno wstrząsnąć Windsorem i wywołać frisson u dam zajmujących się sypialną komnatą.

Will Ogilvie miał rację. Gra toczy się nadal. Ciągłe trafiają się frajerzy, którzy wierzą, że pani Clarke pociąga za odpowiednie sznurki i gotowa jest za pieniądze załatwić im upragnione stanowisko. Znajomy znajomego - i forsa płynie z rąk do rąk. Od momentu, gdy dom przy Gloucester Place sprzedano, a resztę mebli oddano na przechowanie, centrum operacji znajduje się przy Burligton Street, gdzie obowiązki gospodarza pełni - pomimo sapania - poseł Russell Manners (jego uroczą, młodziutką żonę przebywa na wsi w Walii). Kiedy Parlament się rozwiąże na letnie wakacje i żony zaczną domagać się towarzystwa mężów - Mary Anne zmieni główną kwatere. Zaczyna brakować

gotówki, odpoczynek staje się nakazem chwili. Sapanie można wytrzymać, ale nerwy pani Clarke są w strzępach. W chwili szaleństwa nabazgrała liścik do diuka:

"Muszę mieć sto funtów, żeby wyjechać z miasta. Nadal mam nie spłacone długi, ścigają nie wierzyciele. Wszystko, co uzyskałam za dom, pochłonęli biedniejsi dostawcy. Jeśli mi odmówisz, rozbiję obóz pod Twoimi drzwiami".

Natychmiast otrzymała odpowiedź oraz dwieście funtów. List przyniósł służący z Portman Square. Powiedział, że Jego Królewska Wysokość jest sam, że nie ma przy nim ani pana Adama, ani Greenwooda. No tak. Pod nieobecność szpiegów ruszyło go sumienie. Ufa, że Mary Anne czuje się dobrze i że dzieci są przy niej. Może się nie obawiać o George'a; ma zapewnioną naukę i przyszłość, on daje na to słowo. Co do najbliższej przyszłości, to może łaskawie zaofiarować Mary Anne dach nad głową, ponieważ dom i tak stoi pusty w oczekiwaniu na odpowiedniego lokatora. Dopóki takowy się nie znajdzie, ona może sobie mieszkać. Dom znajduje się w sporej odległości od Londynu, w Exmouth, ale niewątpliwie morskie powietrze posłuży jej i dzieciom. Ma nadzieję, że pobyt da się przedłużyć na zimę. On jest jej szczerze oddany i przesyła serdeczności. Podpisano: Fryderyk, ks.

Czyżby Fulham zaczynało go nużyć? Chyba jeszcze nie. Gdyby tak było, nie wysłałby jej do Devon. Odległość dwustu mil od Londynu daje mu swobodny oddech i wolność. Co za kontrast w porównaniu z jego listami sprzed roku! Wyjęła z pakietu jeden, pisany z Weymouth.

"Jak mam wyrazić mojej najdroższej i najukochańszej radość, którą sprawił mi Jej miły liścik, jakże mam odczuć te wszystkie serdeczności, które w nim wyraziła? Miliony, miliony podziękowań, mój Aniele, bądź pewna, że moje serce jest w pełni świadome Twoich uczuć, od nich jedynie zależy całe moje szczęście. I tak dalej, i tak dalej..." I zakończenie: "Niech Cię Bóg błogosławi, moja najdroższa, jedyna miłości. Muszę kończyć, bo poczta już odchodzi, och, wierzaj mi, do ostatniej mojej godziny Twój i tylko Twój..."

Z powrotem pod wstążeczkę i do czarnego blaszanego pudełka, ukrytego dla pełnego bezpieczeństwa w czeluściach kufra. A więc w drogę do Exmouth, po piasek w pantoflach i piegi, z dziećmi, matką, Isobel i jej mężem; z Charleyem na przepustce chorobowej z kolejnego pułku (tym razem 59. Pułku Piechoty); z May Taylor i jej siostrą, które po zakończeniu roku szkolnego nie mają co ze sobą zrobić; z nieszczęsnym panem Corri, któremu lekarz zalecił morskie powietrze i którego lekcji muzyki nikt teraz w Londynie nie potrzebuje; i z Martą - dzięki Bogu! - która ma dosyć węglarza, bigamii oraz jednego pokoiku w Woolwich, więc gotowa jest znowu prowadzić dom dla ponad tuzina osób. Cała ta gromada ściga pod łaskawy dach w Exmouth. Manchester House jest ogromny, pomieści wszystkich, a rachunek za jedzenie można wysłać do diuszesy w Oatlands... Zatem teraz odpoczynek, relaks, i broń Boże, nie myśleć ani o przeszłości, ani o przyszłości... Leżeć całymi dniami na słońcu i bawić się z dziećmi.

A co zimą, kiedy każdy szuka sobie schronienia, kiedy mgły i deszcze na zachodzie kraju odbierają chęć do życia? Z powrotem na Old Barlington Street czy na wschód, do Essex, do użyczzonego domu w Loughton i do Coxheada_Marsha?

Przynajmniej jeden z tych facetów mógłby sobie pozwolić na potrząśnięcie mieszkaniem, wzięwszy pod uwagę, ile dla nich wszystkich zrobiła w przeszłości: posady, awanse, synekurki... Innymi słowy: bierz niskie piłki i nie wypadaj z gry.

Rozdział 9

- Mówię ci, że to prawda.
- Ależ kochany chłopcze, to zupełnie niewiarygodne.
- Może i niewiarygodne, jeśli się nie zna Fane'a. Znienawidził mnie od pierwszego spojrzenia, podobnie jak inni. Gdy tylko wstąpiłem do tego pułku, wiedziałem, że wpadłem; obrzydzą mi życie na wszystkie możliwe sposoby. Rozkazy idą z góry, to oczywiste - tyle wiem z plotek w kasynie.

"Uważaj, Thompson, dowódca chce cię załatwić." Pytam, dlaczego. Z początku nie odpowiadali, ale kiedy ich przycisnąłem, wytłumaczyli mi jasno i wyraźnie. "Wszystko przez to, że twoja siostra rozstała się z naczelnym wodzem. Jest spalona w kwaterze głównej i wszyscy o tym wiedzą. Każdy, kto ma z nią coś wspólnego, pójdzie pod obcas. Ktoś to nawet widział w rozkazach, nie mogę powiedzieć kto." Potem się rozchorowałem, wiesz przecież, jaki byłem chory... Trzej lekarze orzekli, że jestem niezdolny do służby. Złożyłem wniosek o przepustkę. Dowódca, pułkownik Fane, odpisał, że jej udzielenie nie leży w jego mocy i że powinienem zwrócić się do polowego oficera inspekcyjnego, załączając świadectwo lekarskie. Ten oficer był w Newark, a ja w Leeds. Cierpiałem straszliwe bóle, nie mogłem czekać, więc po prostu musiałem pojechać do Londynu, żeby się udać do najlepszego lekarza. No i pojechałem, a świadectwo lekarskie wysłałem zaraz po przyjeździe. A kiedy ty pielęgnowałaś mnie w Loughton na obustronne zapalenie uszu, które omal nie rozsadziło mi głowy, oni uknuli to.

Rzucił jej pod nogi gazetę. "Kapitan Charles Farquhar Thompson, 59. Pułk Piechoty - relegowany".

Spojrzała na jego rozbiegane oczy i drżące ręce. Nie był już mężczyzną, tylko małym chłopcem w wąskiej uliczce, skarżącym się płaczliwie: "To niesprawiedliwe. Ten duży chłopak mnie uderzył. Jest ode mnie silniejszy, a mimo to mnie kopnął i wpadłem do rynsztoka". A siostra wycierała mu nos i oczy i pocieszała: "Zaraz się tym zajmujemy, nic się nie bój". Potem, gotując się ze złości, łapała, co było pod ręką - złamaną patelnię, starą miotłę - i gnała za napastnikiem.

Wzięła gazetę i jeszcze raz przeczytała obwieszczenie.

- Nie martw się, Charley. Załatwię ci przywrócenie do służby.

- Jakim cudem? Przecież nie masz już żadnych wpływów. Straciłaś posadę, podobnie jak ja. Jesteśmy skończeni. - Rzucił się na fotel. Włosy potargane, mundur wybrudzony, guziki nie wypolerowane... - Mówię ci, jestem bez szans! Wiedziałem o tym od miesięcy, ty też wiedziałaś, tylko próbowałaś oszukać samą siebie. Te tygodnie w Exmouth, udawanie, że wszystko jest w porządku, że J\$K\$W wysłał was tam na lato i nie może się doczekać jesieni, aby znów cię zobaczyć. A co było jesienią? Wyniosłaś się cichaczem do Loughton, bo rzekomo przyzwyczaiłaś się do wiejskiego powietrza. Naopowiadałaś, że diuk poprosił Coxheada Marsha o opiekę nad tobą, a tymczasem Rowland Maltby i Manners płacili rachunki. Czy w ogóle widziałaś się z J\$K\$W? Ani przez chwilę. Nawet do ciebie nie napisał! Zerwał z tobą na dobre i wszyscy o tym wiedzą. Wcale mnie to nie cieszy, bo nasyła na mnie swoich szpiegów, a teraz wykopali mnie ze służby i też jestem skończony. George'a także załatwią. Do Marlow nie przyjmują żadnych nowych kadetów, lista jest zamknięta. Wiem to od kogoś z personelu.

Wybuchnął śmiechem, w którym brzmiała cała przeszłość. Rozgrzane upałem zaułki, odór rynsztoków, krzyki dzieci, smak popstrzonego przez muchy jedzenia, zmęczony głos matki w kuchni, rozlane na stole piwo Boba Farquhara...

- Na miłość boską, trzymaj język za zębami!

- Dlaczego? To ty mnie wychowałaś. Naśladowałem cię przez całe życie. Uczyłaś mnie, czego oczekiwać i czego szukać. "Mierz wysoko, a jeżeli sam nie uzyskasz tego, czego pragniesz, ja to dla ciebie zdobędę", tak mówiłaś od samego początku. Mój patent oficerski, zmiana pułku, awans, wszystko przychodziło łatwo, byłem skazany na sukces. A potem z powodu jakiejś błahej, przeklętej kłótni spartaczyłaś sprawę z diukiem i narobiłaś zamieszania w moim życiu. Teraz muszę cierpieć przez twoją głupotę. Nie tylko zresztą ja - także George, dziewczynki, my wszyscy.

I rozszołał się jak dziecko, nawracając do dni, kiedy łyzy wywoływały pocałunki, trzepnięcie w ucho, klapsa, cukierka, jabłko, opowiadkę o srebrnym guziku i klanie Mackenzie. Teraz - tylko cisza, smutek w oczach, przesunięcie ręką po jego włosach dobrze znanym ruchem i obcy, spłoszony głos:

- Nigdy nie przypuszczałam, że Gloucester Place i mój związek z diukiem tyle dla ciebie znaczą. Myślałam, że traktujesz to jak interes, a tamten dom jak miejsce, gdzie zatrzymujesz się na przepustce.

- Interes? Jaki interes? To był mój świat. Świat, który mi przyrzekał, kiedy byliśmy dziećmi. Pamiętasz, jaką czią darzyłem księcia Charlie'ego? Ty sprawiłaś, że marzenia się spełniły, a przynajmniej tak mi się zdawało. Gdy przebywałem w tamtym domu, diuk się do mnie uśmiechał i gawędził ze mną po obiedzie. Wracalem potem do pułku dumny jak paw i czułem się, jak gdybym rozmawiał z samym Bogiem... Ty nic nie rozumiesz. Jesteś tylko kobietą, byłaś jego metresa, ale ja rozmawiałem z nim jak mężczyzna z mężczyzną, mówiliśmy tym samym językiem, wypytywał mnie o sprawy pułku. Szanowałem go najbardziej ze wszystkich ludzi. Przedstawiał sobą coś, czego nie potrafię wytłumaczyć, jakieś głęboko zakorzenione marzenie, które nagle ożyło. A teraz koniec. Nic mi już nie zostało.

Patrzyła, jak drze gazetę na drobne kawałeczki, a potem wrzuca je do ognia, gdzie błyskawicznie czernieją i płoną.

- Czy sądzisz, że George czuje to samo?

Wzruszył ramionami.

- Skąd mogę wiedzieć? To jeszcze dziecko. W wieku dziewięciu lat można myśleć dosłownie wszystko. Wiem tylko tyle, że uważa diuka za swego ojca.

Wlepiała w niego zdumione oczy.

- Skąd o tym wiesz?

- Od samego George'a. Ellen też w to wierzy, pewnie Marta coś jej naplotła. Mary jest rozsądniejsza, pamięta Josepha, choć niezbyt wyraźnie i pewnie wkrótce go zapomni. Ale żadne z nich nie zapomni J\$K\$W, za bardzo wrósł w ich życie, podobnie jak nie zapomną swoich pokoi przy Gloucester Place i całego tego przepychu. Nic już nie dorówna owym wspomnieniom. Zmarnowałaś przyszłość dzieciom i powinnaś o tym wiedzieć.

Każdym słowem demaskował jej własne ukryte uczucia. Ostatnie półtora roku, nudne i banalne, spędziła pomiędzy Exmouth a Londynem i domkiem myśliwskim w Loughton z każdym, kto zgodził się płacić rachunki - Russellem Mannersem, Coaxheadem_Marshem, Jamie'em Fitzgeraldem. Było to dreptanie w miejscu, pretekst do odwlekania decyzji. Teraz Mary Anne wymazała ten okres z pamięci, jakby nigdy nie istniał, i oto znów znajdowała się przy Gloucester Place, segregując meble - te na sprzedaż, te do zatrzymania, znów słuchała zapewnień Willa Ogilvie'ego, że gra toczy się dalej.

Gra na niższych szczeblach, bezmyślna i głupia, nie warta świeczki - to gra dla amatorów. Dla urzędników w trzeciorzędnych magazynach, dla których banknot dziesięciofuntowy jest szczytem ambicji - żadnego poczucia godności, żadnej władzy, żadnego żonglowania nazwiskami wysoko postawionych osób. "Pan Rowland Maltby może panu załatwić posadę kelnera" zamiast: "Jego Królewska Wysokość rekomenduje niniejszym..." Snując się po Loughton z Coxheadem_Marshem, ziewając przy wysłuchiowaniu opowieści o słonkach, przepiórkach, gołąbkach oraz o tym, jak piękna jest jesień w Essex, cały czas czuła pod skórą nerwowe pulsowanie. Chcę go odzyskać, myślała. Chcę władzy, pozycji. Chcę, by jak niegdyś w Vauxhall rozlegały się na mój widok szepty: "Patrzenie! To pani Clarke... spójrzcie na diuka..." I wszędzie naokoło poruszenie, uśmiechy, ukłony, tłumy...

Wszystko prysnęło jak bańka mydlana, rwący strumień zmienił się w cuchnącą kałużę.

- A co już kompletnie mnie dobija - ciągnął Charley - to sposób, w jaki znosisz swój los. W ogóle nie starasz się walczyć. Może dlatego, że się starzejesz i po prostu ci nie zależy?

No, zaraz go palnie w ucho albo złapie za gardło... Jak dawniej. Dwoje dzieci wtyka sobie nawzajem nosy do rynsztoka. Szarpia się za włosy, wrzeszczą: "Przestań, bo cię zabiję!" Zamiast tego Mary Anne podchodzi do okna, patrzy przez chwilę na schludny ogródek, na zwirowany podjazd, na sielankowy krajobraz Essex.

- Pakuj się - mówi. - Wracamy do Londynu.

- Dlaczego? Po co?

- Nie zadawaj pytań. Ufałeś mi dawniej, zaufaj i teraz.

- Przywrócisz mnie do służby?

- Tak. A potem złożysz służbowy raport. Twoja przyszłość będzie zależeć od reakcji dowódcy. Jeśli naprawdę chce cię złamać, to odkryje karty.

Nareszcie jakaś akcja, coś, w co można wbić zęby i szarpnąć. Cała złość Mary Anne skupiła się na pułkowniku Fanie, nadętym, przedstawicielu prawa i porządku, wysłanniku Adama i Gordona, a następnie na Ministerstwie Wojny i w ogóle wojsku. Nienawiść rodzi nienawiść. Jedna samotna kobieta przeciwko całemu rodzajowi męskiemu, który wie, na co ją stać. Trzymaj się z dala od naszych szeregów, nie wtykaj nosa w nasze układy. Właśnie dlatego tak jej nienawidzili - bo udowodniła, że jest im równa. Nie przeszkadzała im pani Carey w Fulham ani jej wygibasy na deskach teatralnych - sztukę akceptowano, artyści nie pchali się na nie swoje podwórko. Ale jeśli kobieta bierze inicjatywę, wyciąga rękę po zdobycze mężczyzn i obejmuje dowództwo - co stanie się ze światem? Gmach zaczyna pękać.

W dylizansie do Londynu Charley próbuje zagadywać:

- O czym myślisz? Masz taką groźną minę.

Mary Anne się śmieje.

- Byłam o całe mile stąd, jeśli chodzi o ścisłość. To nie ma nic wspólnego ani z tobą, ani z moją obecną sytuacją. Miałam przed oczami mamę zmywającą naczynia, pochylającą się nad cebrzykiem w małej kuchence bez okna - pamiętasz, jak tam było ciemno? Chłopcy pełzali po podłodze, czepiali się jej nóg, tak że nie mogła się poruszyć. Potem przyszedł ojciec, krzyczał, domagał się kolacji. Pamiętam, że go uderzyłam. Nigdy tego nie zapomniałam.

- Dlaczego właśnie teraz sobie przypomniałaś? Po tylu latach...

- Bóg jeden wie...

Dylizans wpadł między zaułki, kołyszając się z boku na bok. Mary Anne złapała za poręcz, drugą ręką przytrzymując się Charleya. Rozjaśniło się jej w głowie. Była pewna siebie, zadowolona. Koniec z pied-à-terre przy Burlington Street. Russell Manners wyjechał do Indii - dobrze się składa, pani Clarke nie potrzebuje teraz komplikacji, nie chce też, żeby o jej obecności zwiędzieli się wierzycciele.

Dwa dni w hotelu, potem wynajęte mieszkanie w Hampstead. Położyła kwiaty na grobie Edwarda, zasadziła cebulki, żeby zakwitły na wiosnę, ale wcale nie myślała o zmarłym synku, tylko o George'u. Hampstead było nostalgiczne, rodzinne, pełne wspomnień... nie, nie o miodowym miesiącu z Josephem, tylko o Billu. Pani Andrews z Żółtego Dworku powitała ją miło i serdecznie. Niestety nie ma teraz wolnych pokoi, całe piętro wynajęła na najbliższe pół roku pewnemu wydawcy. Sir Richard Phillips. Czy pani Clarke zna to nazwisko? Zna... I w przyszłości je wykorzysta. Wydawca może się przydać, to zależy od planów. A tymczasem, czy pani Andrews zechce polecić ją komuś? Szuka mieszkania dla siebie i kapitana Thompsona, a później i dzieci. Oczywiście, może spróbować u pana Nicholasa przy Flask Walk, w New End. To bardzo porządny jegomość, piekarz z zawodu.

Mieszkanie wynajęto. Scena do pierwszej rundy gotowa.

Liścik wysłany na Portman Square pozostał bez odpowiedzi, ale... 20 listopada kapitana Charlesa Farquhara Thompsona przywrócono do służby w 59. Pułku Piechoty. Z triumfalnym uśmiechem Mary Anne pokazała bratu gazetę.

- Obiecałam, prawda?

- Tak, ale co teraz?

- Dołącz do pułku w Colchester. Jeśli pułkownik Fane wysunie pazury, natychmiast mnie zawiadam.

George był ciągle bezpieczny w Chelsea, ale Charley miał rację; małego wykreślono z listy do Marlow. Adam był członkiem zarządu, Gordon także - łatwo pojąć, co się za tym kryje. Teraz najważniejszy jest Charley, George może poczekać. W Hampstead u pana Nicholasa pomieszczą się wszyscy, razem z francuską guwernantką (o szkole trzeba zapamiętać) i Martą. Matka na razie może zostać w Loughton. Zrobiła się z niej roztrzęsiona staruszka, ciągle narzeka i wypytuje, dlaczego JSK\$W ich nie odwiedza.

W końcu tygodnia Charley wrócił z Colchester. Wystarczył jeden rzut oka, by dostrzec kolejne kłopoty.

- Co tym razem?

- Muszę się przenieść. Pułkownik Fane nie chce mnie w swoim pułku.

- Podał powody?

- Te same co przedtem - oddalenie się bez przepustki. I jeszcze coś. Pamiętasz te weksle wystawione na Russella Mannersa, które matka podpisała, a ty wysłałaś mi w lecie? Miały być wykupione przez Rowlanda Maltby'ego z Fishmongers' Hall, więc tuż przed chorobą i wyjazdem poszedłem do płatnika w Leeds po gotówkę. Tymczasem w Fishmongers' Hall odmówiono zapłaty i teraz nie ma dowodu, że przedłożyłem weksle w dobrej wierze. Dowódca mówi, że wniesie sprawę o oszustwo.

- Ależ to śmieszne. Rowland Maltby zawsze honoruje weksle Russella.

- I tu się mylisz. Maltby odmówił honorowania tych właśnie weksli. Zdaje się, że były jakieś tarcia między tobą, Mannersem i Maltbym przy Barlington Street, zanim wyjechałaś do Loughton? Obaj pukali do twoich drzwi, a ty ich nie wpuściłaś?

- Och, dobry Boże! Obaj byli zalani w trupa, a ja czułam się wykończona.

- Cóż, to jest odpowiedź. Ale płatnik dał mi pieniądze, a weksle wróciły. Jeśli sprawa trafi do sądu, to będzie mój koniec.

- Czy pułkownik Fane zapowiedział, że wniesie oskarżenie?

- Powiedział, że jeśli się przeniosę, to ukręci łeb sprawie.

- Doskonale. Uzyskasz przeniesienie. Będziesz je miał przed Gwiazdką.

Tym razem nic nie pomogło. Listy wysłane na Portman Square wróciły nie rozpieczętowane. Charley zwrócił się z prośbą o posłuchanie. Prośba została odrzucona. Marta, która była w dobrych stosunkach z personelem z Portman Square, poszła odwiedzić starych znajomych w kuchni. Zobaczyła nowych ludzi, którzy zamknęli jej drzwi przed nosem. Zdaje się, że pan Adam wymówił jej przyjaciółom. Mary i Ellen były śledzone podczas przechadzki po Heath Street. Francuska guwernantka dostała ataku hysterii i zapowiedziała, że odchodzi. Ktoś ją zaczepił na ulicy i próbował wypytywać: "Czy pani Clarke mieszka w Hampstead? Jaki jest jej adres?"

To mogli być wierzyciele albo nawet Joseph, ale bardziej prawdopodobne, że szpieczy Adama, którzy wpadli na ich trop. Charley krążył nerwowo po małym saloniku, gryząc paznokcie i zerkając przez okno.

- Przyszło coś w sprawie mojego przeniesienia?

- Jeszcze nie.

Nie ma potrzeby wspominać, że jego kariera została zablokowana. Mary Anne pisała do pięćdziesięciu pułków, ze wszystkich przyszła odmowa. Żadna agencja nie chce go wciągnąć do swoich rejestrów. Z kwatery głównej musiała wyjść notatka; C.F. Thompson jest na czarnej liście. Przyjaciele, na których pani Clarke mogła liczyć dwa lata temu, nagle powyjeżdżali z miasta, zachorowali, nie mieli czasu.

Udała się do Willa Ogilvie'ego. Przynajmniej ten powie jej prawdę.

- Co się stało, Will?

- Nie czytasz gazet?

- Przecież wiesz, że całe lato i jesień aż do ubiegłego miesiąca spędziłam w Loughton.

- Mówiłem ci, żebyś śledziła przebieg wypadków. Są pouczające. Ale ty pozwoliłaś swojemu umysłowi zardzewieć, bo zapatrzyłaś się na Coxheada_Marsha i jego bażanty.

- Jeżeli sądzisz, że to taka przyjemność... Co z tymi gazetami?

- Ataki na J\$K\$W prawie każdego dnia. Pamflety plują jadem, balansując na granicy przyzwoitości.

- Cóż to ma wspólnego ze mną?

- Oficjalnie nic. Ale wszyscy w Ministerstwie Wojny uważają, że to ty je piszesz.

- Ba! Żeby to była prawda!

- Teraz próbują się dobrać do twojej przeszłości. To znaczy Adam próbuje, a także Greenwood. Nie chodzi im o małżeństwo, interesują się raczej twoimi... próbami literackimi, tymi ubocznymi zarobkami w Holborn.

- Czy dlatego usiłują wyrzucić Charleya z wojska?

- Oczywiście. Twój brat wpadł po samą szyję.

- Will, przecież to nieprawda.

- To nie ma znaczenia. Jesteś obsmarowana błotem i wszystko im się zgadza. Chodzi o to, żeby ludzie, czytając gazety, mówili sobie: "Nie ma dymu bez ognia, ryba psuje się od głowy" i tak dalej. Nasz przyjaciel J\$K\$W zaczyna wypadać z łask. Nie tylko on sam traci popularność, lecz także to, co reprezentował: wojsko, Kościół, torysowski rząd, wojna z Francją, brytyjska konstytucja. Niech no tylko minie parę miesięcy - i spróbujemy sobie poczynać nieco śmieiej niż przedtem. Ty nie grasz w szachy, więc co ci będę tłumaczył. Jesteś znakomitym pionkiem w pewnej grze, którą uprawiam od czterech lat, konkretnie od 1793 roku, kiedy to Francja uwolniła się od ciężaru.

Wzruszyła ramionami, poirytowana.

- Wciąż ci w głowie republika? Dobrze, baw się w to sam. Mówiłam ci już przedtem: dla mnie najważniejsze jest bezpieczeństwo mojej rodziny i mnie samej. W tej chwili obchodzi mnie tylko Charley. Próbują go wyrzucić z pułku.

- Niech wyrzucają. To nie ma znaczenia.

- Dla niego ma. Dla mnie także. Prędzej trupem padnę, niż dopuszczę, żeby go usunęli bez powodu. Nie możesz mu załatwić przeniesienia?

- Jest na czarnej liście. Nic na to nie poradzę ani ja, ani nikt inny. Patrz perspektywicznie, kochana, i nie ekscytuj się tak. Najdalej za rok rząd upadnie. J\$K\$W straci dowództwo... Trochę cierpliwości.

- Mój brat jest załamany, a ja go kocham. Jedyne nadzieje to sprawić, żeby diuk zrozumiał, o co w tym chodzi. Czy on ciągle odwiedza panią Carey w Fulham?

- Masz nieaktualne wiadomości. Teraz zabawia się z żoną para. Posłuchaj mnie uważnie, zmieniamy całkowicie taktykę. Nie będziesz próbowała go odzyskać. Ty go zmiążdżysz!

Maska układności opadła. Czarne oczy błysnęły złowrogo. To był inny Ogilvie - twardy i bezlitosny.

- Robiąc z siebie idiotkę z powodu brata - ciągnął - marnujesz tylko czas. Ale kiedy go już wyleją, a możesz być pewna, że to nastąpi - wróć do mnie; powiem ci, co masz robić. W Loughton było nudno, co? A w Devon, wśród wodorostów, jeszcze nudniej.

Nie cierpiała tego człowieka. Lubiła go. Bała się. Ufała mu.

- Dlaczego - zapytała - zawsze cię słucham?

- Ponieważ nie potrafisz już inaczej żyć.

Odprowadził ją do powozu i zamknął drzwiczki. Mary Anne wróciła do Hampstead, gdzie zastała zdenerwowanego Charleya i dzieci.

- Jakiś mężczyzna obserwuje nas z domu naprzeciwko. Pytał panią Nichols, czy wysyłałaś listy na Fleet Street.

- Bzdury. Nie zwracajcie na to uwagi. Jakiś pijak czy ktoś w tym rodzaju...

Podjęła ostatnią próbę i napisała na Portman Square, a Charley wysłał list prosto do dowództwa Konnej Gwardii.

Otrzymała w odpowiedzi parę zdań skreślonych w środku nocy.

"Nie rozumiem, o co Ci chodzi. Nigdy nie upoważniałem nikogo do dokuczania Ci ani do zakłócania Twojego spokoju. Możesz być absolutnie pewna, że nie mam z tym nic wspólnego".

List do Charleya był zwięzły, oficjalny i zawierał rozkaz natychmiastowego stawienia się w Colchester.

- Więc już wszystko w porządku? Nie muszę się przenosić?

Charlie pomachał drukowanym formularzem. Oczy mu błyszczały. Odzyskał pewność siebie.

- Cóż, chyba nie musisz...

Uśmiechnęła się i ucałowała go. A zatem Ogilvie się mylił. Nie było żadnego odwetu.

Charley pobiegł po swój ekwipunek i natychmiast wyruszył.

Trzeba było pomyśleć o George'u. Marlow czy Woolwich - powinno pójść gładko teraz, kiedy załatwiła sprawę Charleya. Wszystko wydawało się proste. Dzieci były zadowolone, nikt nie marudził, panowało ogólne ożywienie. Naturalnie, wraz z wyjazdem Charleya dał się odczuć pewien brak. Nie było w domu mężczyzny. Nie, nie chodziło bynajmniej o kogoś nowego, kto wymagałby zachodu i wysiłku, ale o człowieka, którym nie musiałyby się przejmować, który by znał jej humory i rozumiał ją. Nikt jakoś tu nie pasował... Nagle wzrok Mary Anne padł na gazetę. Zaraz, zaraz... Czy ekspedycja z Buenos Aires wróciła?

Wojna w Ameryce Południowej zakończyła się fiaskiem. rozproszyła tylko siły armii, na czym właśnie zależało przeciwnikowi. Błąd naczelnego dowództwa czy polityków? Mniejsza o to, ważne, że Bill mógł wrócić. Nie myślała o Dowlerze przez półtora roku, ale teraz właśnie jego potrzebuje. Zaraz napisze do Uxbridge. Powinien już tam być.

Zapomniała, jak bardzo chciała go usunąć z drogi. Powodowana dumą, po sprzedaży domu przy Gloucester Place cieszyła się, że zniknie jej z oczu i rozdzielią ich tysiące mil.

Teraz - humor się zmienił jak chorągiewka na dachu. Hampstead... Ich związek... Tak, Bill jest mężczyzną, którego jej trzeba. Boże! Tyle ma mu do powiedzenia! wszystkie bulwersujące wypadki, diabelskie knowania Adama i Greenwooda, nieszczęsny J\$K\$W jako bezsilne narzędzie w rękach swych urzędników, zmuszony do jej porzucenia (nie ma potrzeby wspominać o pani Carey). Katastrofa za katastrofą, ale proszę, przeżyła, i to wyłącznie dzięki własnym zdecydowanym wysiłkom. Russel Manners, Rowland Maltby, Coaxhead_Marsh? Po prostu starzy przyjaciele, którzy czuli się zobowiązani.

Charley został wyprawiony do Colchester, Billa wezwano do Hampstead. Próbował jej opowiedzieć coś o piekle, przez które przeszedł w Buenos Aires, o nędzy, chorobach, klimacie. Mary Anne słuchała przez pięć minut, potrząsając ze smutkiem głową, potem mu przerwała; znów przyjął rolę słuchacza, do której od dawna przywykł. Miesiące, lata odpłynęły, znowu był tutaj, cichy, niezawodny, solidny, wierny, pełen uwielbienia. Co za szczęście, co za ulga, że można się poczuć tak swobodnie, jak w wygodnych, miękkich pantoflach! Zupełnie jakby stary, wypłowiały, zapomniany na dnie szafy szlafrok nabrał nagle nowych kolorów.

- Zostaniesz ze mną, prawda? - szepcze całując go za uchem.

- Czy to nie wyglądałoby trochę dziwnie? Dzieci podrosły...

- Wyślę je do Loughton, do mamy.

Wracają stare przyzwyczajenia. Uwielbienie koi nerwy, zwłaszcza gdy apetyt osłabł, a zainteresowanie ewentualnymi odkryciami kompletnie zanikło. Bill mógł zostać aż do następnego przydziału, który nie wiadomo kiedy nastąpi. Na razie nie nadeszły żadne rozkazy. Wypłacają mu pół pensji, starczy na bieżące wydatki.

Obiecana pensja od diuka nie wpłynęła, ale gdy Mary Anne mieszkała w Loughton, nie przejmowała się tym. To na pewno robota Adama, to on wstrzymał wypłatę. Jeszcze jedna drobna sprawa do załatwienia w niedługim czasie.

- Bill, jakie to dziwne. Ani słowa od Charleya.

- Prawdopodobnie czeka na rozkazy, podobnie jak ja. Jego pułk może być przygotowywany do wyjazdu za granicę. Londyn trzęsie się od plotek, że wracamy do Hiszpanii z Wellesleyem

(Artur Wellesley, przyszły książę Wellington, pogromca Napoleona pod Waterloo)

jako dowódcą nowej ekspedycji.

- Obawiam się, że Charley jest chory. Ma dość słabe zdrowie.

- Dobrze mu zrobi, jak powącha trochę prochu.

- Niczego bardziej nie pragnie - odparła szybko - jak tylko pokazać całemu pułkowi, ile jest wart. Do tej pory nie dano mu szansy.

Milczenie ze strony brata okazało się pierwszą chmurką na niebie, pierwszą zapowiedzią burzy. Nim upłynęła doba, nadeszło wyjaśnienie. W "London Gazette" stało czarno na białym: "Kapitan Charles Farquhar Thompson z 59. Pułku Piechoty znajduje się pod ścisłym aresztem, w oczekiwaniu na sąd wojenny".

Will Ogilvie - bóg czy szatan - okazał się prorokiem. Idylla w Hampstead skończona. Zaczęła się walka.

Rozdział 10

Mary Anne siedziała w oberży w Weeleigh, koło Colchesteru, z kopią aktu oskarżenia w ręku. - Obok przycupnął polecony przez Comrie'ego, adwokat nazwiskiem Smithies, który pilnie notował pod jej dyktando.

Miejsce po przeciwnej stronie stołu zajmował Rowland Maltby, świadek mimo woli, niezadowolony i skonsternowany, ponieważ wyciągnięto go z domu w Hertfordshire i zmuszono do wystąpienia w sądzie. Mary Anne pojechała po niego powozem dzień wcześniej i zagroziła, że jeśli nie zaświadczy, iż wymienione w oskarżeniu weksle były przez niego poręczone, to ściągnie na dół jego żonę i ujawni różne tajemnice, niezbyt przyjemne zarówno dla niego, jak i dla Indii.

- Co mam powiedzieć?

- Co ci się podoba, byle mojego brata uwolnili od zarzutu oszustwa.

- Nie zyczę sobie być zamieszanym w tę sprawę. Sąd wojenny jest dla żołnierzy, nie dla cywilów.

- Ty go wrobiłeś, więc teraz przemówisz w jego obronie. A może - otworzyła drzwiczki - mam wsiąść z powozu i zapytać o twoją żonę?

Pośpiesznie wciągnął ją z powrotem do środka, wyglądając przez okno, czy nikt nie patrzy.

- Dobrze, pojedę z tobą, tylko muszę to jakoś wyjaśnić. Spotkamy się za godzinę na skrzyżowaniu.

Siedział naburmuszony przez całą drogę do Colchester. Chciał powiedzieć dosadnie tej kobiecie, co o tym wszystkim myśli, ale nawet na niego nie spojrzała, tylko przez całą noc gryzmoliła coś na arkuszu papieru, na pewno jakieś wskazówki dla tego przekłętego brata. A kiedy dojechali o drugiej w nocy na miejsce, za całą nagrodę dostał kanapki w barze i krótkie "dobranoc". Ten oberżysta musiał go chyba wziąć za idiotę.

Teraz odczytywała zarzuty, a prawnik robił notatki.

- Zarzut pierwszy: Skandaliczne i haniebne zachowanie, nie licujące ze statusem oficera i dżentelmena, polegające na oddaleniu się z jednostki bez zgody dowódcy w dniu 21 lipca 1807 roku.

Zarzut drugi: Skandaliczne i haniebne zachowanie, nie licujące... etc., etc. polegające na skłonieniu pana Milbanke'a, płatnika w rejonie werbunkowym Leeds, do zrealizowania dwóch weksli na łączną kwotę stu funtów, które to weksle okazały się bez pokrycia. - Urwała i odptaszkowała ołówkiem oba zarzuty. - No, panie Smithies, proszę tylko dobrze zrozumieć. Mój brat jest niezdolny do przemawiania we własnym imieniu. Pan będzie go reprezentował i przesłuchiwał świadków, czyli mnie i pana Maltby'ego. Mój brat nie przyznaje się do żadnego z tych zarzutów.

- Rozumiem, pani Clarke.

Oddarła kawałek arkusza i podała adwokatowi.

- Co do pierwszego zarzutu, dotyczącego braku przepustki, mam tu pytanie, które chciałabym, żeby pan postawił prokuratorowi w imieniu mojego brata. Po pierwsze: "Czy pan zdaje sobie sprawę, że podczas mojej nieobecności, kiedy to udałem się do Londynu, byłem nieprzytomny z bólu i trzech lekarzy uznało mnie za niezdolnego do służby?" Proszę pamiętać, panie Smithies, że ten sąd wojenny nazywany jest wśród londyńczyków "spiskowym". Chcą się pozbyć mojego brata z wojska, a kto chce psa uderzyć, ten kij zawsze znajdzie. Po drugie: "Czy pan wie, że gdy tylko znalazłem się w Londynie,

natychmiast wysłałem świadectwo lekarskie, by usprawiedliwić moją niesubordynację?" Wszystko jasne?

- Tak, pani Clarke.

- Dobrze. Teraz co do drugiego zarzutu. Nie mogę przewidzieć, o co zapyta mnie prokurator. Będzie się to wiązało z wekslami, które dałam bratu. Podpisane są nazwiskiem mojej matki, Elizabeth Mackenzie Farquhar. Faktem jest, że ponieważ matka cierpi na reumatyzm i nie może pisać, ja piszę za nią wszystkie listy i prowadzę jej rękę. Użyłam jej nazwiska zamiast mojego, ponieważ nie chciałam, żeby mnie łączono z Russellem Mannersem, szwagrem tu obecnego pana Maltby. Chcę, żeby zapytał mnie pan w sądzie: "Czy pan Maltby poinformował panią kiedykolwiek, że nie będzie honorował żadnych weksli wystawionych na Russella Mannersa i płatnych przez Fishmongers' Hall?" Moja odpowiedź będzie brzmiała: "Nigdy!"

Spojrzała na swego milczącego ponuro świadka. Sączył piwo i w ogóle się nie odzywał. Prawnik wytrwale skrobał piórem po papierze.

- Następnie, panie Smithies, zapyta mnie pan tak: "Czy na podstawie tego, co pani wiadomo o transakcji związanej z rzeczonymi wekslami, może pani uznać za możliwe, by kapitan Thompson popełnił rozmyślne oszustwo, nakłaniając pana Milbanke'a do wypłaty?" Na co usłyszy pan odpowiedź: "Oczywiście, że nie. Kapitan Thompson dobrze wiedział, że pan Manners ma wobec mnie zobowiązania".

Rowland Maltby poruszył się niespokojnie.

- Słuchaj, czy musisz poruszać tę sprawę przed sądem?

- Jaką sprawę?

- No... To, że obaj przebywaliśmy z tobą przy Old Barlington Street, podczas gdy nasze żony bawiły w Walii.

- Nie wiem, o czym mówisz... mam lukę w pamięci. Przez "zobowiązania" rozumiem pieniądze. Sprzedałam bransoletkę, dostałam za nią trzysta funtów, sto pożyczyłam Russellowi, który miał kłopoty finansowe. Dlatego właśnie miał wobec mnie zobowiązania. Czyżbyś się ze mną nie zgadzał?

Rowland Maltby wzruszył ramionami i zerknął na adwokata.

- Zobowiązania, pani Clarke. Tak zapisałem.

- Dziękuję, panie Smithies. Co do mnie, to na razie wszystko. Napijmy się kawy.

Wstała i przeciągnęła się. Boże! Jak przyjemnie jest walczyć! I to samodzielnie, na własny rachunek, tak żeby nikt się nie wtrącał. Bill błagałby ją o ostrożność, unikanie ryzyka, rozważę. Dopiero co ostrzegał: "Uważaj. Podejmując interwencję, możesz spowodować więcej szkody niż dobrego". Jak gdyby biedny Charley potrafił sam stawić czoło oskarżeniu. Ci okrutnicy trzymają go już trzeci miesiąc w areszcie, a zarzuty ujawniono zaledwie w zeszłym tygodniu. Teraz, gdy przeczytała nazwiska - zrozumiała powody: każdy z ludzi w sądzie ma powiązania z Adamem, Greenwoodem i pułkownikiem Gordonem. Wszyscy zostali specjalnie dobrani.

Rzucają jej kłody pod nogi, ale nie będzie się przejmować. Oczyści imię Charleya z zarzutów, nic więcej się nie liczy.

- A co z obroną? - spytał pan Smithies. - Pan Comrie sugerował, żeby wezwać któregoś z kolegów z Lincoln's Inn.

(Jedna z czterech korporacji prawniczych nadająca przywilej obrońcy sądowego).

Przygotowalibyśmy razem wystąpienie, a pani brat by je zatwierdził.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Nie ma takiej potrzeby.

- Ma pani kogoś innego na myśli?

- Sama je ułożę.

- Ależ proszę pani...

- Och! Proszę bez dyskusji. Wiem, co napisać.

- Język prawniczy...

- Im słowo dłuższe, tym lepsze. Zaspokoję ich apetyty. Robiłam korektę, kiedy pan nosił koszulę w zębach, panie Smithies. Sprawozdania z sądowych pyskówek to moje pierwsze lektury, pochłaniane na przyzbie przy Bowling Inn Alley. Może pan spać spokojnie, wystąpienie będzie napisane z pełną znajomością rzeczy.

Przesłała im ręką całusa i poszła na górę. Pan Smithies zakaszłał i zerknął na Rowlanda Maltby'ego.

- Przegra pan, oczywiście? - spytał ten ostatni.

- Obawiam się, że tak.

Rozprawa była krótka. Większość świadków poparła zarzut pierwszy. Zarzut drugi wymagał więcej czasu i oskarżenie, nie będąc w stanie pokrzyżować planów siostry oskarżonego, zmarnowało cały ranek z panem Maltbym, który ciągle przeczył sam sobie. Wypytano go dokładnie, ale nie na okoliczność weksli czy pieniędzy, tylko jak długo przebywał z panią Clarke w Loughton, czy dom należał do niej i kto w nim przebywał. Potem na prośbę oskarżonego rozprawa została odroczone. Jego siostra spędziła weekend zamknięta w swym pokoju w Weeleigh, zapisując pracowicie arkusze papieru. Kiedy we wtorek sąd zebrał się ponownie, wystąpienie kapitana Thompsona było gotowe do odczytania.

Wysoki Sądzie!

Ponieważ do wojska wstąpiłem zaledwie cztery lata temu jako człowiek bardzo młody i niedoświadczony, czuję usilną potrzebę, by zdać się na łaskę sądu i prosić o wybaczenie nieregulaminowego zachowania, którego niechcący się dopuściłem.

Gdybym nie był przekonany, że potrafię w najbardziej przekonujący sposób oczyścić się przed Wysokim Sądem z najdrobniejszych nawet śladów winy, o którą zostałem oskarżony w celu okrycia hańbą mojego dobrego imienia, wolałbym się usunąć sprzed ludzkich oczu, skryć twarz przed światłem dnia i pędzić z dala od świata samotny żywot człowieka skazanego na wieczną zgryzotę.

Wysoki Sądzie! Mogę śmiało i z pełnym przekonaniem - aczkolwiek również z głęboką pokorą - stwierdzić, że zatrute strzały wymierzone w mój osobisty spokój i reputację przez wrogie mi siły oraz hierarchię wojskową natrafią na tarczę honoru, niewinności i uczciwości.

Wysoki Sądzie! Wkrótce potem, gdy po raz pierwszy miałem honor wstąpić w szeregi 59. Pułku Piechoty, odkryłem z przykrością, iż nie cieszę się poparciem ani życzliwością pułkownika Fane'a. Gwoli sprawiedliwości przyznaję, że moja młodość i brak doświadczenia mogły stać się przyczyną drobnych nieprawidłowości, przed którymi zapewne uchroniłby mnie bardziej zaawansowany wiek i wiedza o świecie. Pułkownik Fane jednak niewątpliwie nie zadał sobie trudu, by stać się moim spolegliwym mentorem. I oto nagle, bez żadnego przygotowania polecono mi opuścić Newark i zameldować się w służbie werbunkowej w Leeds.

Dołożyłem wszelkich starań, by wypełniać z należytą uwagą powierzone mi zadanie, którego nie powstydziliby się zdolniejszy i bardziej doświadczony oficer, aż do lipca 1807 roku, kiedy to zostałem dotknięty nadzwyczaj poważną chorobą. Kiedy najzdolniejsi lekarze z sąsiedztwa orzekli, iż nie widzą sposobu ulżenia moim cierpieniom, napisałem do pułkownika Fane'a list, w którym przedstawiłem stan mego zdrowia i zwróciłem się z prośbą o przepustkę. Pułkownik Fane stwierdził w odpowiedzi, że nie jest władny udzielić mi przepustki, a jeśli moje zdrowie absolutnie tego wymaga, muszę wysłać świadectwo lekarskie stwierdzające ten fakt do polowego oficera inspekcyjnego. I tak właśnie uczyniłem, ale dopiero po przyjeździe do Londynu. Przyznaję, że zawiniłem błędną oceną sytuacji, ale niech mi będzie wolno zwrócić się do Wysokiego Sądu z pytaniem: czy ten właśnie fakt mógł skłonić dowódcę do postawienia tak młodego człowieka jak ja przed sądem wojennym po to tylko, by zrujnować mu życie - tak jest, życie, gdyż dla człowieka honoru reputacja to życie - i pozbawić wszelkich widoków na przyszłość?

Przystąpię teraz do zwrócenia uwagi Wysokiego Sądu na kilka szczegółów dotyczących drugiego zarzutu. Zwróciłem się do bliskiej krewnej z prośbą o pomoc finansową. Wręczyła mi dwa podpisane

przez siebie weksle, wystawione na nazwisko wielmożnego pana Russella Mannersa, płatne u pana Maltby'ego w Fishmongers' Hall. Weksle były dobre i nie miałem najmniejszej wątpliwości, że w stosownym czasie zostaną zamienione na gotówkę. Dlatego też poprosiłem okręgowego płatnika pana Milbanke'a, by je zdyskontował, co też uczynił. Dowiedziałem się jednak, iż nie zostały wykupione. Nie będę zajmował czasu Sądu podsumowaniem materiału dowodowego, którego każde słowo oczyszcza mnie z winy i potwierdza moją niewinność.

Wysoki Sądzie! Nie jest moim zamiarem dopraszanie się o żadne nienależne mi ustępstwa. Nie czuję żadnej obawy przed wyrokiem, ponieważ wiem, że przy podejmowaniu decyzji panowie sędziowie będą się kierowali wspaniałomyślnością i światłym rozumem. Przed tą decyzją chylę czoło z pokorą i uległością i proszę szanownego przewodniczącego sądu i deputowanego sędziego cywilnego, by przyjęli moje zapewnienie, iż bez względu na to, jaki los mi zgotują, zachowam we wdzięcznej pamięci uwagę, z jaką raczyli mnie wysłuchać.

Pan Smithies usiadł. Był niedużym, zgarbionym, siwym człowieczkiem w okularach. Odczytał wystąpienie bezbarwnym, monotonnym głosem, niczym pastor Lekcję. Ani razu nie zrobił pauzy, by podkreślić jakąś frazę albo wyrzucić na słuchaczach wrażenie. Słowa, które w pokoju hotelowym brzmiały żywo, wzruszająco, szczerze - nie odniosły pożądanego skutku. Więzień siedział sztywno, nie odrywając wzroku od twarzy siostry. Mary Anne patrzyła na pułkownika Fane'a, który właśnie podniósł się z miejsca. Natychmiast dało się wyczuć zmianę nastawienia składu sędziowskiego. Przewodniczący wyraźnie się odprężył, pozostali panowie zmienili pozycję na wygodniejszą. Widać było, że odnoszą się do pułkownika ze współczuciem i życzliwością. Ten zaś odchrząknął, uśmiechnął się i zaczął mówić:

- Panie przewodniczący, panowie sędziowie!

Nie uważałbym za konieczne nadużywać czasu sądu odpowiadając na obronę oskarżonego, gdyby przy tej okazji nie pozwolił on sobie na kilka osobistych wycieczek pod moim adresem.

Jeżeli oskarżony jest niewinny, powinien okazać mi wdzięczność, iż dałem mu okazję do usprawiedliwienia się. Ponieważ mieliśmy podstawy, by zarzuty uznać za ewidentne, oskarżony musi zdawać sobie sprawę, że żaden z oficerów naszego pułku nie zechce się z nim zadawać, zanim nie wytłumaczy swego postępowania przed sądem.

Oskarżony uznał również za stosowne stwierdzić, iż nie poświęcałem mu w Newark tyle uwagi, co innym oficerom, i wyciągnął stąd wniosek o niewłaściwych pobudkach mojego postępowania. Nie ma na to nawet najmniejszego dowodu. Przeciwnie, okazywałem mu nawet więcej względów, niż miałem do tego prawo.

Ma on również do mnie pretensje o wysłanie go do służby werbunkowej. Wprawdzie mam niewątpliwe prawo do rozstrzygnięcia, których oficerów wyznaczyć do tej służby, ale mimo to wyłożę sądowni, dlaczego wybrałem właśnie kapitana Thompsona.

Niejaki pan Lawton, jeden z najbardziej szanowanych oberżystów w Newark, przyszedł do mnie ze skargą na pożałowania godne zachowanie kapitana Thompsona w jego lokalu. Podobno poprzedniego wieczora kapitan ciężko pana Lawtona obraził i temu ostatniemu z trudem udało się powstrzymać go od bójki z kelnerem. Pan Lawton zagroził, że jeśli nie podejmę odpowiednich kroków, by zapobiec takim incydentom w przyszłości, wyśle petycję do naczelnego wodza.

Ponieważ uznałem takie zachowanie za nadzwyczaj szkodliwe dla całego pułku, złożonego w większości z bardzo młodych ludzi, wysłałem kapitana Thompsona tam, gdzie jego przykład nie mógłby stać się zaraźliwy.

Co do pierwszego zarzutu, Wysoki Sąd zechce zauważyć, że w moim liście nie udzieliłem oskarżonemu przepustki, tylko wyjaśniłem, w jaki sposób ma się o nią starać. Nie usłuchał mnie jednak.

Co do drugiego zarzutu, zeznałem już, że nic o tej sprawie nie wiem. Fakt wręczenia weksli został udowodniony, jest rzeczą sądu orzec, czy oskarżony popełnił oszustwo.

Nie będę dłużej zatrzymywał Wysokiego Sądu. Oznajmiam, że podobnie jak kapitan Thompson pragnę, by przekonał on sąd o swej niewinności.

Pułkownik Fane usiadł, a sąd udał się na naradę w sprawie wyroku. Nie zajęło mu to wiele czasu. Orzeczenie wygłosił przewodniczący, który po oczyszczeniu pułkownika Fane'a z wszelkich zarzutów niesprawiedliwego traktowania oskarżonego, surowo potępił tego ostatniego za wysoce niewłaściwy i niczym nie usprawiedliwiony atak na swego dowódcę.

Kapitan Thompson został uznany za winnego pierwszemu zarzutowi, natomiast jeśli chodzi o drugi, to zwrócono mu honor i uniewinniono. Skazano go na usunięcie z szeregów pułku, który to wyrok podlegał zatwierdzeniu przez naczelnego wodza.

24 maja 1808 roku diuk Yorku zaakceptował wyrok w liście do generała porucznika lorda Chathama, dowódcy Wschodniej Dywizji. Tego dnia Mary Anne postanowiła, że się zemści. Mniejsza o to, jak.

Rozdział 11

- Nadal masz zamiar ciągnąć tę sprawę sama?
 - Tak.
 - Mimo że sąd wojenny był przeciwko tobie?
 - Wynik był z góry przesądzony. Widziałam ich twarze. Ale przynajmniej wybroniłam brata z drugiego zarzutu.
 - Masz jakieś pieniądze?
 - Ani pensa. Wynieśliśmy się z mieszkania w Hampstead nie zapłaciwszy komornego. Nicholsowie zabrali moją harfę i trochę książek.
 - A pan Dowler?
 - Dostał przydział ponad miesiąc temu. Odpłynął do Portugalii z pierwszą partią Korpusu Ekspedycyjnego. Byłabym kompletnie osamotniona, gdyby nie Charley, ale on jest zupełnie załamany i nie pozwala mi się ruszyć na krok.
 - A usłużny Coxhead_Marsh?
 - Stał się rozważniejszy. W lokalnych gazetach w Essex było sporo wrzawy na temat sądu wojennego, a przy tej okazji wypłynęła i nazwa Loughton.
 - Czyli, nazywając rzeczy po imieniu, jesteś bez protektora?
 - Z wyjątkiem ciebie. I mojego nieugiętego ducha.
- Will Ogilvie wybuchnął śmiechem.
- Znowu we wspólnym jarzmie? Świat leży u naszych stóp - jestem zachwycony. Teraz przede wszystkim trzeba ci znaleźć dach nad głową. Czy znasz tapicera Francisa Wrighta?
 - Przechowuje moje meble. Te z Gloucester Place, których nie sprzedałam.
 - Racja, sam cię do niego wysłałem, teraz pamiętam. Pracuje dla mnie na boku, oddaje mi różne przysługi. Znajdzie ci jakieś mieszkanie, a potem pomyślimy o domu. Radzę, żebyś teraz wszędzie używała nazwiska Farquhar. "Clarke" może w pewnych środowiskach budzić podejrzenia. Aczkolwiek nie wśród ludzi, z którymi się spotkasz w przyszłości. Folkestone'a już znasz, podobnie jak Burdetta i Cobbeta. To idealisci z grupy radykałów. Nam potrzebni będą ludzie skłonni do kompromisu, jak na przykład Wardle, poseł z okręgu Okehampton. Jest zdecydowany dostać się na szczyt nie przebierając w środkach, im bardziej cuchnące tym lepiej, byle tylko porosnąć w piórka.
 - Nie mam zamiaru mieszać się do polityki.
 - Ależ tak, wmieszasz się, jeśli nie chcesz, żeby twoje dzieci pomarły z głodu. Cel uświęca środki, myślałem, że już to pojęłaś. Czy odbyłaś pogawędkę z tym wydawcą, Richardem Phillipsem?

- Widziałam się z nim w Hampstead, zanim się wyprowadziłam. Nieprzyjemny typ, strasznie zarozumiały.

- Oni wszyscy są tacy. Powinnaś się do nich zbliżyć. Phillips chciałby się zająć drukowaniem list wojskowych, ale nie uzyska koncesji, póki nie zmieni się rząd, z wodzem naczelnym Gwardii Konnej włącznie. Poznałaś McSculluma?

- Tego pamflicistę? Nie, to trzeciorzędny pismak.

- Szykuje w najbliższych dniach prawdziwą sensację, śledztwo w sprawie nadużyć w Królewskim Gimnazjum Wojskowym. Ma dowody, że owa szkoła to naciąganie społeczeństwa, podobno wszyscy kadeci są zarażeni chorobą weneryczną. Ma też parę uwag co do brytyjskich generałów. Boki zrywać. Myślę, że go polubisz.

- A dlaczego uważasz, że właśnie pamflicistów powinnam bliżej poznać?

- Dlatego, moje ślepe kociątko, że ty wiesz więcej, niż oni wszyscy razem wzięci. Im zależy na prawdzie, ty możesz im jej dostarczyć i w rezultacie żyć jak królowa do końca swoich dni. No to teraz idź pogadać z Francisem Wrightem.

Nowe, tymczasowe mieszkanie pani Farquhar i jej brata, kapitana Thompsona, znajdowało się przy Holles Street 11. Za nieposzlakowaną damę z prowincji poręczył Francis Wright z Rathbone Place. Apartament wynajęto na miesiąc, począwszy od czerwca, potem pani Farquhar miała się przeprowadzić na Bedford Place.

W poniedziałek 20 czerwca pan Adam, zamieszkały przy Bloomsbury Place, otrzymał list.

"Szanowny Panie!

Podczas wizyty, którą mi Pan złożył na życzenie Jego Królewskiej Wysokości diuka Yorku w dniu 11 maja 1806 roku, poinformował mnie Pan o zamiarze wypłacania mi przez J\$K\$W dożywocia w wysokości czterystu funtów rocznie.

W związku z tą obietnicą, J\$K\$W jest mi w tej chwili winien pięćset funtów. Pisałam w tej sprawie kilkakrotnie bez żadnego skutku. Zachowanie J\$K\$W wobec mnie jest pozbawione zasad, uczuć i honoru. Ponieważ jego obietnice - mimo iż złożone za Pańskim pośrednictwem - okazały się bez pokrycia, zmuszona jestem podjąć odpowiednie kroki, o czym niniejszym Pana zawiadamiam. Zwracam się do Jego Królewskiej Wysokości o ustanowienie dla mnie dożywotniego zabezpieczenia i o natychmiastowe spłacenie wszelkich zaległości, ponieważ mam bardzo pilne potrzeby (które zresztą są mu znane). Jeżeli J\$K\$W odmówi mojej prośbie, nie będę miała innego sposobu zdobycia środków utrzymania, jak tylko podać do publicznej wiadomości każdy szczegół naszego wspólnego życia i wszystko, czego dowiedziałam się odeń w tym czasie, łącznie z listami. Jestem w posiadaniu dużej ilości tego rodzaju materiałów. Mam nad J\$K\$W większą władzę, niż może to sobie wyobrazić.

Jednakże dla dobra zarówno J\$K\$W, jak i mojego pragnę, by zaspokoił on dobrowolnie moje żądanie. W głębi serca wiem, że wystawienie go na opinię publiczną sprawiłoby mi wielką przykrość. Przed podjęciem decyzji roześlę do każdego członka rodziny królewskiej kopię materiałów, które przeznaczam do publikacji. Gdyby J\$K\$W był choć trochę bardziej punktualny, to moje obecne wystąpienie nigdy nie miałyby miejsca.

Jeszcze jedna sprawa: jeżeli J\$K\$W wycofa się z opieki nad moim synem (jestem mu nadzwyczaj wdzięczna za to, co już dla niego uczynił), mam nadzieję, iż zechce go umieścić w szkole fundacji Charterhouse

(Jedna z najlepszych szkół angielskich) albo też w innej odpowiedniej szkole prywatnej - jako że dziecko nie może odpowiadać za moje zachowanie.

Zechce Pan łaskawie przedstawić powyższe diukowi Yorku. W środę przyślę kogoś do Pańskiego domu, aby dowiedzieć się o intencji J\$K\$W, które proszę wyłożyć listownie

Pańskiej pokornej służce

M.A. Clarke

PSS. J\$K\$W musi zrozumieć, że zasłużył sobie na to wszystko - a nawet na więcej - z uwagi na swe postępowanie w ostatniej sprawie".

Pan Adam nie raczył odpowiedzieć na list. W sobotę otrzymał więc następny.

"Szanowny Panie!

Nie doczekawszy się w środę odpowiedzi na mój list, zmuszona jestem do postawienia pytania, czy J\$K\$W Diuk Yorku uznał za stosowne nie wywiązywać się ze złożonej za Pańskim pośrednictwem obietnicy, a także czy Pan go do tego zachęca.

Tymczasem zajęłam się przelewaniem na papier wszystkich okoliczności mego życia z J\$K\$W, jakie zachowałam w pamięci.

Dzięki załącznikowi w postaci pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu listów J\$K\$W całość nabierze odpowiedniej wagi i wyda się bardziej wiarygodna. We wtorek obiecałam zrobić z nich użytek, jeśli mój list pozostanie bez odpowiedzi. Uprzedzam, że w momencie, gdy wypuszczę je z ręki, odzyskanie nie będzie już możliwe.

Mam zamiar przedłożyć te listy nie któremuś z wydawców, ale dżentelmenom równie upartym jak J\$K\$W, tylko bardziej niezależnym. Są to Pańscy znajomi, którzy zaspokoją moje odrzucone przez innych żądania i uczynią to, czego nie chce uczynić diuk.

Jednakże decyzja w tej sprawie zależy wyłącznie od niego. Postąpi, jak mu się podoba.

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego szacunku".

M.A. Clarke

We wtorek rano przy Holles Street pojawił się wysłannik szeryfa z urzędowym pismem. Wyparł się wszelkiej znajomości z urzędnikiem o nazwisku Adam, natomiast oznajmił, iż przybył z nakazem aresztowania pani Clarke, która winna jest pewną sumę pieniędzy kupcowi z okolic Gloucester Place, niejakiemu panu Allenowi. Kilkakrotnie wysyłane wezwania do zapłaty nie zostały przyjęte do wiadomości.

Pani Clarke, przewieziona przez oficera do aresztu, została uwolniona za kaucją następnego popołudnia. Kaucję wpłacił Francis Wright, tapicer. W sprawie Clarke kontra Allen wygrała Clarke; zeznała, że jest mężatką. Miejsce pobytu męża nieznane. Czerwcowe komorne za mieszkanie przy Holles Street zostało uregulowane przez tego samego Francis Wrighta, działającego, jak się wydaje, z pobudek rycerskich, które zapewne skłoniły go również do oddania do dyspozycji pani Clarke domu przyjaciela przyjaciół przy Bedford Place.

Rundy trzecia i czwarta zakończyły się z grubsza biorąc remisem. Żadna ze stron niczego nie zyskała, nie stwierdzono też żadnych strat.

W końcu lipca, a może na początku sierpnia, tuż przed wyjazdem do Brighton, księżę Walii otrzymał w Carlton House pachnący anonimowy bilecik. Skreślono na nim zaledwie kilka zdań i podano adres: Bedford Place 14. Zaintrygował go zapach oraz aluzja do jego młodszego brata, diuka Yorku. Tym, co przyciągnęło oko adresata, była pieczętka - kupidynek na osiołku. Żart spodobał się księciu. Rzucił bilecik Mc\$mahonowi, swemu prywatnemu sekretarzowi.

- Idź i dowiedz się, czego ta baba chce, ale nie wchodź na górę. Jeśli to osoba, którą mam na myśli, to ani się obejrzysz, jak ci ściągnie portki.

Pułkownik Mc\$mahon, człowiek przyzwyczajony do tego typu utarczek, pojawił się przy Bedford Place, ale przed wizytą chciał się upewnić, z kim ma do czynienia. Drzwi otworzyła mu krępa, flegmatyczna służąca.

- Słucham pana?

- Przepraszam, do kogo należy ten dom?

- Do pani Farquhar, psze pana.

Nazwisko nic mu nie mówiło. Jego pan musiał się pomylić. Dom wyglądał przyzwoicie.

- Chciałbym się widzieć z panią Farquhar.

- Proszę wejść.

Salon był trochę niechlujny, nie posprzątany, po wczorajszej kolacji krzesła wciąż stały byle jak.

- Pańskie nazwisko?
- Wolałbym się nie przedstawiać. - Wyjął z kieszeni bilecik. - Przychodzę w związku z tym, twoja pani powinna wiedzieć.

Pyzata służąca spojrziała zdumiona.

- Rzeczywiście, psze pana. Sama zaniiosłam to na pocztę. Pójdę powiedzieć pani.

Mówiła swobodnie, bez specjalnego respektu. Musi być już długo w tej rodzinie. Czekał z pewną niecierpliwością, aż wreszcie po dwudziestu minutach poproszono go do drugiego pokoju.

Na sofie ~a la R~ecamier spoczywała dama z włosami zwinętymi w grecki węzeł. Na szczupłych stopach miała sandałki. Pokój był zaciszny... w pobliżu ani żywego ducha. Podniosła się z promiennym uśmiechem, zamierzając wykonać dworski ukłon - wtem spostrzegła, że to nie księżę... i odetchnęła z ulgą.

- Witam pana. Nie sądzę, bym miała przyjemność...?
- Nazywam się Mc\$mahon. Mam zaszczyt być osobistym sekretarzem księcia Walii. Czy pani Farquhar?
- Od czasu do czasu używam tego nazwiska.
- Jest pani, jak sądzę, przyjaciółką pani Clarke?
- Najbliższą przyjaciółką. Nikt nie zna jej tak dobrze jak ja. Przyznam z ręką na sercu, że żadna z żywych istot nie ma dla niej tyle względów. Pan jej nie zna?
- Nie, proszę pani. Znam jej reputację, ale nie ją samą.
- Co mówi samo za siebie, prawda? Proszę mnie oświecić w tej materii.
- Przykro mi, pani Farquhar, jeśli ta osoba jest pani przyjaciółką, ale, niestety, nie słyszałem o niej niczego dobrego. Powszechnie wiadomo, jak bardzo okazała się niewdzięczna wobec diuka Yorka, pomimo jego nadzwyczajnej wprost wspaniałości.
- Czy to naprawdę taka straszna niewdzięczność, kiedy poświęca się życie księciu, a po trzech latach jest się zmuszoną do ucieczki na wieś z obietnicą pensji, której się nie otrzymuje?
- Nic o tym nie wiem, proszę pani.
- Była nękana przez szpiegów i wierzycieli, zagrożona więzieniem, jej brata usunięto z wojska - to ma być wspaniałość? Czy księżę Walii tak samo potraktował panią Fitzherbert?
- Żałuję, ale nie mogę rozmawiać na temat mojego znakomitego pana.
- A ja mogę. Uważam, że jest wspaniałością, zawsze taki był, ale nie chcę odbiegać od tematu. Pułkownik Mc\$mahon, być może pani Clarke nie zechce powierzyć trzeciej osobie, tego, co ma do powiedzenia samemu księciu Walii...
- Wobec tego musi się rozczarować. Jego Królewska Wysokość wyjechał dziś rano do Brighton. Upoważnił mnie do wysłuchania wszystkich przeznaczonych dla niego wiadomości.
- Gdybym wiedziała, że pojechał do Brighton, udałabym się tam także.

Pułkownik Mc\$mahon podkręcił siwego węża.

- Jego Królewska Wysokość zapewne pożałuje straconej okazji. W tych okolicznościach musi pani zadowolić się mną. To pani jest panią Clarke, czyż nie?

Uśmiechnęła się promiennie i wyciągnęła do niego ręce.

- Oczywiście, że tak.
- Wobec tego tyśkrotnie przepraszam za wszystko, co powiedziałem. Pogłoski, proszę zrozumieć... a poza tym obraz, który mam przed sobą, bardzo się różni od portretu nakreślonego przez inne osoby.
- Na przykład przez Adama? I zapewne także Greenwooda, co? Nie powinien pan ich słuchać. Proszę usiąść przy mnie...

- Korupcja ciągnie się za nami aż za grób - rzekła - i potem rozprawia się w piekle z wszystkimi ideami. Napije się pan kawy? Rondle już rozpakowane, a także jedno pudło z porcelaną.
- Dziękuję, zależy mi tylko na pani uwadze. Kiedy nasz wielki kraj, który wzdycha do wolności skrepowany przestarzałymi więzami...
- A gdybyśmy tak darowali sobie te wstępy i przeszli do interesu?
Urwał. Wąskie oczy jakby jeszcze bardziej się do siebie przybliżyły.
- Przepraszam, zagalopowałem się. Mówię jak do elektoratu... Od mojego przyjaciela dziennikarza, pana McSculluma, dowiedziałem się, że nie ma pani ochoty wspomóc go przy pamfletach dotyczących diuka Yorku?
- Dowiedział się pan prawdy.
- A jednak, pani Clarke, została pani paskudnie potraktowana. Można by sądzić, że kobieta z charakterem pragnęłaby odwetu?
- Odwet bez zabezpieczenia jest bezużyteczny. Pięć funtów uzyskane na boku za pamflet nie zapewni przyszłości ani mnie, ani moim dzieciom.
- Rozumiem. Chodzi pani o wyższe wynagrodzenie? Wobec tego wyłożę na stół odpowiednie karty. Moi przyjaciele, członkowie naszego stronnictwa w Izbie Gmin, i ja jesteśmy zdecydowani podnieść sprawę nadużyć w armii podczas najbliższej sesji Parlamentu. Naszym ostatecznym celem jest pozbawienie diuka stanowiska.
- Dlaczego? Co on takiego zrobił?
- Reprezentuje system, który chcemy obalić. Zaczniemy od niego, a potem rozsypiemy całą talię kart i sami przejmujemy władzę. Na czele postawimy kogoś daleko bardziej uległego, kto zrobi, co mu się każe.
- Oto prawdziwy patriotyzm!... Kim jest ta osoba?
Pułkownik Wardle obejrzał się na drzwi.
- Diuk Kentu - szepnął.
Mary Anne roześmiała się tłumiąc ziewnięcie.
- Jestem zawiedziona. Myślałam, że raczej awansujecie jakiegoś kaprała. Ta metoda poskutkowała we Francji. A wy po prostu zamieniacie siekierkę na kijek.
- Nasz naród jest przywiązany do tradycji. Nie za wiele zmian naraz... Trzeba działać stopniowo. Jego Królewska Wysokość diuk Kentu ma duże ambicje.
Zauważyła w tonie jego głosu ukrytą drwinę. I to wszystko mówi człowiek, który na pierwszym miejscu stawia dobro kraju!
- Może mi pan wyjaśni, na czym polega moja rola?
- Wie pani oczywiście o złych stosunkach między braćmi, o wzajemnej zazdrości? Chcemy to wygrać. Pamflet McSculluma rzuca trochę światła na owe sprawy - tu będzie nam potrzebna pani pomoc, pani zna szczegóły. Jeśli to pani nie odpowiada, może nam pani podać dane na temat handlu awansami, co jak rozumiem, było pani jedynym źródłem utrzymania w czasie znajomości z diukiem, i na co miała pani jego zgodę.
- Skąd pan to wie?
- Powiedział mi przysłowiowy mały ptaszek... Jeśli będę miał na to dowód i przedłożę go w Izbie, diuk wyleci z dowództwa na zbitą twarz.
- Co mi to da?
- Zło będzie naprawione. Diuk Kentu zostanie wodzem naczelnym. Powiedział - zresztą mojemu osobistemu przyjacielowi - że osoba, która mu pomoże w uzyskaniu nominacji, dostanie pełną rekompensatę z nawiązką. Tak się składa, że bardzo się przejął tym, jak okropnie panią potraktowano. Nie tylko zresztą panią; diuk zna także przebieg sprawy w sądzie wojennym. Rozumiem, że uważa za punkt honoru przywrócenie pani brata do służby i wyznaczenie pani pensji - nie jakiejś tam jałmużny w postaci paru setek, ale kilku tysięcy.

(Królowa Icenów, jednego z plemion brytyjskich, przywódczyni krwawo stłumionego powstania przeciwko Rzymianom w r. 61).

Z powrotem do Londynu, na Westbourne Place, gdzie codziennie przyjmuje takie czy inne wizyty. Will ze swej strony śle listy:

"Co innego Ci pozostało? Co stanie się z Twoimi dziećmi, jeśli odmówisz? W końcu gra jest warta świeczki, chodzi o ostateczny sztych. Niczego nie ryzykujesz, Dodd ma stuprocentową rację. Nie mogą Cię oskarżyć ani zamknąć. Nie masz nic do stracenia, nawet jeśli sprawa nie wypali".

Więc dobrze, pani Clarke pójdzie na całego. Przejrzy korespondencję, odświeży wspomnienia z tamtych lat. Wiele listów zostało spalonych, te zaś, które zostały, nadają się raczej do celów osobistych niż urzędowych. Gdzie są teraz ci różni faceci, którzy wpłacali gotówkę? Przeważnie za morzem albo zginęli, albo nikt o nich nie pamięta. Pułkownik French, kapitan Sandon... Sandon jest gdzieś w Anglii. Donovan może pamiętać inne nazwiska. Na pierwszy ogień pójdzie muzyk Corri i ktoś o nazwisku Knight, pacjent doktora Thynne'a. Mary Anne nigdy nie przyszło do głowy, aby pamiętać takie informacje. To listy miłosne przechowywała związane wstążeczką, a nie dokumenty związane z wojskiem.

- Przeszukała pani wszystkie kufrы? - pyta pułkownik Wardle, którego chude, chciwe palce aż drżą z niecierpliwości.

- Od roku 1806 przeprowadzałam się ze sześć razy. Zanim przejrzę rzeczy oddane na przechowanie, upłyną tygodnie.

- Gdzie one są?

- U Wrighta, przy Rathbone Place.

- Mogę tam z panią pojechać?

Spojrzała na blisko osadzone oczy, drżące nerwowo ręce.

- Jestem winna Francisowi Wrightowi sporą sumę. Ten dom, jak pan widzi, nie jest do końcaumeblowany. Tapicer trzyma moje rzeczy, póki mu nie zapłacę.

- W takim razie niech mu pani opowie o swoich nadziejach na przyszłość.

- Za pańskim poleceniem?

- Ależ oczywiście.

Zabrała go na Rathbone Place, gdzie się okazało, że Francis Wright leży w łóżku, ranny w nogę. Przyjął ich brat poszkodowanego - Daniel. Jest mu bardzo przykro. Czy mógłby w czymś pomóc, coś pokazać?

- Tak, Danielu. Pokaż pułkownikowi Wardle'owi rzeczy, które zostawiłam na przechowanie - zasłony, dywany, krzesła. Chcę je zabrać do nowego domu. Co pan sądzi o tym lustrze, pułkowniku?

- Bardzo ładne.

- A te krzesła do jadalni? Sama je malowałam przy Gloucester Place. Danielu, oprowadź pana pułkownika po magazynie i pokaż resztę. Bardzo mu zależy, żeby zabrała do Chelsea to wszystko i co tam jeszcze wpadnie mi w oko. Zostawiam was tutaj, pójdę dowiedzieć się, co z twoim bratem.

Protesty nie wchodzą w rachubę - Wardle powalony na obie łopatki, zupełnie jakby mu przystawiła do głowy pistolet. Zabierać te wszystkie graty na Westbourne Place i pał diabli koszty, czy stracić szansę odzyskania listów i cennych dowodów? Krąży zły po magazynie, nie widząc wyjścia z sytuacji, podczas gdy tapicer zaznacza pozycje na liście.

- To wszystko pochodzi z Gloucester Place? - pyta Wardle trącając laską wspaniałe dywany.

- Och, nie, proszę pana, te są nowe. Przypadły jej do gustu.

- Piekielnie kosztowne gusta.

- Cóż, proszę pana, sam pan wie, jak to jest z panią Clarke. To wesola kobietka, lubi życie w luksusie. Słyszałem, że ma wpływowych przyjaciół.

- Ach, tak?

Niech ją diabli, musiała się wygadać.

Zeszła niepostrzeżenie ze schodów, cała w uśmiechach.

- Biedny Francis Wright, doradziłam mu maść do nacierania. Więc już wszystko uzgodnione? Podoba się panu mój wybór?

- Pomówimy o tym później.

Odwróciła się do Daniela.

- Pułkownik chciał wyrazić aprobatę. Proszę to wszystko odesłać. I nie zapomnij o serwisie diuka de Berry.

W powozie pułkownik Wardle zachowuje głuche milczenie, ona zaś papie wesolo, bez żenady.

- Tak miło znowu żyć w luksusie. Nie wiem wprost, jak mam panu dziękować za tę dobroć. Jak tylko przywieżą moje biurczko, rozejrzę się za listami.

Niech diabli porwą biurko! Listy są w domu. Co za rozkosz! Piękny numer wykreśliła temu patriocie. Dał się naciągnąć na wszystkie meble, łącznie z dywanami. Teraz się nie wywinie, przygwoździła go. Rzeczy dostarczono następnego dnia, a w dwa tygodnie później Francis Wright, już zdrowy, odwiedził pułkownika Wardle'a przy Westbourne Place.

- Rozumiem, że to pan jest owym wpływowym przyjacielem, który tyle tej pani naobiecował. Dała mi do zrozumienia, że jest pan jednym z jej poręczycieli. Skoro tak, to byłbym mocno zobowiązany za zaliczkę w wysokości pięciuset funtów.

Pani, której to dotyczy, uśmiecha się rozbijającą, po czym bąka coś o Izbie Gmin i wspaniałych perspektywach dla wszystkich, łącznie z Wardle'em. Szanowany reprezentant okręgu Okehampton próbuje wyrwać się z potrzasku.

- Nie mam pieniędzy. Nie mogę podpisać czeku. Dałem już pani Clarke sto funtów.

- Ale starczyło tego zaledwie na opłacenie dostawców w Bloomsbury. Biedny pan Wright musi z czegoś żyć, podobnie jak my wszyscy. Poza tym, to przecież nie idzie z pańskiej kieszeni. Ci pańscy przyjaciele z Ealing...

Urwała, widząc przerażenie w oczach Wardle'a.

- Dopilnuję, aby panu zapłacono - wykrztusił - ale proszę zrozumieć, że moje nazwisko nie może być ujawnione. Mam do przeprowadzenia w Izbie bardzo delikatną sprawę, niedyskrecja zrujnowałaby moje plany. Postaram się rzecz zaaranżować przez jakiegoś kupca.

Pani Clarke spojrzała w lustro i mrugnęła do tapicera.

- Jestem pewna, że pan Wright nie będzie robił trudności, tylko musi dostać jakieś gwarancje.

Gwarancje zostały przedstawione tuż po Bożym Narodzeniu przez niejakiego Illingwortha, kupca winnego z Pall Mall 10, dostawcę win Jego Królewskiej Wysokości diuka Kentu. Było to przyrzeczenie wypłacenia Francisowi Wrightowi sumy pięciuset funtów w ciągu trzech miesięcy. Pani Clarke otrzymała od pana Illingforda skrzynkę wina wraz z wyrazami szacunku i zapewnieniem, że zawsze jest gotów do usług. W słomie ukryta była kopia pokwitowania od Wrighta: "W dniu 2 stycznia 1809 roku otrzymałem od R. S. Illingwortha weksel do akceptacji, płatny za trzy miesiące od powyższej daty, wartości pięciuset funtów, które zostaną zaliczone na poczet kosztów umeblowania dostarczonego pani Clarke przy Westbourne Place 2R".

Wino przydało się bardzo na przyjęcie, które wydała w wieczór Trzech Króli dla grupy przyjaciół - dość sympatyczne mieszane towarzystwo - począwszy od pana Corri i paru chłopców, Charleya, oczywiście May Taylor i wuja Toma, a skończywszy na pamphleciście Mc\$callumie, Doddzie i Wardle'u. Wszyscy goście występowali pod pseudonimami, a na powitanie wręczano im spory kieliszek brandy, co powodowało huragany śmiechu. Podczas gdy mali śpiewacy przewracali oczami do Charleya, a Dodd siedział z wujem Tomem przy warcabach, pułkownik Wardle maglował zachwyconego Corriego na temat werbunku prowadzonego przez pułkownika Frencha w roku 1806.

Języki pracują, głowy się chwieją... nikt się nie pilnuje... A oto i tradycyjne ciasto. Mc\$callum znajduje fasolkę.

(W Anglii istniał zwyczaj urządzania w wieczór Trzech Króli hucznych zabaw. Podawano wtedy specjalne ciasto zawierające po ziarenku grochu i fasoli. Mężczyzna, który trafił na fasolkę, był "królem", kobieta, która znalazła groszek - "królową").

- Kim są ci inni panowie? - szepta podkoscycowany zabawą Corri, który ma już dobrze w czubie. - Obawiam się, że byłem trochę niedyskretny.

- Nie martw się pan, oni przysięgli dochować sekretu - uspokaja go gospodyni. - To wszystko są ludzie o nieposzlakowanej uczciwości i niewzruszonych zasadach. Ten, który tam stoi z fasolką, pisuje artykuły do gazet, ale tylko kościelnych, diecezjalnych. Ten dzentelmen na lewo jest posłem do parlamentu, jednym z najbardziej szanowanych. Nazywa się Mellish, reprezentuje hrabstwo Middlesex.

Otarła z oczu łzy śmiechu i pomyślała o prawdziwym panu Mellishu. Widziała go kiedyś; czerwony na twarzy bufon paradujący po St James. Muzykowi oczy omal nie wypadły na podłogę.

- Jak to uprzejmie z pani strony... Taka elita...

Przeprosiła go i poszła przyjrzeć się grze w warcaby. Wuj Tom, który zdążył już dwukrotnie pobić Dodda, gada jak najęty, wyjawiając dziesiątki królewskich sekretów. Mary Anne napełnia im kieliszki i obserwuje, chichocząc w duchu.

- Dogadzałem im od lat, i to nie tylko w sprawach butów, zapewniam pana. Wszyscy książęta po kolei się zgłaszali.

- Z wyjątkiem diuka Kentu - odparł sztywno Dodd.

- Książę Edward? - prychnął Taylor. - Ależ ten był najgorszy ze wszystkich, zanim się wplątał w ową francuską aferę. Tak się bał, żeby go nie przyłapano, że przychodził w przebraniu - miał pożyczoną perukę i kapelusz stangreta. Jego bracia nazywali go Simon Nieskalany.

(Bohater sztuki S. Centlivre; kwakier, pod którego podszywa się ktoś inny).

Dodd odsuwa szachownicę i wymawia się od dalszej gry. Wuj Tom kątem oka zerka na jego surdut. Chryste Panie! Dworskie guziki! Czy to świat się przewraca do góry nogami, czy też on zwariował? Ciągnie panią domu za rękaw.

- Kim jest ten człowiek?

- Nie ma strachu, to handlarz starzyzną, skupuje eleganckie stroje i ozdoby.

Wuj Tom oddycha z ulgą i kończy brandy.

- Przekazał pan diukowi Yorku wiadomość ode mnie?

- Przekazałem, moja droga. Przykro mi, ale nic się nie da zrobić. Jeśli ośmielisz się napisać choć słówko przeciw niemu, wtrąca cię do więzienia.

Ostatnia próba ugody spełza na niczym. No to do boju, po zwycięstwo! Wszystko jedno, jakim sposobem, byle wygrać. Potrzebni są świadkowie: doktor Thynne, pan Knight, nawet Bill - właśnie wraca z Portugalii. Trzeba będzie prosić, namawiać, ewentualnie wzywać drogą urzędową, tak żeby Wardle mógł wnieść sprawę w końcu miesiąca. Niektórzy oczywiście zaprotestują i do niczego się nie przyznają, ale na pewno nie tacy przyjaciele jak Bill. Wardle będzie musiał spróbować z innymi - jeśli zaczną kłamać i twierdzić, że są niewinni, tym gorzej dla nich.

- Muszę stawić się w Izbie osobiście? - spytała.

- Ależ naturalnie, jest pani głównym świadkiem.

Nagły ból ścisnął ją za serce. Przeraziła się. Już za późno, by zawrócić z drogi. Piłka już w grze.

- Jakże mi pan zada pytania?

- Nic strasznego. Najpierw zrobimy sobie próbę tutaj, w pani salonie. Po prostu powie pani prawdę o tych transakcjach.

- Ale przecież inni też będą mnie wypytywać. Co z członkami rządu, którzy zechcą chronić diuka? Czy nie zaczną mnie łapać za słówka, żeby zakwestionować całą historię?

- Bardzo możliwe. Ale ma pani dość rozumu, by dać sobie radę.

Nie ufała mu. Nie ufała nikomu, z wyjątkiem może Willa, mistrza w grze. Dzień przed wniesieniem sprawy do Izby przyszedł wieczorem na obiad, sam, by życzyć współniczce odwagi.

- Myślisz, że naprawdę tego potrzebuję?

- Absolutnie.

Ogilvie patrzy jej poważnie w oczy. Mary Anne czuje, jak lodowacieją jej dłonie - wreszcie sama prawda.

- Jeśli nie stracisz głowy, wyjdiesz z tego cało. Oto sytuacja. W Izbie są z grubsza trzy partie. Pierwsza - rządowa, w zasadzie twardo stoi przy diuku, choć parę osób zapewne zrewiduje swoje stanowisko w trakcie procesu, kiedy fakty wyjdą na jaw. Opozycja poprze oskarżenie i zrobi, co w jej mocy, żeby ci pomóc. Jeśli Wardle zwróci się przeciw nam, co jest prawdopodobne, wesprą cię Francis Burdett i Folkestone. Ponuracy utworzą trzecią i ostatnią partię, złożoną z moralistów i reszty, z Wilberforce'em na czele. Ich najbardziej obchodzi fakt, że diuk utrzymywał metrese; będą popierać opozycję, żeby go usunąć. Faceci, na których musisz uważać, to Spencer Perceval, przywódca partii większości w Izbie Gmin, i Vicary Gibbs, prokurator generalny. Będą próbowali rozszarpać twoje świadectwo na strzępy, nie tyle obalając zarzuty dotyczące owych transakcji, ile rozgrzebując każdą grudkę błota z twojej przeszłości, aby skompromitować cię jako świadka. Stwierdzą po prostu: "Ta kobieta jest załganą do szpiku kości ładacznicą i my to udowodnimy". To samo zrobią z Williamem Dowlerem, chociaż nie przyjdzie im to łatwo. Powołają świadków przeciwko wam obojemu, wszystkich przekupionych przez Adama. Więc teraz już wiesz. Uszy do góry, kochana, uśmiechnij się, wygramy.

Wygramy? Co ona ma do wygrania? Wątpliwą przyjemność odwetu? Możliwość dania kopniaka człowiekowi, który kiedyś był uwielbiany, kochany, szanowany? Okup za urażoną dumę, straconą pozycję?

- Pamiętaj - sęczy jej w ucho Will - o przyszłości dzieci. I brata. On ma coś do zyskania. Kiedy diuk straci dowództwo, wyrok sądu wojennego prawdopodobnie zostanie uchylony i Charley wróci do wojska. Nigdy nie widziałem chłopaka, który by tak się zmienił. On wie, że nie ma po co żyć, jeśli mu nie pomożesz.

Spokojnie dolał Mary Anne wina, obserwując wyraz niezdecydowania w jej oczach. Gdzie jest teraz, zastanawiał się, w przeszłości czy w przyszłości? Kryje się w ciemnej uliczce za straganem z owocami, kradnąc jabłko dla Charleya? Czy raczej stoi przed barierką w Izbie Gmin - samotna kobieta przeciw światu złożonemu z mężczyzn?

Niespodziewanie uśmiechnęła się. Uniosła kieliszek i gwałtownym ruchem zamachnęła się przez ramię. Szkło rozbiło się w drobny mak.

- Zrobiłam to już kiedyś. W Fulham. Zdrowie klanu Mackenzie! Gra toczy się dalej.

Część III

Rozdział 1

W dniu 27 stycznia 1809 roku pułkownik Wardle, radykalny poseł z okręgu Okehampton, wystąpił w Izbie Gmin z wnioskiem o wszczęcie dochodzenia w sprawie trybu, w jaki Jego Królewska Wysokość diuk Yorku, naczelny wódz armii, rozdelał awanse i patenty oficerskie oraz prowadził werbunek.

- Występowanie w charakterze oskarżyciela człowieka takiej rangi jak naczelny wódz może być pochytywane za przedsięwzięcie żmudne i nacechowane zarożumiałością. Jednakże nie powstrzyma mnie od spełnienia obowiązku. Ufam, że bez względu na własną wysoką pozycję i wpływy, Jego Królewska Wysokość odczuje, iż głos ludu, wyrażony ustami jego przedstawicieli, potrafi powstrzymać korupcję i oddać sprawiedliwość cierpiącemu narodowi. Jeśli nie rozprawimy się z całą bezwzględnością z problemem przekupstwa, kraj stanie się łatwym łupem odwiecznego wroga.

Niech nikt nie sądzi, że z lekkim sercem decyduję się na poruszenie tej sprawy. Moje podejrzania opieram na solidnych podstawach i jestem gotów wszystko udowodnić. Proponuję powołać specjalny komitet, który zbadałby poczynania Jego Królewskiej Wysokości diuka Yorku.

Rzecznicy rządu zrywają się z miejsc, by gwałtownie zaprotestować przeciw poddawaniu dostojnego wodza śledztwu w sprawie postawionych mu zarzutów. Proszą Izbę o rozważenie, czy sposób wyposażenia armii wysłanej ostatnio do Portugalii nie świadczy sam w sobie o najwyższych wojskowych talentach diuka Yorku i tym samym nie obala oskarżeń opozycji. W ich opinii grad rynsztokowych obelg, które ostatnio sypią się na bliższych i dalszych członków rodziny królewskiej, może być traktowany wyłącznie jako obrzydliwy spisek przeciwko dostojnemu Domowi Brunszwickiemu. (Okrzyki ze wszystkich stron sali: Brawo! Brawo!)

Debata kończy się propozycją pana Spencera Percevala, ministra skarbu i lidera partii większości, żeby komitet do zbadania sprawy powołać spośród wszystkich członków Izby. Wniosek przyjęto bez sprzeciwu. Uzgodniono, że komitet zbierze się za pięć dni - 1 lutego.

Tych kilka dni wystarczyło, by wiadomość się rozeszła - wszystkie gazety opublikowały całą historię na pierwszych stronach - i gdy nadszedł wyznaczony dzień, w Izbie zebrał się tłum. Przedstawiciele prowincji, którzy nie zaszczylicili dotąd sesji swoją obecnością, walczyli o miejsca na nienawykłych do tego ławach, galerie były zapełnione, kuluary pękały w szwach.

Pułkownik Wardle rozpoczął od oświadczenia, że gotów jest przedstawić dowód wspierający jego pierwszy zarzut. Dotyczy on przeniesienia podpułkownika Brooka na miejsce podpułkownika Knighta i odwrotnie. Na świadka powołany został doktor Thynne. Przed Izbą stanął wysoki, siwowłosy starszy dżentelmen i zeznał, że w 1805 roku zwrócił się do pani Mary Anne Clarke (nad którą od siedmiu lat sprawował opiekę medyczną) w imieniu swego starszego przyjaciela pana Roberta Knighta, brata jednego z dwóch zainteresowanych dżentelmenów. Upoważniono go do złożenia pani Clarke obietnicy, że jeśli użyje ona swych wpływów dla przyspieszenia zamiany, otrzyma za swą uprzejmość dwieście funtów. W odpowiedzi na pytania pułkownika Wardle'a doktor przyznał, że prośbę skierowano do pani Clarke, ponieważ była ona protegowaną diuka Yorku. Świadek doktora Thynne'a zostało potwierdzone przez samego Roberta Knighta, który dodał jeszcze, że po opublikowaniu zamiany przesłał pani Clarke przez służącego dwieście funtów w banknotach.

W tym momencie pojawił się oczekiwany przez wszystkich świadek - sama Mary Anne Clarke. "Ubrana jak na wieczorne przyjęcie - relacjonował nazajutrz "Morning Post" - w bładoniebieskiej jedwabnej sukni obszytej białym futerkiem, z białym zarekawkiem, w białym kapeluszu z woalką. Jej zniewalający uśmiech, lekko zadarty nos i żywe błękitne oczy podbiły dosłownie całą Izbę".

Pułkownik Wardle rozpoczął przesłuchanie.

- Czy w roku 1805 zamieszkiwała pani w domu Jego Królewskiej Wysokości diuka Yorku przy Gloucester Place?

- Tak.

- Czy pozostawała pani wówczas na jego utrzymaniu?

- Tak.

- Czy zwrócono się do pani z prośbą w sprawie pułkowników Knighta i Brooka?

- Tak.

- Czy rozmawiała pani na ten temat z naczelnym wodzem?

- Rozmawiałam.

- W jaki sposób przedstawiła mu pani sprawę?

- Powiedziałam, o co chodzi, po czym wręczyłam karteczkę, którą dostałam od doktora Thynne'a.

- Ile wyniosło pani wynagrodzenie?

- Dwieście funtów.

- Czy naczelny wódz znał tę sumę?

Sala zatrzęsa się od śmiechu. Prokurator generalny podniósł dłoń, domagając się ciszy.

- Jak się nazywa pani mąż?

- Clarke.

- A na imię?

- Joseph, jak sądzę.

- Gdzie się odbył ślub?

- W Pancras. Pan Adam potwierdzi.

Świadek został upomniany przez przewodniczącego, że jeśli nadal będzie odpowiadać w tak impertynencki sposób, narazi się na naganą ze strony Izby.

- Czy umyślnie wprowadziła pani pana Adama w błąd, twierdząc, że ślub miał miejsce w Berkhamstead?

- Nigdzie go nie wprowadzałam. To był taki żart.

- Czy przedstawiała pani swego męża jako bratanka pana radnego Clarke'a?

- Powiedział, że nim jest. Nie fatygowałam się, żeby sprawdzać cokolwiek, co ma jakiś związek z moim mężem. Jest dla mnie niczym, podobnie jak ja dla niego. Nie widziałam go ani nie słyszałam o nim od trzech lat, to jest od momentu, kiedy zagroził diukowi wniesieniem oskarżenia.

- Kim jest pani mąż?

- Nikim. Zaledwie mężczyzną.

- Prowadzi jakieś interesy?

- Żadnych. Mieszka ze swym młodszym bratem i wdową po drugim bracie, to wszystko, co o nim wiem.

- Mieszkała pani kiedyś przy Tavistock Place?

- Tak.

- Konkretnie gdzie?

- Nie pamiętam.

- Czy między zamieszkiwaniem przy Tavistock Place i przy Park Lane mieszkała pani jeszcze gdzieś?

- Nie pamiętam. Diuk wie. Mogłam mieszkać w którymś z jego domów.

- Kiedy nawiązała pani znajomość z diukiem?

- To nieuczciwe pytanie. Mam dzieci.

- Czy kiedy zamieszkała pani przy Tavistock Place, znajdowała się pani pod opieką diuka Yorku?

- Nie, pod opieką matki.

- Czy zna pani niejakiego majora Hogana, który napisał pamflet wymierzony w diuka?

- Nie, nie widziałam go na oczy. Szewc Taylor mówił mi, że pan Greenwood twierdzi, jakoby miała powiązania z autorami pamfletów. Stanowczo temu zaprzeczyłam i teraz też zaprzeczam.

- Czy mówiła pani panu Robertowi Knightowi, że zależy jej na ukryciu przed diukiem owej transakcji na sumę dwustu funtów?

- Nie.

- A jeśli ktoś zaświadczy, że tak właśnie pani mówiła, czy zarzuci mu pani kłamstwo?

- Oczywiście.

- Czy miała pani powody, aby ukryć przed naczelnym wodzem wizytę doktora Thynne'a w sprawie pana Knighta?

- Nigdy nie zależało mi na ukrywaniu przed Jego Królewską Wysokością ani tej wizyty, ani też wizyt innych panów.

Prokurator generalny wrzucił ramionami i machnąwszy z dezaprobatą ręką, ustąpił miejsca liderowi partii większości.

- Kiedy pan Knight wywiązał się ze swej obietnicy?

- Natychmiast po ogłoszeniu zamiany. Tego samego dnia.

- I twierdzi pani, że był to ten sam dzień, w którym poprosiła pani diuka o rozmienienie pieniędzy?
- Nie prosiłam o to diuka Yorku. Pieniądze rozmienił służący.
- Czy za obietnicę wstawienia się do diuka otrzymywała pani pieniądze jeszcze od innych oficerów, którzy chcieli awansować?

Świadek westchnął.

- Sądziłam, że kiedy powiem o sprawie Knighta, będzie mi wolno odejść.

Pozwolono jej opuścić salę, po czym lider większości poprosił Izbę, aby pozwoliła panu Adamowi złożyć oświadczenie. W swym dwudziestominutowym przemówieniu dżentelman ów poinformował Izbę, że w końcu 1805 roku doszło do jego wiadomości, iż Joseph Clarke zagroził diukowi Yorku wniesieniem sprawy o cudzołóstwo. Ponieważ od dwudziestu lat pozostaje w służbie Jego Królewskiej Wysokości, przypadło mu w udziale przeprowadzenie bezpośredniego dochodzenia w tej sprawie. Na podstawie tego, czego się wówczas dowiedział, nabrał przekonania, że postępowanie pani Clarke było niewłaściwe i że brała ona łapówki, o czym uznał za stosowne powiadomić diuka Yorku. Było to nieprzyjemne zadanie, Jego Królewska Wysokość z początku nie chciał uwierzyć. Kiedy jednak dowody okazały się nie do odparcia, Jego Królewska Wysokość postanowił w końcu rozstać się z panią Clarke, a on, Adam, został poproszony o zakomunikowanie kobiecie tej decyzji. Rozmowa była krótka i od tej pory nie widział pani Clarke aż do dzisiejszego dnia.

Jeden z posłów podniósł się, by stanowczo zaprotestować przeciwko temu, by osoba pokroju pani Clarke występowała jako świadek w przesłuchaniu dotyczącym członka rodziny królewskiej. Pan Perceval replikował, że mimo całego niesmaku, jaki owa sprawa budzi, powinna być mimo wszystko doprowadzona do końca.

- Pytanie, na które Izba powinna uzyskać odpowiedź, brzmi: Czy Jego Królewska Wysokość wiedział, że pieniądze były wypłacane w sposób opisany przez tę kobietę? Całe dochodzenie okazałoby się pozbawione sensu, gdyby dowiedziano, że pani Clarke nie zasługuje na zaufanie. Utrzymywała, że jest wdową, a tymczasem jej mąż żyje; mówiła panu Adamowi, że brała ślub w Berkhamsted, podczas gdy naprawdę ceremonia odbyła się w Pancras. Jestem przekonany, że sprawę można oddalić z powodu fałszywych zeznań.

Proces został odroczone.

Mary Anne opuściła Izbę Gmin w towarzystwie brata, kapitana Thompsona, oraz dwóch pań, które z nią przybyły. Lord Folkestone umieścił ją w swoim powozie, wykazując największą troskę o zdrowie świadka. Tłumy, które zgromadziły się wokół pojazdu, zaglądając ciekawie przez okna, odsunęły się z drogi dopiero, gdy konie ruszyły.

Znalazłszy się z powrotem przy Westbourne Place, Mary Anne przyjęła środek nasenny od swego lekarza, doktora Metcalfe.a, po czym udała się na górę wraz z bratem i siostrą Isobel.

- Co za brutale! - wybuchnął Charley. - Żeby cię maglować jak pospolitą kryminalistkę! Co obecna sprawa ma wspólnego z tym, o co cię wypytywali: gdzie i kiedy brałaś ślub, gdzie mieszkałaś? Czemu po prostu nie odesłałaś prokuratora generalnego do wszystkich diabłów?

Rzuciła się na łóżko i przymknęła oczy.

- Zrobiłam to. Najuprzejmiej, jak umiałam. Nie martw się, teraz przynajmniej wiem, czego się spodziewać. Will Ogilvie mnie ostrzegał. Było gorzej, niż myślałam, ale na to nic się nie poradzi. Isobel, przynieś mi trochę wody, dobrze?

Isobel przyniosła wodę, zdjęła siostrze buciki i uklękła przy kominku, żeby zająć się ogniem.

- Nie martwcie się o mnie, kochani. Idźcie spać. Musicie być tak samo zmęczeni jak ja... może nawet bardziej. Charley, sprawdź, czy są jakieś listy.

- Był tylko jeden. Mam go tutaj.

Podał jej list ze znaczkiem z Tilbury. Wysłano go na Bedford Place i przeadresowano. Pismo Billa. Zmięła kopertę w rękę.

- Nic mi nie jest. Powiedzcie Marcie, żeby mi nie przeszkadzała.

- Nie, dzisiaj.
- Ale jest już późno. Muszę zamówić powóz, żeby cię odwieźć do domu.
- Nigdzie nie pojedę. Zostanę z tobą.
- To niemądre...
- Och, na miłość boską, nie mów mi o mądrości! Nie chcesz mnie?

Portier otrzymał karteczkę, którą przekazał kelnerowi:

"Pod żadnym pozorem nie przeszkadzać numerowi 5. aż do rana. Śniadanie dla dwóch osób na ósmą".

Następnego dnia pułkownika Wardle'a poinformowano, że pan Dowler po powrocie z Lizbony gotów jest wystąpić jako świadek oskarżenia i chce się z nim spotkać w niedzielę przy Westbourne Place.

Co mogą powiedzieć Billowi? I dlaczego odpowiadanie na pytania jest taką męczarnią, że doprowadzony do rozpaczy człowiek natychmiast szuka jakiegoś wykrętu? W materiale dowodowym nie było niczego, co budziłoby jej obawy. Brała łąpówki, wiadomo, przyznała się do winy. Mogli sobie wypytywać ją o to, ile chcieli - ale kiedy prokurator generalny poruszył sprawę jej przeszłości, natychmiast poczuła się jak w pułapce, jakby ją zapędzono do kąta bez możliwości ucieczki. Bała się, że zostanie zmuszona do zeznań na temat poprzedniego trybu życia. Wypomną jej kochanków i wszystko to znajdzie się wydrukowane wielkimi literami na czołówkach gazet, trafi na prowincję, dotrze do dzieci.

Biedny Bill, może też czuje się winien, kiedy wspomni starego ojca w Uxbridge. Zawsze tak się wstydził łąpówki, którą dał za swą nominację. To również wyjdzie na jaw, jeśli przyjaciel poprze oskarżenie. Tknięta nagłą paniką, Mary Anne pomyślała, że tego nie zniesie, i kiedy wieczorem przyszedł Will Ogilvie, zażądała, żeby ją wywiózł z miasta.

- Tracę głowę. Nie wytrzymam tego.

Przez chwilę nie odpowiadał. Potem przeszedł przez pokój i trzasnął ją w twarz.

- Ty tchórzliwa suko!

Zatrzęsła się z gniewu i oddała mu policzek. Roześmiał się tylko. Wybuchnęła płaczem.

- W porządku, możesz sobie sklamrzeć. - Patrzył na nią ze skrzyżowanymi ramionami. - Wracaj do rynsztoka. Kryj się, czołgaj jak szczur w kanale. A ja sądziłem, że jesteś dzieckiem Londynu i masz swoją dumę!

- Jak śmiesz zarzucać mi tchórzostwo!

- Kiedy to prawda! Urodziłaś się i wychowałaś w ciemnych zaułkach Londynu, a teraz nie stać cię na to, by stanąć w obronie swojej klasy. Chowasz głowę w piasek, bo królewski urzędnik, prokurator generalny, który nieprzyjemny sposób bycia ma wpisany do obowiązków służbowych, zadaje ci pytania. Boisz się, bo torysi nazwali cię ladacznicą. Bo bezpieczniej jest mleć jęzorem, niż walczyć, bo Izba składa się z mężczyzn, a ty jesteś kobietą. Skoro wolisz zachowywać się jak szczur, to proszę bardzo. Może cię zainteresuje, że znajdziesz się w dobrym towarzystwie. Diuk Kentu właśnie wygłosił przemówienie w Izbie Lordów. Proponuję, żebyś pojechała do niego do Ealing.

Rzucił kawałek szpalty na podłogę i wyszedł z pokoju. Usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi. Podniosła odbitkę i przeczytała tekst przeznaczony do jutrzejszej gazety.

"Izba Lordów, 6 lutego, 1809 roku.

Diuk Kentu uznał za stosowne wspomnieć o pogłoskach, iż między nim a jego królewskim bratem pojawiły się kontrowersje. Wysnuwa się stąd wniosek, że popiera on zarzuty wytoczone przeciw naczelnemu wodzowi. Jednakże mimo różnic poglądów na sprawy profesjonalne, żywi on do swego królewskiego brata najwyższy szacunek i absolutnie nie byłby w stanie działać w sposób, jaki mu się imputuje. Przeciwnie, zamiast wspierać zarzuty przeciwko diukowi Yorku, zrobi wszystko, co w jego mocy, by je ohalic. Na ten temat w rodzinie królewskiej panuje całkowita zgoda. Opinię wyrażoną w niniejszym oświadczeniu podzielają wszyscy jej członkowie".

Mary Anne cisnęła kartkę na stół i podeszła do okna, ale Will Ogilvie już zniknął. Zawołała Martę.

- Gdyby przyszedł pułkownik Wardle, to leżę w łóżku. Powiedz mu, że stawię się jutro w Izbie Gmin, obojętne o której godzinie zechce mnie wezwać.

Simon Nieskalany mógł się pokajać. Ale nie Mary Anne.

Rozdział 2

W następnym wtorek, kiedy śledztwo zostało wznowione, pułkownik Wardle oświadczył, że przechodzi do drugiej sprawy, dotyczącej poboru rekruta przez pułkownika Frencha, i wezwał kapitana Sandona. Tak jak się obawiał, świadek zaprzeczył, jakoby przypominał sobie rozmowę na ten temat z panią Clarke. Sprawa prowadzenia werbunku została całkowicie uzgodniona między tą panią a pułkownikiem Frenchem. On uważał, że nie powinien się do tego wtrącać. Przyciśnięty do muru przez pułkownika Wardle'a, stwierdził jednakże, że kilkakrotnie wypłacił pewne sumy - łącznie osiemset czy osiemset pięćdziesiąt funtów - jako dodatek do pierwotnie uzgodnionego wynagrodzenia, które owa dama otrzymała od pułkownika Frencha osobiście albo za pośrednictwem swego ajenta, pana Corri.

Nie sądzi, żeby pani Clarke miała specjalnie duży wpływ na naczelnego wodza, i nigdy nie przypuszczał, aby podanie o koncesję na prowadzenie werbunku zostało odrzucone, gdyby wniesiono je drogą urzędową. Pułkownik French myślał tylko, że ofiarowując pieniądze pani Clarke, będzie mógł przyśpieszyć odpowiedź. Pani Clarke trzymała te sprawy w wielkim sekrecie. Ilekroć się z nią widział, stale go upominała, by zachowywał się z największą ostrożnością. Zależało jej, żeby żaden z urzędników nie dowiedział się o owych wpłatach, a już szczególnie diuk Yorku.

Kapitan Sandon został odesłany na miejsce. Wezwano pana Domeniga Corriego. Uśmiechnięty i pewny siebie maestro, z włosami ufryzowanymi specjalnie na wielką okazję, rozglądał się po Izbie w nadziei, że dostrzeże jakąś sławną osobistość. Przywołano go do porządku, po czym zabrał głos pułkownik Wardle.

- Czy pamięta pan, jak wprowadził kapitana Sandona do pani Clarke?

- Nie wprowadzałem go. Sam przyszedł.

- Co pan wie o ich umowie?

- Wszystko uzgodnili między sobą, po czym w czerwcu przysłano mi do kawiarni Cannon weksel na dwieście funtów.

- I nie wie pan nic więcej?

- Parę osób przychodziło do mnie z prośbami o posadę; przekazywałem je pani Clarke, ale nie słyszałem nic poza tym i nie załatwiałem z nią żadnych interesów. Zajmowaliśmy się wyłącznie muzyką.

- Czy odkąd poruszono tę sprawę w Izbie, zniszczył pan jakieś papiery?

- Tylko jedną kartkę. Było to w lipcu tego samego roku, kiedy pani Clarke dogadała się z kapitanem Sandonem. Kiedyś, gdy przyszedłem, powiedziała mi, że zrobił się straszny szum, że diuk jest wściekły, i wyraziła życzenie, bym spalił wszystkie dokumenty i listy.

- Czy wyjaśniła, dlaczego Jego Królewska Wysokość jest zły?

- Tak, powiedziała, że diuk jest pilnie obserwowany przez pułkownika Gordona, że pan Greenwood śledzi każdy jej ruch, że znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Akurat wyjeżdżała do Kensington Gardens, powóz już czekał przed drzwiami. Rzuciła mi tylko parę słów w pośpiechu, żebym, na litość boską, spalił wszystkie papiery.

Podniósł się poseł irlandzki, pan Sheridan.

- Czy od tamtej pory pani Clarke pisała do pana? - zwrócił się do świadka.

- Tak, szóstego stycznia otrzymałem od niej zaproszenie. Poprosiła, bym przyszedł na obiad, co też uczyniłem.

- Czy poruszyła w rozmowie sprawę transakcji z roku 1804R?

- Owszem, nawet mnie to zdziwiło, ponieważ zaraz po obiedzie posłała po tradycyjne ciasto na Trzech Króli, przyszło też kilku panów i wkrótce pani Clarke zaczęła rozmowę na temat sprawy kapitana Sandona. Powtórzyłem wtedy to samo, co tutaj.

- Czy wspominała o innych tego rodzaju transakcjach?

- Nie, reszta wieczoru upłynęła na rozmowie towarzyskiej i zabawie, wypiliśmy trochę i zostawiłem tych panów nieco po północy.

- Wie pan, kim oni byli?

- Nie jestem pewien. Był tam mężczyzna z długim nosem i jakiś publicysta z gazety, wspomnieli z której, ale nie pamiętam. Pani Clarke mówiła, że czuje się zobowiązana, bo tak o nią dba. Był też pan, który wyglądał na prawnika. Bardzo się śmiał, kiedy mu to powiedziałem.

- Kim był ów przyjaciel pani Clarke?

- Czy muszę odpowiedzieć? Mówiła, że to tajemnica.

Świadkowi nakazano odpowiedzieć. Uwadze sądu umknęło, że pułkownik Wardle, który pierwszy przesłuchiwał świadka, zdawał się cierpieć na ból zęba, gdyż zadając pytania, trzymał chustkę przy twarzy. Teraz siedział z boku, pochylony, wyraźnie nadal zboląły.

- Cóż - wyznał pan Corri - powiedziała mi, że to pan Mellish, przedstawiciel okręgu Middlesex, który jak sądzę, jest obecny na tej sali.

Zgromadzeni zamarli na chwilę ze zdumienia, lecz zaraz rozległ się gromki śmiech i drwiące okrzyki ze strony opozycji. Tęgi dżentelmen, z ławy rządowej, wyraźnie spurpurowiał i gwałtownie potrząsał głową. Świadka zwolniono. Pan Mellish, ów tęgi mężczyzna, zerwał się z miejsca. Choć zdaje sobie sprawę, że zakłóca tok rozprawy, życzy sobie, aby go natychmiast przesłuchano.

Zapytany, czy był obecny w styczniu na przyjęciu u pani Clarke, odparł:

- Nigdy w życiu nie byłem u tej pani. Ujrzałem ją po raz pierwszy na tej sali.

Na życzenie pana Mellisha wezwano ponownie pana Corriego. Szanowany członek parlamentu podszedł blisko do barierki, żeby świadek mógł dokładnie mu się przyjrzeć. Pan Mellish zadał pytanie:

- Czy kiedykolwiek widział mnie pan u pani Clarke?

- Nie, to nie pan, mężczyzna, którego widziałem, miał ciemniejszą karnację. Ale ja tylko powtarzam jej słowa; jeśli skłamała, nic na to nie poradzę.

Wśród śmiechów i braw szacowny przedstawiciel Middlesex wrócił na miejsce z podniesionym czołem.

Pułkownik Wardle, któremu widać przeszedł ból zębów, podniósł się, by wezwać przed barierkę pana Williama Dowlera. Świadek wyglądał jak chmura gradowa, ale był opanowany. Zeznał, że właśnie powrócił z ekspedycji do Lizbony, że zna panią Clarke od kilku lat i że pamięta wizytę pułkownika Frencha i kapitana Sandona przy Gloucester Place w czasie, gdy jego znajoma pozostawała pod opieką diuka Yorku.

Zapytany, czy przypomina sobie rozmowę z pułkownikiem Frenchem na temat prowadzenia werbunku, odparł.

- Widziałem go raz u pani Clarke i powiedziano mi, że przyszedł w sprawie dokumentu wcielenia. Zapytałem o to panią Clarke i doskonale pamiętam, że pozwoliłem sobie wyrazić swoją głęboką dezaprobatę i potępienie dla tego rodzaju interesów. Było to wkrótce potem, kiedy pułkownik French opuścił jej dom, wypłaciwszy pięćset gwinei.

- Jak pani Clarke zareagowała na pańskie wymówki?

- Powiedziała, że diuk Yorku ma ogromne kłopoty finansowe i ona nie ma sumienia prosić go o pieniądze. Twierdziła, że owe interesy to jej jedyne źródło utrzymania. Wreszcie obraziła się za moją zuchwałość i potem nie widywaliśmy się przez pewien czas, ale nie pamiętam, jak długo.

- Jakie jest pańskie obecne stanowisko?
- Ostatnio kierowałem departamentem rachunkowości komisji w Lizbonie.
- Jak pan uzyskał tę posadę?
- Kupiłem ją u pani Clarke.

W sali rozległy się gwizdy. Pan Dowler poczerwieniał.

- Czy zapłacił pan pani Clarke za odniesioną korzyść?
- Dałem jej tysiąc funtów.
- Czy składał pan u kogoś innego podanie o to stanowisko?
- Nie.
- Czy zdawał pan sobie sprawę, że pani Clarke uzyskała je dla pana u diuka Yorku?
- Oczywiście.

Poddany krzyżowemu ogniu pytań przez prokuratora generalnego, pan Dowler zeznał, że sama pani Clarke zaproponowała mu załatwienie posady - sugestia nie wyszła od niego. Początkowo jego ojciec nie wyraził na to zgody, ale później uwierzył, że syn nie dopuści do rozgłosu. Świadek uparcie zaprzeczał, jakoby jego ojciec poczynił jakieś starania przez swoich znajomych - był absolutnie przekonany, że nominację załatwiła mu pani Clarke, i niewzruszenie obstawał przy tym stanowisku.

W końcu zabrał głos przedstawiciel Irlandii, pan Sheridan.

- Skoro przez wzgląd na panią Clarke zaprotestował pan w 1804 roku przeciwko transakcji z pułkownikiem Frenchem, to dlaczego w roku 1805 sam pan jej dał tysiąc funtów łapówki za posadę?

- Ponieważ w tym momencie wyjątkowo potrzebowała pieniędzy i ponieważ sprawa ta miała pozostać moją najgłębszą tajemnicą. Nic z wyjątkiem takiego śledztwa jak to, nie wyrwałoby mi tego sekretu. Ani diuk Yorku, ani pani Clarke nigdy nie ucierpieliby od tego, co nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności zmuszony jestem wyjawić przed wysoką Izbą.

- Zatem daje pan do zrozumienia komitetowi, że jedynym powodem, dla którego potępiał pan panią Clarke, było ryzyko związane z ujawnieniem jej postępowania, a nie jego niewłaściwość?

- Brałem pod uwagę obydwie powody. Uważałem, że te transakcje nie przyniosą jej nic poza kłopotami i zdenerwowaniem. Radziłem, żeby zamiast zajmować się tego rodzaju sprawami, postarała się o regularną pensję od diuka Yorku. Odpowiedziała mi na to, że diuk naprawdę nie ma pieniędzy.

- Pamięta pan, kiedy po raz pierwszy dał pani Clarke pieniądze?
- Pożyczyłem jej od czasu do czasu różne sumy.
- Czy pod jakieś zabezpieczenie?

- Nie.
- To były pożyczki?
- Tak.

- I nie sporządził pan nawet żadnej notatki?

- Nie.
- Czy widział się pan z panią Clarke po powrocie z Portugalii?
- Tak.

- Kiedy?
- W niedzielę.

- A później?
- Dopiero tutaj, w pokoju dla świadków.
- Czy ktoś z nią był?

- Tylko dwie młode panie.
- Co się wydarzyło podczas pańskiej wizyty w niedzielę?
- Wyraziłem ubolewanie z powodu sytuacji, w jakiej się znalazła. Powiedziała mi, że stało się tak z winy diuka Yorku, który nie wypłacał jej pensji.

- Czy widywał się pan z panią Clarke przed wyjazdem do Portugalii, w ciągu ubiegłego roku?

- Tak.
- Jak często?
- Nie umiem powiedzieć.
- Czy pamięta pan, kiedy ostatnio dał jej pieniądze?
- Nie, naprawdę.
- Czy dawał jej pan pieniądze od czasu swej nominacji?

- Słowo daję, że nie pamiętam. Jeśli nawet, to jakieś drobne sumy.

Nareszcie Williama Dowlera zwolniono. Przesłuchanie trwało ponad godzinę.

Pan Huskisson, który w roku 1805 pełnił funkcję ministra skarbu, stwierdził, że zupełnie sobie nie przypomina nominacji pana Dowlera. Nie sądzi, aby nawet najbardziej skrupulatne przeszukiwanie akt ministerstwa pozwoliło dotrzeć do odpowiedniego dokumentu. Kiedy usiadł, na ławach opozycji dało się słyszeć szemranie i kocie miauki.

Ponieważ pan Perceval stwierdził stanowczo, że jest bardzo istotne, by jeszcze tego samego wieczora przesłuchać panią Clarke, polecono niezwłocznie ją sprowadzić. Po przerwie przewodniczący oznajmił, że otrzymał od niej wiadomość. Była tak bardzo wyczerpana czekaniem i tak się źle czuła, że poprosiła, aby zwolniono ją z uczestnictwa w rozprawie. Natychmiast rozległy się krzyki.

- Wezwać ją i niech zeznaje na siedząco!

Upłynęło sporo czasu, nim wreszcie zjawiła się za barierką.

- Jestem tak strasznie zmęczona ośmiogodzinnym wyczekiwaniem, że naprawdę nie zniosę przesłuchania.

- Dalej! Nie przerywać! - krzyczano z ław rządowych.
- Proszę, pani Clarke - rzekł przewodniczący - oto krzesło dla pani.
- To nie usunie zmęczenia ani z mojego ciała, ani z umysłu.

Wobec tego pozwolono jej odejść. Wybuchła wielka wrzawa. Członkowie rządu domagali się, by świadka przesłuchano bezzwłocznie, opozycja uważała, że ze względów humanitarnych należy odłożyć przesłuchanie na późniejsze godziny. Dyskusję zakończył pan Canning, proponując, żeby przesłuchano pana Dowlera na okoliczność, czy się komunikował z panią Clarke od czasu, gdy zeznawał. Wniosek przyjęto i wezwano ponownie Dowlera.

- Czy rozmawiał pan z panią Clarke po wyjściu z tej barierki?

- Zapytałem tylko, czy się czegoś napije, bo bardzo źle wyglądała. Przyniosłem jej trochę wina z wodą.

- Czy opowiadał jej pan o swoim przesłuchaniu?

- Nie.

- Jak długo pan z nią przebywał?

- Pięć albo dziesięć minut. Mówiłem już, że źle się czuła, było przy niej kilku panów, którzy pytali, co mogą dla niej zrobić.

- Czy nie sądzi pan, że nie należało się z nią porozumiewać?

- Owszem, tak czułem.

- I postąpił pan wbrew własnym odczuciom?

- Tak.

Ogłoszono, że komitet ponownie zbierze się we wtorek, po czym Izba zakończyła obrady.

Nie, tej nocy nie będzie ani hotelu Reid, ani dorożki do St Martin.s Lane, tylko własne łóżko i uczucie śmiertelnego znużenia. Wystrojona, gotowa do walki Mary Anne stawiała się na godzinę trzecią, oczekując, że zostanie wezwana natychmiast, ale popołudnie minęło i nadszedł wieczór. Niewiele pomogło przelotne spojrzenie na pana Few, licytatora z Bloomsbury, a potem na Billa, który

zniknął za drzwiami na całą wieczność. Kiedy błagała kogoś ze służb porządkowych, by zobaczył, co się dzieje, usłyszała:

- Grzebią się w brudach. Wypytyują, u kogo panią poznał, gdzie, kiedy i tak dalej.

Wyglądało na to, że zapomnieli o Frenchu i sprawie poboru. Zajęli się teraz zgłębianiem jej przeszłości, odkrywaniem sekretów, a Bill, który kupił swoje stanowisko przez wzgląd na nią, który postąpił wbrew sobie i wstydził się tego, został zmuszony do zeznań - dla jej dobra.

Kiedy wyszedł z sali, miał wymizerowaną twarz i wyglądał o wiele starzej. Powiedział tylko: "Moja noga nie postanie więcej na tej sali, prędzej oddam wszystko, co posiadam, aż do ostatniej gwiney".

Przed opuszczeniem Izby uprzedzono Mary Anne, że do końca procesu nie może widywać się ani rozmawiać ze świadkami. Billowi nie wolno do niej przychodzić, mają zaprzestać wszelkich kontaktów. Dzięki Bogu za ten jeden dzień oddechu przed wtorkiem, dzięki Bogu, że może leżeć w łóżku, na miękkiej poduszce, za zaciągniętymi zasłonami, z okładem na oczach, i popijać bulion przyniesiony przez Martę. Nie ma Dodda, nie ma Wardle'a, nikt jej nie denerwuje. Nawet Charley ma tyle rozsądku, by trzymać się z daleka.

Boże, jak ona nienawidzi tego świata, który nagle zwrócił się przeciwko niej, który obsmarowuje ją w gazetach, wtyka szpilki i drwi. Już ulicznicy pomazali jej kredą latarnię przy drzwiach i wybili szybę kamieniem.

- Ci malcy nic nie rozumieją, psze pani - pociesza ją Marta. - Przecież dzięki temu, co pani robi, oni będą jedli chleb z masłem. Bo próbuje pani uwolnić kraj od tyrana...

Na miłość boską, co ta Marta czyta? "Świat Ludu"? "Prawdę dla Uciśnionych"? Mary Anne zamknęła oczy i ukryła twarz w poduszce.

Nie ma odwrotu. We wtorek o trzeciej wszystko zacznie się od nowa.

Rozdział 3

W czwartek, po krótkim wstępie, pułkownik Wardle postawił wniosek, by wezwać przed barierkę panią Mary Anne Clarke.

W związku z tym służba porządkowa otrzymała rozkaz doprowadzenia świadka, który jednak pojawił się z pewnym opóźnieniem. Mary Anne wyglądała na tak wyczerpaną, że zewsząd rozległy się krzyki: "Krzeseł! Krzeseł!" - widać członkowie Izby zorientowali się, iż kobieta nie czuje się dobrze. Mimo to nie usiadła, lecz patrząc w stronę ław rządowych rzekła:

- Kiedy jechałam tutaj, spotkałam się z wieloma obelgami. Nie mogłam się wydostać z powozu, ponieważ tłum napierał na drzwiczki, a woźny nie był w stanie mnie obronić. Musiałam posłać po służbę porządkową, żeby mnie przeprowadziła, stąd opóźnienie.

Pozwolono jej ochłonąć przez parę minut, po czym pułkownik Wardle rozpoczął przesłuchanie w sprawie werbunku prowadzonego przez pułkownika Frencha. Odpowiedziała, że i on, i kapitan Sandon naprzykrzali się jej z podaniami, które natychmiast przekazywała diukowi, nie zwracając sobie głowy czytaniem próśb. Miała nadzieję, że Jego Królewska Wysokość zrozumie, o co im chodzi. Widząc, że wezwana jeszcze nie doszła do siebie po przejściach na dziedzińcu, pułkownik Wardle chciał zrobić przerwę, ale z ławy rządowej podniósł się pan Croker.

- Jak długo zna pani pana Dowlera?

- Dziewięć, dziesięć lat. Dokładnie nie pamiętam.

- Czy jest mu pani winna pieniądze?

- Nigdy nie zapamiętuję długów wobec dżentelmenów.

- Proszę wymienić nazwiska wszystkich mężczyzn, którzy w styczniu spotkali się u pani z panem Corrim.

- Gdybym to uczyniła, żaden ucziwy mężczyzna więcej by mnie nie odwiedził.

Wybuch śmiechu na sali sprawił, że świadek odzyskał pewność siebie. Mary Anne podniosła głowę i patrzyła panu Crokerowi w oczy.

Teraz wypytywali ją różni posłowie. Interesował ich dom przy Gloucester Place i kto za niego płacił, kiedy po raz pierwszy przekazała diukowi podanie o awans wojskowy, czy prowadziła jakieś zapiski na ten temat, czy też polegała tylko na swojej pamięci.

- Przy sprawach pojedynczych osób polegałam na pamięci mojej i Jego Królewskiej Wysokości - naprawdę doskonalej. Gdy nazwisk było więcej, dawałam mu listę, ale nie ja ją pisałam. Przypominam sobie jedną, bardzo długą.

- Czy ta lista jeszcze istnieje?

- Nie. Przypięłam kartkę do oparcia łóżka, a Jego Królewska Wysokość zabrał ją rano. Widziałam potem tę listę w jego notesie.

Ryk śmiechu na ławach opozycji.

- Czy pamięta pani, od kogo ją dostała?

- Myślę, że albo od kapitana Sandona, albo od pana Donovana, ale zapewne obaj temu zaprzeczą.

- Czy dostawała pani dużo listów od innych zainteresowanych?

- Setki.

- I te listy, w których obiecywano pani pieniądze, pokazywała pani Jego Królewskiej Wysokości?

- Wiedział o wszystkim, co robiłam.

Rząd, zakłopotany, chwilowo zaniemówił. Pułkownik Wardle wezwał następnego świadka. Miejsce pani Clarke zajęła za barierką panna Taylor, nieśmiała, bardzo zdenerwowana, z wypiekami na twarzy.

- Czy miała pani w zwyczaju odwiedzać panią Clarke przy Gloucester Place, kiedy znajdowała się ona pod opieką diuka?

- Bardzo często.

- Czy słyszała pani kiedykolwiek, by diuk rozmawiał z panią Clarke na temat punktu werbunkowego pułkownika Frencha?

- Tylko raz.

- Proszę to opisać.

- O ile sobie przypominam, diuk powiedział wtedy: "Ciągle się martwię o pułkownika Frencha. Jest wprost nienasycony". A potem spytał: "Jak on się zachowuje wobec ciebie, duszko?" Czy jakoś inaczej, ale tak samo czule, jak zresztą zawsze. A ona odpowiedziała tylko: "Tak sobie, nie za dobrze".

- I co dalej?

- Potem diuk jeszcze powiedział: "Pan French musi się pilnować, bo trzeba będzie zrobić z nim porządek i z tym jego punktem werbunkowym także".

Pułkownik Wardle stwierdził, że nie ma więcej pytań. Kobieta odwróciła się, chcąc odejść, ale zatrzymał ją prokurator generalny. Na ławach opozycji rozległy się współczujące szmery.

Głos, który przy przesłuchiowaniu pani Clarke brzmiał niemal aksamitnie, w odniesieniu do panny Taylor stał się szorstki, niemal opryskliwy.

- Jak długo zna pani panią Clarke?

- Około dziesięciu lat, może trochę więcej.

- Gdzie ją pani poznała?

- W domu, w Bayswater.

- Z kim pani tam mieszkała?

- Z rodzicami.

- Kim są pani rodzice?

- Ojciec jest dżentelmenem.

- Z kim pani mieszka teraz?

- Z siostrą.

- Gdzie?
 - W Chelsea.
 - W apartamencie czy w pomieszczeniach służbowych?
 - W pomieszczeniach służbowych.
 - Czy uprawiają panie jakiś zawód?
 - Jeśli prowadzenie pensji można nazwać zawodem.
 - Kto mieszkał z panią Clarke przy Craven Place?
 - Jej mąż, kiedy ją poznałam.
 - Z kim mieszkała później?
 - Z Jego Królewską Wysokością, diukiem Yorku.
 - Czy wiedziała pani o innych mężczyznach, którzy z nią mieszkali?
 - Nie.
 - Czy jest pani z nią spokrewniona?
 - Mój brat ożenił się z jej siostrą.
 - Kim był mąż pani Clarke?
 - Zawsze uważałam, że to majątny człowiek.
 - Czy mieszkała pani z nią przy Tavistock Place?
 - Nigdy z nią nie mieszkałam.
 - I nigdy pani nawet nie nocowała u niej?
 - Owszem, czasami.
 - Uważała ją pani za skromną, uczciwą kobietę?
 - Mieszkała z matką, nie rozumiem, dlaczego miałabym sądzić inaczej.
- Po twarzy świadka spływają łzy. Na ławach opozycji odzywiają się gniewne pomruki. Prokurator generalny nie zwraca na nie uwagi.
- Na czyje żądanie składa pani zeznania?
 - ...
 - Czy na żądanie pani Clarke?
 - ...
 - Czy zna pani Williama Dowlera?
 - Znam.
 - Czy pani Clarke powiedziała pani, że pan Dowler występuje wobec diuka Yorku w roli jej brata?
 - Nie, nigdy.
 - Kiedy słyszała pani tamtą rozmowę pani Clarke z Jego Królewską Wysokością na temat pułkownika Frencha?
 - Dokładnie nie pamiętam. W czasie, gdy mieszkała przy Gloucester Place.
 - Czy kiedykolwiek widziała pani pułkownika Frencha przy Gloucester Place?
 - Słyszałam, jak go anonsowano. Nie umiem powiedzieć, czy mi go przedstawiono.
 - Ale mimo upływu pięciu lat przypomina sobie pani owo szczególne wyrażenie, chociaż nie wydarzyło się nic, co mogłoby je przywołać w pani pamięci?
 - Myślałam o tym kiedyś, ale nigdy nic nie powiedziałam.
 - Co sprawiło, że pani o tym pomyślała?
 - Zaciekawiał mnie człowiek, którego nie było mi dane zobaczyć.
 - W jakiej porze roku to się zdarzyło?
 - Nie pamiętam.
 - W zimie czy w lecie?
 - Tego też nie pamiętam.
 - A jednak pamięć nie zawodzi pani, jeśli chodzi o użyte wyrażenia?
 - Nie.

- I nie wydaje się to pani dziwne?
- Nie.
- Czy sprawy pani ojca źle się układają?

Kobieta waha się.

- Tak - przyznaje cicho.
- Ile uczennic ma pani w szkole przy Cheyne Row?
- Dwanaście.
- Ile lat ma najmłodsza z nich?
- Siedem.

Zewsząd rozlegają się krzyki: "Nie! Nie!", gdyż panna Taylor wydaje się bliska załamania. Prokurator wzrusza ramionami i siada. Świadkowi wolno odejść.

Znowu powołano panią Mary Anne Clarke, którą ma teraz przesłuchiwać pan Croker. Przez ponad godzinę magluje ją na temat domu przy Gloucester Place, liczby służących mężczyzn, czy sypiali oni w domu, kto im płacił, ile Mary Anne posiadała powozów, ile koni, jaką biżuterię nosiła, czy wstawiła do lombardu brylanty. Wreszcie pan Croker zerka na bilecik, który podaje mu prokurator, i pyta:

- Czy mieszkała pani kiedyś w Hampstead?

Udręczony świadek waha się przez chwilę.

- Mieszkałam.
- W którym roku?
- W końcu 1807 i na początku 1808.
- W którym domu?
- Niejakiego pana Nicholasa.
- Czy przez cały ten czas występowała pani pod swoim nazwiskiem?
- Tak.
- Czy kiedykolwiek używała pani nazwiska Dowler?
- Nie.
- Ile razy widziała się pani z panem Dowlerem po jego powrocie z Portugalii?
- Widziałam się z nim w niedzielę u siebie w domu i w pokoju świadków.
- I to wszystko?
- Myślę, że szanowny pan wie to równie dobrze jak ja, ponieważ okno pańskiego poddasza wychodzi na mój dom. To bardzo wygodne stanowisko do szpiegowania.

Gwizdy i głośne brawa ze strony opozycji.

- Więc jest pani absolutnie pewna, że poza tymi dwoma razami nie widziała się z panem Dowlerem?
- Jeśli szanownemu panu zależy, chętnie przyznam, że widywałam się z nim częściej. Nie mam zamiaru ukrywać, że pan Dowler jest moim bardzo szczególnym przyjacielem.

- I gdzież to jeszcze widywała pani pana Dowlera po jego powrocie?

- W hotelu.

- Kiedy?

- Zaraz po jego przyjeździe. To miał być wielki sekret, gdyż zależało mi, by ani moja rodzina, ani nikt inny nie wiedział o tym spotkaniu.

- Czy tego wieczoru spędziła pani w towarzystwie pana Dowlera dużo czasu?

- Stwierdzam po prostu, że byłam u niego. Upraszam, by pan przewodniczący zdecydował, czy jest to przyzwoite pytanie i czy nie uchybia ono godności tej Izby?

Wstał pan Wilberforce, który stwierdził, że pytanie jest niewłaściwe i niemoralne. Komitet nie powinien wnikać w prywatne sprawy świadka. Zakrzyczano go jednak, po czym pan Croker powtórzył pytanie.

- Czy pani wizyta przeciągnęła się poza dwunastą w nocy?

- Trwała do samego rana.

Ku rozczarowaniu wszystkich stron Izby pan Croker nie miał dalszych pytań i obrady zakończono.

Kiedy Mary Anne szła do powozu przez dziedziniec starego Pałacu Westminsterskiego, zaczepił ją posłaniec i wręczył bilecik. Przebiegła karteczkę wzrokiem i rzekła do gońca:

- Odpowiedzi nie będzie.

Po powrocie do domu zatknęła bilecik za lustro, między walentynkowe karty, które zaczęły już napływać. Podpisany był inicjałami wysoko postawionego torysa i zawierał jedno zdanie: "Co powiesz na trzysta gwinei i kolację dziś wieczór?"

Rozdział 4

Śledztwem w Izbie Gmin pasjonował się teraz cały kraj. Sprawa wojny na Półwyspie Pirenejskim poszła w zapomnienie i wszystkie główne gazety dzień po dniu podawały obszerne relacje z procesu. Napoleona i Hiszpanię odsunięto na drugi plan. Pamfleciści szaleli, paszkwilanci i karykaturzyści zarabiali krocie na Wielkiej Dyskusji, handel szedł pełną parą. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiły się w sprzedaży kubki ze stratfordzkiej porcelany z wizerunkiem pani Clarke we wdowym welonie i z listą nazwisk oficerów w ręku, z kolorowymi portretami diuka w nocnej koszuli, wstającego z łóżka, z karykaturami Dowlera i innych świadków. Ich rzekomo autentyczne życiorysy, sklecone w pośpiechu i odpowiednio ubarwione, sprzedawano na każdym rogu. W teatrach gwizdano coraz to nowe uciészne piosenki, a przy rzucaniu monety pytano nie "głowa czy ogon", tylko "diuk czy duszka", co należało do najmłodniejszych dowcipów.

(Odpowiednik polskiego "orzeł czy reszka").

Na londyńskich przyjęciach nie mówiono o niczym innym. W barach i tawernach rozmowy obracały się wokół tylko jednego tematu. Pani Clarke brała łapówki - ale czy diuk o tym wiedział? Opinie były podzielone, lecz tymczasem obydwie strony - partie, które uważały, że diuk sam zgarniał forszę i frakcja głosząca jego absolutną niewinność - dopracowały się kompromisu i uzgodniły, że tak naprawdę najważniejszy w tym wszystkim jest grzeszny związek. Oto książę krwi, człowiek żonaty, utrzymuje kochankę, darowuje jej domy i klejnoty, podczas gdy lud głoduje! Mężczyźni i kobiety harują w fabrykach, żołnierze walczą, lud żyje ucziwie, a tymczasem naczelny wódz, syn króla, zabawia się z ladacznicą! I tylko to się liczy. Tu jest pies pogrzebany. Różni krzykacze i uliczni mówcy rozpuścili jężory na całego, podobnie jak zwykli obywatele po domach. "Wymaga się od nas poszanowania dla Brunszwików, a przecież przykład idzie z góry. Jeśli Burbonowie we Francji zachowywali się tak samo, trudno się dziwić, że żabojady posłały ich na gilotynę..." Nastroje były złe, a mąciocie, którym to służyło, jeszcze je podsycali.

Will Ogilvie, siedząc samotnie w swym biurze, z uśmiechem obserwował, jak od iskiereki zajmuje się słomka, jak bucha płomień, który ogarnia swym żarem potwora - opinię publiczną. I właśnie o to mu chodziło od samego początku. Ten ogień służył określonemu celowi. Jedną ze słomek stała się May Taylor. Rodzice wszystkich uczennic natychmiast zabrali córki ze szkoły, a właściciel domu przy Heyne Row kazał May wynieść się w ciągu trzech dni. Półgodzinny występ przed Izba Gmin zrównoważył całe życie nieszczęsnej kobiety. Pamfleciści sztydzieli, że wcale nie prowadziła pensji, tylko burdel, w którym prostytutki uczyły się swego fachu.

Wygramy czy przegramy? Mary Anne codziennie stawiała sobie to pytanie. Nie wiedziała o raportach wysyłanych do Windsoru przez lidera partii większości, który w przeciwieństwie do niej umiał wyczuć nastroje panujące w Izbie. Zdawał sobie sprawę z wątpliwości swych popleczników, wyczuwał narastającą niechęć do diuka. "Tak więc uważam za właściwe przestrzec Waszą Królewską Mość, że sytuacja robi się poważna..." Ze wszystkich stron Izby dobiegały szeptki: "Diuk wiedział, co ona robi, a mimo to przymykał oczy". Rzecznicy rządu wywarli marne wrażenie. Adam, Greenwood, pułkownik Gordon i jego asystent przedkładali różne dokumenty, z których nie wynikało nic poza tym, że pewni oficerowie awansowali i ogłaszano to w gazecie. I nadal jedyną bronią rządu było

dyskredytowanie głównego świadka, czyli pani Clarke. Nie można się opierać na świadectwie osoby o tak paskudnym charakterze.

Wśród świadków powołanych w drugim tygodniu dochodzenia celem obsmarowania pani Clarke był pan John Reid, właściciel hotelu przy St Martin's Lane, oraz kelner Samuel Wells. Obydwaj zeznali, że pani, która w nocy z czwartku na piątek towarzyszyła panu Williamowi Dowlerowi, zawsze przedstawiała się jako pani Dowler - aż do dziś nie przypuszczali, że nie ma ona prawa do tego nazwiska. Następny świadek, piekarz Nichols, zeznał to samo. Pan Dowler często bywał w jego domu, kiedy mieszkała tam pani Clarke. Osoba ta najpierw występowała jako wdowa, później zaś poinformowała go, że poślubiła pana Dowlera. Nigdy nie zapłaciła ani grosza komornego, ale świadek jest w posiadaniu kilku instrumentów muzycznych, które do niej należały, a także kilku listów. Były one przeznaczone do spalenia, ale przez zapomnienie zostały w szafce. Nie chciałby jednak ich ujawniać, chyba że na żądanie Izby.

Panu Nicholowskiemu kazano wyjść, po czym w Izbie rozgorzała dyskusja, czy odczytać listy, czy też nie. Lider większości musiał wykonać błyskawiczną pracę myślową. Jeśli listy przedstawią panią Clarke w złym świetle, strona rządowa odniesie zwycięstwo i wszystko się dobrze skończy. Jeśli natomiast listy dotyczą diuka, sprawy mogą przybrać zgoła inny obrót, korzystny dla oskarżenia. Wreszcie pan Perceval zdecydował, że ryzyko jest zbyt duże i oznajmił, że nie ma potrzeby badania listów, które należą przecież do pani Clarke. Pułkownik Wardle podejrzewał, że listy te mogą zawierać materiał istotny dla opozycji, dlatego też wdał się w zaciekły spór z panem Percevealem. Po wielkiej awanturze zdecydowano, że listy zostaną dostarczone i odczytane przez przewodniczącego.

Autorem pierwszego okazał się Samuel Carter. Biedny Sammy, przebywający w Indiach Zachodnich, nie miał bladego pojęcia, że jego list pisany w roku 1804 z Portsmouth, ten w którym prosi o przepustkę na zakup munduru, będzie odczytany publicznie w Izbie Gmin. Drugi list od Sammy'ego, potem trzeci... Izba zamarła ze zgrozy, gdy dotarła do niej odkryta przypadkiem prawda, że lokaj pani Clarke uzyskał patent oficerski i stopień chorążego.

Dwa listy od baronowej Nollekens - nazwisko dobrze znane w sferach dyplomatycznych - z podziękowaniem za przysługę i z prośbą o przekazanie podziękowania Jego Królewskiej Wysokości.

Trzy listy od generała Clavinginga, z prośbą o spotkanie oraz o pośrednictwo u diuka w sprawie powołania kilku nowych batalionów. Na ławach rządowych ponure miny, opozycja triumfuje. Korespondencja uratowana szczęśliwym trafem od zagłady, chociaż niezbyt istotna dla oskarżenia, stanowiła pośredni dowód, że przysługa została wyświadczona. Podczas czytania na sali panowała cisza. Następnie pułkownik Wardle wezwał panią Clarke do zidentyfikowania pisma wszystkich listów, co też uczyniła, choć dawno zapomniała ich treści, sądząc że zostały spalone.

Pułkownik Wardle wykorzystał swą przewagę, aby wypytać panią Clarke o kwestie zawarte w listach. Czy uzyskała patent oficerski dla Samuela Cartera? Czy wstawiała się za nim do diuka? Czy Jego Królewska Wysokość zdawał sobie sprawę, że był to ten sam człowiek, który podawał do stołu przy Gloucester Place? Czy Jego Królewska Wysokość potem się z nim widział? Czy pani Clarke prosiła diuka o przysługę dla baronowej Nollekens? Odpowiedzi na te pytania okazały się w najwyższym stopniu satysfakcjonujące.

- Czy rozpoznaje pani pismo generała Clavinginga?

- Tak, a w liście od diuka znalazłam dziś rano wzmiankę o generale i jego batalionach.

List został odczytany w Izbie. Lekturę przerywały gromkie wybuchy śmiechu.

"Och, mój Aniele, oddaj mi sprawiedliwość i przyznaj, iż żadna kobieta nie była nigdy tak uwielbiana jak Ty. Z każdym dniem, z każdą godziną przekonuję się, że całe moje szczęście zależy jedynie od Ciebie. Z jakąż niecierpliwością wyczekuję pojutrze. Ciągłe jeszcze aż dwie noce dzielą mnie od chwili, gdy pochwycę moją ukochaną w ramiona. Clavinging myli się, mój Aniele, sądząc, że mają być powołane nowe pułki, nie ma takich planów, tylko dodatkowe bataliony do istniejących korpusów; lepiej powiadom go o tym i dodaj, że prośby w tej sprawie na nic się nie zdadzą.

Tysiączone dzięki, moja najdroższa, za chusteczki, nie muszę Cię chyba zapewniać, z jaką przyjemnością ich używam, kiedy pomyślę o tych kochanych rączkach, które je dla mnie haftowały.

Nic nie mogło mi sprawić większej satysfakcji niż ten objazd i stan, w jakim wszystko się znajduje. Cały wczorajszy dzień zajmowałem się wizytacją robót w Dover, przeglądem tamtejszej obsady i sprawdzaniem wybrzeża aż do Sandgate. Zaraz udaję się drogą wzdłuż brzegu do Hastings, dokonując po drodze lustracji różnych oddziałów. Do zobaczenia więc, moja ty najśłodsza i najukochańsza".

List był dość dziwnie zaadresowany - nie do pani Clarke, tylko do pana George'a Farquhara, lecz fakt ten umknął jakoś uwadze zgromadzonych.

Ujawnione rewelacje potężnie wstrząsnęły stronnikiemami rządu. 16 lutego lider większości, w nadziei na odbudowanie wiary w diuka Yorku, złożył ważne oświadczenie dotyczące sprawy niejakiego majora Tonyna. Kilka dni temu pani Clarke zeznała, że ajentem, który podał jej nazwisko majora, był kapitan Sandon. Ten potwierdził wprawdzie jej słowa, ale w swym świadectwie zataił pewien istotny fakt, który wyszedł na jaw poza Izbą Gmin. Chodzi o to, że jak odkrył pan Adam, kapitan Sandon ma w swoim posiadaniu - konkretnie w bagażu - listy od pani Clarke. Istotny jest zwłaszcza jeden bilecik, w którym są aluzje do majora Tonyna i jego awansu, napisany rzekomo ręką samego diuka. Pan Adam rozmawiał na ten temat z Jego Królewską Wysokością, który twierdzi stanowczo, że bilecik został sfalszowany.

- Rzecz w tym - dowodził lider większości - że jeśli ten bilecik okaże się fałszywy, będzie to oznaczać, iż pani Clarke potrafi oszukiwać nie tylko w słowach, ale także fałszować podpisy. Jeśli zaś jest autentyczny, może się przyczynić do poparcia oskarżenia. Osobiście jestem tak głęboko przekonany co do pierwszej z tych możliwości, że nie waham się zgłosić wniosku o przedyskutowanie tej sprawy przez Izbę jeszcze dzisiaj wieczora. Sugeruję również powołanie na świadka kapitana Sandona.

Pułkownik Wardle przychylił się do wniosku. Nigdy nie słyszał o bileciku ani o innych listach będących w posiadaniu Sandona. Ale niech je pokażą - był pewien, że przysłużą się oskarżeniu i absolutnie nie zaszkodzą pani Clarke.

Pojawił się kapitan Sandon. Ku wielkiemu zdziwieniu lidera większości, jak i całego komitetu, zaprzeczył, jakoby wiedział cokolwiek na temat bileciku. Może i był takowy. On tego nie pamięta. W każdym razie teraz nie istnieje, został zniszczony. Owszem, przypomina sobie jakąś notatkę, ale gdzieś mu zginęła. Nie, nie pamięta jej treści. Zniknęła. Nikczemność postępów świadka była tak oczywista nie tylko dla pana Percevala, ale dla całej Izby, że po półgodzinnym wnikliwym przesłuchaniu Sandon został odesłany do aresztu. Zapadła jednomyślna decyzja, aby doprowadzić go do miejsca zamieszkania i dokonać tam rewizji w celu odnalezienia bileciku. Podczas oczekiwania na powtórne pojawienie się kapitana Sandona, wezwano za barierkę panią Clarke. Pytania stawiał pan Perceval.

- Czy przypomina pani sobie wizytę kapitana Sandona w sprawie majora Tonyna w roku 1804R?
- Przypominam sobie tylko, że kapitan Sandon działał z upoważnienia majora Tonyna. Tego jestem pewna.

- Czy przesyłała pani jakieś wiadomości do majora Tonyna za pośrednictwem kapitana Sandona?
- Nie pamiętam. Możliwe, że tak, ale minęło wiele lat.
- Czy przesyłała pani jakikolwiek papier do majora Tonyna za pośrednictwem kapitana Sandona?
- Jaki papier?
- Jakikolwiek. Zapisany przez panią albo kogo innego.
- Nie sądzę. Zawsze byłam bardzo ostrożna, gdy chodzi o wypuszczanie z rąk zapisanych kartek.
- A jeśli rzeczywiście przesyłała pani majorowi Tonnynowi taką kartkę przez kapitana Sandona, to czy jest możliwe, by pani o tym zapomniała?
- Nie, jestem pewna, że nie zapomniałabym o niczym, co się wiąże z diukiem Yorku.

- Czy kapitan Sandon miał dostać jakiś procent od zysku związanego z załatwieniem sprawy majora Tonyna?

- Chyba tak, gdyż major Tonyn uchodził za szczodrego człowieka, a poza tym nie sądzę, żeby kapitan Sandon tak się interesował jego sprawami, jeśli nie spodziewał się nagrody.

- Czy zanim stanęła pani teraz przed barierką, wiedziała pani, o co pytało wcześniej kapitan Sandon?

- Ani trochę.

Świadek zachowywał się w sposób swobodny i naturalny. Jeśli rzeczony bilecik naprawdę istniał, było jasne, że pani Clarke o nim zapomniała. Izba czekała z niecierpliwością na powrót strażnika z kapitanem Sandonem. Minęła godzina, kiedy delikwenta wreszcie doprowadzono. Natychmiast wziął go w obroty lider większości.

- Znalazł pan ten bilecik?

- Znalazłem.

- Ma go pan tutaj?

- Nie, zabrał go goniec wraz z innymi papierami.

Gońcowi polecono wydać papiery. Był tam pakiet listów z omawianym bilecikiem na wierzchu. W kompletnej ciszy pan Perceval przekazał go przewodniczącemu do głośnego odczytania.

"Właśnie otrzymałem Twój bilecik. Sprawa Tonyna pozostaje bez zmian. Niech Cię Bóg błogosławi".

Liścik był nie podpisany. Zaadresowano go do pana George'a Farquhara, Gloucester Place 18.

Rozległy się szmery. Jakie to ma znaczenie? Czy naprawdę diuk napisał tych kilka zdań? I kim jest George Farquhar?

Pan Perceval od razu przesłuchał kapitana Sandona.

- Z jakiego powodu ukrywał pan ten bilecik?

- Bez powodu. Wstyd mi za siebie.

- Czy ktoś to panu nakazał?

- Nie.

- Czy pani Clarke, przekazując panu ten bilecik, powiedziała, że napisał go diuk Yorku?

- Nie przypominam sobie dokładnych słów, ale mówiła, że to liścik od niego.

- Czy zna pan charakter pisma diuka?

- Nigdy w życiu nie widziałem jego pisma.

- Czy pismo na bileciku wydaje się panu pismem pani Clarke?

- Nie.

- Kim jest pan George Farquhar, do którego zaadresowany jest ten bilecik?

- Nie mam pojęcia.

Kapitan Sandon wyszedł. Prokurator generalny wezwał do barierki panią Clarke.

- Czy widziała pani kiedykolwiek tę karteczkę?

- Przypuszczam, że tak, ponieważ jest to pismo Jego Królewskiej Wysokości. Nie mam pojęcia, skąd ten człowiek ma bilecik, skoro mu go nie dałam.

- Proszę spojrzeć na pieczęć. Zna ją pani?

- To prywatna pieczęć diuka Yorku. Ośmielam się zauważyć, że mam w domu wiele takich. Jest na niej napis: "Zawsze na posterunku".

- Kim jest George Farquhar?

- Nie istnieje taka osoba. Tak się nazywał jeden z moich braci. Służył wraz z drugim bratem w marynarce wojennej. Obaj zginęli. Diuk zawsze tak adresował listy do mnie.

- Czy kiedykolwiek naśladowała pani czyjeś pismo?

- Nie, w każdym razie nie dla jakiejś korzyści. Mogłam to robić dla żartu, w gronie znajomych pań. Jest taka gra towarzyska - to śmieszne, mówić o tym teraz - pisze się imię mężczyzny, potem kobiety,

gdzie się znajdują, co robią, następnie zwija się papier w długą rolkę i ktoś, kto widzi znajome imię, pyta: "Czy to czasem nie podpis tego a tego?"

- Czy potrafi pani naśladować pismo diuka Yorku?
- Nie wiem. On sam najlepiej to oceni. Czasem próbowałam pisać tak jak on, kiedy był w pobliżu. On uważał, że potrafię całkiem podobnie napisać "Fryderyk", ale nigdy nie robiłam z tego użytku. Gdybym spróbowała, dawno by mnie o to oskarżono.
- Czy zawsze pani pisze w ten sam sposób?
- Nie umiem dokładnie określić, jak piszę. Zwykle robię to w wielkim pośpiechu.
- Prowadziła pani rękę swojej matki na wekslu przedłożonym podczas rozprawy pani brata w sądzie wojennym. Czy to nie zupełnie inny rodzaj pisma?
- Kiedy prowadzę jej rękę, nie piszę tak szybko. Można powiedzieć, że to właściwie moje pismo, a nie jej, bo matka zupełnie nie ma wprawy.
- Krótko mówiąc, potrafi pani pisać w dwojaki sposób?
- Nie widzę wielkiej różnicy między obydwoma charakterami pisma.
- Nie widzi pani różnicy między pani własnym pismem a tym na wekslu?
- Bardzo niewielką. Czy próbuje pan insynuować, że podpis na wekslu był sfałszowany?
- Nic takiego nie insynuuję. Trzymała pani rękę matki i prowadziła ją po papierze?
- Ona trzymała pióro, ja uchwyciłam jej rękę dość nisko i wodziłam nią po wekslu. W każdej chwili możemy to panu zademonstrować.
- Zatem na obydwóch wekslach mamy do czynienia z pani pismem?
- Skoro pan to w ten sposób rozumie. Kiedy posługuję się przy pisaniu ręką mojej matki, można uznać, że to ja piszę.

Zanim zakończono obrady, Izba wybrała specjalną komisję do zbadania treści pozostałych listów pani Clarke, znalezionych w mieszkaniu kapitana Sandona. Uzgodniono, że raport w tej sprawie zostanie przedstawiony następnego dnia. W związku z tym 17 lutego polecono pani Clarke zidentyfikować własne pismo. Mimo iż jej samej pokazano w tym celu tylko koperty, część listów została odczytana przed całą Izbą. Nie były uporządkowane, a większość z nich pochodziła z lata 1804 roku.

W każdym znajdowały się jakieś napomknięcia, bardziej lub mniej wyraźne, na temat powiązań diuka Yorku z awansami różnych dżentelmenów, z majorem Tonymem włącznie.

"Powiedz Speddingowi, żeby napisał, czego chce, D. uważa, że tak będzie najlepiej... Czy zapytasz znowu o patent porucznika dla tego dżentelmena z Indii? D. zapewnia, że są dwa na sprzedaż... Wspomniałam D. o tym majoracie. Odnosił się bardzo przychylnie. Czy mógłbyś mi dać sto funtów?... Tak się nieszczęśliwie złożyło, że lord Bridgewater poprosił o wakans, rzeczywiście był jeden, ale JSK\$W ma dać mi znać, co może zrobić... jestem absolutnie przekonana, że to znikoma suma, więc powiedz Baconowi i Speddingowi, że każdy z nich musi dać dwie setki. Muszę dostać odpowiedź, ponieważ mam rozmawiać na ten temat z Nim. Wspomniałam już, jak się o mnie niepokoisz... Diuk podał już nazwisko Tony'na do gazety..."

Listy wywarły na Izbie głębokie wrażenie. Wszyscy członkowie byli świadomi, że odnaleziono je przez przypadek - zarówno pani Clarke, jak pułkownik Wardle nie mieli pojęcia, iż są one w posiadaniu kapitana Sandona. Gdyby o tym wiedzieli, listy dawno zostałyby przedłożone jako materiał dowodowy.

Pan Perceval zapytał teraz generała Gordona, sekretarza do spraw wojskowych, czy w jego opinii pismo na wiadomym bileciku, od którego wszystko się zaczęło, jest pismem diuka?

- Mogę stwierdzić tylko tyle, że wydaje się bardzo podobne, ale nie biorę żadnej odpowiedzialności.
- Czy rozmawiał pan z diukiem Yorku na ten temat?
- Owszem, rozmawiałem.
- Z jakim skutkiem?

- Ostatnia rozmowa miała miejsce dziś, o wpół do jedenastej. Od razu na wstępie JSKSW oświadczył: "Ponieważ ma pan być przesłuchany przez komitet Izby Gmin, nie chcę rozmawiać z panem na ten temat. Mogę tylko oświadczyć to samo co przedtem, że o niczym nie wiedziałem, a bilecik uważam za sfałszowany".

Przesłuchiowano jeszcze innych świadków, ale żaden z nich nie stwierdził z całą pewnością, czy bilecik został napisany przez diuka, czy nie. Wśród nich znajdował się urzędnik z banku Couttów. Według niego pismo było podobne, ale bez podpisu nie mógł przysiąc, że jest autentyczne.

Próbując po raz ostatni oskarżyć panią Clarke o fałszerstwo, lider większości wezwał niejakiego pana Beniamina Towana.

- Czym się pan trudni?
- Maluję na aksamicie.
- Czy zna pan panią Clarke z Gloucester Place?
- Znam.
- Czy przypomina pan sobie, żeby mówiła coś na temat charakteru pisma?
- Owszem. Powiedziała kiedyś, że potrafi podrobić podpis diuka, i pokazała mi to na kawałku papieru. Nie umiałbym odróżnić jej pisma od pisma diuka.

- Chce pan powiedzieć, że to ona zaczęła tę rozmowę i natychmiast w pana obecności podrobiła pismo diuka?

- Tak.
- Pokazała panu podpis Jego Królewskiej Wysokości?
- Tak. Na kartce. Fryderyk albo York, a może Albany. Dokładnie nie pamiętam.
- I co pan na to powiedział?
- Że to poważna sprawa.
- Co ona na to?
- Roześmiała się.

Świadka przejął teraz lord Folkestone.

- Jakiego rodzaju malarstwa pan naucza?
- Kwiaty, pejzaże, postaci, martwa natura...
- Czy uczy pan również kreślenia różnego rodzaju liter? Na przykład takich ozdobnych, z zawijasami?
- Owszem.
- Czy pani Clarke stwierdziła, że potrafi naśladować tylko podpis diuka czy w ogóle jego pismo?
- Wspomniała tylko o podpisie.
- Czy był pan zaprzyjaźniony z panią Clarke?
- Nie.
- Kiedy ostatnio miał pan z nią lekcję?
- Nie umiem powiedzieć, musiałbym zajrzeć do rejestru.
- Czy rozstaliście się w dobrych stosunkach?
- Jest mi winna pieniądze.

Lekko zmieszany świadek opuścił salę. Izba zdecydowała, że bilecik zostanie przedłożony do oceny osobie, która zna się na różnicach w charakterze pisma. Opinia eksperta pomoże posłom w zajęciu stanowiska w tej sprawie podczas następnego posiedzenia. Na tym sesję zakończono.

Rozdział 5

Kiedy tylko Mary Anne zamykała oczy, widziała przed sobą dwa weksle i słyszała zrzędlivy głos matki:

- Czemu mam się podpisywać, co to jest?

Na co ona, tracąc cierpliwość, odpowiadała:

- Na miłość boską, rób, co ci każę! Charley potrzebuje pieniędzy, a za te weksle, wypisane na Russella Mannersa, może dostać gotówkę. Lepiej będzie, jeśli ty je podpiszesz, a nie ja.

Potem ujęła rękę matki i poprowadziła ją po papierze.

- Czy to znaczy, że przyjdą do mnie i będą się domagać pieniędzy?

- Nie, oczywiście, że nie. Nie gadaj głupstw.

Te wstrętne weksle, wysłane następnie do Charleya i zrealizowane przez niego, wróciły. Przedłożone na rozprawie przed sądem wojennym, stały się przedmiotem drobiazgowych dociekań, wreszcie wszyscy o nich zapomnieli, ponieważ brat został uniewinniony. Wyciągnięto je jednak znowu w Izbie Gmin. Ciężko widać na nich jakieś fatum, jakieś diabelskie przekleństwo. Czy Mary Anne zrobiła coś złego? Czy rzecz była nielegalna? Czy to fałszerstwo, jeśli się prowadzi czyjąś rękę? Nie, nie mogłaby przysiąc na Biblię, że matka naprawdę wiedziała, co podpisuje. Była zbyt słaba i niezaradna, by znać się na zawiłościach finansowych, na wekslach, czekach, podobnie jak nie miała pojęcia, co jej córka robi przy Old Burlington Street 9 z Russellem Mannersem.

Co będzie, jeśli wezwą matkę do Izby Gmin, postawią przed barierką i zaczną wypytywać? Na samą myśl o tym Mary Anne robiło się słabo. Matka, trzęsąca się w swoim krześle staruszka, dręczona i terroryzowana przez prokuratora generalnego! Mary Anne miotła się po pokoju, przyciskając dłonie do oczu. Ile jeszcze tej męczarni? Kiedy to się skończy?

Nie, nic dobrego z tego nie wyniknie, pozostanie tylko hańba, obelgi, kłamstwa, kompromitacja. Popiła wodą przepisany przez lekarza proszek. Miała dreszcze. Dwa dni w łóżku. Żadnych wizyt. Tak nakazał lekarz i chora go usłuchała. Ale nie zaznała spoczynku, zagrożona nowym oskarżeniem o fałszerstwo.

Zapukano do drzwi. To pewnie znowu Marta, chce jej poprawić poduszki.

- O co chodzi, Marto? Czemu nie dasz mi pospać?

- Lord Folkestone przyniósł kwiaty.

- No to wstaw je do wody.

- Ma nadzieję, że pani lepiej się czuje i przesyła serdeczności.

- Czy chce się ze mną widzieć?

- Nie ma odwagi prosić.

Ziewnęła i spojrzała na zegarek. Dopiero wpół do dziesiątej. Cała noc przed nią, a i tak nie zaśnie. Pogawędka z Folkestone'em może ją rozerwać. To naprawdę taktowny człowiek, nawet dość przystojny, oczywiście wodzi za nią cielecym wzrokiem... Zdaje się, że stracił żonę i jeszcze jej nie przebolewał, ale żaloba wyostrza zmysły, Mary Anne kiedyś sama się o tym przekonała. Usiadła prosto, narzuciła szal na ramiona, poprawiła twarz w lusterku i skropiła perfumami poduszkę.

- Poproś Jego Lordowską Mość na górę.

Marta wyszła.

Pani Clarke oparła się wygodnie na poduszce, blada i omdlewająca. Przykręciła nocną lampkę, to zawsze działało. Zapukano do drzwi - w stanowczy, nieco zagadkowy sposób... Całe wieki minęły, odkąd słyszała ostatni raz ten rodzaj pukania.

- Proszę...

Głos nie wydaje się już znudzony. Zachęcający, nabrzmiały wzruszeniem, zapowiada uroczą przygodę.

- Jak miło, że pan przyszedł! Taka byłam samotna!

- Ja tylko na momencik. Czy naprawdę lepiej się pani czuje?

- Oczywiście, że lepiej. Skąd ten niepokój?

- Kiedy doktor Metcalfe oznajmił w Izbie, że jest pani chora i nie może dziś zeznawać, omal nie wyszedłem. I tak nie mogłem już znieść tego procesu. Wezwałem go za barierką i gdy przekonał Izbę, że pani nie udaje, tym bardziej zaniepokoiłem się o pani zdrowie i tym mocniej chciałem panią

zobaczyć. Czy potrzebuje pani czegoś? Może mógłbym w czymś pomóc? Czy pani lekarz jest godny zaufania? Mógłbym przysłać mojego...

- Nic mi nie jest, to tylko wyczerpanie. Myślałam, że wypocznę przez weekend, ale nic z tego nie wyszło. No, ale proszę mi powiedzieć, co tam się dzieje.

- Wszystko idzie doskonale. Dzisiejszy dzień poświęcono przesłuchiwananiu biegłych. Wezwano dwóch dżentelmenów z Głównego Urzędu Pocztowego, inspektorów, którzy przynieśli mikroskopy, jednego urzędnika z Banku Couttów i trzech z Banku Anglii. Każdy z nich powiedział mniej więcej to samo, chociaż Perceval robił, co mógł, żeby wykreć kota ogonem.

- Co powiedzieli?

- Dostrzegają duże podobieństwo, ale nie mogą przysiąc, że pismo jest identyczne. Przypuszczają, że pisała ta sama osoba. Mieli dość głupie miny, kiedy ich spytałem, czy czytali dyskusję w prasie na ten temat. Przyznali, że owszem, co w praktyce oznacza, że badali list, do pewnego stopnia uprzedzeni, iż pismo może być sfałszowane.

- Więc rząd nie posunął się naprzód?

- Oczywiście, że nie. Znajdujemy się w tym samym miejscu i przed głosowaniem nie zapadnie żadna decyzja. Po wyjściu biegłych, zjawił się generał - stary Clavering. Przypuszczał, że uda mu się wyprzeć znajomości z panią. Jego nadzieje się rozwiały, kiedy zobaczył listy. Mieliśmy z nim niezłą zabawę. Przesłuchanie prowadził Sam Whitbread, który tak staruszką przygwoździł, że wszystko mu się pogmatwało i był szczęśliwy, gdy wreszcie pozwolono mu odejść. Jego świadectwo nie miało w gruncie rzeczy wielkiego znaczenia, ale z tych nieudolnych odpowiedzi Izba mogła wyciągnąć wniosek, że kontaktował się z panią w sprawie awansów. Potem powołano Greenwooda i Gordona. Nic szczególnego. Przedstawili plik nic nie znaczących papierów. Izba była znudzona. Prawdę powiedziawszy, wszyscy stracili zainteresowanie dla sprawy, gdy tylko się dowiedzieli, że pani nie przyjdzie.

- To nieludzkie z ich strony. Przecież widzą, jaka jestem udęczona. Rzucili mnie lwom na pożarcie...

- Skądże znowu. Wcale nie robiła pani wrażenia ofiary. Wyglądało, jakby delectowała się pani każdą chwilą. Prokurator generalny to niedźwiedź, a pani jest pogromcą. Cała Izba z rządem włącznie ma fioła na pani punkcie. Nawet Wilberforce zapomniał o murzyńskich niewolnikach i nie mówi o niczym innym. Słyszałem, jak szeptał do jednego ze swych parafialnych przyjaciół: "Ona jest dobra od podszewki".

(William Wilberforce był przywódcą grupy posłów domagających się zniesienia niewolnictwa w Ameryce).

- Jak to "od podszewki"?

- No, w środku, od wewnątrz. Jest pani w złych rękach, tak się wyraził.

- Pewnie ma rację. Według pamphleciistów przeszłam przez tak wiele rąk, że już mało co ze mnie zostało. Czytał pan to?

- Gardzę tymi brudami. Ale czy ja pani nie męczę?

- Ani trochę. Odpoczywam przy panu.

- Sprawa tego bileciku wygląda bardzo podejrzanie. Wie pani, w kularach się mówi, że Sandon doszedł do wniosku, iż bilecik napisał diuk. Udawał, że go zgubił, ponieważ ujawnienie tego faktu pomogłoby oskarżeniu. Nawet mu się nie śniło, że Adam wyciągnie tę sprawę przed Izba.

- Czemu Adam to zrobił? Przecież to im tylko zaszkodzi.

- Ponieważ wyraźnie nie miał pojęcia, że bilecik jest autentyczny, czy pani tego nie widzi? Myślał, że pismo sfałszowano. A teraz przez to, że tak okropnie pokpił sprawę, nie tylko trzeba było odczytać publicznie treść bileciku, ale także pozostałych listów - i to oni sami tak zdecydowali. Dlatego ten bilecik przysłużył się nam do zwycięstwa. Perceval rwie sobie teraz włosy z głowy, inni także. Założę się, że Adam dostanie jutro tęgie wciury od Jego Królewskiej Wysokości.

- Adam ma diuka w garści. JSK\$W za bardzo się go obawia, by coś mu zrobić.
- Jakie to cudowne, że pani naprawdę nie czuje do niego żalu!
- A co by mi z tego przyszło? Już za późno na urazę.
- Ciągle krąży ohydna plotka, w którą zresztą nikt nie wierzy... Że za nami stoi Kent. Wiem, skąd się to wzięło. Ktoregoś dnia wspomniała pani, że zna Dodda, osobistego sekretarza diuka Kentu. Wszyscy wiedzą, co on za jeden.

Nie odpowiedziała. Musi zachować czujność. Idealista Folkestone nie ma pojęcia o spisku.

- Dobrze go pani zna?
- Kogo, Dodda? Broń Boże. To straszny nudziarz, tylko niestety mieszka w sąsiedztwie, przy Sloane Street. Lubi tu wpadać przy lada okazji.

- Na pani miejscu trzymałbym go na dystans. Wszyscy ludzie związani z dworem okropnie plotkują, to należy do ich zawodu. Kiedy mieszkałem we Francji, poczułem prawdziwy powiew świeżości - oczywiście przed Terrorem, gdy ideały były jeszcze silne. Oni naprawdę uważali się za odrodzonych, ci rewolucjoniści, obalili tyrana, mieli po co żyć...

Dzięki Bogu, wsiadł znowu na swojego konika. Niebezpieczeństwo minęło, przynajmniej na razie. Za jakieś dziesięć minut każe przynieść brandy dla odmiany nastroju. Potem, jeśli będzie miał ochotę, pozwoli mu usiąść na łóżku.

Nastrój rzeczywiście się odmienił, ale nie za sprawą brandy. W drzwiach pojawiła się Marta i oznajmiła, że przyszli dwaj panowie: pułkownik Wardle i major Dodd.

Cisza. Jeden koszmarny moment - i wielkie zdumienie.

- Co takiego? Przyszli razem? Ciekawe, po co?
- Pułkownik Wardle ma nadzieję, że go pani przyjmie.
- To się zawiedzie.

Lord Folkestone wstał z krzesła.

- Czy on się nie dziwi, że decyduje się pani przyjąć mnie, a z nim nawet się nie przywita?
- Niech się dziwi. Przyjmuję, kogo zechcę.
- Ale mnie to krępuje. Proszę, niech go pani przyjmie. Jeśli się dowie, że tu jestem, mogą powstać jakieś głupie plotki.

Jego Lordowska Mość obawia się kompromitacji? Szkoda. Mocno stracił w oczach pani domu. Siła przyciągania osłabła.

- Dobrze. Niech wejdzie na górę.

Lord odetchnął z ulgą. Pułkownika Wardle'a wprowadzono do sypialni.

Zamiast oczekiwanych złośliwości, jakiejś szpilki, uwagi w rodzaju: "No, no, kto by się spodziewał?", figlarnych iluzji na temat jej pierwszego gościa, poseł okręgu Okehampton wymamrotał ze zmieszana miną parę słów, po czym umilkł. Coś było nie w porządku. Mary Anne wyczuła zmianę atmosfery. Wreszcie przerwała ciszę.

- Lord Folkestone opowiedział mi, co dziś się działo. Rozumiem, że poszło nieźle, ale nic nie postanowiono.

- Owszem. Nastroje w Izbie były dobre, przychylne dla nas. Między innymi dlatego tu jestem. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli posłuży się pani swoją niedyspozycją jako pretekstem do wycofania się z dalszego ciągu rozprawy.

- Nic nie sprawi mi większej przyjemności. Co za ulga!

Lord Folkestone wytrzeszczył oczy.

- Pan chyba zwariował! Przecież pani Clarke to nasza karta atutowa. Już sama jej obecność da nam zwycięstwo w Izbie.

- Nie zgadzam się z panem.

- Chce pan powiedzieć, że jej świadectwo przyniesie naszej sprawie więcej szkody niż pożytku? Co za okropna sugestia. Bez pani Clarke nie mamy cienia szansy.

- Źle mnie zrozumiałeś, Folkestone. Oczywiście, że pani Clarke bardzo nam pomogła. Chodzi mi o to, że powiedziała już wszystko, co miała do powiedzenia. Jeśli znowu stanie przed Izłą, wezmą ją w krzyżowy ogień pytań na wszystkie możliwe tematy, co mogłoby się okazać szkodliwe.

Więc do Wardle'a dotarli już plotki o udziale diuka Kentu w aferze. Dlatego właśnie przyszedł z Doddem. Mary Anne wzruszyła ramionami. Co ją to obchodzi. Niech sami piją to piwo.

- Chwileczkę - rzekł Folkestone. - Co się za tym kryje? Czy stało się coś, czego pan nie wyjaśnił? Czy w plotkach o Kencie jest coś z prawdy?

- Zapewniam pana, że nie.

- Więc o co w tym wszystkim chodzi?

- Chcę oszczędzić pani Clarke kłopotów.

- Już nic gorszego nie mogą jej zrobić, dobrze pan o tym wie. Ona doskonale da sobie radę. Czy wypłynęło coś nowego, co mogłoby zaszkodzić?

Pułkownik Wardle rzucił swemu głównemu świadkowi błagalne spojrzenie, lecz Mary Anne się nie przejęła. Ziewnęła i przymknęła oczy. Doprowadzony do rozpaczy Wardle zwrócił się do Folkestone'a.

- No dobrze, będę z panem szczery. To osobista sprawa, coś co dotyczy pani Clarke i mnie. Byłbym mocno zobowiązany, gdyby pan zostawił nas na parę minut.

Lord Folkestone podniósł się sztywno.

- Oczywiście, skoro pan tak stawia sprawę, nie mam wyboru.

Wyszedł z sypialni, zostawiając ich sam na sam.

- Chyba nie powiedziała mu pani nic o Kencie? - zaszeptał gorączkowo Wardle.

- Naturalnie, że nie.

- On coś podejrzewa. Dlatego tu przyszedł.

- Bzdura, przyniósł mi kwiaty.

- To tylko pretekst. Ostrzegałem panią, musimy mieć się na baczności. Licho nie śpi. Jeśli rząd wyczuje pismo nosem, nasza sprawa przepadnie, a wszystkie zarzuty zostaną natychmiast obalone.

- Folkestone nie jest członkiem rządu.

- Nie szkodzi. Jeśli się dowie, da za wygraną.

- Więc pan się wstydzi tej intrygi?

- To nie jest kwestia wstydu, ani też nie nazwałbym tego intrygą. Tu chodzi o politykę, i to bardzo... grząską.

- "Grząska" to właściwe określenie. A ja tkwię w samym środku tego bagna. Muszę się strzec nie tylko rządu, ale jeszcze Folkestone'a, człowieka, który najwięcej zrobił, żeby mi pomóc.

- Przykro mi. Tak się nieszczęśliwie złożyło. Ale w polityce tak bywa, że nasi najlepsi przyjaciele zdradzają nas mimo woli.

- Więc co mam teraz robić?

- Proszę zapewnić Folkestone'a, że Kent nie popiera naszej sprawy. Jeśli pani chce, proszę powiedzieć, że mamy romans i ja się boję kompromitacji.

- Serdeczne dzięki!

- Taka sugestia sprawi, że będzie się trzymał na dystans i odejdzie mu ochota do dalszego wypytywania.

- Czemu mam go trzymać na dystans? Uważam, że jest bardzo miły.

- Więc niech mu pani powie pierwsze lepsze kłamstwo, tylko nie prawdę.

Usiadła prosto. Wyklepała poduszkę, zerknęła w lusterko i poprawiła szal.

- Jako patriota, pułkownika, robi pan duże wrażenie. To fatalnie, że prokurator generalny nie słyszy pana teraz.

- Droga pani, środki polityczne...

- Polityczne trele_morele! Nie mówmy o politykach, oni śmierzą. W porządku, otumanie Jego Lordowską Mość, proszę się nie martwić. I pojawię się w Izbie, jeśli mnie wezwą. Nie mam zamiaru niczego wygadać. Teraz niech pan odnajdzie lorda i powie mu, że nasze t~ete_~a_t~ete dobiegło końca.

Wardle wyraźnie się uspokoił. Dziki, nieprzytomny wyraz oczu ustąpił, zmarszczone czoło wygładziło się. Wyszedł z sypialni - a po chwili Mary Anne usłyszała, jak wszyscy trzej rozmawiają w salonie. Wyobraziła sobie tę scenę: Folkestone, natarczywy, zasypuje ich pytaniami, Dodd i Wardle, osaczeni, wykręcają się ze wszystkich sił. Bóg jeden wie, jak ją przy tym obsmarowują. Wkrótce trzasnęły drzwi i na ulicy rozległy się kroki. Potem wszystko ucichło. Nareszcie mogła odprężyć się i zasnąć. Już miała zdjąć szal i zgasić lampę, gdy ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę!

Czego ta Marta jeszcze chce? Ale to nie Marta... To znów Jego Lordowska Mość, rozgorączkowany, z zagadkową miną.

- Poszli sobie. Pozbyłem się ich obu - obwieścił triumfalnie i wziął ją za rękę.

Serce w niej zamarło. O Boże, czy musi przez to przechodzić? Nastrój sprzed pół godziny całkowicie się odmienił. Tamta chwila minęła i teraz przede wszystkim chciało się jej spać. Stłumiła ziewnięcie i zmusiła się do uśmiechu.

- Myślałam, że pan też wyszedł?

- Przyszedłem powiedzieć pani dobranoc.

Wiedziała, co to znaczy. Przerabiała to dziesiątki razy, wprawdzie nie z Jego Lordowską Radykalnością, ale z innymi. Przez pierwsze pięć minut wszystko ładnie_pięknie: szepty, czule słówka, trzymanie za rękę - a potem nagle wymagania. Lepiej dać mu, czego chce, i niech się zabiera. Uda, że omdlewa z rozkoszy - to zawsze skutkuje.

Wśliznął się do łóżka w przekonaniu, że podbił cały świat.

- Czy mam zgasić lampę? - szepnął.

- Jak chcesz.

Zerknęła na zegarek. Za kwadrans jedenasta. Jeśli wyjdzie za pół godziny - choć może to zbyt ni optymizm - uda się jej złapać osiem godzin snu do porannej herbaty. Ale jeżeli - jak czuła instynktownie - lord frankofil nie zna się na rzeczy i czyny nie dorównają chęciom, wtedy trzeba się pośpieszyć. No to faites vous jeux i allons_y.

(Tu: wchodzimy do gry i naprzód).

Rozdział 6

Środa 22 lutego była ostatnim dniem przesłuchań. Pułkownik Wardle oznajmił, że nie potrzebuje dalszych świadków - uważa, że listy znalezione u kapitana Sandona stanowią wystarczający dowód na udział diuka Yorku w handlu awansami - po czym oddał głos liderowi większości.

Pan Perceval na wstępie stwierdził, że jego życzeniem jest rozproszyc wszelkie nieporozumienia, dotyczące zwłoki w przesłuchaniu kapitana Sandona i w przedłożeniu bileciku ze wzmianką o majorze Tony'nie. Po stronie opozycji szerzą się bowiem pogłoski, iż osoby przychylnie diukowi Yorku poleciły kapitanowi zniszczyć ów bilecik. Jest to oczywista nieprawda.

Opozycja przyjęła oświadczenie w milczeniu. Zauważyła wszakże, podobnie zresztą jak członkowie rządu, że przestało się jakoś mówić o rzekomym sfałszowaniu pisma. Nie wzywano też więcej biegłych grafologów.

Podjąwszy ostateczną próbę zdyskredytowania pani Clarke, lider wezwał na świadka panią Favoury, gospodynię, gdyż miał nadzieję, że ta zechce się poskarżyć na swoją panią. I w ten sposób Marta, której okrągłe z zaskoczenia oczy niemal nie wypadły z orbit, znalazła się przed obliczem prokuratora generalnego.

- Czy była pani gospodynią pani Clarke przy Gloucester Place?
- Byłam.
- Czy utrzymanie domu pociągało za sobą duże koszty?
- Z pewnością duże. Czasem zatrudniało się do jednego obiadu aż trzech kucharzy, a jeśli tylko Jego Królewskiej Wysokości coś nie przypadło do smaku, posyłało się po jeszcze jednego.
- Czy pani Clarke miała zwyczaj przyjmowania wizyt różnych dżentelmenów?
- Tak, nieraz dosłownie drzwi się nie zamykały.
- Czy Samuel Carter, zanim zamieszkał u pani Clarke jako lokaj, przychodził w towarzystwie niejakiego kapitana Suttona?
- Kapitan Sutton z pewnością go przyprowadzał, ale nie zabierał do salonu.
- Czy pani Clarke mieszkała kiedykolwiek z niejakim panem Ogilvie?
- Widywałam pana Ogilvie'ego, ale on nigdy nie mieszkał z panią Clarke. Przychodził na Tavistock Place. Taki potężnie zbudowany mężczyzna...
- Czy zna pani człowieka nazwiskiem Walmsley?
- Na co to panu potrzebne?

Zaczerwieniona z oburzenia Marta obrzuciła prokuratora niechętnym spojrzeniem. Sir Vicary Gibbs pochylił się do przodu. Ach, tak. Kolejny kochanek na liście podbojów pani Clarke?

Nazwisko Walmsley wzbudziło ciekawość. Zaczęło krążyć z ust do ust wśród zgromadzonych. Pewien Walmsley ze Shropshire poczerwieniał na twarzy i potrząsał bezradnie głową. Prokurator generalny nakazał gestem ciszę.

- Jeśli ma pani coś do powiedzenia na temat pana Walmsleya, z przyjemnością tego wysłuchamy.
- Marta niezdarnie szukała chusteczki. Jeśli nie wyzna prawdy, prokurator gotów wsadzić ją do więzienia...
- Pani Clarke wie o wszystkim. Poślubiłam tego człowieka, a potem się okazało, że on cały czas był żonaty. Oszukał mnie, ale ja nie miałam o niczym pojęcia. Kiedy prawda wyszła na jaw, odeszłam od niego. Pobraliśmy się w kościele w Woolwich. On był węglarzem. Pani Clarke ostrzegła mnie, ale jej nie posłuchałam.

Izba zatrzęsa się od śmiechu. Prokurator generalny, zerknąwszy na pana Percevala, pozwolił zaskoczonemu świadkowi odejść i wezwał po raz ostatni panią Mary Anne Clarke.

- Czy wiedziała pani o Walmsleyu?
- Tak. Słyszałam o nim mnóstwo razy. Podobno był złodziejem. Zginęło mi kilka talerzy do zupy i służba sądziła, że to jego sprawka. To bardzo niedobry człowiek, dlatego diuk uznał, że najlepiej będzie, jeśli i ją zwolnię.
- Ile czasu upłynęło, nim przyjęła pani na nowo panią Favoury?
- Stało się to dopiero wtedy, gdy uznałam, że nie potrafię się bez niej obejść. Ona jest wprowadzona we wszystkie moje sprawy, potrafi dochować sekretu i nigdy nie przyłapałam jej na najmniejszej nieuczciwości.

- Czy podtrzymuje pani swoje wcześniejsze zeznanie, że otrzymała pani kiedyś długą listę nazwisk oficerów ubiegających się o awans i przekazała ją Jego Królewskiej Wysokości?

- Tak jest. Włożył tę listę do notesu. Potem widziałam ją jeszcze raz. Kilka nazwisk było wykreślonych. Wspominam o tym wyłącznie dlatego, że tylko co słyszałam, jak dżentelmen po mojej prawej stronie powiedział, że mogłam się dostać do jego kieszeni.

Rzuciła oskarżycielskie spojrzenie torysowi, który ją obraził. Z ław opozycji rozległy się okrzyki: "Skandal!"

Prokurator generalny zerknął na ukrytą w dłoni karteczkę.

- W poprzednich zeznaniach powiedziała pani, że zna majora Dodda. Kiedy go pani widziała po raz ostatni?

- Nie pamiętam. Nie wstydę się tej znajomości i śmiem twierdzić, że i major Dodd nie wstydzi się znajomości ze mną. Z wyjątkiem może tej chwili.

- Czy zna pani niejakiego pana Ogilvie'ego?

- Tak.

- Jak długo?

- Nie przypominam sobie. Kilka lat.

- Cztery?

- Możliwe.

- Sześć?

- Nie sądzę.

- Jak długo przed zamieszkaniem z diukiem Yorku znała pani pana Ogilvie'ego?

- Parę miesięcy. Jego firma właśnie upadała i uzupełniał rejestry.

- Czy kiedykolwiek mieszkała pani z nim?

- Nie mieszkałam z żadnym mężczyzną poza diukiem Yorku.

Brawa i gwizdy z różnych stron. Świadek się nimi nie przejął. Prokurator generalny wzruszył ramionami. Lord Folkestone patrzył w ziemię. Pułkownik Wardle zmarszczył brwi. I nagle, ku ogólnemu rozczarowaniu, prokurator oznajmił, że nie ma dalszych pytań.

Później niewiele już się działo. Rozprawę zakończyły świadectwa dwóch wojskowych rzeczników rządu - ministra wojny i sir Artura Wellesleya.

- Co do stanu armii - mówił sir Artur - stwierdzam na podstawie własnej gruntownej wiedzy, że się znacznie poprawił pod każdym względem. Zwiększyła się dyscyplina żołnierzy, doświadczenie oficerów, sprawność bojowa, sztab mamy lepszy niż przedtem i skompletowany. To samo można powiedzieć o całym systemie zarządzania umundurowaniem, o wewnętrznej gospodarce w pułkach. Wszystkie te usprawnienia zawdzięczamy dowództwu Jego Królewskiej Wysokości diuka Yorku.

Po tym wystąpieniu pan Perceval zaproponował, żeby narada w sprawie ostatecznego raportu odbyła się w następny wtorek, gdyż całość protokołów zostanie opublikowana do poniedziałku. Pułkownik Wardle wyraził zgodę.

Dochodzenie w sprawie postępowania diuka Yorku dobiegło końca. Debata, która miała się dopiero rozpocząć, trwała od 23 lutego do 17 marca.

Rozdział 7

Siedziała w salonie przy Westbourne Place, rozdrażniona i załamana. Śledztwo, chociaż odrażające, stanowiło swego rodzaju wyzwanie. Teraz nie pozostało nic innego, jak tylko czekać na werdykt. Jaki - to raczej bez znaczenia.

Mary Anne nie czuła teraz niechęci ani złości. Nawet rozprawa przed sądem wojennym poszła w zapomnienie. Wszystkiemu winien jest Adam. I Greenwood.

W porannej gazecie przeczytała list diuka do przewodniczącego Izby Gmin:

"Panie!

Z największą niecierpliwością oczekiwałem zakończenia prac Komitetu powołanego przez Izbę Gmin do zbadania moich poczynań jako naczelnego wodza armii Jego Królewskiej Mości. Mam nadzieję, że nie weźmie mi Pan za złe, iż za Jego pośrednictwem zwracam się do Izby Gmin.

Z najgłębszym niepokojem zauważyłem, że w trakcie dochodzenia łączono moje imię z haniebnymi transakcjami o charakterze kryminalnym. Jestem zmuszony wyrazić ubolewanie, że takie podejrzenie, które wystawiło na publiczną krytykę moją osobę i honor, mogło w ogóle powstać".

W porządku, ubolewaj sobie. Dawniej nie przyszło ci to do głowy. Nie ubolewałeś, przysięgając, że mnie kochasz. Ani wtedy, gdy obiecywałeś zadbać o przyszłość moich dzieci. Zacząłeś żałować dopiero wtedy, gdy w twoje znudzone oko wpadła pani Carey, a ja stałam się niepotrzebnym balastem.

Ale nawet wtedy oszczędziłabym cię, gdybyś tylko dotrzymał obietnicy. Otworzyła znowu gazetę i doczytała list do końca.

"Co się tyczy mojego rzekomego przewinienia, związanego z oficjalnymi obowiązkami - stwierdzam tu uroczyście i słowem książęcym ręką, że jestem absolutnie niewinny. Nie tylko stanowczo zaprzeczam, iż brałem udział w jakichkolwiek haniebnym transakcjach, czy też je tolerowałem, co zresztą znalazło potwierdzenie w materiale dowodowym, ale także oświadczam, że nie przyszło mi nawet do głowy, iż takie rzeczy mają miejsce".

Biedaczek! A co z kołczykami, które dostałam od Parkera, co z koźmi, powozami, strojami, herbowym srebrem? Czy uważasz, że płaciłam za to z owych nędznych osiemdziesięciu funtów, które raczyłeś wydzielać mi co miesiąc?

"Poczucie niewinności daje mi nadzieję, że Izba Gmin na podstawie uzyskanych zeznań nie podejmie żadnych działań, które mogłyby przynieść ujmę mojej osobie i mojemu honorowi. Jeśli jednak opierając się na materiale dowodowym, Izba Gmin zakwestionuje moją uczciwość, to ufam, że zgodnie z zasadami sprawiedliwości nie zostaną potępiony bez procesu, ani pozbawiony tego, co jest należne każdemu poddanemu Korony Brytyjskiej ze strony usankcjonowanych prawem środków.

Pozostaję z szacunkiem,
Fryderyk"

Sam napisał ten list? Bardzo możliwe. Albo ułożył mu go osobisty sekretarz Herbert Taylor przy cichej współpracy Adama.

Według Folkestone'a, list przeszedł bez większego wrażenia. Mówiło się, że stanowi on atak na przywileje Izby, ale Mary Anne tego nie rozumiała i nie chciała rozumieć.

- No dobrze, ale co teraz będzie?

Takie pytanie zadała konspiratorom, którzy ją odwiedzili, to jest tym, którzy rozpętali całą aferę: Wardle'owi, Doddowi i Glennie'emu.

- Nie możemy niczego planować - oświadczył Wardle, wpadając nagle w pompatyczny ton. - Pani przyszłość, podobnie jak nasza, zależy od Izby. W ciągu najbliższych kilku tygodni będę nadzwyczaj zajęty. To na mojej głowie spoczywa cała odpowiedzialność za wynik debaty.

- Czy reszta opozycji pana nie poprze?

- Oczywiście, że mnie poprą. Ale to ja wszcząłem sprawę i ja jestem odpowiedzialny. Stoję na linii ognia, wszyscy czekają na mój ruch.

- I to właśnie pan lubi, mój ty nieposzlakowany patrioto.

- Miła pani, ostry język nie pasuje do tak uroczych usteczek.

- Ale podziwiał go pan w Izbie.

- To całkiem co innego. Wtedy używała go pani przeciw rządowi, a przecież my jesteśmy przyjaciółmi.

- Jeśli chodzi o rząd... - wtrącił Dodd, a Mary Anne dostrzegła znaczącą wymianę spojrzeń między mężczyznanami - to ostatniego wieczora rozmawialiśmy o pani z sir Richardem Phillipsem.

- Tym wydawcą z Bridge Street?

- Tym samym. To pani wielki admirator, a przynajmniej tak mówi.

- O? A czego chce?

- Czemu zaraz "chce"? Wychwalał pani wdziek.

- Panie majorze, od dawna wiem z doświadczenia, że żaden mężczyzna nie prawi komplementów bezinteresownie.

- To bardzo cyniczny punkt widzenia.

- Ależ ja jestem cyniczką.

- Właściwie - wtrącił się Wardle - to naprawdę chodzi o pewien szczególny interes Phillipsa. Stała się pani teraz tak bardzo popularna - cały Londyn aż huczy - że on chciałby panią zachęcić do napisania wspomnień. Zapewnia, że popyt byłby ogromny.

- Moje wspomnienia? O czym?

- O pani życiu z diukiem, o ludziach, których pani poznała, poza tym plotki, skandale. Zdobyłaby pani fortunę. Zapewniłaby pani sobie bogactwo do końca życia.

- Myślałam, że to już załatwione? Przecież diuk Kentu tylko czeka, żeby zacząć wypłacać mi pensję?

Zapadła niezręczna cisza.

- Oczywiście - odezwał się po chwili Dodd. - Ale to jest jeszcze w zawieszeniu. Najpierw musi się zakończyć debata w Izbie, a wtedy zobaczymy. Tymczasem, jeśli napisze pani książkę, ma pani wszystko do wygrania i nic do stracenia.

- Z pani talentem - dodał Wardle - dowcipem, wdziękiem, z pani łatwością pisania, zajmie to pani zaledwie kilka tygodni. Phillips zna człowieka, który nada dziełu ostateczny kształt. Nazywa się Gillingham.

- Z chęcią sam pani pomogę - rzekł Dodd. - Całkiem dobrze radzę sobie z piórem. Moja żona zawsze powtarza, że gdybym tylko miał czas, mógłbym napisać powieść. To samo mówi diuk Kentu.

- Więc czemu pan nie napisze jego wspomnień? Będą się sprzedawać lepiej niż moje. Jak poznał madame de Laurent, ze wszystkimi szczegółami. I jak oddziały w Gibraltarze spaliły jego kukłę jako Guya Fawkesa.

(Uczestnik "spisku prochowego", mającego na celu wysadzenie parlamentu w r. 1605. W rocznicę tego wydarzenia, która przypada 5 listopada, chłopcy palą kukłę Guya Fawkesa i puszczają petardy).

- Celem książki, jeśli zdecydowałyby się pani ją napisać - zmienił temat pułkownik Wardle - byłoby przede wszystkim obsmarowanie diuka, ale także atak na obecny rząd. Wygrzebując plotki na tematy osobiste, wymierzy pani cios wrogom wolności.

- Krótko mówiąc, chce pan wyprać rządowe brudy moimi rękami?

- Jestem bardzo zajęty. Nie mam czasu na pisanie.

Dobry Boże, jakże brzydziła się nimi wszystkimi! Była tylko narzędziem do osiągnięcia celu. Nieważne, w jakich brudach przyjdzie jej się babrać, oni zachowają czyste ręce - gdyż będą się trzymać z daleka.

- Coś panom powiem. Mogłabym napisać książkę o wszystkich mężczyźnach, których znałam. Łącznie z wami.

- Droga pani, my nie mamy nic do ukrycia. Proszę spytać naszych żon.

- Świetnie. A co panu mówi pseudonim "pan Brown"? I pewna kawiarnia przy Cadogan Square?

Pułkownik Wardle spurpurowiał i zamrugwał oczami.

- O co pani właściwie chodzi?

- Proszę zwrócić do swego sumienia, jeśli posiada pan coś takiego. Ja tam nic nie wiem. Pokojówka stamtąd przychodziła do Marty na herbatkę. A co do pana, majorze... Przy teatrze Drury Lane jest taka garkuchnia, w której za bufetem siedzi pewne rude dziewczę. Mój brat jada tam czasami. Jest wielkim miłośnikiem teatru...

- A o mnie co pani wie? - spytał uwodzicielsko major Glennie.

- Nic specjalnego. Zastanawiam się tylko, jak pan się wkręcił na tę ciepłą posadkę nauczyciela matematyki w Woolwich. Sądziłam, że wszyscy specjaliści od artylerii potrzebni są w Hiszpanii?

Cisza. Po chwili - gromki śmiech, cokolwiek wymuszony, i ostentacyjne spojrzenia na zegarki. Muszą już iść.

- Proszę przemyśleć sprawę tych wspomnień, pani Clarke. Sir Richard to bardzo obrotny wydawca.

Do tego stopnia obrotny, że w następnym poczcie znalazła prośbę o pilne spotkanie. To jasne, że musiał być z tamtymi w zмовie. Mary Anne spotkała się z sir Richardem w jego biurze przy Bridge

Street. Patrząc wstecz myślała o tych latach, kiedy w podobnych biurach sprzedawała plotkarskie kawałki do półpensowych pamfletów. Wyciągała wtedy dziesięć szylingów za kolumnę, które to pieniądze Joseph natychmiast przepijał w knajpie za rogiem. Pan Jones z "Paternoster Row" mawiał: "To za mało soczyste, publika żąda czegoś pieprzonego, takiego, żeby aż piekło w gardle". A teraz - proszę. Czerwony dywan na podłodze, a forsa sama pcha się do rąk.

Sir Richard na wstępie zaczął wychwalać jej sukcesy.

- Droga pani Clarke, rzuciła pani całą Izbę na kolana!

- Z wyjątkiem może prokuratora generalnego. I lider większości też pozostał w pozycji stojącej. Nie zauważyłam również, żeby na ławach rządowych ktoś się poruszył.

- Ale byli pod wrażeniem, zapewniam panią. Jest pani stanowczo zbyt skromna. No to co z tymi wspomnieniami?

- Jak to: co?

- Czy pani już zaczęła pisać?

- Ani linijki.

- Ale słyszałem, że jeszcze przed dochodzeniem, w lecie zeszłego roku, robiła pani jakieś notatki na temat swego życia przy Gloucester Place. Rozmowy z diukiem, prywatne sprawy rodziny królewskiej i tak dalej. Właśnie o takie materiały mi chodzi. Mogę je zobaczyć?

- To zależy od tego, co pan chce z nimi zrobić.

- Ależ opublikować, oczywiście. Z pewnymi ubarwieniami. Po prostu doda się gdzieś jakiś akcencik. Zajmie się tym zawodowiec, pani tylko dostarczy materiały i listy. Muszą być pikantne, nie mam co do tego wątpliwości. Wiem, jacy są ci książęta, to niemiecka krew, oni nie mają żadnych hamulców. Dobrze pani zapłacę za prawo do publikacji.

- Nie mam zamiaru sprzedawać praw autorskich.

- Nie ma pani zamiaru... Więc o co pani chodzi?

- Może pan wydrukować książkę i sprzedawać ją, ale prawa zachowam dla siebie.

- W takim razie, pani Clarke, nie ma mowy o interesie.

- Przykro mi. Znajdę innego wydawcę, nie śpieszy mi się.

Podniosła się i chciała wyjść, ale zatrzymał ją na chwilę.

- Jeśli sam nie mogę wydać tej książki, to skontaktuję panią ze znakomitym fachowcem, który ma zamiar zostać wydawcą i od jakiegoś czasu kręci się w branży. Niejaki Gillet. Właściwie to on jest tutaj, zaraz go pani przedstawię.

Wyczuła pismo nosem. Co za dziwny zbieg okoliczności. Ktoś akurat "wpadł przypadkiem" i tylko czekał na dany sygnał.

- Tak się składa, pani Clarke, że jest tu także księgarz z Kentu, pan Sullivan. Ma kwitnący interes w Maidstone. Tylko spojrz na panią i zaraz wyda odpowiednie polecenia. Kuć żelazo póki gorące - to moja ulubiona dewiza.

Weszli panowie Gillet i Sullivan. Wysłuchiwała kolejnej serii pochlebstw i komplementów, po czym na papierze pojawiły się cyfry.

- Pierwsze wydanie dwanaście tysięcy egzemplarzy. Sądzę, że w kilka tygodni uwiniemy się z subskrypcją.

- Portret autorki na frontysepisie? Główna w wykonaniu Bucka, ta sama, co w gazetach? I oczywiście z podpisem, bez podpisu nieważne.

- A co z Irlandią? Jak tam rynek w Dublinie?

- Mikusie nie płacą za dobrze, ale zależy im na książce. Można przyjąć, że pani Clarke zgarbnie dwa tysiące gwinei.

(W oryg.: Micks - slangowe określenie Irlandczyków).

Słuchała ich w milczeniu, po czym zadała pytanie:

- A co z zaliczką?

Martwa cisza. Wreszcie odezwał się pan Gillet:

- Jest zwyczaj, że najpierw musimy dostać rękopis.

Cwaniak z Maidstone i sir Richard byli tego samego zdania.

- Rozumiem. No cóż, lepiej wróć do domu i zabiorę się do pisania.

Zainteresowani odetchnęli z ulgą. Rozmowa zakończyła się bez jakichkolwiek pisemnych uzgodnień po obu stronach - żadnych podpisów, zobowiązań, tylko zapewnienie o literackim sukcesie i obietnica fortuny. Uwierzy im, kiedy dostanie gotówkę do ręki, dopiero wówczas te wszystkie słodkie słówka nabiorą sensu. No to wracamy na Westbourne Place i wyciągamy papier. A potem?... Czy "Wspomnienia Mary Anne Clarke" to dobry tytuł? Brzmi nieco sucho, jak szkolny podręcznik. "Moje wzloty i upadki" - tak jest bardziej ~a propos... Ale "wzloty" mogą spowodować dużo gadania i emocji. Lepiej nie budzić licha, przynajmniej póki dziewczęta nie wyjdą za mąż, a George nie zostanie generałem.

"Moje życie z diukiem?" Zostało opisane w protokołach, wywleczone w całości przed Izbę Gmin. Oczywiście, wszystkiego się nie doszukają. Na przykład, w co się ubierał (albo raczej z czego rozbierał), co lubił jeść, w jakim humorze bywał przy śniadaniu, co śpiewał w wannie... I jeszcze, że nie lubił ogrzewania łóżka szkandela, że o północy ziewał... Mogą bez wątpienia zarzucić jej kłamstwo - ba, w tym cały szkopuł - i postawić przed sądem za przekręcanie faktów. Żeby książka była naprawdę przekonująca, musi zawierać jego listy: wtedy na nic się zda zaprzeczanie i wykręcanie kota ogonem. Pani Clarke ma je wszystkie w pudełku przewiązanym wstążką, z wyjątkiem kilku, które zabrała do Izby. To listów przede wszystkim domaga się czytelnik. Nie chodzi o billets doux, jak te, które odczytywano podczas przesłuchań, tylko o niedyskrecje na temat rodziny królewskiej.

Na przykład o tym, jak król, którego w domu nazywają Sapciem, gra w szlafroku w wista, podczas gdy premier Pitt czeka na audyencję... O tym, że królowa tak ściśle przestrzega etykiety, iż cały dwór niemal pada plackiem na twarz, gdy tylko się zbliża... Połóg księżnej Walii i związane z nim dziwne reperkusje... Zwyczaże i upodobania braci diuka, zwłaszcza Cumberlanda, który wszędzie rozwiesza lustra i lubi się otaczać podejrzanymi paziami...

Oczywiście, te listy tak czy inaczej mają dużą wartość, zwłaszcza gdy się je oprawi w cielecącą skórę z błyszczącymi dumnie złotymi literami. Ale to, czy sir Richard, Gillet albo ów cwaniak z Maidstone zapłacą za nie tyle samo, co sam książę, który je napisał - pozostaje kwestią otwartą, do ewentualnego zbadania.

Zabawne, że na tak wielu jej przyjaciół padł nagle blady strach. Do najbardziej nerwowych należał James Fitzgerald z Irlandii - miał powody, sądząc z jego listów. Nie był jedynym, który zaklinał ją na wszystkie świętości, a na starą przyjaźń przede wszystkim, żeby, jeśli już zdecyduje się na pisanie wspomnień, pominęła jego osobę. Plotki, jak widać, dotarły nawet do Dublina... Jeśli pani Clarke nie spaliła dotąd jego listów, czy mogłaby je łaskawie zwrócić? Tak naprawdę to ani ich nie spaliła, ani nie mogła zwrócić. Znajdowały się w pakiecie znalezionym przez Nicholisa w Hampstead, a teraz spoczywały w depozycie Izby Gmin.

Ta wiadomość zaowocowała przyjazdem syna Jamesa, Willie'ego, który o szóstej rano pojawił się na Westbourne Place ze łzami w oczach.

- Cóż się, na miłość boską, stało? Czy twój ojciec umarł?

Szybko zaciągnięto zasłony, dołożono do ognia, gościa usadzono przy gorącej kawie i jajkach, u boku odzianej w peniuar gospodyni.

- Mary Anne, stoimy u progu ruiny, tylko ty możesz nas uratować.

- Nie wiem, czy w całym domu mam chociaż pięć gwinei. Poślę po tapicera, on coś wykombinuje.

- Nie chodzi o pieniądze.

- Więc o co, u diabła?

Wyglądał, jakby uciekł z domu wariatów. Miał żółta srebro w włosach (statek z Dublina), brudne paznokcie, był nie ogolony.

- Pięć dni temu ojciec dostał twój list. Przyjechałem natychmiast... Mary Anne, musisz odzyskać te listy!

- W jaki sposób? Są w Izbie Gmin, zapieczętowane.

- Musisz natychmiast zwrócić się do Percevala.

- Nie będzie mnie słuchał. Prawdopodobnie złamał już pieczęć i przeczytał sporą część.

- Czy nie rozumiesz, w jakiej znajdziemy się sytuacji? Mój ojciec już nigdy nie spojrzeli ludzkom w oczy, siostra będzie zmuszona zerwać zaręczyny, a co do mnie...

- Wiem, to bardzo przykre. W jednym liście, jeśli dobrze pamiętam, z 1805 roku, James mnie prosi, żeby mógł zostać moim agentem w Irlandii. Píše, że podkreśli ceny za stopień chorążego. Jeśli odczytają to w Izbie, to marne jego widoki...

- Dobrze ci się śmiać.

- Nic innego mi nie pozostało. Nie mam tych listów. Sam poproszę Percevala, ale raczej cię nie wysłucha przed końcem debaty.

- Nawiasem mówiąc, chyba nie napiszesz o nas we wspomnieniach?

- Nawiasem mówiąc, niczego nie obiecuję. Jedz śniadanie.

Jak mogła w Worthing uważać go za interesującego? To przez te jasne włosy i młodzieńczy urok w połączeniu z nudą i lipcowymi upałami...

- Powiem ci, co możesz zrobić - wpadła nagle na pomysł. - Mówiłeś kiedyś, że znasz dobrze hrabiego Moiry. I jeszcze hrabiego Chichesteru. Spotkałam ich kiedyś z tobą. Będą się otrząsać na sam dźwięk mojego nazwiska, ale nic nie szkodzi. Od dawna są bliskimi przyjaciółmi diuka Yorku. Szepnij im słówko, że chcę opublikować wspomnienia, łącznie z listami diuka, ale mogłabym się rozmyślić, gdyby ktoś zadał sobie trud wyperswadowania mi tego zamiaru.

To na pewno uczciwe posunięcie, które zostawia wszystkie drzwi otwarte...

Tymczasem przez długie marcowe tygodnie trwała debata w Izbie Gmin. Przemówienia ciągnęły się w nieskończoność - za, przeciw, pochwały na zmianę z obelgami, wynoszenie pod niebiosa, to znów obsmarowywanie błotem. Główny świadek Wardle'a zapisywał w tym czasie notes za notesem; wyznania, wrażenia, dygresje i wszystko inne. Mary Anne nie miała czasu dosłownie na nic innego, nawet na dzieci, pozostające na szczęście na wsi pod opieką matki. Ani chwili dla Billa, który w Uxbridge pielęgnował sparaliżowanego ojca.

Tylko z rzadka pozwalała sobie na przerwy - gdy Jego Lordowska Radykalność, rozgorączkowany po kolejnym dniu obrad, składał jej ukradkowe wizyty. Wtedy mogła usłyszeć wszystkie nowiny. Jak postępuje wojna ideologiczna, kto nazwał ją wiedźmą i ladacznicą, a kto biedną ofiarą oszczerstw, która wygląda boskiego zmiłowania.

- Kto wygrywa?

- Siły są wyrównane.

- Będzie łeb w łeb na finiszu?

- Nie, z lekką przewagą rządu.

- A to oznacza...

- Rezygnację.

- Czyją?

- Twojego szarmanckiego galanta.

Ani przez chwilę nie poczuła radości, dumy czy triumfu, tylko ból w sercu i zawstydzenie. "Ja wymierzę zapłatę - mówi Pan", tak wyczytała w sfatygowanej Biblii matki, ale co jej to dało? Tylko ten dziwny niesmak w ustach.

- Mogę zostać?

- Jak chcesz.

Nawet na to już zobojętniała. Ot, po prostu haracz. Te same rutynowe doznania, żadnej namiętności, żadnego entuzjazmu.

16 marca sesja Izby przeciągnęła się do późnego wieczora, zanim doszło do głosowania. Debata, która trwała od trzech tygodni, zakończyła się wreszcie, a z końcowych przemówień można było wywnioskować, jak wygląda podział głosów.

Na wstępie lider większości i prokurator generalny wyrazili opinię, że nie ma potrzeby usuwania Jego Królewskiej Wysokości ze stanowiska, które obecnie zajmuje. Gdyby pani Clarke była osobą wiarygodną, można by zarzuty uznać za udowodnione, niestety jej świadectwo jest wyssane z palca. Obowiązkiem Izby jest uwolnienie diuka Yorku z wszelkich zarzutów.

Sir Francis Burdett z opozycji oświadczył, że zdumiewa go postawa takich ludzi jak lider większości i bądź co bądź minister skarbu pan Perceval, jak sir Vicary Gibbs, prokurator generalny, oraz wszystkich prawników Korony, których obowiązkiem jest ściganie przestępstw, a którzy tym razem znaleźli się po stronie oskarżonego.

Co zaś do wzniosłych zasad diuka Yorku, to nie czuł on żadnych skrupułów, kiedy pozbywał się metresy i skazywał ją na nędzę i niesławę. Gdy pani Clarke zwróciła się doń z prośbą o przyznanie pensji, odmówił. Widać więc, ile są warte jego obietnice. Wysoka pozycja księcia nie ma w tym przypadku nic do rzeczy. Tu chodzi o angielskie prawo. Lud Anglii spodziewa się po Izbie sprawiedliwości. Sir Francisowi wydaje się niemożliwe, po tym, co usłyszano w Izbie w ciągu ostatnich tygodni, żeby diuk Yorku mógł się utrzymać na stanowisku naczelnego wodza armii.

Wśród incydentów świadczących o wielkim wzburzeniu zebranych Izba podjęła decyzję o głosowaniu. Wynik był taki, jak przewidział lord Folkestone. Chociaż diuk Yorku został uwolniony od obydwóch zarzutów: brania pieniędzy za awanse osobiście i tolerowania korupcji, za jego niewinnością głosowało zaledwie osiemdziesiąt dwa procent zebranych.

Na papierze, formalnie, zarzuty zostały oddalone, ale w oczach opinii publicznej diuk Yorku był winien - i tak oto opozycja odniosła zwycięstwo.

Gdy w piątkowy wieczór ogłoszono nowinę, na ulicach Londynu zapanowała powszechna euforia. Pułkownik Wardle zyskał miano bohatera narodowego, a panią Clarke uznano za dobrodziejkę ludu brytyjskiego. Uliczne łożyzniaki nie rzuciły już w jej okna kamieniami, natomiast tłumy mieszkańców ciasnych zaułków Chelsea i Kensigtonu wyczekiwały, aż raczy pojawić się w progu domu i obdarzyć ich uśmiechem.

Tego wieczoru Mary Anne udała się na Haymarket do opery, na benefisowe przedstawienie dla zespołu teatru Drury Lane. Towarzyszili jej Charley, May Taylor i lord Folkestone. Gdy publiczność zobaczyła w łoży panią Clarke, widownia dosłownie zatrzęsała się od braw i radosnych okrzyków.

- Czyż ta chwila nie jest warta wszystkiego, przez co przeszedłaś w Izbie Gmin? - szepnęła Charley.

Jego siostra słała na wszystkie strony uśmiechy i ukłony, pozdrawiając dłońmi tłumy.

- Nie - odrzekła, dalej się uśmiechając.

- O co jeszcze chcesz walczyć? O publiczne przeprosiny?

Roześmiała się.

- Cierpliwości. Sam zobaczysz. Pewnego dnia osiągnę samego Vicary'ego Gibbsa.

- Jeśli już teraz zbierasz hołdy - szepnęła lord Folkestone, gdy brawa umilkły i publiczność się uspokoiła - to co się będzie działo po opublikowaniu wspomnień?

- Autora się czyta, a nie oddaje mu cześć. Poza tym jest wysoce prawdopodobne, że nie wydam mojej książki.

Wyglądał na zaskoczonego.

- Ależ... Przecież musisz. Słyszałem od sir Richarda Phillipsa, że rzecz jest postanowiona. Ta książka spowoduje kolejną nagonkę na rząd i przyniesie sukces opozycji.

Mary Anne wzruszyła ramionami. Światła zaczęły przygasać.

- Jeśli sądzisz, że zależy mi choć odrobinę na którejkolwiek ze stron, to się głęboko mylisz. Sami niech się biorą za łby.

- Więc o co ta cała batalia?

- O przyszłość moich dzieci.

Kurtyna poszła w górę i przez widownię przebiegł szmer. Grano sztukę "Miodowy miesiąc". Gdy jeden z głównych bohaterów zakończył swoją kwestię słowami: "To z pewnością trochę niezręcznie, że muszę złożyć swój urząd w końcu miesiąca, ale podobnie jak inne ważne osobistości, goni mnie czas. Chciałbym bowiem odejść dobrowolnie i uniknąć przykrości wyrzucenia", publiczność wstała z miejsc i niemal zagłuszyła aktora krzykami. Ponownie wszystkie głowy zwróciły się ku prawej łoży, ludzie machali rękami, śmiali się i klaskali. Mary Anne święciła prawdziwe triumfy.

W sobotę rano Jego Królewska Wysokość diuk Yorku złożył rezygnację ze stanowiska naczelnego wodza armii. Król w swej łaskawości dymisję przyjął. Burza trwała aż do Wielkanocy, wystąpienia opozycji w Pałacu Westminsterskim były nagradzane oklaskami. 1 kwietnia pułkownika Wardle'a mianowano honorowym obywatelem londyńskiego City. Burmistrz, który się temu sprzeciwiał, został zakrzyczany przez motłoch, zaś jego powóz obrzucono błotem.

Tego samego dnia główny świadek pułkownika spotkał się z trzema dżentelmenami: hrabią Moiry, hrabią Chichesteru i sir Herbertem Taylorem, osobistym sekretarzem Jego Królewskiej Wysokości diuka Yorku.

Na tym spotkaniu pani Clarke, wspierana przez swego adwokata pana Comrie'ego, brata kapitana Thompsona i dwóch przyjaciół - panów Williama Dowlera i Williama Coxheada-Marsha, zgodziła się wstrzymać publikację własnych wspomnień, których część została już wydrukowana w nakładzie kilku tysięcy egzemplarzy w oficynie pana Gilleta. Wydawcy zaproponowano rekompensatę w wysokości 1500 funtów po zniszczeniu całości nakładu.

Za wstrzymanie druku wspomnień i za zgodę na przejęcie przez hrabiego Chichesteru wszystkich listów od diuka Yorku, znajdujących się w jej posiadaniu, pani Clarke miała otrzymać dziesięć tysięcy funtów oraz dożywocie w wysokości czterystu funtów rocznie plus po dwieście dla każdej z córek. Po jej śmierci dożywocie przejdzie na córki. Trzej dżentelmeni biorący udział w spotkaniu podejmują się funkcji powierników. Hrabia Chichesteru i pan Cox z firmy Cox i Greenwood zostaną gwarantami wypłat.

Wobec powyższego Mary Anne usiadła i podpisała następujący dokument:

"Po rozważeniu zaproponowanych i uzgodnionych warunków, ja, Mary Anne Clarke, zamieszkała przy Westbourne Place 2 w Londynie, przyrzekam oddać wszystkie przechowywane przeze mnie i znajdujące się w moim posiadaniu listy, dokumenty i notatki dotyczące diuka Yorku i innych członków Rodziny Królewskiej, a zwłaszcza listy, dokumenty i notatki pisane i podpisane przez rzonego diuka. Przyrzekam także wystarać się o wszystkie listy przechowywane przez inne osoby i przekazać je przyjacielowi diuka.

Wyrażam również zgodę na złożenie w stosownym czasie uroczystej przysięgi, że wydałam wszystkie znajdujące się w moim posiadaniu i pod moją pieczę listy oraz inne pisma diuka Yorku, o których mi wiadomo. Przyrzekam także wydestać od wydawcy i osób zatrudnionych przy druku mojej biografii każdy dokument znajdujący się w ich posiadaniu oraz wszystkie już wydrukowane fragmenty.

Dalej, obiecuję nie pisać i nie publikować żadnego artykułu dotyczącego mojego związku z diukiem ani też nie puszczać w obieg słownie lub na piśmie żadnych zasłyszanych od diuka anegdot.

Dalej, wyrażam zgodę, żeby w razie mojego niezastosowania się do wymienionych wyżej warunków przyznane mi dożywocie (dziedziczone następnie przez moje córki) zostało całkowicie wstrzymane.

Zobowiązuję się przekazać wszystkie listy, natomiast rękopisy i te ich fragmenty, które zostały już wydrukowane, będą spalone w obecności wyznaczonej do tego celu osoby. Przrzekam również nie zatrzymywać ani jednej kopii żadnego z listów diuka ani żadnego rękopisu czy też jego części.

Datowano: 1 kwietnia 1809 roku.

Podpisano: Mary Anne Clarke".

Dokument poświadczył adwokat, pan James Comrie.

Mary Anne odjechała do domu przy Westbourne Place, gdzie następnie wydała przyjęcie, lecz jej myśl błędziła przy opustoszałym fotelu w dowództwie Gwardii Konnej.

Gdy przyjaciele się już rozeszli, stanęła przy oknie salonu. Zostali tylko Bill, Charley i May Taylor. Bill podszedł do zamyszonej pani domu i wziął ją za rękę.

- Koniec epoki - odezwał się. - Zapomnij o tym wszystkim. Ta niefortunna część twojego życia skończyła się raz na zawsze.

- Wcale nie. A co z przyszłością?

- Masz to, czego chciałaś. Dzieci są zabezpieczone.

- Nie to miałam na myśli. Chodzi mi o obietnice Wardle'a.

- Co takiego ci obiecał?

- Zamki... Powozy z czwórką koni... I diuka Kentu trzaskającego z bata na koźle.

Roześmiała się i nie powiedziała nic więcej. Dokończyli wino - reszkę wspaniałego daru pana Illingwortha.

- Czy zauważyłeś - odezwała się po chwili - pewne dziwne niedopatrzzenie w tym pompatycznym dokumencie? Zobowiązałam się nie publikować ani słowa na temat mojego życia z diukiem. Ale obietnica dotyczy tylko mnie samej, natomiast nie obejmuje moich spadkobierców.

- Czy sądzisz, że dzieci...

Wzruszyła ramionami.

- Uważam, że to zastanawiające, i tyle.

Wzniosła toast za przyszłość i wysączyła wino do dna.

Część IV

Rozdział 1

Wszyscy po kolei zalewali ją pretensjami: Wardle, Dodd, Folkestone i na końcu oczywiście Will Ogilvie. Każdy zadawał to samo pytanie: Dlaczego? Po co?

Każdemu odpowiadała jednakowo:

- Żeby zabezpieczyć dzieci.

- Ale to my mieliśmy wszystkie atuty - upierał się Wardle. - Nasze zwycięstwo było pewne, a publikacja pani wspomnień wraz z listami diuka oddałaby kolosalną przysługę naszej sprawie.

Wzruszyła ramionami.

- Wasza sprawa mnie nie interesuje. Walczyłam dla was na forum Izby i to wystarczy.

- Listy! - jęczał major Dodd. - Te bezcenne listy! Sama tylko aluzja na temat ich treści przyczyniłaby się do degradacji diuka Yorku w oczach opinii publicznej do końca życia. Jego miejsce zajęłoby diuk Kentu i dzięki swemu rozsądkowi i prawości w ciągu jednej nocy zyskałby sobie powszechną sympatię i szacunek, a teraz...

- A teraz - dokończyła - będzie dalej siedział na tyłku w Ealing, podczas gdy fotel naczelnego wodza zajmie sir David Dundas.

Jego Lordowska Radykalność, troskliwy i delikatny, pochylił się ku niej, potrząsając z powątpiewaniem głową.

- Obiecałaś, że będziesz się mnie zawsze radzić - rzekł z wyrzutem. - Rozumiem twoje dążenie do zabezpieczenia dzieci, ale pozbywanie się asa atutowego to czyste szaleństwo. Publikacja tych wspomnień i listów mogła wyrzucić doniosły wpływ na życie polityczne. Przynajmniej partia torysów uległaby rozbiciu, gabinet by się podzielił, wreszcie powstałoby duchem republiki i to na tych samych ławach, gdzie...

- Gdzie, na Boga, przyda się trochę świeżego powietrza. Wymieście tę waszą Izbę do czysta, ale własnymi rękami. Nie jestem i nigdy nie byłem politykiem. Och, idźcie sobie, mam was dość.

Węc poszli i Mary Anne została sama, a wtedy wahadło, jak zwykle w takich chwilach, wychyliło się w przeciwną stronę. Bez wątpienia postąpiła głupio - czas to pokaże - ale przynajmniej miała w banku pieniądze dla Mary i Ellen, a także pewną sumę dla siebie. Nie musiała już się oglądać na męską wspaniałomyślność. Odwieczny lęk zniknął raz na zawsze. Ale co pozostało? Usiąść na laurach w wieku trzydziestu trzech lat i siedzieć tak przez całe cholerne życie? Wątpliwości wzięły górę, a wtedy pojawił się Will Ogilvie.

- Wykiwałaś mnie - rzekł bez żadnych wstępów.

- Mówiłam ci już dawno: wszystko, co robię, robię dla moich dzieci.

- Bzdury! Mogłaś zbić fortunę na tych wspomnieniach, a twoje dziewczynki żyłyby jak królowy. Teraz masz dla nich po dwie setki do końca życia, toż to jałmużna! A co do owych dziesięciu tysięcy, to znając twoje upodobania do wystawnego życia, przepuścisz je w ciągu dwóch lat. Jeśli chodzi o poważniejsze skutki...

- Masz na myśli wakaty w pałacu Buckingham i ruinę Domu Brunszwickiego?

- Nazywaj to jak chcesz.

- Szczerze mówiąc, Will, lubię takie przedstawienia. Czerwień mundurów, błyszczące instrumenty orkiestry, król w koronie - nawet zbikowany i ze źdźbłami słomy w głowie. Mam słabość do błękitnej krwi i pomazańców Bożych.

- Och, nie. To po prostu pretekst. W głębi swojej kobiecej duszyczki pragniesz go odzyskać.

- Kogo?

- Twojego diuka. Dlatego oddałaś listy i spaliłaś wspomnienia. Wyobrażasz sobie na swój obłudny, babski sposób, że postępując tak, wykonałaś pewnego rodzaju gest. Że on się wzruszy i uroni łezkę, a któregoś pięknego dnia zatrzyma powóz u twoich drzwi i pociągnie za dzwonek...

- To nieprawda!

- Nie kłam! Znam cię na wylot. Cóż, lepiej weź od razu młotek i wybij to sobie z głowy. On nie wróci. Mdli go na sam dźwięk twojego imienia. Został skompromitowany na oczach całego świata i zawdzięcza to tobie.

Iskra gniewu strzeliła płomieniem pod samo niebo.

- I temu, kto mi doradzał! Zbankrutowanemu agentowi wojskowemu, podstępnemu szantażyście. Bóg mi świadkiem, dość już namieszałeś w moich sprawach. Po co ja cię w ogóle poznałam?

- A gdzie byś teraz była, gdyby nie ja? Rozkładałabyś nogi w Brighton w jakiejś obskurnej norze. Trzy razy w ciągu nocy, po pięć szylingów za numerkę? Albo lepiej, w jakiejś nędznej kryjówce wynalazionej przez wiernego Dowlera w pobliżu jego domu. Nie miałabyś służby, straciłabyś figurę i jeszcze w każdą sobotę musiałabyś okazywać wdzięczność temu biedakowi.

- Przeciwnie. Wyimpasowałabym panią Fitz i królowałabym w Carlton House albo wycofałabym się z interesu... Och Will, jak ja cię nienawidzę! Gdyby nie twoje diabelskie podszepty...

- Przecież cię uratowałem, tylko nie chcesz tego przyznać. Pytanie, co dalej?

- Spocznę na laurach i będę uczyć córki dobrych manier.

- A potem wydasz je za pastorów z głodowymi dochodami. Sprzykrzy ci się ten nienaganny żywot. A co z kochankami?

- Po co mi oni? Z dziesięciotysięcznym kapitałem i czterema setkami rocznie nie potrzebuję nikogo. Mam dość męczyczy, są za bardzo wymagający.

- Chodzi ci o Jego Lordowską Radykalność?

- Chodzi mi w ogóle o cały rodzaj męski. Sama sobie wywalczyłam niezależność, wcale nie dzięki tobie czy Wardle'owi. Gdzie, nawiasem mówiąc, jest ten obiecany pałacyk i powóz z czwórka koni?

- Spytaj posła z okręgu Okehampton. Odpowie ci to samo, co ja: żeś go wykiwała. Wycofując się z publikacji wspomnień, wytrąciłaś mu w krytycznym momencie broń, od której wszystko zależało. Krótko mówiąc, nie jesteś mu więcej potrzebna.

- A Kent?

- Och, na Kenta padł blady strach, że zostanie zdemaskowany. Przyznaję, że źle go osądziłem. Myślałem, że to facet z charakterem, ale u niego wszystko sprowadza się do butów według niemieckiej mody. Nie dostanie posady swojego brata ani żadnej innej.

- Więc wszyscy znajdujemy się w punkcie wyjścia?

- Bardzo trafne spostrzeżenie. Chociaż Wardle jest bohaterem tłumów, a ty notoryczną... Jeśli nawet twoja twarz nie zdoła dziobić tysiąca okrętów, to przynajmniej została uwieczniona na stradfordzkich kubkach. W każdym sklepiku sprzedają karykatury przedstawiające ciebie w łóżku, czego jeszcze chcesz?

- Słówka podziękowania za rolę w Izbie Gmin. Choćby za to, że oderwałam myśli ludu od wojny z Hiszpanią.

- To ci się rzeczywiście udało. Nazwisko pani Clarke jest głośne w całej Anglii. Szkoda, że to nie potrwa długo. Ponieważ spaliłaś wspomnienia, po prostu wypadniesz z obiegu. Nie ma nic nudniejszego jak życie na rencie...

Patrzyła w nieruchome, beznamietne oczy Willa. Ile z tej gadaniny było po to, aby ją zaciekawić, podpuścić, co właściwie chodziło mu po głowie, jakie lichy ukryło się w jego opętanej obsesją umyśle, warząc truciznę?

- Nienawidzę niewdzięczności - rzekła. - I łamania obietnic.

- Zwłaszcza gdy składają je zrozumieli głupcy.

Więc on też nie lubił Wardle'a? No jasne. Jego gra skończyła się fiaskiem, plan spalił na panewce. Gdzieś w samym środku tej intrygi Wardle grubo się przeliczył. Ogilvie, snując w sekrecie swą pajęczynę, spostrzegł, że łup mu się wymyka, a sieć rozpada w strzępy.

- Gdybyś tylko działał sam, zamiast zatrudniać figurantów, mógłbyś odnieść sukces.

- Powstrzymuje mnie od tego moja cielesna powłoka.

- Doprawdy? Często się zastanawiałam...

Ale nie nastąpiły żadne wyznania, żadne rewelacje dotyczące jego spraw osobistych. Gdzie też chodził, żeby się zabawić, odprężyć? Przynajmniej nie tu. Wtedy zaraz powstaje jakaś więz - i rozłam. Może jak zwykle czytał w myślach Mary Anne, bo się roześmiał, pocałował ją w rękę i życzył dobrej nocy.

- No dobrze, wybaczam ci spalenie wspomnień, ale dziesięć tysięcy łatwo przepuścić. Spróbuj podwoić tę kwotę, jeśli nadarzy się okazja. Poza tym dostarczono ci środków na utrzymanie wyłącznie córek. A co z resztą klanu Mackenzie? Może też chcieliby porosnąć w piórka?

To rzekłszy wyszedł. Ale dał jej do myślenia i skłonił do ustępstw. Właśnie o to mu chodziło i Mary Anne zdawała sobie z tego sprawę.

Burzliwe myśli przyprawiły ją o niespokojną, bezsenną noc. Rano wyładowała zły humor na Marcie.

- Niebieska suknia, a nie biała!

- Niebieska jest podarta.

- Więc czemu jej, u diabła, nie zacerowałaś?

- Nie miałam kiedy, psze pani. Nosila ją pani wczoraj cały dzień.

- Niebieska jedwabna, a nie atłasowa... Nie zabieraj tacy, nie skończyłam jeszcze. Jest już poczta? Kto przyszedł? Gdzie moje listy?

- Są wszystkie tutaj, psze pani. Na tacy. Odsunęła je pani na bok.
- Myślałam, że to rachunki... I tak jest. Zabierz je. Co to za pęczek zwiedłych stokrotek, jeśli wolno spytać?

- To od pana Fitzgeralda, przysłał je z rana.

- Fitzgerald ojciec czy syn?

- Pan William, psze pani.

- Powinien lepiej znać się na rzeczy, ma już dwadzieścia sześć lat. Jego ojciec przysyłał mi róże! Akcje lecą w dół albo irlandzka krew stygnie, jedno z dwojga. Nikt więcej nie przychodził?

- Pan Wright jest na dole.

- Ten tapicer?

- Tak, psze pani. Czeka od siódmej.

- Kogo chciał zastać na nogach w środku nocy?

- Nie wiem... Mówił coś o pułkowniku Wardle'u.

- Uchowaj Boże, żebym pozwoliła mu kiedyś zostać do rana. Czy choć raz widziałas w tym łóżku pułkownika Wardle'a?

- Nigdy, psze pani. Co za okropny pomysł!

- Okropny, rzeczywiście. Zimno mi się robi na samą myśl, że mógłby mnie dotknąć. Możesz to powtórzyć Wrightowi z pozdrowieniami ode mnie. Teraz przygotuj mi kąpiel i przestań mleć ozorem.

Francis Wright, jak każdy inny, czytał już gazety. Dziesięć tysięcy funtów gotówką dla pani Clarke. Niewiele, ale wystarczy. Tak stało w "Morning Post". Zatem drgnęło coś w interesach, a w każdym razie zanosilo się na to. On zaś jeszcze nie otrzymał całej należności za meble.

Mary Anne spłynęła do salonu z wyciągniętymi rękami.

- Drogi panie Wright, czym mogę panu służyć?

- No cóż, pani Clarke, właściwie chodzi o dom.

- Dom?

- Mieszka pani już piąty miesiąc.

- Wiem. Bardzo mi się tu podoba.

- Pomyślałem sobie, że w tych okolicznościach może pani potrzebować czegoś większego, bardziej okazałego?

- Och, nie... Mam skromne upodobania, jak pan wie. Poza tym moja sytuacja niewiele się zmieniła. Ot, parę groszy dla córek na szpilki...

- Rozumiem. Cóż, skoro tak... - Podał jej rachunek. Kilka bitych stron pokrytych równym drukiem. - To od października ubiegłego roku, bez uwzględnienia kosztów magazynowania przed tą datą. Czy mam odczytać pozycje po kolei?

- Nie chciałabym, żeby pan sobie zdzierał głos, już i tak jest pan zachrypnięty. To od wychodzenia na dwór o zbyt wczesnej porze, taka nieostrożność fatalnie wpływa na gardło. Powinien pan wypić trochę wina.

Pan Wright nie miał zwyczaju pić wina o dziesiątej rano. Nie minęło pół godziny, a z zaczerwienioną, nabrzmiąłą twarzą, kompletnie otumaniony, tokował o swoich chłopięcych latach w Greenwich. Rachunek powędrował z powrotem do kieszonki kamizelki. A przecież przyszedł tu w określonym celu... W jakim? Wpatrywał się w swoją klientkę z głupią miną, starając się dobrać odpowiednie słowa.

- Uzgodniliśmy z bratem, że musimy odebrać należność.

- Pański brat ma absolutną rację. Macie moje poparcie. Proszę się zwrócić do pułkownika Wardle'a, który obiecał panom zapłatę. Zdaje mi się, że doszło do pewnych uzgodnień z kupcem winnym nazwiskiem Illingworth?

- W rzeczy samej. Ale nie było to honorowane.

- Cóż za opieszałość! Powiem panu w największej tajemnicy, tylko entre nous, że pułkownik Wardle zachował się niegodnie nie tylko w stosunku do pana. Nie dotrzymał ani jednej danej mi obietnicy. Pamięta pan, co mówił w listopadzie?

- Chyba tak. Nie jestem pewny...

- Ależ z pewnością pamięta pan! Ci wpływowi przyjaciele... Nowy dzień świta nad Anglią... Proszę sobie przypomnieć.

- Podziwiał meble w moim magazynie, ale mówił, że są bardzo kosztowne. Tyle pamiętam.

- Może i kosztowne, jednak niezbędne dla moich potrzeb i roli, jaką mi wyznaczył. Dlatego właśnie zgodził się zapłacić i dał panu słowo.

Wright potrzęsła głową. Zaczynało mu się przejaśniać w mózgu.

- Wątpię, czy wydostanę od niego choćby pensa.

- Czy chce pan wystąpić na drogę sądową?

- Jeśli okaże się, że sprawa jest do wygrania.

- Oczywiście, że jest do wygrania. To najuczciwsza sprawa pod słońcem. Proszę napisać do niego z żądaniem zapłaty, a jeśli odmówi, zostawi pan to mnie. Już ja dopilnuję, żeby się nie wywinął. Najwyższy czas, żeby tego bohaterskiego lwa zrzucić z piedestału.

Pan Wright odmówił kolejnego kieliszka sherry i został odprowadzony. Następnym gościem był doktor Metcalfe. Zajmował się Mary Anne troskliwie w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy, pomagając przebrnąć przez trudy śledztwa i wysłuchując różnych zwierzeń, które wymykały jej się w chwilach napięcia.

- Sługa uniżony, pani Clarke. Moje gratulacje.

- Z jakiej to okazji?

- Nowiny, którą usłyszałem dziś rano. Ponoć przyjaciele diuka wypłacili pani dziesięć tysięcy funtów i zapewnili dożywocie dla pani i córek.

- Ach, to... Prawdę mówiąc, to kropla w morzu. Ot, żeby nie umrzeć z głodu.

- Rozumiem. Spodziewała się pani więcej i doznała zawodu. To przykre. Faktem jest...

- Tak?

- Że sam uwierzyłem w pani perspektywy. Mówiła mi pani parę miesięcy temu o swoich oczekiwaniach albo powiedzmy, nadziejach, dotyczących innego rodzaju spraw, w których, gdyby się spełniły, mógłbym mieć pewien udział...

A niechże geś kopnie tych wszystkich lekarzy, z ich tak zwanym "podejściem do pacjenta"! Wystarczy trochę migreny i zaraz sypialnia zmienia się w konfesjonał. Teraz Mary Anne przypominała sobie o chwilach niedyskrecji sprowokowanych przez ten współczujący, lekarski ton, o swoich aluzjach na temat Dodda, Wardle'a i diuka Kentu - jaka to świetlana przyszłość rysuje się przed wszystkimi jej bliskimi przyjaciółmi. Zaprosiła kiedyś nawet Metcalfe'a z żoną na obiad, żeby poznał Dodda i Wardle'a. Były rozmowy o bogactwie - zresztą wino lało się strumieniami - o protekcji, o poruszeniu w świecie medycyny. Doktor Metcalfe uznał, że krok zaledwie dzieli go od porzucenia skromnej praktyki i sprowadzenia na świat dzieci. Widział się już w Windsorze, jak osłuchuje stetoskopem płuca wdzięcznych księżniczek.

- Przykro mi. Prawda wygląda tak, że wystrychnięto nas na dudków. Nie tylko pana i mnie, innych także. Obietnice złożone przed rozpoczęciem śledztwa miały na celu zaciągnięcie mnie do Izby Gmin. Tamci dobrze wiedzieli, że beze mnie cała sprawa upadnie. A teraz, kiedy już jest po wszystkim, uznali, że mogą zapomnieć o zobowiązaniach. Nie jestem im już potrzebna ani ja, ani moi przyjaciele.

- Ależ droga pani, major Dodd zapewniał mnie osobiście...

- Mnie też obiecywał złote góry, ale nie na piśmie. Ludzki głos, panie doktorze, nie stanowi żadnego dowodu, tylko słowo pisane ma moc prawną. Zdaje się, że mam na górze parę notatek, które pewnego dnia sprawią, że panu majorowi mina zrzędzie.

- A pułkownik Wardle?

- To idol tłumów. Ale tylko chwilowy, wkrótce to się skończy. Wystarczy odrobina śmieszności, aby przygiąć karku ulubieńcowi ludu i zwrócić motłoch przeciw niemu - już ja się tym zajmę.

- A moje widoki na przyszłość, pani Clarke, moja topniejąca w oczach praktyka? Przyznaję, że pozwoliłem sobie w ciągu ubiegłych miesięcy na pewne zaniedbania, przy takich perspektywach... Poza tym moja żona choruje, jak pani wiadomo, jest tyle wydatków...

Stara historia. Gorzka pigułka w cukrowej otoczce. Węszą za nią jak stado szakali i próbują coś uszczknąć. Szybko wypisała czek, wręczyła go lekarzowi i odprowadziła gościa do drzwi, poklepując go na pożegnanie po ramieniu. Will Ogilvie i tym razem się nie mylił. Dziesięć tysięcy to żebracza jałmużna, powinno być dwa razy tyle.

Następnym gościem był Charley. Skrzywiony, niezadowolony, kopał ze złością nie zapłacone jeszcze meble.

- No i już po wszystkim. Co teraz ze mną będzie?

- Dopilnuję, żebyś dostał jakąś posesję.

- Ale jaką? Nie zamierzam lizać niczyich butów. Nie chcę od nikogo zależeć. Co z tą całą gadaniną o powrocie do pułku, nieważnieniu wyroku sądu wojennego, o odzyskaniu patentu?

- Kochany, spójrzmy prawdzie w oczy. Te łajdaki blefowały.

- I co, nie możesz nic zrobić, aby ich zdemaskować?

- Nie miałam czasu pomyśleć. Na miłość boską, dajże mi spokój! Najpierw Wright, potem Metcalfe, teraz znowu ty... Każdy o coś żebrze. Zdawało mi się, że Coxhead-Marsh zaprosił cię do Loughton?

- Wspominał coś o posadzie agenta nieruchomości pod kierownictwem jego rządcy - taki rodzaj służącego. A przecież jestem wyćwiczonym żołnierzem. Przy moich kwalifikacjach powinienem być dowódcą. Na pewno znasz kogoś, kto mógłby pociągnąć za kilka sznurków? Aha, i potrzebuję pieniędzy. Jestem spłukany.

Dzięki Bogu, że chociaż May Taylor jest urządzona. Samuel Whitbread zaproponował w Izbie publicznej składkę na nią i na jej siostrę. Wszyscy posłowie opozycji wzięli udział w tej akcji.

I wreszcie George, którego odesłano ze szkoły kadetów w Chelsea wraz z jego ukochanym mundurem w kufrze. Wodził za matką ufnym spojrzeniem błękitnych oczu.

- Nie bardzo rozumiem, o co ta cała awantura. Dlaczego muszę iść do innej szkoły?

- Dlatego, aniółku, że w wojsku wybuchł wielki skandal. Jego Królewska Wysokość nie jest już naczelnym wodzem, a tym samym twoja szkoła przestała mu podlegać. Nic na to nie można poradzić, twoje powiązania z nim są znane. Muszę cię wysłać gdzieś, gdzie by o tobie nie plotkowano.

Dostrzegła w jego oczach urazę i zawziętość. Znowu marzenia klanu Mackenzie wzięły w łeb.

- To na pewno przez te wasze głupie kłótnie. Odkąd wyprowadziliśmy się z Gloucester Place, nic już nie jest takie samo.

- Wiem, koteczku. Ale mamusia nie może ci tego wytłumaczyć. Może jak będziesz starszy, zrozumiesz, co się stało.

Odpowiedzią były opuszczone kąci ust i urażone wzruszenie ramion. Nagle zobaczyła po raz pierwszy w jego oczach nieufność i błysk przerażenia.

- Ale pójdę do wojska? Obiecałaś mi. Jak skończyłem pięć lat, usiadłaś na moim łóżku i przysięgłaś, że zostanę żołnierzem.

- Teraz też przysięgam. Nigdy nie łamię słowa.

Więzienie, tortury, przęgierz, wszystko zniesie, pójdzie nawet na stos, żeby tylko spełnić marzenia synka...

A tymczasem trzeba wrócić do interesów i upomnieć się o swoje u Wardle'a, Dodda i spółki. Obaj dżentelmeni, zaproszeni na obiad, wili się jak piskorze i już po godzinie podali tyły. Przyciskani do muru w sprawie następnej wizyty, zachowali całkowitą obojętność. Odpuściła im łaskawie trzy tygodnie, po czym 14 maja wysłała list do pułkownika Wardle'a.

"Szanowny Panie!

Swego czasu zaprosiłam Pana oraz majora Dodda, aby wybadać, czy zamierza Pan spełnić swoje obietnice. Nie był Pan wówczas skłonny przyznać, iż nie zostały one obwarowane żadnymi warunkami. Jestem przeciwnego zdania.

Mogę to sobie interpretować jedynie w ten sposób, że czuje Pan wobec mnie wielką odpowiedzialność, którą wraz z majorem Doddem zamierza Pan z siebie zrzucić poprzez składanie nowych mętnych i próżnych obietnic.

Pragnę Panu raz jeszcze uświadomić te obietnice i wiążące się z nimi moje oczekiwania, które, jeśli uważa się Pan za człowieka honoru, powinien Pan przyjąć do wiadomości. Proszę nie sądzić, że moje żądania wykraczają ponad to, do czego jestem w pełni uprawniona - a więc co najmniej pięćset funtów rocznie. Ponieważ moje dzieci tak samo jak ja stały się ofiarami opinii publicznej i ucierpiały na niedyskrecji swej matki, wymagają teraz ode mnie tego wszystkiego, co mogę i powinnam im zapewnić. Dlatego pięćset funtów rocznie na moje własne utrzymanie może się okazać sumą, zbyt małą, jeśli się weźmie pod uwagę również ich potrzeby. Myślę, że ofiarowując Panom spokój za sumę dziesięciu tysięcy funtów, i tak rezygnuję z ponad połowy tego, co mi obiecywano. Spodziewam się, że wejdzie Pan w spółkę z majorem Doddem, podobnie jak to miało miejsce przy składaniu obietnic, gdyż wymieniona kwota dziesięciu tysięcy ma zostać wypłacona w ciągu dwóch lat. Do tego czasu będzie mi Pan płacił pięćset funtów rocznie, począwszy od marca tego roku. Ureguluje Pan także rachunek Wrighta.

To wszystko, i zapewniam, że nie jest to nawet połowa Pańskich zobowiązań, które przedstawiały się następująco:

Po pierwsze, przejęcie opieki nad moim synem George'em przez diuka Kentu, ponieważ było oczywiste, że straci on dotychczasową protekcję diuka Yorku w momencie, gdy przyczynię się do upadku tego ostatniego. Teraz zajmuję się synem sama i wycofuję to żądanie.

Po drugie, zabezpieczenie mojego brata kapitana Thompsona, już to przez dostarczenie mu środków na utrzymanie, już to - zwłaszcza w wypadku, gdyby diuk Kentu objął stanowisko naczelnego wodza - przez powtórne przyjęcie wymienionego do wojska. Jego sytuacja ciągle pozostaje bez zmian!!

Po trzecie, spłatenie zaległej pensji przyrzeczonej mi przez diuka Yorku i wypłacanie jej dożywno, a także uregulowanie długów z okresu, kiedy mieszkałam jeszcze z diukiem Yorku i późniejszych.

Długi wynoszą tysiąc dwieście funtów, co zawdzięczam panu Comrie.mu, memu adwokatowi, który zatrzymuje na ich poczet moją biżuterię. Mój obecny dom i umeblowanie miały zostać spłacone do końca - do tej pory Pan i major Dodd uregulowali zaledwie część należności.

Pytam Pana, czy suma dziesięciu tysięcy odpowiada choćby połowie wartości tych obietnic, za których spełnienie osobiście Pan ręczył w najbardziej spektakularny sposób? Pozwolę sobie dodać pewien drobny szczegół, że gdyby nawet pieniądze te miały pochodzić z Pańskiej własnej kieszeni, to biorąc pod uwagę, na jakiego bohatera wykreował się Pan dzięki mojej pomocy, owa kwota nie przewyższa tego, co mi się słusznie należy. Daję Panu do namysłu dwa tygodnie. Po tym terminie proszę nie liczyć na moją dyskrecję. Zastanowię się jeszcze, jaki użytek zrobię z kopii tego listu.

Pozostają z szacunkiem, itd., itd.

Pańska Mary Anne Clarke"

No, honorowy obywatelu londyńskiego City, możesz to sobie wsadzić do złotej szkatułki lub gdzie ci się spodoba, ale zobaczymy, czy nadal będziesz miał taką zadowoloną minę, kiedy ujrzysz ten list w "Timesie"!

Rozdział 2

- Co zrobiłaś Wardle'owi?

- Czemu pytasz?

- Spotkałem go dziś w Izbie. Przypadkiem wspomniałem twoje nazwisko, a on zbladł, wymamrotał coś, czego nie mogę powtórzyć i zniknął.

- To słowo zaczyna się na k?

- No, owszem, skoro już jesteś taka domyślna. Mało mu nie dałem w pysk. Po tym wszystkim, co dla niego zrobiłaś... Nie pojmuję tego faceta. Tę swoją absurdalną popularność zawdzięcza wyłącznie tobie, mógłby ci okazać przynajmniej trochę uczucia...

- W tym sęk, że jest zbyt uczuciowy. Nic dziwnego, że tak przybladł.

- Chcesz powiedzieć, że robił ci propozycje, a ty go odtrąciłaś?

Lord Folkestone poruszył się niespokojnie. Jego oczy wyglądały jak osadzone na szypułkach. Należał do tych mężczyzn, którzy wyglądają lepiej w ubraniu. Jego kanciasta figura niezbyt korzystnie prezentowała się w gaciach. A kiedy o wpół do jedenastej stał w salonie, ubrany w aksamitny surdut z dobrze wywatowanymi ramionami, wyobrażnia podsuwała całkiem interesujące obrazy.

- Nie. Nic z tych rzeczy. Jest mi winien pieniądze.

Mary Anne obróciła się na bok, ziewnęła, napiła się wody. Jego Lordowska Radykalność zrozumiał ku swemu rozczarowaniu, że noc dobiegła końca. Rien ne va plus, la suite au prochain num~e...

- Więc jednak byłaś jego kochanką?

- Skądże znowu! Ale wiedział, że beze mnie nie wygra. To samo da się powiedzieć o całej antyrólewskiej opozycji. Wszyscy, z tobą, Williamem Pleydellem_Bouverie włącznie, naopowiadali mi dwa miesiące temu mnóstwo pięknych rzeczy.

Więc tak to wyglądało. Jakież to przykre.

- Gdybyś tylko opublikowała te wspomnienia...

- Moje wspomnienia nie mają nic wspólnego z obietnicami, które mi złożono.

- Czy Wardle rzeczywiście dał ci jakieś gwarancje?

Oparła się na łokciu i podkręciła lampę.

- Posłuchaj, mój młody protagonisto. Czy myślisz, że zgodziłabym się, aby wylewano na mnie kubły pomyj, by moja reputacja została rozszarpana na strzępy, by wreszcie we wszystkich piwiarniach wycierano sobie gęby historyjkami z mojego życia, gdybym nie miała czegoś do wygrania?

W jasnym świetle lampy dostrzegła wyraz zaskoczenia na jego pociągłej, ostro zarysowanej twarzy.

- No, nie... Ale po tym, jak diuk cię potraktował, myślałem, że może kierujesz się chęcią zemsty... no i wspólną sprawą...

- Jaką znów sprawą, na Boga?

- Dobrobytu dla brytyjskiego ludu, przyszłości Anglii...

- Przyszłość Anglii, co za bzdura! Chcesz powiedzieć, moja przyszłość. Konkretna sumka plus premia dla Mary Anne Clarke. Dzięki Bogu, nie jestem taką hipokrytką, jak wy wszyscy. Wiem, czego chcę, i staram się to uzyskać. Czasami odnosiłam wielki sukces, innym razem obrywałam baty. Poparłam pułkownika Wardle'a, bo sądziłam, że mi się to opłaci. Ale on się naciął, podobnie jak jego mocodawca diuk Kentu.

Oczy mu rozbłysły. W jednej chwili rozwichrzone włosy zostały doprowadzone do idealnego porządku, koszula na wątlej piersi zapięta. Czar znów zaczął działać... Niestety, za późno.

- Dobry Boże! Więc to wszystko prawda!

- Oczywiście, że prawda. Tylko tacy idealści jak ty i Francis Burdett mogli się nabrać na gadanie o wolności dla Anglii. Cała rzecz od początku do końca była ukartowana. Kent miał nadzieję zasiąść w dowództwie Gwardii Konnej jako wódz naczelny z nieocinionym pułkownikiem Wardle'em jako ministrem wojny. Jeśli chodzi o Dodda... nie mam pojęcia. Pewnie jakaś synekurka z dobrą pensją. A dla mnie - co tylko dusza zapagnie: domy, powozy, tysiące funtów w banku i interesy rozkręcone bardziej niż kiedykolwiek.

przecierała ze zdumienia oczy. Czy to możliwe, żeby ten, który złamał kark korupcji, niewzruszony bojownik o prawdę i honor, sam miał lepkie ręce? Faworyt tłumów, honorowy obywatel londyńskiego City próbuje się wykręcić od zapłacenia rachunku kupcowi? Co tam wojna z Hiszpanią, tutaj macie prawdziwie soczysty kawałek!

Nowina przygnała z Uxbridge oburzonego Dowlera.

- Mary Anne, ty chyba masz źle w głowie!
- Dlaczego? O co ci chodzi?
- Znów pchasz się na języki, i to w chwili, gdy wszystko już przysychało...
- Ale nie mam nic do stracenia, a biedni bracia Wrightowie chcą odzyskać swoje pieniądze.
- Przecież nie w tym rzecz. Rachunek można było zapłacić z twojego funduszu powierniczego. Razem z Coxheadem Marshem ułożylibyśmy wszystko w jednej chwili.

- Płacić Wrightowi z mojego funduszu?! Dobry Boże, co za koszmarny pomysł, skoro można zrobić kogo innego! Nie jestem dłużna Wrightowi ani pensa! To Wardle zamawiał meble, wszystkie, które tu widzisz, i jeszcze lustra, dywany, zasłony. Ja nie mam z tym nic wspólnego!

- Najdroższa, chyba nie sądzisz, że kupię tę historyjkę?
- To prawda, mój адвокат może to udowodnić.
- Przy twojej pomocy?
- Oczywiście, jeśli zostanę powołana na świadka. Ostatnio poszło mi całkiem nieźle, a najlepszy dowcip polega na tym, że... Nie, lepiej nic ci nie powiem.

- Nie widzę tu nic dowcipnego, cała ta sprawa jest niesamowita. Siedziałem sobie w Uxbridge - wiesz, mój ojciec jest właściwie umierający - i jedyną pociechą była mi myśl, że wreszcie pozbyłaś się kłopotów i zmartwień... Być może na jesieni mógłbym znaleźć małą chatkę, gdzieś niedaleko od mojego domu, i spokojnie cię tam zainstalować. A potem, w długie zimowe wieczory...

- Zamknij się albo zacznę krzyżeć! Nikt mnie nie będzie nigdzie instalował. Nie zakopię się na wsi, a co do długich zimowych wieczorów, to prędzej umrę, niż będę je spędzać drepcząc w kółko niczym jakaś kretynka i ziewając do utraty przytomności.

- Doskonale. Tylko potem mnie nie nachodź, jak się znajdziesz w kłopotach.
- Będę cię nachodzić, kiedy zechcę. Teraz usiądź tutaj i przestań robić miny. Wyglądasz jak pastor, który właśnie skończył czytać Lekcję. Czy nikt nie burzył ci włosów w lasach koło Uxbridge?

Najwyraźniej - nikt. To jedna z owych zaniechanych przyjemności szczęśliwych czasów w Hampstead, ówczesny gwóźdź programu... Już nikt nie wspominał o procesie. Bill Dowler wrócił do Uxbridge oszołomiony, ale ułagodzony. A najlepszym dowcipem Mary Anne delectowała się w samotności. Polegał on oczywiście na tym, że prokuratorem w sprawie przeciwko Wardle'owi był nie kto inny, jak sam jej dawny przeciwnik, sir Vicary Gibbs. Wynikało to z jego obowiązków prokuratora generalnego w Sądzie Najwyższym King's Bench.

Wstępna wizyta w jego gabinecie w Lincoln's Inn - w asyście pana Comrie'ego i wystrojonych w niedzielne ubrania braci Wrightów - wynagrodziła Mary Anne wszystkie przykrości procesu przed Izłą Gmin. Sir Vicary Gibbs w binoklach na nosie przywitał ich z kordialną łaskawością. Dopełniono formalności, udzielono odpowiedzi na pytania, porobiono stosowne notatki. Machina prawa została puszczona w ruch.

Pan Comrie, który o piątej miał następne spotkanie, wyszedł wraz z panem Stokesem o czwartej. Bracia Wrightowie prawie natychmiast udali się w ich ślady. Główny świadek oskarżenia nie śpieszył się. Prokurator generalny zamknął starannie drzwi, uśmiechnął się i wyprężył na całą wysokość swoich pięciu stóp i czterech cali wzrostu.

(Tzn. około 1,6 m).

- Mistrzowskie posunięcie - rzekł. - Moje gratulacje. - I poprawiwszy binokle, otworzył butelkę brandy. - Mam nadzieję, że nie za wcześniej na kieliszeczek?

- Nie, raczej za późno. Bardziej by mi się przydał pierwszego lutego.

- Przysłałbym pani butelkę, gdybym o tym wiedział. Ale zdawało mi się, że opozycja zadbała, by panią odpowiednio zaopatrzyć?

- Ani razu nie wykroczyli poza kawę i szklankę wody.

- To właśnie jest najgorsze u wigów, że mają węża w kieszeni. Ale chyba Folkestone dobrze panią traktował?

- Wyrażał uczucia za pomocą kwiatów.

- Ajajaj, przy pustym żołądku i nerwach w strzępach? Ci radykałowie nie mają krztyny taktu! Chociaż Folkestone'owi się dziwię, przecież wychował się we Francji, spodziewałbym się, że rozgrywa sprawy z większą finezją. To błędy młodości. Te rzeczy wymagają dojrzałego spojrzenia.

- Si jeunesse pouvait...

(Trawestacja cytatu z epigramu "Les Pr~emices" H. Etienne'a, który brzmi: "Si jeunesse savait, si vieillesse pouvait" ("Gdyby młodość wiedziała, gdyby starość mogła.")).

- Ach, więc nie może? Jakież to przykre. Myślałem, że w tych sprawach liczy się przede wszystkim młodość. Torysi będą w siódmym niebie, jak im to powtórzę. Mogę?

- Nie sądzi pan, że to raczej nie fair? Wszyscy mamy jakieś słabostki.

- Trzeba oddać sprawiedliwość wigom, że przeważnie są dobrze umięśnieni. My, torysi, postawiliśmy na mózg, dlatego rządzymy krajem. Proszę mi powiedzieć, czy proces przed Izbą bardzo panią wymęczył?

- Ubyło mi siedem funtów.

- Wcale się nie dziwię. Daliśmy pani niezły wycisk, nie okazaliśmy cienia litości. Mnie też to wykończyło... Ale pani wygląda kwitnąco.

- Potrafię się regenerować.

- O, to widać. Znałem Barrymore'a, co on teraz porabia?

- Ten kochany Cripplegate? Siedzi gdzieś w Irlandii, uwikłany w małżeństwo i zajęty końmi.

- Znam także Jamie'ego Fitzgeralda...

- James stracił humor. Żyje w ciągłym strachu, że opublikuję jego listy i bez przerwy molestuje mnie z Dublina.

- Czy były takie interesujące?

- Dla rządu, nie dla zwykłego czytelnika. Protestanckie poglądy z punktu widzenia irlandzkiego posła.

- Proszę spróbować w Christie's. Przystąpię do przetargu.

- Większość listów już odzyskał. Nie jestem chciwa z natury, po prostu muszę utrzymać dzieci.

- Jeszcze kropelkę brandy?

- Czemu nie?

Zapukano do drzwi. Sir Vicary Gibbs zapiął togę i poprawił przekrzywioną perukę.

- Kto tam?

- Prezes sądu lord Ellenborough czeka w powozie na dole, sir - odpowiedział jakiś głos. - Przyjechał zabrać pana na umówiony obiad. Sądzi, że chyba pan zapomniał?

- Nie, nie... Powiedz Jego Lordowskiej Mości, żeby nie czekał. Pójdę pieszo.

Odwrócił się do gościa.

- Podwiezie mnie pani swoim powozem? To po drodze do Chelsea, chyba nie sprawię kłopotu?

- Ależ skąd. Z rozkoszą zawiozę pana, gdziekolwiek pan sobie życzy.

- To nadzwyczaj miło z pani strony. Biskupi wydają obiad na cześć Ellenborougha. Nie mogę się spóźnić, a już jest wpół do siódmej... Nie co dzień zdarza mi się takie spotkanie. - Rzucił okiem na zegar na kominku i dopił brandy. - Ta sprawa z tapicerem jest całkiem uczciwa?

- Podadzą nam Wardle'a na patelni. Nie wykreci się z tego.

- Naprawdę obiecywał, że zapłaci?

- Nie było takiej rzeczy, której nie obiecałby w listopadzie.

- Wszystkie skarby świata... Rozumiem. Ale jeśli chodzi o tę konkretną sprawę?
- Użyłam całej swej chytryści, żeby jadł mi z ręki...
- No to doskonale, nie sadzę, żeby sprawiał jakieś kłopoty. Wyrok na korzyść Wrighta - i koniec z popularnością naszego patrioty. Ale obawiam się, że pani nic to nie da, poza oczywiście większym rozgłosem. Czy po to pani to robi?
- Dobry Boże, nie! Dostałam wszystko, czego chciałam.
- Więc po co?
Mary Anne odstawiła kieliszek, wygładziła suknię i wyrzała przez okno.
- Chciałam spotkać się z panem - wyznała. - Nie widziałam innego sposobu. Pani Clarke i sir Vicary Gibbs... To chyba niezła kombinacja?

Prokurator generalny spóźnił się na obiad w Izbie Lordów o całe pół godziny...

W ciągu czerwca poseł z okręgu Okehampton wychodził ze skóry, aby ukreślić łeb sprawie. Nie udało mu się; powód nie dawał za wygraną. Co do świadka powoda, to uważał przygotowania do procesu za przyjemne, a już szczególnie upodobał sobie wizyty w Lincoln's Inn. Zważywszy na to wszystko, lato zapowiadało się interesująco; ofiarowywanie przedstawicielowi sprawiedliwości chwil miłego odprężenia było zupełnie nowym doświadczeniem. I daleko mniej wyczerpującym niż wyklepywanie poduszek dla Folkestone'a. Jego Lordowska Radykalność wciąż jeszcze pozował na wielbiciela, lecz ograniczał się do pisania listów. Korespondencyjna przyjaźń była bezpieczna. Do pewnych granic.

Młody człowiek zapomniał, jaką nieostrożnością jest zabieranie się do pisania po kolacji. Pióro porusza się wtedy z większą swobodą, myśl buja gdzie popadnie... Liścik skreślony o północy nigdy nie jest tym samym, który adresatka czyta rano, przy śniadaniu. Jak na przykład ten z 27 czerwca. Autor może pewnego dnia pluć sobie w brodę z powodu swej szczerości. Bystre oko Mary Anne przebiegło pośpiesznie stroniczki zapisane w Coleshill House pewnego bezproduktywnego wieczoru.

"...Chciałbym móc Ci przysłać jakieś nowiny w odpowiedzi na Twój zajmujący list, ale w tym zakazanym miejscu nie można się spodziewać niczego ciekawego. W gruncie rzeczy od chwili, gdy się tu znalazłem, nie robię nic innego poza włóczęciem się po polach w samotności i jedzeniem truskawek. Wypełnia to wprawdzie czas, ale nie nadaje się do opisywania. Nie to, co Twój list, pełen interesujących wiadomości, które taki pustelnik jak ja, bez względu na to, czy jest akurat w kontemplacyjnym nastroju czy nie, może przeżuwać przez większość dnia. Z tego, co piszesz, wynika, że jeśli dojdzie do procesu, trzeba się liczyć z olbrzymimi kosztami. Cała afera wyjdzie na jaw i królewski brat wraz z Doddem i Wardle'em znajdą się na cenzurowanym. Ubolewam, że tego nie przewidzieli i nie zapobiegli skandalowi. Trudno mi odgadnąć zamiary Wardle'a, chyba wierzy w moc swojej popularności, ale nic mu to nie pomoże, bo chociaż jego udział nie był tak istotny jak dwóch pozostałych, jednak pan poseł ubrudził sobie ręce, no i teraz cierpi za to, że stał się narzędziem w ręku tamtych.

W ogóle cała ta sprawa nie wyjdzie rodzinie królewskiej na dobre, bo chociaż przyjaciele diuka zechcą zapewne podważyć Twoje świadectwo, jest w tych zeznaniach tyle dowodów, tyle okoliczności obciążających, tak wielu ludzi zna podobne przykłady, że opinia publiczna nie da się przekonać o fałszywości Twoich oświadczeń.

Przypuszczam, że prasa będzie usiłowała wmieszać moją osobę w działalność tamtego tria, ale nic z tego nie wyjdzie. Whitbreada, Burdetta i mnie ta sprawa nie dotyczy nawet w najmniejszym stopniu - ja przynajmniej nie mam najmniejszej wątpliwości, że są tak samo czyści jak ja.

Mógłbym wszystkie owe intrygi obserwować z filozoficznym spokojem, a także z pewnym rozbawieniem, gdybym się nie obawiał, że staniesz się kozłem ofiarnym. Obawiam się o Twoje sprawy, których ostateczne załatwienie teraz chyba jeszcze bardziej się oddaliło?

Pewnie mężczy Cię już ta ledwie czytelna bazgranina. Błagam Cię, daj mi znać, gdy coś się wydarzy i znajdziesz wolną chwilę na napisanie. Listy wysyłaj jak zwykle na Harley Street, na pewno do mnie dotrą. Adieu!

Zawsze Twój
Folkestone"

Do pudełka z innymi listami. Obwiązać tasiemką i schować.

3 lipca w Izbie Cywilnej Sądu Najwyższego w Westminster Hall sam lord prezes otworzył sprawę Wright kontra Wardle. Sala była nabita. Wyczuwało się atmosferę podniecenia, zupełnie jak na premierze w teatrze Drury Lane.

Pojawienie się pani Clarke, w białej sukni i w delikatnym słomkowym kapeluszu założonym na bakier, wywołało powszechny aplauz. Stłoczeni widzowie - przeważnie rodzaju męskiego, gdyż żony i córki nadal szturmowały wejście w długiej kolejce na dziedzińcu - pochylili się z błyskiem w oczach do przodu. Byli to głównie posłowie do Izby Gmin, tym razem z partii torysów. Co ich zaskoczyło, to dziwnie młodzięczy sposób bycia prokuratora generalnego. Temu człowiekowi ubyło chyba dwadzieścia lat, jest pogodny, jowialny! Pies o dwunastu ogonach by mu nie dorównał! Kiedy się podniósł, by wygłosić wstępne przemówienie, wyglądał jak sam Lancelot z Jeziora. Jego głos, zawsze tak twardy i stanowczy, że wiele osób czuło ciarki na plecach, rozbrzmiewa z nie znaną dotąd potoczystością. Można w nim usłyszeć nutki tak czule, jak słowicze trele.

- Uczciwy, pracowity kupiec został oszukany! Kobietę, matkę dzieciom spotkała niesprawiedliwość.

Wielkie nieba! Prezes sądu lord Ellenborough ociera pot z czoła. Czy stary Gibbs zwany "Octem" popadł w manię religijną, czy też śni na jawie? Lipiec, upał, no tak... Musiał coś wypić. Ale co ma oznaczać ta gadanina o podłych szczurach i kobiecej kruchości? O zmijach na łonie Kleopatry? Jadzie? Niewdzięczności? Kobietach, które wszystko poświęcają? Dzieciach w rymsztoku? Lord Ellenborough krzywi się z niesmakiem - co za volte-face! Jakże się to przemówienie różni od poprzedniego, wygłoszonego w lutym w Izbie Gmin! Jego przyjaciel prokurator generalny wpadł chyba w nałóg. No, wreszcie retoryka ustąpiła kpinom. Jego Lordowska Mość oddycha z ulgą. Tak już lepiej. Znajomy szyderycy uśmiezek, ukryte aluzje, przecieranie binokli, język jak sztylet o podwójnym ostrzu wycelowany w obronę... Ten wstrętny oskarżony kurczy się do rozmiarów wróbla. Dobrze mu tak, po co wysuwał te wszystkie szokujące zarzuty? Facet zasłużył sobie, by go wychłostano batem i zesłano na wygnanie... Ale i tak lord Ellenborough czuje ucisk w sercu. Prokurator generalny przemawia tak kwieciście, z takim błyskiem w oku! Upaja się własną elokwencją i gestami! Stroszy piórka jak tokujący paw! Obniża powagę sądu i w ogóle sprawia niesmaczne wrażenie. To wszystko jest wynikiem kontaktów ze świadkiem powoda, zwłaszcza kilku spotkań, które miały miejsce przed rozprawą, a których sędzia nie pochwalał. I te uśmieszki na twarzach widzów, trącanie się łokciami świadczące o niepoważnej, wysoce niewłaściwej atmosferze!

- Spokój! - krzyczy Jego Lordowska Mość, uderzając dłonią w stół i rzucając spod zmarszczonych brwi niechętnie spojrzenie sir Vicary'emu Gibbsowi, wskutek czego ten szybko kończy przemówienie. Później, w pokoju sędziów, ułagodzi go w paru słowach, a tymczasem sala musi wiedzieć, że sędzia zna swoją powinność. Na wstępie dobierze się do świadka, aby pokazać, kto tu rządzi. Może uda się wywołać rumieniec wstydu na twarzy tej kobiety i tym samym przywrócić równowagę sił.

Pani Clarke wkracza dumnym krokiem na miejsce dla świadków przy akompaniamencie życzliwych uśmiechów, szepków, przyciszonych głosów. Z głębi sali rozlega się wołanie:

- Dalej! Dołóż mu!

Sędzia sztywnieje z oburzenia i ponownie wali otwartą dłonią w stół.

- Jeśli natychmiast nie będzie ciszy, każę publiczności opuścić salę!

Szmer głosów cichnie. Świadek składa przysięgę i czeka na pytania. Sędzia przez chwilę obserwuje kobietę spod oka, po czym pyta z naciskiem:

- Pod czyją opieką znajduje się pani teraz?

Świadek wznosi oczy i odpowiada nieśmiało:

- Myślałam, milordzie, że pod pańską...

To wystarczyło, by wynik rozprawy został z góry przesądzony. Zaczęło się od śmiechów wśród przysięgłych, a potem już sprawa, niczym wezbrana rzeka, zmierza siłą rozpędu ku nieuniknionej konkluzji.

Prokurator generalny połknął przynętę zarzuconą przez świadka. Uległ płochemu urokowi pani Clarke, jadł jej z ręki! Publiczność bije brawo. Sędzia nie jest w stanie temu zapobiec. Ta para prowadzi grę, która wyklucza jakąkolwiek interwencję. Pasują do siebie jak szpulka nasadzona na bolec. Przerzucają się żargonowymi słówkami, nie gardzą dwuznacznikami, dowcipkują, a wszystko to kosztem oskarżonego.

Więc pułkownik Wardle udał się do magazynu, czyż tak, pani Clarke? Prosimy o bliższe szczegóły. Jakie meble wybrał? Ach, spodobał mu się bufet - czy taki z lustrem? A co z brunatno_czerwonym dywanem, który chciał koniecznie kupić do sypialni? Aha, był za duży, więc polecił go obciąć z jednego końca, żeby pasował! Jakieś kłopoty z łóżkiem? Brakowało nóżek! I pułkownik Wardle zasugerował, żeby podłożyć podstawki do lamp, odwrócone do góry nogami... Ponoć to całkiem bezpieczne, jeśli hm... jeśli łóżko nie jest za bardzo obciążone. I Francis Wright odrzucił ten pomysł? Jest niezonaty, mieszka ze swym bratem Danielem, obaj śpiją w pojedynczych łóżkach i nie znają się na rzeczy? Ale pułkownik Wardle wiedział, że podstawka do lampy nadaje się do tego celu. Zatrzymywał się czasem w kawiarni przy Cadogan Square (był tam mile widziany), gdzie właśnie używano takiego przedmiotu. Przy zwykłych środkach ostrożności żadna katastrofa nie nastąpi. Czy pułkownik Wardle zachwycał się marmurowym posągami? Tak, Afrodytą wychodzącą z piany i jeszcze miniaturką z brązu, która przedstawiała Ledę z łabędziem. Obie rzeźby wyglądały bardzo dekoracyjnie na kominku, zwłaszcza jeśli patrzyło się z boku, tak przynajmniej mówił pułkownik. Pani Clarke nie miała na nie ochoty, ma przecież dzieci, młode umysły są tak chłonne, kto wie, co by im wpadło do głowy, ale pułkownik Wardle odznaczał się tak wybujałym temperamentem, że nie mógłby komponować swych przemówień bez inspiracji...

Więc zadomowił się na dobre przy Westbourne Place? Och, bezsprzecznie. Nie żeby świadek sobie tego życzył.

Pułkownik zwykł się pojawiać o najdziwniejszych porach. Kiedyś pokojówka przyłapała go, jak badał łabędzia (tego od Ledy) ze szkłem powiększającym w ręku.

I tak dalej, w tym samym stylu, aż zniecierpliwiony sędzia uciszył salę gestem, a potem zarządził rozprawę przy drzwiach zamkniętych.

Pani Clarke opuściła miejsce dla świadków i dalej proces przebiegał spokojnie. Daniel Wright zeznawał rozsądnie i poważnie, a obrońca oskarżonego już w chwili, gdy podnosił się z miejsca, by zacząć przemówienie, wiedział, że nie ma szans. Jego klient był przegrany, jeszcze zanim doszedł do barierki. Pułkownik Wardle plątał się w zeznaniach, jękał się, tracił pewność - jego zaprzeczenia, powtarzane w kółko, były ledwie słyszalne.

Adwokaci wymieniają rozpaczliwe noty. Świadkowie Glennie i Dodd w ogóle nie będą powołani - ich zeznania mogłyby tylko zaszkodzić sprawie, która i tak jest już przesądzona. Końcowe przemówienia są zwięzłe; wszelka elokwencja wydaje się zbędna. Szala sprawiedliwości jest zdecydowanie przechylona - Jego Lordowska Mość kapituluje.

Przysięgli wydali werdykt na korzyść Francis Wrighta. Sędzia uznał oskarżonego Gwylly Wardle'a winnym. W ciągu trzech miesięcy ma on zapłacić powodowi sumę dwóch tysięcy funtów.

Tak więc patriota przegrał, a dziedzic pałacowy, miejsce jego niedawnych triumfów, opustoszało. Tłumy, które w kwietniu wiwatowały na jego cześć, rozeszły się do domów. Pułkownik Wardle odjechał w zamkniętym powozie.

Prokurator generalny eskortował świadka do apartamentów.

- Będzie, oczywiście, apelował albo wniesie sprawę przeciwko tobie.
- I co wtedy?
- Będę cię bronił.
- Jak to możliwe, skoro pełnisz urząd prokuratora?
- Moja droga, robię, co mi się podoba. Mogę zmienić swoją rolę.
- Ale to chyba niezbyt uczciwe?
- To daje pewne urozmaicenie.
- Że prokurator generalny zmienia się w wysokiej klasy adwokata?
- Tak, to poprawia nastrój, rozszerza horyzonty... Ale jeśli wolisz kogo innego, to proszę bardzo.
- Och, nie. W jedności nasza siła. Czy sędzia będzie ten sam?
- Eddie Ellenborough? Bardzo możliwe. Ale wtedy musimy zwracać większą uwagę na maniery. Drugi raz może nie pójść tak gładko. Właściwie spodziewam się pewnego ochłodzenia. Tylko torysowskie sumienie powstrzymało go dzisiaj od wyroku na korzyść Wardle'a.
- Ma takie krzaczaste brwi... Jaki on jest prywatnie?
- Drażliwy, zarozumiały i diablo nietolerancyjny.
- Może to tylko maska. Może potrzeba mu zrozumienia...
- Proszę bardzo, wypróbuj na nim swoje pazurki. To zimnokrwisty stary piernik.
- Wszyscy sędziowie muszą zachowywać zimną krew, taka już ich rola. Inaczej nie byłoby brytyjskiej sprawiedliwości. Przypuszczam, że wraz z nominacją przeobrażają się w mnichów... No, ale gdy się zostaje tytułarnym adwokatem...
- Musimy teraz o tym dyskutować? Czy mogę cię odwiedzić do domu?
- Ale ja tak lubię prawnicze pogawędki...
- A ja nie znoszę. Powtarzam pytanie.
- Twoje pytanie nie zostało zrozumiane. Musisz zmienić styl.
- Czy świadek pozwoli swemu adwokatowi, by udzielił mu małej konsultacji?
- Chez vous czy chez moi?
(U pana czy u mnie? (fr.).
- Chez gdzie wolisz.
- Więc może obiad przy Westbourne Place, a potem ewentualnie zasięgnę porady prawnej w sprawie łabędzia Ledy...

Przy St James Street oskarżony Gwyllym Wardle, samotny i rozgoryczony, zabiera się do pisania listu, adresowanego do ludu Zjednoczonego Królestwa.

Rozdział 3

"Zaszczycony przychylnością, z jaką w oczach tak wielu rodaków spotkała się moja działalność na forum Parlamentu, czuję się w obowiązku zwrócić się do Was bezzwłocznie w związku z wydarzeniem, które miało miejsce w dniu wczorajszym, a to w celu oczyszczenia własnej osoby i odparcia otwartego ataku, za jaki uważam werdykt ławy przysięgłych. Został on wydany na podstawie świadectwa pani Clarke i pana Wrighta, jednego z braci tapicerów, w sprawie, w której zostałem oskarżony w Sądzie Najwyższym King's Bench.

Treść zeznań będzie szczegółowo relacjonowana w prasie. Tutaj pragnę stwierdzić, że moi obrońcy, w przekonaniu, iż przysięgli na podstawie takiego materiału dowodowego nie mogą wydać wyroku na moją niekorzyść, nie zastosowali się do moich usilnych i stanowczych prośb, składanych na piśmie podczas trwania procesu, aby poddano przesłuchaniu majora Dodda, pana Glennie'ego oraz inne

szanowane osobistości. Domagałem się tego wiedząc, że ich oparte na prawdzie świadectwo stanowić będzie jawne zaprzeczenie tego, co pod przysięgą zeznano przeciwko mnie.

W takich oto okolicznościach wydany został wyrok.

Pozostaje mi jedynie oświadczyć przed Bogiem i Ojczyzną, że jedyną podstawą rzeczonego werdyktu było krzywoprzysięstwo. Przyrzekam uroczyście udowodnić ów fakt, gdy tylko procedury prawne mi to umożliwią.

Z niecierpliwością oczekuję więc na tę sposobność. Ufam, że opinia publiczna zawiesi do tego czasu swój osąd.

Z uczuciami głębokiej wdzięczności i szacunku, pozostaję Waszym zawsze oddanym sługą.

G.L. Wardle"

List wydrukowano we wszystkich gazetach w dniu 5 lipca. Natychmiast stał się przedmiotem gorączkowych dyskusji. Stawiano sobie pytanie, czy ktoś zechce odpowiedzieć?

16 lipca pani Clarke opublikowała w "National Register" następujący list:

"Do Ludu Zjednoczonego Królestwa

Zaszczycona przychylnością, z jaką spotkały się ze strony większej części narodu moje zeznania przed Izba Gmin, a także tym, że moje świadectwo zostało ostatnio potwierdzone przez przysięgłych wybranych spośród moich rodaków, czuję się w obowiązku (po głębokim namyśle) zwrócić się do Was w sprawie sytuacji, powstałej w związku z procesem wytoczonym przez tapicera pana Wrighta pułkownikowi Wardle.owi. W procesie tym świadkami byli pan Daniel Wright, brat powoda, oraz ja.

Jak wiadomo, pułkownik Wardle został uznany winnym, ku zadowoleniu każdego uczciwego kupca i wszystkich osób zebranych w sądzie.

Treść zeznań będzie szczegółowo relacjonowana w prasie. Jeśli chodzi o moje świadectwo, szczegóły te są niezupełnie ściśle, ale wystarczająco prawdziwe, by umożliwić opinii publicznej wyrażenie niemal powszechnego poparcia dla werdyktu.

Pułkownik Wardle, napompowany popularnością, która przybrała tak nieoczekiwane i niezasłużone rozmiary, na próżno pochlebiał sobie, że popularność owa ochroni go przed sprawiedliwością obowiązującą w tym kraju. Rozczarowany werdyktem, stracił zarówno cierpliwość, jak rozsądek, i bez należytego zastanowienia wystosował osobliwy apel do ludu brytyjskiego, w którym sprzeciwia się werdyktowi ławy przysięgłych.

Nie obchodzi mnie, że rozpoczął od zrzucenia winy za swój błąd na adwokatów. Oni potrafią się obronić. Ale spotkać się z oskarżeniem o przestępstwo tak podle, tak niskie, tak godne pogardy, i to ze strony człowieka, który najlepiej ze wszystkich wie, jak obcy mojej naturze jest fałsz, słowem, być oskarżoną o krzywoprzysięstwo, to doprawdy zbyt wiele.

Pozostaje mi tylko oświadczyć przed Bogiem i Ojczyzną, że świadectwo, które złożyłam, jest absolutnie prawdziwe, i że wiąże się ono z moją zażyłością z pułkownikiem Wardle'em oraz z jego obietnicami.

Z największą niecierpliwością wyglądam chwili, kiedy daremne zakusy pułkownika Wardle'a, by udowodnić coś wręcz przeciwnego, odbiją się na nim samym i innych. Ufam, że do tego czasu opinia publiczna zawiesi swój osąd na temat braku umiaru pułkownika Wardle'a w rzucaniu oskarżeń.

Aczkolwiek powoływanie się na wdzięczność i szacunek za publiczne dowody aprobaty nie byłoby w moim przypadku równie właściwe, jak w przypadku pułkownika Wardle'a, to jednak ufam, że nawet mnie wolno powiedzieć, jakie duchowe katusze musiałabym znosić, gdybym w takich okolicznościach rzeczywiście zasłużyła na dezaprobacie.

Mam zaszczyt wyrazić swój najgłębszy szacunek

M.A. Clarke"

Czy brytyjska opinia publiczna naprawdę opowiedziała się po którejkolwiek ze stron, było bardzo wątpliwe, ale przy obiadowych stołach trwały ożywione dyskusje. Panie domu zagłębiały się w rozważania już przy rybie, a gdy podano porto i damy nabrały animuszu, wracano do wałkowania tematu i nie schodzono z niego aż do ostatniej kropelki brandy. Ciekawe, kto tę panią teraz utrzymuje? Takie pytanie natychmiast przykuwa uwagę gości. Mniejsza o Parlament, który zaczyna letnie wakacje, o to, że posłowie już się rozjechali, skoro przy Westbourne Place znów wybito szyby. Czy ona wyjechała z miasta? Nie wiadomo, powiadają, że jest w Brighton. Naprawdę? Tubby Clifton mówi, że widziano ją w Southampton. Na wybrzeżu czy na morzu? Na Solencie, ponoć lubi łowić krewetki? Nie, nie wargacze, to nieprawdopodobne. Idę o zakład, że można by ją znaleźć na jakiejś fregacie...

(Kanał między wybrzeżem Anglii a wyspą Wright).

Też coś! Przecież flota jest w Gibraltarze, a ona nie wyściubiła nosa za Portsmouth...

Jeśli chodzi o ścisłość, pani Clarke znajdowała się wraz z dziećmi w Cowes. Wdychając zdrowe powietrze wyspy Wight podziwiała widok na redę Spithead, jachty kursujące po kanale i Medinie, odbywała wycieczki do Ventnor, brała udział w eskapadach piknikowych do Wooton. Długie dni lata wywarły zbawienny wpływ na jej zdrowie, tylko te listy...

James Fitzgerald wciąż nagabuje Mary Anne z Irlandii. Ma nadzieję zobaczyć ją w sierpniu. Czy to prawda, że zatrzymała kilka urywków z jego kompromitujących listów? Czy może przysiąc, że wszystkie lojalnie zwróciła jego synowi? Co do Willie'ego, to on, ojciec, bardzo się niepokoi. Chłopiec wpadł ostatnio w jakieś tarapaty, czy słyszała coś na ten temat?

Owszem, słyszała. Przed wyjazdem z miasta spędziła cały wieczór w salonie z zapłakany Williem, który błagał ją o pomoc. Pewna młoda dama znalazła się w kłopotcie, jej stan budzi podejrzenia; zastosowano tabletki ad nauseam, ale nic się nie zmieniło, a mąż lada dzień ma wrócić z granicy. Czy pani Clarke zna jakiegoś lekarza? Ile on bierze?

Natychmiast wezwała Metcalfe'ów i kazała im przysiąc dyskrecję. Młodej damie ofiarowała schronienie, ale Willie'ego wyrzuciła za drzwi - stan kobiety wymagał wstrzemięźliwości. I to wszystko akurat w chwili, gdy miały przyjechać dzieci i Mary Anne czekało pakowanie rzeczy przed wyprawą do Cowes!

- Czego się nie robi dla przyjaciół! - westchnęła, gdy zawiniętą w koce pacjentkę odtransportowano do karety pocztowej pod opieką pani Metcalfe. Dwie minuty później zajechał powóz z Martą i dziewczynkami, które z noskami rozplaszczonymi na szybie z daleka już wymachiwały rękami na powitanie.

"?:Tarapaty" to właściwe określenie - pisała z Cowes do Jamesa Fitzgeralda. - Zapomnij o listach, które wysyłałeś do mnie w 1805 roku i miej oko na Willie'ego, to mu się przyda". Gdyby zależało jej, by puścić farbę na temat obu tych oferm Fitzgeraldów, można by tomy pisać, ale kto by to wydrukował?

Tymczasem reperkusje procesu Wright kontra Wardle nie schodzą z łamów prasy. Patrząc z bezpiecznego schronienia w Cowes, wydaje się całkiem prawdopodobne, że jesienią nastąpi czas odwetu; pułkownik Wardle nie traci czasu i podejmuje stosowne przeciwdziałanie. Sprawa o zмовę, Wardle kontra Wright i Clarke, ma wejść na wokandę już w grudniu. Dlatego trzeba sobie zapewnić do tej rozgrywki odpowiednie karty i posłużyć się nimi we właściwy sposób. Zabawne, że tym razem los się do pani Clarke uśmiechnął: sędzia Ellenborough, dotknięty rupturą, musiał sobie poszukać nowego lekarza, gdyż jego własny wyjechał. No i trafił prosto do doktora Thomasa Metcalfe'a.

Odpowiednie podejście do chorego w połączeniu ze skuteczną kuracją zdziało w ciągu tygodnia istne cuda. Radosna ta wieść została natychmiast przekazana do Cowes, gdzie oczywiście doceniono należycie jej wagę. "Wieczne porywy nadziei..."

(A. Pope: "Wiersz o człowieku").

Co za perspektywy! Jeśli Jego Lordowska Mość stał się protektorem doktora, to teraz my będziemy pociągać za sznurki w świecie prawników.

Thomas Metcalfe otrzymał na swój list błyskawiczną odpowiedź.

"...Wpadłam na pewien plan, który, jeśli uzna Pan za słuszne zaproponować go swemu przyjacielowi i protektorowi, pomoże Panu wypróbować na swój sposób zawodowe umiejętności i jeszcze na tym skorzystać. Bez względu na to, czy wprowadzimy ów pomysł w życie czy nie, fakt, że przelewam go na papier, stanowi dowód mojego zaufania do Pana, i oczywiście cała sprawa musi pozostać między nami. Wystarczy, że raz czy dwa znajdę się w towarzystwie Pańskiego protektora, a jestem pewna sukcesu, ponieważ zależy mi wyłącznie na nawiązaniu z nim bliższych stosunków, tego zaś nie da się osiągnąć, jeśli nie będę dlań szczególnie miła i tak dalej.

Przypuścimy, że on, jako Pański przyjaciel, wynająłby dla Pana nieduży domek i umeblował go... Nie wydałby na to więcej niż pięćset funtów, a cóż znaczy dla niego taka drobnostka? Ja mogłabym stać się wtedy Pańską lokatorką, domowniczką czy pacjentką. Za przysługę zapłaciłabym Panu taką sumę, która zachęciłaby Pańską gospodarną małżonkę do poniesienia kosztów utrzymania tego domu, będzie Pan mógł także korzystać z mojego powozu, a wiadomo, że lekarz bez powozu nic nie znaczy.

Wysoki Sąd zaś miałby tylko, za Pańskim przyzwoleniem, składać raz lub dwa razy w tygodniu wizytę, najlepiej o zmierzchu, aby rozegrać kilka partyjek pikiety czy innej gry, w której jest *au fait!*

Proszę to sobie dobrze przemyśleć, zgoda? I nie omieszkać napisać do mnie jutro.

Z poważaniem

M.A. Clarke

P.S. Pański protektor zapewne nie co dzień spotyka się z tak bezinteresowną ofertą - jest już stary, jak Pan wie - ale to tak przyjemnie holować za sobą, jednego czy dwóch wielkich ludzi".

Chociaż jeszcze przyjemniej - mieć sędziego po swojej stronie, a prokuratora generalnego trzymać w odwodzie.

W poniedziałek 10 grudnia w Westminster Hall lord Ellenborough, prezes sądu, otwiera sprawę Wardle kontra Wright i Clarke. Partyjki pikiety wydały owoce.

Oskarżonych bronił prokurator generalny, którego osobliwa metamorfoza wywołała ożywione szepty. Dobrze poinformowani twierdzą, że chodzi tu o politykę - w gruncie rzeczy nie jest to sprawa Wardle kontra Clarke, tylko wig kontra torys. Widzowie na galerii, którzy spodziewali się powtórzenia spektakularnych scen z lipca, są niepokieszeni, że pani Clarke nie powołano na świadka. Siedzi, osłonięta dyskretnie woalką, przy swoim adwokacie i cały czas podsuwa mu pod mankiet karteczki.

Wstępna mowę oskarżycielską wygłosił pan Alley. Zaczął z wielkim zadęciem od Scylli i Charybdy, substytutu ruchomych piasków i niebezpieczeństw czyhających na żeglarzy. Następnie nakreślił obraz kobiety, która rzekomo współżyła z Anglikami, Irlandczykami, Szkotami, Walijszymi, żołnierzami, żeglarzami, agentami, lordami i pospółstwem, przy czym zauważono, że pani Clarke odlicza na palcach. Wreszcie, po dłuższej reprzyzie dziejów Anglii od czasów Wilhelma Zdobywcy, zajął się korupcją, korsykańskimi bandytami oraz hochsztaplerami, którzy pretendują do najwyższych stanowisk.

W tym miejscu sędzia przerwał.

- Za pozwoleniem, panie Alley, czy pan uważa, że to wszystko ma związek ze sprawą?

- Rzeczywiście tak uważam, milordzie. Z całym szacunkiem, zmierzam do wykazania, że cała ta sprawa ma swoje źródło w korupcji.

Lord Ellenborough westchnął.

- No cóż, panie Alley, skoro pan naprawdę myśli, że historia Bonapartego i obecna sytuacja w Europie wiążą się w jakiś sposób z tym przypadkiem, to gotów jestem pana wysłuchać, choć według mojego rozeznania związek ten jest cokolwiek odległy.

Pan Alley kontynuował swój wywód przez dalsze dwadzieścia minut. Zakończył słowami:

- Bezpieczeństwo Imperium Brytyjskiego spoczywa teraz w rękach tych oto dwunastu dzentelmenów. Nie mam wątpliwości, że zachowają się w myśl ostatnich słów naszego nieśmiertelnego bohatera:

(Chodzi o admirała Nelsona).

"Anglia oczekuje, że każdy mężczyzna spełni swój obowiązek".

Mokry od potu oskarżyciel wreszcie siada. Nikt nie klaszcze. Natychmiast zrywa się z miejsca prokurator generalny.

- Zanim przystąpimy do rozpatrywania słuszności zarzutów, pragnąłbym, aby mój uczony kolega pan Alley poinformował nas, kogóż to miał na myśli, mówiąc o hochsztaplerach pretendujących do stanowisk, które nie należą się im ani z racji urodzenia, ani wykształcenia?

Usłyszano szept pani Clarke:

- Nie bądź taki przewrażliwiony.

Lord Ellenborough krzywi się i potrząsa głową.

- Nie sądzę, aby to był odpowiedni moment do tego rodzaju wyjaśnień.

Proces toczy się dalej. Odczytano w całości protokoły z lipcowej rozprawy. Wezwano pułkownika Wardle'a, przypomniano jeszcze raz te same fakty, jak wizyta w magazynie, wybieranie zasłon i dywanów - ale tym razem darowano sobie frywolne komentarze. Sir Vicary Gibbs uderzył w poważniejszy ton. Ciągłe powtarza się imię diuka Kentu.

- Czy w listopadzie ubiegłego roku, podczas pierwszej wizyty u pani Clarke, nie powiedział jej pan, że diuk Kentu jest powiadomiony o postępowaniu przeciw diukowi Yorku?

- Ani podczas pierwszej, ani drugiej wizyty nic takiego nie mówiłem.

- Czy przysięgnie pan, że imię Jego Królewskiej Wysokości diuka Kentu nie wiązało się z pańskim postępowaniem przeciwko Jego Królewskiej Wysokości diukowi Xorku?

- Przysięgam, że nie istniało takie powiązanie.

- Proszę poinformować sąd, czy major Dodd zajmował jakieś stanowisko w służbie diuka Kentu?

- Tak sądzę.

- Jakie to stanowisko?

- Sądzę, że był osobistym sekretarzem diuka.

- Czy to stanowisko nie wiąże się ze szczególnym zaufaniem?

- Z całą pewnością.

- Pan, major Dodd i major Glennie zabrali podobno panią Clarke na inspekcję wież Martello?

- Owszem.

- Miał pan przy tym na celu zebranie informacji na temat diuka Yorku?

- Tak jest.

- I nic poza tym?

- Nic.

- Czy pani Clarke wspominała coś na temat diuka Kentu?

- Często mówiła o rodzinie królewskiej, ale z tego, co wiem, niewiele o diuku Kentu.

- Zatem imię diuka Kentu nie pojawiała się w związku z obietnicami, które pan składał pani Clarke, ani też nie twierdził pan, że diuk jest zainteresowany tymi obietnicami?

- Nigdy.

- Czy kiedykolwiek dawał pan pani Clarke pieniądze?

- Kiedy zgodziła się wydać mi pewne papiery, dałem jej sto funtów, żeby mogła zapłacić rachunek u rzeźnika i piekarza.

- A poza tym niczego pan jej nie obiecywał?

- Nie, ale gdyby się okazała lojalnym sprzymierzeńcem ogółu, ja też dałbym wyraz swojej lojalności.

- Twierdzi pan z całą powagą, że nie czyniono jej żadnych obietnic poza powszechnym uznaniem za dobrodziejkę narodu?

- Ja nie składałem jej żadnych obietnic.

Pułkownikowi Wardle'owi pozwolono odejść, na jego miejsce zaś wezwano majora Dodda. W swoich zeznaniach wyparł się on jakichkolwiek obietnic, które pułkownik Wardle czy też on sam mieliby składać pani Clarke. Jak zna pułkownika, to na pewno nie zamierzał on płacić za wyposażenie domu przy Westbourne Place. Prokurator generalny słuchał z założonymi rękami i przymkniętymi oczami; nawet nie zaprzął sobie głowy poddawaniem świadka krzyżowemu ogniowi pytań, zlecił to swojemu młodszemu pomocnikowi.

- Rozumiem, że w służbie diuka Kentu zajmował pan wysokie stanowisko?

- Byłem jego osobistym sekretarzem.

- Czy nadal pan nim jest?

- Nie.

- Kiedy został pan zwolniony?

- Nie mogę wyjawić, którego dnia przestałem pełnić moje obowiązki. Uważam, że byłoby to niestosowne.

- Czy kiedy po raz pierwszy spotkał się pan z panią Clarke, miał pan stały dostęp do osoby Jego Królewskiej Wysokości? Czy nie biegał pan ciągle z Westbourne Place do diuka i z powrotem?

- Owszem, widywałem często Jego Królewską Wysokość, bywałem też przy Westbourne Place.

- Czy nigdy nie poinformował pan Jego Królewskiej Wysokości, że ma pan swój udział w interesach pułkownika Wardle'a?

- Nie, nie zrobiłem tego.

- Czy diuk Kentu niczego nie podejrzewał? Na przykład tego, że pułkownik codziennie zasięgał pańskiej rady?

- Nie, uważałem, że wspomnianie o tym Jego Królewskiej Wysokości byłoby niedelikatne.

Adwokat zwrócił się do sędziego.

- Jeśli sąd uzna, że należy wypytać świadka, dlaczego utracił swoje stanowisko, jesteśmy gotowi to uczynić.

- Na to nie mogę wyrazić zgody - odparł z poważną miną lord Ellenborough. - Nie widzę żadnego związku ze sprawą.

Major Dodd został zwolniony. Teraz miał zeznawać major Glennie.

- Został pan wmieszany w tę sprawę przypadkiem? - zagadnął adwokat.

- Jak zrozumiałem, pułkownik Wardle chciał wydostać od tej pani jakieś informacje. Zależało mu, aby położyć kres korupcji w wojsku.

- Więc panu również ta sprawa leżała na sercu. Czy pojechał pan krytykować wieże Martello?

- Pojechałem, by przekonać się o ich użyteczności, nie zaś krytykować cokolwiek. Opublikowałem książkę na temat fortyfikacji stoczniowych.

- Czy podczas owej eskapady robił pan notatki?

- Owszem, robiłem.

- Na temat wież Martello?

- Nie, na inny temat.

- Na jaki?

- No cóż, mówiąc bez ogródek, na temat tego, co pani Clarke opowiadała o rodzinie królewskiej.

- Nie pominął pan zapewne żadnych szczegółów, jakie dałoby się wykorzystać przeciwko osobom, których dotyczyły?

- Chodziło o nadawanie tytułów baroneta i para, a także różnych incydentów w rodzinie króla.

Major Glennie, ku swemu zdumieniu i rozczerwaniu - świadkowanie wyraźnie uważał za zaszczyt i zeznawał z wielkim zapałem - został odesłany na miejsce. Po poddaniu przesłuchaniom kolejnych

świadców, w tym kupca Illinwortha i wydawcy sir Richarda Phillipsa, oskarżenie ustąpiło miejsca obronie.

Sir Vicary Gibbs rozpoczął mowę obrończą od ustosunkowania się do przedstawionego wcześniej materiału dowodowego, po czym powołał swego jedyne go świadka, a jednocześnie asa atutowego, doradcę prawnego pani Clarke, pana Stokesa.

Pan Stokes, powszechnie znany w sferach sądowych jako prawnik o nieposzlakowanej uczciwości, stwierdził, że podczas postępowania przed Izłą Gmin w lutym ubiegłego roku przeprowadził z pułkownikiem Wardle'em rozmowę na temat celowości bądź niecelowości powoływania Francis Wrighta na świadka oskarżenia. On, Stokes, był temu absolutnie przeciwny. Uważał, że w trakcie przesłuchania mógłby wyjść na jaw fakt wyposażenia domu pani Clarke przez pułkownika Wardle'a, co zapewne zostałyby przez stronę rządową uznane za przekupstwo, a tym samym przyczyniłyby się do natychmiastowego zdyskredytowania pułkownika. Pan Stokes oświadczył, że nie ma wątpliwości co do tego, iż pułkownik Wardle zobowiązał się do zapłacenia za wyposażenie domu przy Westbourne Place.

Zeznanie to wywołało w sądzie prawdziwą sensację. Rzecznik oskarżenia pan Alley podniósł się z zakłopotaną miną.

- Wasza Lordowska Mość zechce wziąć pod uwagę, że zeznanie pana Stokesa stanowi ogromne zaskoczenie nie tylko dla mnie, ale, jak mierniam, dla całego sądu. Prosiłbym w związku z tym o pięciminutową przerwę, żebym mógł posłać po pułkownika Wardle'a.

Lord Ellenborough przystał na żądanie i pułkownik Wardle zjawił się ponownie na sali, by zostać przesłuchanym przez swego własnego adwokata. Przyznał, że doskonale pamięta rozmowę z panem Stokesem. Francis Wright nie został wówczas powołany na świadka, ponieważ jego świadectwo mogłoby zagrazać pani Clarke, ale na pewno nie jemu samemu.

Sir Vicary Gibbs ponownie zwrócił się do sądu:

- Niech to wystarczy Waszej Lordowskiej Mości i panom przysięgłym. Wezwano pułkownika Wardle'a, aby zaprzeczył słowom pana Stokesa. Proszę porównać sposób, w jaki ci dwaj świadkowie składali swoje zeznania. Przywołajcie, panowie, w pamięci klarowność i rozwagę wystąpienia pana Stokesa i porównajcie je z dokumentami, które przedstawił, a które z pewnością potwierdzają jego słowa. To, że pułkownik Wardle przeczy panu Stokesowi, jest całkowicie naturalne. Inaczej okazałby się niespełna rozumu.

Po wysłuchaniu zeznań pana Stokesa uważam, że nie ma najmniejszej wątpliwości, które świadectwo jest prawdziwe. Proszę także mieć na względzie, że wszystko to wydarzyło się na długo przed konfliktem, jaki miał miejsce między Francisem Wrightem i pułkownikiem Wardle'em.

Pan Alley, reprezentujący oskarżenie, wygłosił długie, kwieciste przemówienie w obronie swego klienta. Zakończył je następującymi słowami:

- Przeciągnięta ponad wszelką miarę długość tego procesu uniemożliwia przytoczenie wszystkich wspierających oskarżenie argumentów, jakie cisną mi się na usta. W tej sytuacji, a także biorąc pod uwagę późną godzinę, pragnę jedynie wyrazić podziękowanie Waszej Lordowskiej Mości i panom przysięgłym za cierpliwość, z jaką raczyli mnie wysłuchać. Pozwolę sobie dodać jedną tylko uwagę: ocy Zjednoczonego Królestwa zwrócone są na was.

Oczy lorda Ellenborougha były zamknięte, ale sędzia otworzył je, by wygłosić podsumowanie.

Nie było to obiektywne wystąpienie. Przeważały zdecydowanie argumenty obciążające pułkownika Wardle'a. Jego Lordowska Mość zauważył, że trudno nie snuć domysłów, po co w ogóle pułkownik udał się do magazynu tapicera. Jeżeli mężczyzna udaje się w takie miejsce w towarzystwie damy, czyni to zwykle dlatego, że chce za nią zapłacić. Skoro temu zaprzecza, stawia się w podejrzanej sytuacji i trudno mieć do niego zaufanie. Rozsądzenie sporu między stronami należy do przysięgłych. On, lord Ellenborough, nie ma wątpliwości, że obie strony zostaną potraktowane sprawiedliwie.

Po dziesięciminutowej naradzie przysięgli ogłosili, że pan Francis Wright i pani Mary Anne Clarke są niewinni.

Już po raz drugi w ciągu pięciu miesięcy poseł z okręgu Okehampton doznał porażki. Nie ma mowy o żadnym świętowaniu; fala się odwróciła. Zmienna w nastrojach opinia publiczna zagrała pułkownikowi na nosie i ziewnęła. Gwyllymowi Lloydowi Wardle'owi nie zostało nic poza tylnymi ławami opozycji, tymi samymi, które kiedyś przyniosły mu rozgłos.

- A co z tobą? - zapytał swą klientkę prokurator generalny. - Masz już dość sądu, czy jeszcze ci mało?

Uśmiechnęła się.

- To zależy od moich przyjaciół - odparła wzruszając ramionami. - I od tego, jak mnie potraktują.

- Przynajmniej dostałaś na Gwiazdkę werdykt.

- Ale zawdzięczam go panu Stokesowi.

- A nie swojemu adwokatowi?

- Temu hochsztaplerowi? Tak, być może... I jeszcze sędziemu. No i część zasług przypada Scylli i Charybdzie, substytutowi ruchomych piasków oraz niebezpieczeństwu czyhającemu na żeglarzy. Cieszę się, że ten biedak Francis Wright dostanie swoje pieniądze, ale ja sama znajduję się w nie najlepszej sytuacji finansowej, co jest godne ubolewania.

- Sądziłem, że za wycofanie wspomnień zgarnęłaś fortunę.

- Nie taką znów fortunę... Czasem żałuję tej umowy. Co zresztą nasuwa mi pewien pomysł - może mógłbyś mi doradzić. Czy rząd wzięłby mi za złe, gdybym opublikowała fakty dotyczące Wardle'a i Dodda, które wyszły na jaw podczas dzisiejszego procesu? I sposobu, w jaki mnie przekupiono, żebym tylko wystąpiła przed Izbą Gmin?

- Będą zachwyceni, toż to cios w opozycję! Ale twoi przyjaciele mogą być wściekli, ostrzegam cię.

- Mam ich w nosie, z wyjątkiem Folkestone'a. Chociaż ostatnio stał się chłodny, nauczka dobrze mu zrobi.

- Więc pokaż, na co cię stać. Minister nie piśnie ani słowa.

W styczniu 1810 roku na drzwiach domu przy Westbourne Place pojawiła się tabliczka z napisem: "Do wynajęcia". Kuratorzy pani Clarke i jej córki orzekli, że pań nie stać na tak duży dom. Wydatki trzeba ograniczyć.

Więc jednak chatka w Uxbridge? Nie, nie w Uxbridge, tylko w Putnam, w pobliżu domku myśliwskiego w Fulham, co może okazać się interesujące. Diuk nadal lokuje tam swoje faworyty i uprawia jazdę konną na wrzosowisku. Któż wie, co za zabłąkane, nostalgiczne echa popychają go do owych porannych eskapad... Wprawdzie Mary Anne nie żywi żadnych nadziei, ale ta myśl nie daje jej spokoju.

Nastawiając więc ucha na dźwięk końskich kopyt, zasiada przy biurku z piórem, zapasem papieru i blaszanym pudełkiem wypełnionym listami.

Rezultaty ukazały się drukiem na wiosnę w oficynie pana Chapple'a z Pall Mall 66. Tytuł brzmiał: "Książęcy rywale", pióra Mary Anne Clarke.

Rozdział 4

Pierwsze wydanie "Książęcych rywali" zostało wyczerpane w ciągu trzech tygodni. Ukazało się drugie, zaopatrzone w dodatkowe uwagi i listy oraz przedmowę, w której autorka wyraziła podziękowanie dżentelmenom z prasy za to, że ujęli się za skrzywdzoną kobietą, nie odwołując się do partyjnych polityków. Mary Anne oddała sprawiedliwość takim gazetom jak "The Times", "The Post", "The Sun", "The Curier" i "The Pilot", natomiast przekleła "The Weekly Messenger"; wydawca tygodnika stwierdził, że owa skandaliczna książka zasługuje na publiczne spalenie. Pan Bell,

ripostowała autorka, znany jest z tego, że nie płaci długów, póki nie zostanie aresztowany; pułkownik Wardle miał zatem szczęście, że odebrał swoje pieniądze. Autorka zna kilka anegdotek dotyczących osobistych spraw pana Bella. Będzie skłonna je opublikować, jeśli ów wydawca nie zaprzestanie prowokacji. Oto swego rodzaju sposób na złe recenzje.

Pisanie książki sprawiło Mary Anne nieklamną przyjemność. Nikomu nie darowała. Panów Wardle'a, Dodda i Glennie'ego przedstawiła jako postaci śmieszne i absurdalne, sir Richarda Phillipsa z Bridge Street jako nadętego ponuraka, kupca winnego Illingfortha wręcz skarykaturowała. Wizyta na bagnach Romney i inspekcja wież Martello, wieczory przy Westbourne Place - wszystko to zostało dokładnie opisane. Czytelnik miał możliwość zajrzenia za kulisy dochodzenia w Izbie Gmin. Przyjaźń z Jego Lordowską Radykalnością została tylko lekko zaznaczona. Książka zaczynała się od pierwszego spotkania z pułkownikiem Wardle'em, a kończyła jego porażką w Westminster Hall.

W przedmowie znalazły się również wzmianki o diuku Yorku, ale tego rodzaju, żeby nie powzięto żadnej urazy, a dziesięć tysięcy funtów pozostało nie naruszone. Autorka zauważyła, że jej książęcy przyjaciel wszystkie swoje niepowodzenia zawdzięcza faktowi, że jest potomkiem tego, który w zamierzchłej przeszłości został sprowadzony na złą drogę przez Ewę, za sprawą pewnego jabłka. Nie wymieni żadnych nazwisk. Niech sobie dwór myśli, co chce. Jakiś jadowity język musiał wsączyć truciznę do książęcego ucha, gdyż serce diuka nie byłoby zdolne do skrzywdzenia kogokolwiek. Autorka musiała walczyć o własne prawa lub szczerząc marnie wraz ze swymi nieletnimi dziatkami.

Natomiast Jego Królewska Wysokość diuk Kentu nie został oszczędzony. W odpowiedzi na zarzuty Mary Anne opublikował obszerną "Deklarację" złożoną z pytań postawionych majorowi Doddowi, swemu dawnemu sekretarzowi osobistemu, oraz odpowiedzi tegoż.

W deklaracji tej major Dodd stanowczo zaprzeczył, aby kiedykolwiek miał posługiwać się imieniem swego chlebodawcy w celu sprowokowania ataku na jego brata. Faktem jest, że pozostając przez dziesięć lat w służbie diuka, sekretarz nie usłyszał od Jego Królewskiej Wysokości ani słowa skargi, bez względu na to, jak bardzo zraniono jego uczucia. Kiedy pamflety krytykowali naczelnego wodza, wynosząc pod niebiosa diuka Kentu, ten wzruszył tylko ramionami i pochylał głowę. Co się tyczy usankcjonowania środków zmierzających do naruszenia honoru jego brata, tak jak opisano to w książce "Książęcy rywale", to takie podłe oszczerstwo nie może pozostać nie zauważone i musi wzbudzić w każdym uczciwym człowieku dreszcz obrzydzenia i zgrozy.

W pierwszym wydaniu wydrukowano tylko jeden list lorda Folkestone'a do autorki, lecz i tego było nadto, by wystraszyć Jego Lordowską Radykalność, który natychmiast wysmażył liścik z wyrazami ubolewania do Wardle'a. Stwierdził w nim, że nie czytał wprawdzie samej książki, ale zdecydowanie wypiera się wszystkich opinii, jakie rzekomo wyraził w ubiegłym roku. Został po prostu wprowadzony w błąd przez panią Clarke. Ma nadzieję, że major Dodd to zrozumie, i chociaż on sam nie znosi, kiedy jego nazwisko pojawia się w druku, tym razem obydwaj panowie mogą zrobić z tego listu użytek. Został on opublikowany w "Morning Chronicle" następnego dnia, to jest 13 czerwca 1810 roku.

Nie podał do druku drugiego, bardziej osobistego listu, który tego samego dnia napisał do swego przyjaciela, pana Greevy'ego. Urywek brzmi jak następuje: "Czy ona wydrukowała ten beznadziejnie głupi list? Czy okryłem się śmiesznością? Czy to ten, w którym stwierdzam, że nie wyjdzie to na dobre rodzinie królewskiej? Czy inni ludzie się tym przejęli? A Ty? Przepraszam za tak obcesowe pytania, ale po tych wszystkich nerwowych przeżyciach, których świadkiem byłeś w grudniu ubiegłego roku, nie powinienes się dziwić. Czy ta dziwka robi jakieś aluzje do tego, że ze mną spała, i czy w ogóle pisze coś na mój temat?"

Jego Lordowska Radykalność miał szczęście, że autorka nigdy nie zobaczyła tego na oczy, bo mógłby pożałować. Natomiast wpadła jej w ręce "Morning Chronicle", wskutek czego w drugim wydaniu książki zamieściła dalszych dziewięć listów od lorda Folkestone'a wraz ze stosownymi komentarzami.

Drugie wydanie zostało rozchwywane jeszcze szybciej niż pierwsze. Czytelników interesowała nie tyle historia w Wardle, a ile kto tym razem został zdemaskowany i rozszarpany na strzępy. Zacytane egzemplarze z oślimi uszami szmuglowano do Izby Gmin, przeglądano w palarniach, chichotano nad nimi w szatniach, i chociaż główny atak skierowany był w stronę opozycji, członkowie rządu też nie wyszli bez szwanku. Ani jedno słowo nie padło na temat sir Vicary'ego Gibbisa, ale już sekretarz admiralicji, pan Crooker, który wraz z prokuratorem generalnym okazywał autorce jawną wrogość w roku 1809, został obsmarowany na dwunastu stronach. Można tam było przeczytać zarówno o niskim pochodzeniu owego dżentelmena, jak również o odium, które nań spadło w wyniku pewnych brzydkich postępów na stanowisku poborcy podatkowego w Irlandii.

Przez około czterech miesięcy książka była głównym tematem rozmów. Chwalono ją, choć wiele osób wyśmiewało fatalny styl autorki, po czym, jak to zwykle bywa z tego rodzaju lotnymi sensacjami, zainteresowanie spadło i rzecz poszła w zapomnienie. Na pierwszy plan wysunęły się inne sprawy, takie jak wojna, a w kręgach dworskich śmierć ukochanej córki króla, księżniczki Amelii. To wydarzenie przypieczętowało los zagrożonego monarchy. W roku 1811 stwierdzono niepoczytalność Jego Królewskiej Mości Jerzego III, po czym księcia Walii ogłoszono regentem. Jednym z pierwszych jego postanowień było przywrócenie diuka Yorku na stanowisko naczelnego wodza.

Dochodzenie w Izbie Gmin, procesy, "Książęcy rywale" - wszystko to odeszło w przeszłość. Skandale, podobnie jak ubiegłoroczne kuplety czy letnie fasony sukien, dożywają swoich dni, po czym można je pogrzebać. Jediną osobą, która tego żałowała, była sama pani Clarke. Zrobiło się nudno.

W starym blaszanym pudełku leży mnóstwo listów, na których można zbić majątek. Po cóż mają się marnować, zamiast służyć potomności?

Właśnie ma się odbyć posiedzenie kuratorów z udziałem panów Dowlera i Coxheada_Marsha. Dziesięć tysięcy funtów stopniało do pięciu. Jeszcze parę lat - i nic nie zostanie.

- Oto ważny powód, abym została zawodową pisarką. Dziewczynki będą żyły z renty, ja zaś mogę się zająć sferami dworskimi. Co wy na to?

Charley Thompson, trzeci kurator, pokiwał głową. Aprobował wszystko, co mogło zwiększyć dochody siostry, dzieliła się z nim przecież pół na pół.

Panowie Dowler i Coxhead_Marsh byli odmiennego zdania. Wstrząśnięci do szpiku kości i zaskoczeni "Książęcymi rywalami" - co strona to oszczerstwo - obawiali się powtórki. Raz autorka wyszła obroną ręką, drugi raz się nie uda. Istniały poważne przeciwwskazania co do ponownego mierzenia w ten sam cel. Poza tym ona nikogo nie oszczędza, a kto wie, jakie głupoty, które wyszły swego czasu spod ich piór, spoczywają w owym słynnym przewiązanym tasiemką blaszanym pudełku?

- Sądzę - rzekł Coxhead_Marsh - że najlepiej zrobisz, jeśli przyczaisz się na jakiś czas i dopilnujesz edukacji dziewczynek.

- W Uxbridge jest znakomita szkoła - dodał Dowler - tylko piętnaście funtów za semestr, włącznie z francuskim.

- Możemy zwiększyć fundusze na cele edukacji, ale nie popieramy wzbudzania sensacji w towarzystwie. Obaj z Dowlerem jesteśmy co do tego zgodni. Jeśli chcesz dziewczynki wydać za mąż i to dobrze, musisz unikać rozgłosu, bo zniweczysz ich szansę. A i tak...

- A i tak - wtrącił Dowler - wypadki z 1809 roku mogą im nie wyjść na dobre. Właściwie, jak ci już mówiłem wiele razy, powinnaś osiąść w jakimś wiejskim ustroniu. Chatka w Chalfont St Peter's...

Spojrzała na niego ze złością.

- Czy w tej szkole w Uxbridge przygotowują do życia w małżeństwie? Już raczej wyuczę je sama, z francuskim włącznie... Dziewczynki muszą mieszkać w Londynie, podobnie jak ja. Potrzebuję także pied-à-terre w Brighton albo może w Ramsgate, a kiedy George wstąpi do wojska, pociągniemy za nim. Mary i Ellen będą miały kadetów na pęczki, a i dla mnie znajdzie się jakiś ognisty pułkownik.

Na wzmiankę o George'u zapadła cisza, ale spojrzenia, jakie wymienili kuratorzy, były wystarczająco wymowne.

- O co chodzi?

Bill milczał. Charley wzruszył ramionami. Patrzyli wyczekująco na Coxheada_Marsha.

- Mogę pociągnąć za pewne sznurki w City - zaczął. - Wciągniemy George'a do jakiegoś interesu. Jest mnóstwo czasu...

- George pójdzie do wojska - odparła stanowczo. - To jego jedyne marzenie. Obietnica ciągle obowiązuje.

- To może być dość trudne.

- Dlaczego?

- Z oczywistych powodów. Syn kobiety, przez którą naczelny wódz utracił stanowisko, nie będzie mile widziany w żadnym pułku. Odrzucą każde podanie. To beznadziejne.

- Ostrzegam cię - rzekł Charley. - Mnie się nie udało i to samo czeka tego dzieciaka. Śledztwo w Izbie Gmin zniweczyło nasze szanse. Gdyby George spróbował zmienić nazwisko, może by mu się poszczęściło. Ale nie w tej armii, to pewne.

Ogarnęła ją furia. Co za banda kretynów! O niczym nie mają pojęcia.

- Jeśli ktoś spróbuje mi przeszkodzić, wiem, jak mam walczyć. Jestem w posiadaniu listu od samego diuka Yorku, w którym obiecuje patent oficerski dla George'a, gdy ten skończy piętnaście lat. Co będzie, jeśli przedstawię to w sądzie?

Kuratorzy westchnęli. Znowu sąd? Rozgłos może się okazać szkodliwy, niebezpieczny, fatalny dla nich wszystkich. Może zniweczyć szanse zarówno George'a, jak i dziewczynek. Czyż nikt nie potrafi przekonać tej kobiety, żeby siedziała cicho?

- Jeśli uciekniesz się do gróźb - perswadował Coxhead_Marsh - to z całą pewnością zrujnujesz przyszłość dzieci. Zabiorą rentę i tobie, i dziewczynkom, a wtedy zostaniesz bez jednego pensa.

- Zostanie mi to, co potrafię zarobić, posługując się własnym rozumem i piórem. Z pewnością suma ta znacznie przewyższy jakąkolwiek rentę.

Wypadła na dwór, nie czekając, aż skończą się spierać. Niech sobie robią, co im się podoba z topniejącym w oczach kapitałem, niechaj ciulają pens do pensa albo umieszczą gdzieś na trzy procent; tylko ona sama może rozpocząć atak.

Dopiero gdy dotarła do siebie i przeszukała pudełko, przypomniała sobie, że list diuka - ten, w którym jest mowa o George'u - dawno temu wysłała na przechowanie do Jamesa Fitzgeralda.

Od kilku miesięcy nie miała wiadomości od żadnego z Fitzgeraldów. James dopiero co wycofał się z polityki, Willie zaś robił błyskawiczną karierę. Został ministrem skarbu Irlandii i członkiem angielskiej Rady Królewskiej. Mary Anne natychmiast napisała do obydwóch. Przebywali w Irlandii, jako że w Parlamencie rozpoczęły się już letnie wakacje. Miała pewne wątpliwości, czy Willie, przy swej obecnej pozycji, potrafi uzyskać dla George'a patent na przekór całej opozycji.

Brak odpowiedzi zarówno od ojca, jak od syna. Napisała ponownie. Wreszcie parę lakonicznych słów od Jamesa: "List, o którym Pani wspomina, został już dawno zniszczony".

Zniszczony! Jej największy atut zniszczony! Czy Fitzgerald uważał ów list za kompromitujący dla siebie? A może obawiał się przechowywać dowód swych stosunków z osławioną panią Clarke?

Dalsze apele do Willie'ego nie poskutkowały. Krótka odpowiedź stwierdzała, że pan minister nie ma ochoty przypominać sobie pani Clarke. Znajomość ta, jako relikw z zamierzchłej przeszłości, dawno została zapomniana przez obie strony i nie będzie odnowiona. Irlandzki minister odmówił także podjęcia jakichkolwiek kroków w sprawie przyszłości George'a.

Z początku nie wierzyła własnym oczom. To przecież niemożliwe, żeby Fitzgeraldowie, bliscy przyjaciele od dziesięciu lat, teraz zwrócili się przeciwko niej. Przecież tyle razem przeszli, tyle mieli wspólnych sekretów! Willie, który zwierzał się jej od czasów Oksfordu, który przybiegał do niej po pomoc w każdym kłopotcie, tak samo jak Charley... James, który otwierał przed nią serce przy

niezliczonych okazjach, wyjawiając zarówno polityczne sekrety, jak problemy osobiste... Nie chcą jej znać. Zamknięty rozdział. I nic, nic nie zrobią dla George'a. Chłopak został na lodzie.

Wzburzenie przerodziło się w gniew, gniew w furję, furia zaś w ślepą nienawiść i chęć odwetu. Jak dawniej poprosiła o radę Ogilvie'ego.

- Co mam robić? Jak ich najmocniej uderzyć?

W ciągu ostatnich czterech lat Willie doznał wielu niepowodzeń. Jego nadzieje upadały jedna za drugą. Regencja ostudziła wszelkie oczekiwania dotyczące podziału kraju czy rewolucji. Torysi nadal byli potęgą i nie zanosilo się na żadne zmiany. Dlatego każda broń, która doprowadziłaby do kompromitacji ministrów, zasługiwała na uwagę. Złe stosunki między Anglią a Irlandią można podsyć; wszelka niezgoda zawsze służy określonego celowi - i oto właśnie nadarzała się odpowiednia okazja.

- Mówiłem ci - rzekł - że "Książęcy rywale" powinni być ostrzejsi. Teraz masz szansę. Zaczynaj od serii pamfletów na rząd, poczynając od Williama Fitzgeralda. Skompromituj go. Będzie dużo krzyku - zmuszą go do dymisji. Pamiętasz, jakiego głupka zrobiłaś z Crokera? Ludzie byli ciężko rozczarowani, że nie doprowadziłaś sprawę do końca.

- Myślisz, że moja pisanina ma jakieś znaczenie?

- Oczywiście, że ma. Kiedy wyszli "Książęcy rywale", zwróciłaś na siebie uwagę. Ale nie poszłaś za ciosem, więc ludzie o tobie zapomnieli. Nie zdajesz sobie sprawy z potęgi własnego pióra, a również i języka. Dwóch ludzi popadło przez ciebie w niełaskę - diuk Yorku i Wardle. Spróbuj tego samego z trzecim. Wyszadź z siodła irlandzkiego ministra - opinia publiczna cię poprze.

To było jak słodka muzyka dla jej chciwych uszu. Will powiedział to wszystko, co Mary Anne tak bardzo pragnęła usłyszeć. Propozycja ożywiła ją, wprawiła w podniecenie. Seria pamfletów wymierzonych w jej środowisko, w świat, który tak dobrze znała... Jeszcze jedna szansa udowodnienia, że pani Clarke nie pozwoli tak łatwo o sobie zapomnieć, że ciągle ma dość władzy, by powalić mężczyznę.

Walka rozgorzała na nowo. Mężczyźni to szczególna rasa, należy ich podbijać - to id-ee fixe Mary Anne. Zamknęła się w pokoju i zabrała do pisania.

List do wielce szanownego Williama Fitzgeralda składał się z około dwudziestu stron i został wydrukowany jako pamflet przez niejakiego pana Mitchella. Tym razem pan Chapple z Pall Mall był przeciwny publikacji, wyczuł niebezpieczeństwo, ale autorka "Książęcych rywali" nie chciała go słuchać.

Pan Chapple potrząsnął głową. Ten list to czysty jad, w dodatku wyprany z wszelkiego humoru czy dowcipu.

"Pilno mi ostrzec naród irlandzki przed jednym z najpodlejszych i najbardziej rozwiązłych ludzi, któremu obecnie w zagadkowy sposób powierzono pieczę nad finansami Irlandii i reprezentowanie jej w Parlamencie.

Kieruję się generalną zasadą, której przestrzegałam przez całe życie: nigdy nie dopuścić do tego, by niewdzięczność, ta najczarniejsza ze zbrodni, miała ujść na sucho, a także do tego, aby hipokryzja pozostała nie zdemaskowana. Pan, Panie Fitzgerald, stanie się jeszcze jednym przykładem, że nikt, nawet ten, kto zajmuje najbardziej eksponowane stanowisko, nie może bezkarnie igrać z moimi uczuciami i podporządkowywać ich własnym prywatnym interesom. Pragnę wryć Panu w pamięć, że gdy zostaną ugodzona do żywego, potrafię domagać się zadośćuczynienia nie tylko od królewskiego syna, ale i od samego króla. Jak dotąd wszyscy, których zdemaskowałam przed opinią publiczną, w pełni sobie na to zasłużyli; to jedyny z mojej strony rodzaj zemsty na tych, co źle mnie potraktowali.

Okoliczności, które przytoczę, posłużą jako znamienny przykład niegodziwości i perfidii owego subtelny intryganta, Pańskiego ojca. Powierzyłam mu kiedyś list od diuka Yorku, napisany wkrótce po naszym rozstaniu, w którym Jego Królewska Wysokość przysięga na wszystkie świętości, że zapewni mojemu synowi wykształcenie, opiekę i zaspokojenie potrzeb do końca życia.

Napisałam do Pańskiego ojca, domagając się zwrotu tego listu, po czym otrzymałam odpowiedź: "Zniszczyłem go".

Żadne słowa nie potrafią wyrazić oburzenia, jakie ogarnęło mnie po tak zdradzieckim potraktowaniu niewinnego dziecka. Od tego listu zależała cała przyszłość mojego syna, który teraz został pozbawiony jedynej gwarancji. Nie wspominam już o straszliwej niewdzięczności wobec mnie, która uratowała Pańskiego ojca i Pana wraz z całą rodziną od hańby i absolutnej katastrofy przez zatajenie korespondencji świadczącej o przekupstwie.

Po tych kilku uwagach na temat charakteru Pańskiego podstępного ojca, przejdę do Pana samego.

Pański słaby wzrok, który ojciec uważa za dziedziczną przypadłość, jest wynikiem niezdrowych nocnych praktyk, choć do domów gry bynajmniej nie popychał Pana niedostatek. Niezależnie od tej głównej życiowej pasji, ciekawe, co w ogóle świat pomyśli o człowieku, który z rozmysłem uwodzi żonę swego bliskiego przyjaciela; który posłużwszy się przekupstwem, powoduje wysłanie niewygodnego męża w niezdrowy klimat, żywiąc złudną nadzieję, że choroba wkrótce wpędzi go do grobu; który folguje następnie swej wyuzdanej namiętności bez żadnych hamulców, a gdy owoc tej namiętności lada chwila ma wyjść na jaw, podaje ofierze swej rozpusty ryzykowne dla życia środki; który pragnie uwolnić się od obaw poprzez usunięcie żywego dowodu swej winy i hołdując wrodzonemu skąpstwu, oszczędzić sobie rzucenia jakiejś nędznej jałmużny na jego utrzymanie? Wkrótce potem przyszło na świat martwe dziecko, a był to widok tak straszliwy, że nawet pióro medyka powstrzymałoby się od koszmaru opisywania. Stało się to w wyniku zastosowania szkodliwego naparuu, który o mało nie doprowadził do śmierci także nieszczęśliwej matki.

Wzdragał się Pan przed poślubieniem zhańbionej kobiety, mimo iż sam pan był przyczyną jej hańby. Nie zniżył się Pan również do mieszania krwi Fitzgeraldów z jedną z córek lorda Dillona, ponieważ panny te pochodziły z nieprawego łoża. Z tego samego powodu odrzucił Pan propozycję markiza Wellesleya.

Lecz jakie prawo daje Panu jego własne urodzenie, pozycja czy talenty, by odpychać z pogardą dzieci najszlachetniejszych rodzin? Wszak Pan sam jest pozbawiony tego wszystkiego - Pan, którego dziadek, ten łajdak Billy Fitzgerald z Ennis, był nędznym, podejrzanym adwokacina; którego ojciec zawdzięcza awans życiowy nie zasługom, tylko brudnym intrygom politycznym; którego ciotka jest zwykłą uliczną prostytutką, a kuzyn koniokrądem, który w końcu doczekał się szubienicy - Pan, którego całe zachowanie od chwili wprowadzenia w świat stało się jednym pasmem hańby i występku?

Ujawnię, jakimi środkami doszedł Pan do swych licznych zaszczytów, do których, według najświeższych wiadomości, ma zostać dodany tytuł para. Może Pan sobie wyobraża, że pod gronostajami łatwo będzie ukryć odchylenia moralne, a korona parowska wystarczy za wszystkie zasługi. Pozwolę sobie jednak zapytać, czy będzie Pan kiedykolwiek w stanie spojrzeć na swą tarczę herbową bez przywołania w pamięci własnego niskiego pochodzenia?

Załączam listy od Pana i Pańskiego ojca, które ciągle znajdują się w moim posiadaniu. Zobaczmy teraz, Sir, czy lud Wielkiej Brytanii i Irlandii, znając pański prawdziwy charakter, będzie cierpliwie znosił rządy takiego rozwiązłego parweniusza. Zobaczmy, czy ludzie powitają oklaskami wybór nędznego awanturnika politycznego na najwyższe, najbardziej lukratywne urzędy w państwie, czy też dojdą do wniosku, że sprawy finansowe znacznej części Imperium powinny być powierzone raczej komuś bardziej utalentowanemu i o czystszych rękach, a nie człowiekowi spędzającemu noce przy zielonym stoliku, człowiekowi, na którym ciąży oskarżenie o umyślne spowodowanie śmierci własnego nie narodzonego dziecka."

Taki był ogólny ton opublikowanego manifestu, do którego autorka dołączyła jeszcze notkę obiecującą dalszy ciąg. Kto następny? Na kogo wypadnie, na tego bęc.

"Ogłaszam niniejszym swój zamiar opublikowania w bardzo krótkim czasie dwóch albo trzech tomów, po których mogą ukazać się jeszcze następne, zależnie od sprzyjających okoliczności i oczekiwań. Autorka."

Niektórzy wierni Jego Królewskiej Mości posłowie Izby Gmin poczuli się na myśl o tym cokolwiek nieswojo. Paru członkom Izby Lordów przeszedł mróz po plecach. W gabinecie szemrano. Podobno sam lord Liverpool miał powiedzieć: "Powstrzymajcie tę kobietę, zanim nie narobi więcej szkody. Wszyscy pójdziemy na trawkę, jeśli to dłużej potrwa".

Pierwsza ofiara skonsultowała się ze swymi doradcami prawnymi i wystosowała pozew sądowy.

W poniedziałek 7 lutego 1814 roku pani Mary Anne Clarke została postawiona w stan oskarżenia za publiczne znieważenie ministra skarbu Irlandii, pana Williama Fitzgeralda, posła z okręgu Ennis.

Po raz trzeci i ostatni zasiadła w Sądzie Najwyższym King's Bench, mając przed sobą morze twarzy. Lecz tym razem nie bronił jej sir Vicary Gibbs. Dwa lata wcześniej został mianowany sędzią.

Prezes sądu lord Ellenborough również był nieobecny. Jego miejsce zajął sędzia Le Blanc. Rozprawy nie poprzedziły żadne partyjki pikiety. Ani pogawędki w Lincoln's Inn o Ledzie i jej łabędziu.

- Trzymaj się Henry'ego Broughama i niech diabli porwą koszta - doradził jej dawny prokurator generalny. - Brzydzą się jego polityką, ale to jedyny facet na świecie, który może cię z tego wyciągnąć. Ostrzegę go jednak, że będzie miał ciężkie zadanie.

Stosując się do rady swego adwokata, oskarżona przyznała się do winy. Tym razem Mary Anne się przeliczyła.

Rozdział 5

Postępowanie było krótkie. Nie powoływano świadków. Odczytano głośno list do ministra Williama Fitzgeralda. Podczas czytania w sądzie panowała cisza.

Oskarżona nie podała żadnego materiału dowodowego, ale złożyła pod przysięgą oświadczenie, prosząc o uznanie za okoliczność łagodzącą podstępного zachowania Fitzgeraldów. Zniszczyli wiele cennych dokumentów, powierzonych im na przechowanie przez Mary Anne Clarke, a wśród nich ten szczególny, w którym pewna wysoko postawiona osoba obiecuje zapewnić przyszłość jej jedynemu synowi. Pozwana prosiła sąd o wyrozumiałość, przytaczając następujące argumenty:

"Że składająca to oświadczenie jest matką dwóch córek, z których jedna wkrótce będzie dorosła; że jak dotychczas potrafiła zapewnić im wykształcenie mimo wielu niepowodzeń i nie sprzyjających okoliczności, jak również wychować je według zasad honoru i cnoty. Jeśli Wysoki Sąd w swej mądrości zechce pozbawić rzeczony córki matczynej opieki, zostaną one rzucone całkowicie na pastwę losu. Oskarżona ma pokorną nadzieję, że pan prokurator potraktuje ją tak, jak mu to osobiste przymioty podyktują, a Wysoki Sąd zechce wziąć pod uwagę powyższe okoliczności, stan jej zdrowia, jak również fakt, iż tym razem nie przyświecają jej żadne cele natury politycznej."

Prokurator generalny, który od dwóch lat już piastował dawne stanowisko sir Vicary'ego Gibbsa, określił paszkwil jako największą ohydę, jaka pojawiła się na sali sądowej.

Nie ma wątpliwości, że choć pozornie oskarżonej chodziło o wymuszenie pieniędzy, głównym celem pamfletu była chęć zemsty. Prokurator ma nadzieję, że wyrok sądu stanowić będzie nauczkę dla oskarżonej i powstrzyma ją od dalszych publikacji tego typu.

Pan Henry Brougham (który sześć lat później miał bronić królowej Karoliny)

(Król Jerzy IV oskarżył swą żonę o niewierność (nie bez podstaw) i domagał się od Parlamentu zgody na rozwód, której mu odmówiono. Dalsze postępowanie przerwała śmierć królowej).

zwrócił się do sądu o łagodny wymiar kary, wiedział jednak, że wiele nie wskóra.

- Tu nie chodzi o niczym nie usprawiedliwiony i nie sprowokowany atak na reputację jednostki po to tylko, aby zaspokoić apetyt opinii publicznej na wewnętrzne skandale. Publikacja tego listu sięga korzeniami do zadawnionych, bo trwających aż czternaście lat, powiązań między stronami.

Wasze dostojności, nie zmiierzam do usprawiedliwienia tego oszczerstwa dlatego tylko, iż osoba, która uległa pokusie i dała się sprowokować, jest kobietą, nie wspominając już o tym, że gdy się nie zachowuje powściągliwości w sprawach płci, trudno potem domagać się opieki. Proszę tylko usilnie, by wasze dostojności wzięły pod uwagę, że ukaranie pani Clarke odbije się na tych, które wychowywała według zasad honoru i cnoty, dając im takie wykształcenie i ucząc takich obyczajów, które gdyby sama zachowywała, żyłaby w niedostatku, jeśli już jej to nie dotknęło.

Ufam i mam nadzieję, że Wysoki Sąd po głębszym zastanowieniu wymierzy sprawiedliwość, jak nakazuje prawo, wejrzy jednak litościwym okiem na interes niewinnych.

Pan Brougham zrobił, co w jego mocy, lecz nastawienie sądu było wrogie. Ich dostojności czuły, zresztą nie bez powodu, że kobieta, która rzuciła na piśmie takie oskarżenia na wysoko postawione osoby, powinna zostać powstrzymana. Z pewnością nie należy dopuścić, aby się wymigała. Inaczej nie minie kilka tygodni, a zacznie na nowo. W końcu zaledwie pięć lat temu wykończyła księcia krwi. Takie awanturnice są niebezpieczne.

Oskarżona okazywała swą zwykłą niefrasobliwość nawet podczas samej rozprawy. Wyśmiewała się z pomarszczonej twarzy siedemdziesięcioletniego drukarza i współoskarżonego, pana Mitchella. Posunęła się nawet tak daleko, że oskarżycielską mowę prokuratora generalnego skwitowała pogardliwym ukłonem. Sędzia Le Blanc postanowił być bezwzględny.

- Nie ma wątpliwości - oświadczył surowo - co do oszczerczego charakteru publikacji. Nie ma ich także co do faktu, że motywem jej powstania, który to motyw spowodował także groźbę ogłoszenia następnych trzech tomów, była chęć uzyskania pieniędzy za dokumenty lub obietnicę powstrzymania się od druku. Niechaj to będzie przestrogą dla świata przed wdawaniem się w pochopne i nie przemyślane związki. Co zaś się tyczy samej oskarżonej, to ufam, iż samotność i więzienie, na które jest obowiązkiem sądu ją skazać, skłoni ją do zastanowienia nad przeszłością i skruchy z powodu błędów, przez które znalazła się w obecnej sytuacji.

Karanie dzieci za grzechy ojców jest zawsze bardzo bolesnym obowiązkiem. W niektórych jednak przypadkach odseparowanie tych ostatnich od tych pierwszych może dać dobroczynne rezultaty. Nie jest rzeczą sądu orzekać, czy tak się stanie i tym razem.

Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, sąd skazuje oskarżoną Mary Anne Clarke na dziewięć miesięcy odosobnienia w więzieniu King's Bench. Po upływie tego okresu oskarżona zostanie wypuszczona za kaucją w wysokości dwustu funtów, którą ma złożyć sama, i za dwiema dodatkowymi kaucjami w wysokości po sto funtów każda. Kaucje te mają zagwarantować spokojne zachowanie się oskarżonej w ciągu trzech lat. Oskarżona nie opuści więzienia, póki nie zostaną wpłacone.

Kiedy oskarżona wstała, aby wysłuchać wyroku, wszystkie oczy zwróciły się w jej stronę. Wprawdzie adwokat Henry Brougham wspominał coś o karze więzienia, ale Mary Anne nie wierzyła mu ani przez chwilę. Koszty sądowe, może jakieś kilka tysięcy funtów... trzeba będzie naruszyć kapitał, by zdobyć odpowiednią sumę, a potem powstanie dalszy ciąg "Książęcych rywali", autentyczny i cięty. Najpierw jednak powykreśla się wszystkie oszczerstwa.

Ale więzienie przez dziewięć miesięcy? Dzieci opuszczone, a tu w przyszłym tygodniu George ma urodziny, kończy szesnaście lat! Rozglądała się z niedowierzaniem. Nikt się nie uśmiecha. Na sali siedzą Charley i Bill. Utkwili oczy w ziemi. A więc to prawda. Żadnej ucieczki. Żadnego pocieszenia. Brzęk kluczy, nagie ściany, więzienna cela. Zacisnęła pięści tak, że aż wbiła w dłonie paznokcie. Reporter "Timesa" kończył notatkę:

"Kiedy sędzia Le Blanc zaczął mówić o więzieniu, wesołość ją opuściła. Uroniła nawet parę łez..."

Przed odjazdem do więzienia pozwolono skazanej pożegnać się z przyjaciółmi. Otarła łzy i podeszła do nich z uśmiechem.

- Zawsze zamierzałam przejść na dietę. Teraz mam szansę. W wieku trzydziestu ośmiu lat to świetnie robi na cerę i figurę. Źdroje Marshalsea są znacznie lepsze niż Bath, a pobyt o połowę tańszy...

(Więzienie w Londynie).

Powiedzcie, proszę, Marcie, żeby spakowała mi trochę niezbędnych rzeczy, tylko na parę dni, póki nie zwiedzę moich apartamentów. Coś mi się zdaje, że nie będę potrzebowała sukien wieczorowych, wystarczą wełniane. Aha, książki. Kto będzie mi przysyłał książki? Polegam na was wszystkich. Gibbona "Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego" to powinno mi znacznie pomóc, i "Odyseja" Homera... Macie jeszcze jakieś propozycje? Przyjmuję we wtorki i piątki, na pewno będę w domu. Wszyscy goście są mile widziani, tylko muszą przynieść coś do siedzenia. Coxy, dbaj o dziewczynki, zabierz je do Loughton i, na miłość boską, znajdź Charleyowi jakąś robotę. Bill, pocałuj mnie, kochany, byle szybko, a teraz już idź. Zrobiłam z siebie idiotkę, przeze mnie najadłeś się wstydu. Wiesz, co masz robić z George'em, zawiadom go ogłędnie. Powiedz, żeby się nie martwił, bo ja się świetnie bawię - prawdę rzekłszy, nie mogę się już doczekać, kiedy zobaczę więzienie od wewnątrz. Czy jest tam pan Brougham? Chcę mu podziękować.

Henry Brougham zbliżył się i ujął klientkę za rękę. Dostrzegł, że pod pozorami wesołości Mary Anne ukrywa napięcie. Kiedy odesłał jej przyjaciół, odetchnęła z ulgą.

- Znosi się, że będzie ciężko. Muszę panią na to przygotować. Ile potrafi pani znieść?

- Nie wiem. Nie wypróbowywano mnie dotąd. Nigdy nie chorowałam.

- Po pewnym czasie przydzielą pani pokój, pojedynczy albo z kimś do spółki. Zakładam, że pani przyjaciół będzie stać, by za to zapłacić. Ale na początku nie wchodzi to w rachubę. Wyrok nakazuje całkowite odosobnienie.

- Co to właściwie oznacza?

- W więzieniu King's Bench są dwie małe cele czyli loszki. Sąd zdecydował, że zostanie pani umieszczona w jednym z tych pomieszczeń.

- Czy tam będzie ciemno? Da się czytać i pisać?

- Z tego, co wiem, jest tylko małe okienko wysoko, pod sufitem.

- Jest na czym leżeć?

- W tej chwili tylko wiązka słomy. Ale pozwolą pani na własne łóżko. Już to załatwiłem.

- A pościel?

- Dziś dam pani moje pledy z powozu. Jutro zrobię, co się da, żeby dostarczyć pani łóżko i koce z domu.

- Kto zarządza więzieniem?

- W tej chwili naczelnikiem jest pan Jones, ale podobno nikt go tu nie widuje. Zakładem kieruje jego zastępca, człowiek nazwiskiem Brooshoff.

- Brooshit czy Brushoff, mnie tam wszystko jedno. Czy mam być dla niego miła?

(Mary Anne przekręca nazwisko urzędnika tak, aby budziło nieprzyzwoite lub śmieszne skojarzenia).

- Może nie tak od razu. Jest pani gotowa? Powóz czeka.

- Więzienna karetka?

- Oszczędzono pani tego. W Anglii adwokat ma prawo konwojować więźnia.

Wsiadła do powozu ciągle zaciskając pięści.

- Powinniśmy tam popłynąć, byłoby bardziej romantycznie. Czy w więzieniu King's Bench nie ma Bramy Zdrajców?

(Brama, przez którą wchodzili więźniowie przewożeni Tamizą do Tower).

- Niestety nie. To nie jest nad rzeką, tylko po drugiej stronie mostu, niedaleko Southwark.

- Nie znam tej dzielnicy... Duży tam ruch?
 - Sami szmacciarze i żebracy, poza tym nikt tam nie zagląda. No i oczywiście dłużnicy, którzy siedzą w więzieniu.
 - Widać stamtąd Tamizę? Uwielbiam ją.
 - Obawiam się, że nie. Więzienie jest dobrze ogrodzone. Ach, byłbym zapomniał. Czy ma pani lekarza, który przyszedłby na wezwanie?
 - Mój kochany doktor Metcalfe wyjechał. Ale na pewno potrafię go ściągnąć w razie potrzeby. Czemu pan pyta?
 - W więzieniu King's Bench nie ma opieki medycznej. Żadnej. Nawet izby chorych.
 - A co się dzieje, jeśli ktoś nagle zachoruje?
 - Podobno nic. Chyba że któryś ze współwięźniów zna się na medycynie. Właśnie dlatego panią ostrzegam.
 - Kto uprzedzony, ten uzbrojony. Marta musi przysłać moje lekarstwa... Coś mi się przypomniało: jak wyglądają warunki sanitarne?
 - Podobno jest paru robotników, którzy wywożą nieczystości. Oplaca ich naczelnik, ale nie przychodzą codziennie. Zależy od potrzeb. Wzywa się ich dopiero wtedy, gdy zawartość kubłów sięga ponad pewien poziom.
 - I pan uważa to za logiczne... Czy jest kanalizacja?
 - Najwyraźniej nie. Nieczystości gromadzone są w kubłach.
 - Które ciągle się przelewają jak wodospad Niagara? Marta dostanie milową listę... A co z jedzeniem?
 - Jest garkuchnia, zazwyczaj korzystają z niej biedniejsi dłużnicy, których nie stać na sprowadzenie lepszego jedzenia. Można dwa razy w tygodniu kupować mięso od rzeźnika, ale z tego, co wiem, nie jest godne polecenia.
 - Więc jedzenie można sprowadzić z zewnątrz?
 - Tak, tylko że to kosztuje. Strażnicy wszystko załatwią, trzeba się dowiedzieć. Przypuszczam, że przemyca się sporo alkoholu, na co naczelnik przymyka oko, ale pani to nie dotyczy. Będzie pani musiała zatykać uszy w czasie awantur.
 - Czy to już tutaj? Ta duża brama?
 - Tak, wjedziemy do środka i zatrzymamy się na dziedzińcu. Jeśli ktoś krzyknie albo spróbuje panią obrazić, proszę nie zwracać uwagi. Biedniejsi dłużnicy zawsze zbierają się na podwórzu. Najlepiej będzie, jeśli zaczeka pani w powozie, aż wszystko załatwię.
- Mary Anne złożyła pledy i przewiesiła je przez ramię. Na Bowling Inn Alley koce były cieńsze, ale tam przynajmniej miała łóżko i Charley ją ogrzewał. Poza tym to się działo trzydzieści lat temu, wtedy była odporniejsza... Wychyliła się z powozu i zawołała Broughama.
- Proszę zamówić wygodne łóżko z kolumnkami i obiad na dwie osoby. I koniecznie niech zamrożą szampana!
- Pomachał jej ręką.
- Gdy tylko zniknął za drzwiami, wokół powozu zaczęli się tłoczyć dłużnicy. Wpychali za szybę kartki.
- Kamracki numerek na sprzedaż! Dziesięć szylingów za noc. Własne łóżko, tylko cztery osoby w pokoju... Osiem szylingów, paniusiu, osiem szylingów i prawie nowy materac, ma zaledwie trzy miesiące... Cztery szylingi, jak dla pani, za miejsce na wspólnym łóżku, współlokatorka to bardzo schludna młoda osoba, ma dwadzieścia osiem lat... Własny pokój po gwinei za noc, najlepsza oferta w całym King's Bench, nie dostanie pani takiej ani we Fleet, ani w Marshalsea, gwinea za noc i w dodatku co rano wynoszone kubły.
- Szkoda, że nie jest dłużniczką, tylko kryminalistką.

- To bardzo miło z waszej strony, że tak się o mnie troszczycie. Ale już wszystko załatwione. Mam pokój dla siebie.

Patrzyli na nią z niedowierzaniem.

- To jakaś pomyłka, paniusiu. Wszystkie pojedynki są zajęte.

- Ach, wcale nie wszystkie. Są takie, o których nie wiecie. Naczelnik ma dla mnie istne чудо.

Wrócił Henry Brougham. Dłużnicy odsunęli się, wciąż się przekrzykując i spierając.

- Przykro mi - rzekł adwokat. - Jest gorzej, niż myślałem.

- Co jest gorsze? Ci ludzie byli bardzo uprzejmi.

- Pani kwatery. Jest bardzo mała.

- Ale będę ją miała tylko dla siebie?

- Tylko dla siebie - przyznał ze współczuciem.

- Pójdziemy tam?

- Proszę bardzo. - Wziął ją pod ramię i wprowadził do środka. - Uściłem za panią opłatę. Dziesięć szylingów i sześć pensów. Normalnie upoważniałoby to panią do tego, co w slangu nazywają "kamrackim numerkiem", to znaczy do miejsca we wspólnym pokoju.

- Wiem, oferowano mi coś takiego.

- To nie ma zastosowania w pani przypadku. Pani jest skazana za zniesławienie. Jak już mówiłem, przydzielą pani celę. Oto pan Brooshoof, zastępca naczelnika.

Podszedł do niej barczysty mężczyzna z wielkim brzuchem, w kapeluszu zsuniętym na tył głowy. Mary Anne uśmiechnęła się i dygnęła. Nie zaszczycał jej spojrzeniem, Brooshoof zwrócił się do adwokata:

- Przywiozła łóżko?

- Przyślemy je rano. I oczywiście koce, stolik, krzesło, a także inne niezbędne rzeczy.

- Nie ma miejsca na nic prócz łóżka. Cela mierzy tylko dziewięć stóp kwadratowych.

(Czyli około 0,8 mó;).

Czy macie jakieś świece?

- A wy ich nie dostarczacie?

- Niczego nie dostarczamy poza słomą. Rano była świeża.

- Gdzie mogę kupić świece?

- Może w kantynie. To nie moja działka. Proszę nie zapominać, że skazano ją za przestępstwo kryminalne. Otrzymałem instrukcje: żadnych przywilejów. I tylko więzienne jedzenie.

- Jak na przykład?

Urzędnik wzruszył ramionami.

- Owsianka na śniadanie, zupa na obiad. Czasem co innego, kuchnia wprowadza zmiany. Dłużnicy mogą robić zakupy w kantynie, jeśli mają za co. Z nią jest inaczej.

Henry Brougham odwrócił się do klientki. Machnęła ręką.

- A nie mówiłam? Kuracja odchudzająca. Wyjdę stąd smukła jak gałązka wierzbowy, dopiero będę zadawać szyku!

Zastępca naczelnika skinął na straż.

- Zaprowadzić skazaną pod dwójkę. Jutro przysła jej łóżko, poza tym żadnych przywilejów.

- Ani bonów do kantyny?

- Nie było rozkazu.

Brooshoof zwrócił na skazaną obojętne spojrzenie wylupiastych oczu.

- W razie poważnej choroby zawsze można się poskarżyć. Trzeba przesłać notatkę do biura naczelnika, wpisuje się ją do księgi i pokazuje podczas inspekcji więzienia.

- To znaczy, jak często?

- Chyba dwa razy do roku przysyłają kogoś z Urzędu Królewskiego, ale nie zawsze. Następną wizytacja ma być w czerwcu. Oczywiście, jeśli więzień jest umierający, wolno mi go przenieść, ale

krewni czy przyjaciele muszą zapłacić. W tym przypadku poszedłem na pewne ustępstwo, bo to kobieta, i w dodatku po trzydziestce. Numer dwa ma drewnianą podłogę, zaś numer jeden kamienną i brak tam okna.

Skazana uśmiechnęła się i zgarnęła swoje pledy.

- Jak to uprzejmie i troskliwie z pańskiej strony! Ile jestem panu winna?

- To zależy od pani przyjaciół. Nie przyjmuję pieniędzy bezpośrednio, to sprzeczne z przepisami i obraźliwe. Zechce pani udać się za strażnikiem? Zabrania się wałęsać, chyba że jest się skazanym za długi albo odsiedzi trzy miesiące. Do widzenia.

Skinął głową Henry'emu Broughamowi i odszedł. Adwokat wziął od klientki pledy i razem poszli przez korytarz za strażnikiem.

- Co za szkoda - rzekła Mary Anne - że to nie Brighton. Czekaliby na nas elegancki apartament z widokiem na morze, a wieczorem przyjęcie...

Zamiast odpowiedzi Henry Brougham ścisnął ją tylko za ramię. Strażnik prowadził ich przez labirynt korytarzy do schodów, po których kręcili się ludzie. Było to miejsce spotkań dłużników. Mężczyźni, kobiety i dzieci siedzieli rozparci na stopniach, dorośli jedli i pili, dzieci się bawiły. Grano w kości i w kręgle, używając do tego obtłuczonych butelek. Od ścian odbijało się echo; zewsząd dobiegały krzyki, nawoływania, śmiech, ochryple śpiewy.

- Jeszcze jedna sprawa mnie niepokoi. Nie mam nic przeciwko milczeniu, obawiam się jednak, że ci od wynoszenia nieczystości się nie pokażą. Te kubły bez żadnych pokryw...

Odór w korytarzu okazał się gorszy od wszelkich zapachów przy Bowling Inn Alley. A może już zdążyła zapomnieć? Czy w tym smrodzie było coś znajomego? Nie opróżnione kubły u sąsiadów... Przeciekające podłogi... Mokre ściany ze śladami palców... Sugestywne plamy... Nawet piski dzieci za rogiem korytarza kojarzyły się z Charleyem i Eddie'em grającymi w kulki.

- Pamięta pan Marię Stuart?

- Dlaczego akurat ją?

- Powiedziała: "W moim końcu jest mój początek". Może to się odnosi do nas wszystkich... Chyba jesteśmy na miejscu.

Strażnik zatrzymał się na samym końcu korytarza i mocował się z kluczem przy podwójnym zamku. Wreszcie pchnął ciężkie drzwi.

Zastępca naczelnika nie przesadzał: cela rzeczywiście miała dziewięć stóp kwadratowych, nie więcej, nie mniej. Okienko pod sufitem, zakratowane i pokryte pajęczynami, wpuszczało bardzo niewiele światła. Na podłodze z desek leżał siennik wypchany słomą. Przy drzwiach stał niewielki kubeł, taki jak te na korytarzach, bez pokrywy.

Skazana zmierzyła pomieszczenie wyciągniętymi rękami.

- Cały kłopot w tym, że gdy sprowadzę łóżko, nie będzie miejsca na nic innego. Trzeba się myć, jeść i ubierać siedząc okrakiem albo stojąc na jednej nodze jak flaming. Takie nowe ćwiczenie gimnastyczne.

Uniosła suknię i zademonstrowała. Strażnik osłupiał. Rzuciła mu olśniewający uśmiech.

- Ponieważ musimy często się widywać, zrobmy dobry początek. Mam nadzieję, że się zaprzyjaźnimy.

Podąła mu rękę i wcisnęła dwie gwinee.

- I co z tymi świecami, panie Brougham? Za pół godziny zrobi się tu ciemno jak w grobie. I zimno, bo nie widzę kominka. Świece wprowadziłyby świąteczny nastrój. Z tą słomą i pledami może być całkiem przytulnie, zwłaszcza po gorącej zupie. Jaka dziś mamy zupę, pomidorową czy żółwiową?

Zaintrygowany strażnik przyglądał się nowej podopiecznej.

- Zawsze jest taka sama - rzekł. - To rodzaj gęstego sosu z obierkami kartoflanymi na wierzchu i kawałkiem chleba.

- Rozumiem. Potage parmentier. Jadłam to u Almacka. No, panie Brougham, na pana już czas.

Adwokat skłonił się i ucałował jej dłoń.

- Jeśli istnieje jakakolwiek możliwość, by przeniesiono panią z tej nory do pokoju, to zapewniam, że tego dokonam.

- Tysiączne dzięki. Odwiedzi mnie pan?

- Gdy tylko uzyskam zgodę. Aha, chyba powinna pani dać mi adres tego lekarza...

- Bill Dowler panu da.

- Potrzeba pani czegoś jeszcze? To znaczy - w tej chwili?

- Świece. A poza tym atrament, pióra i papier.

- Mam nadzieję, że nie napisze pani kolejnego listu do pana Fitzgeralda?

- Nie. Raport z więzienia King's Bench. Materiał z pierwszej ręki do przedstawienia, jeśli zajdzie potrzeba, w Izbie Gmin.

Roześmiał się i potrząsnął głową.

- Jest pani niepoprawna.

- Ja myślę. Po cóż innego miałabym żyć?

Strażnik i adwokat wyszli. Drzwi zatrzasnęły się z hukiem i zostały zamknięte na klucz. W małym zakratowanym otworze ukazała się twarz skazanej. Mary Anne cisnęła kapelusz na siennik, na ramiona narzuciła pled.

- Jeszcze słowo - rzekł pan Brougham. - Jest mi tak okropnie przykro...

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Przymrużyła błękitne oko. Mruknęła pod nosem w najczystszy londyński cockneyu, rodem z Bowling Inn Alley:

- Sie płaci, to sie wybiera.

Słyszała echo ich kroków na korytarzu, potem pojawiły się inne więzienne dźwięki, krzyki, śmiechy. O dziesiątej wieczorem, gdy świece już niemal się wypaliły strażnik przyniósł jej list. Podobno przyniósł go do biura naczelnika królewski posłaniec z rozkazem natychmiastowego doręczenia.

List nie miał nagłówka ani zakończenia, ale napisano go w Whitehall na papierze dowództwa Gwardii Konnej i datowano 7 lutego 1814 roku.

Wiadomość była krótka i brzmiała następująco:

"Jego Królewska Mość ma przyjemność nadać patent oficerski George'owi Noelowi Clarke'owi 17. Pułku Lekkich Dragonów. Nominacja będzie ważna od dnia 17 marca, czyli po upływie czterech tygodni od szesnastych urodzin oficera, w którym to dniu kornet Clarke ma obowiązek zameldować się na służbie."

Jego Królewska Wysokość naczelny wódz spełnił swą obietnicę.

Rozdział 6

Ciągle się przeprowadzały. W żadnym domu nie mogły dłużej zagrzać miejsca. Serce Mary Anne trawił wieczny niepokój, który Ellen zwykła określać jako "duchowe rozterki mamy". I tak - znowu zatrzaskiwano wieka kufrów, pakowano i obwiązywano sznurkiem pudła, po czym wszystkie trzy panie udawały się na kolejną wędrówkę w poszukiwaniu jakiegoś nieosiągalnego Eldorado. Dzisiaj Bruksela, jutro może Paryż albo też jakieś inne, jeszcze nie znane miejsce, które podsunie wyobraźnia. Thukły się po zakurzonych drogach Francji, ściśnięte w dyliżansie, przy zamkniętych oknach. Na zaciekawionej, wpatrzanej w szybę twarzy Mary Anne malował się znacznie większy entuzjazm niż na obliczach jej córek.

- Hotel de la T~ete d'\$or! Tam właśnie się zatrzymamy.

Po prostu dlatego, że zainteresował ją wybrukowany kocimi łbami placyk, że kobiety prały bieliznę w strumieniu, a opaleni wieśniacy w szafirowych bluzach uśmiechali się promiennie. Poza tym na pobliskim wzgórzu stał ch~ateau, jakiegoś sfrustrowanego barona czy hrabiego, który przy bliższym

poznaniu mógł się okazać interesujący. Pani Clarke nic nie zniechęcało. Nie przejmowała się żadną galijską etykietą. Bez żenady wyciągała carte de visite i wymuszała zawarcie znajomości nawet na najszywniejszym cudzoziemcu.

- Ravie de faire votre connaissance, monsieur!

(Jestem zachwycona, że mogę pana poznać, fr.).

I monsieur, wcale nie taki ravi, trząsał obcasami i kłaniał się w pas. Jego zamek, dotychczas dostępny tylko dla starych ciotek i wiekowych dziwaków, okazał się bezbronny wobec bystrych, przenikliwych oczu, które z taką wprawą prześlizgiwały się po wnętrzach, błyskawicznie oceniając dzieła sztuki. Udręczone córki cierpiały katusze wstydu, kiedy matka syczała, osłaniając ręką usta: "Wdowiec. W sam raz dla którejś z was".

Plombières-les-Bains, Nancy, Dieppe - miejscowości kuracyjne zaznaczone szpilkami na mapie tylko dlatego, że dwa lata temu coś jej się obilo o uszy, a teraz przypomniało.

- Któż to mieszka w Nancy? Markiz de Videlange? Uroczy człowiek, siedział kiedyś koło mnie przy obiedzie i nie zająknął się nawet słowem o ancien régime... No, dobrze, zobczymy.

Po czym Mary i Ellen, wymieniwszy przerażone spojrzenia, wykrzykiwały:

- Ależ mamu, nie możemy! On się dowie, kim jesteś!

- I co z tego, kochaneczki? Może być niezła zabawa.

Mary Anne znów wywleka stare dowcipy i anegdotki, skandale z zamierzchłych czasów, rozrywki i szaleństwa, Londyn sprzed dwudziestu lat - ledwie majaczący w pamięci dwóch młodych kobiet. Na ich umysły nałożył się obraz więziennych murów i koszmar nie do opisania, jaki przeżyły na widok bladej, ślaniającej się na nogach postaci o szklistych oczach, które zdawały się niczego i nikogo nie poznawać po przebytych piekle.

Czy to prawda, co mówi wujek Bill, że umysł ludzki zawsze odrzuca od siebie to, przed czym pamięć się wzdraga? A może matka dlatego nigdy nie mówiła o spędzonych w odosobnieniu miesiącach, ponieważ chciała oszczędzić bólu dzieciom? Nie wspominała o tym nawet w gronie najbliższych. Kiedy zagłębiała się w przeszłość, sypiąc jak z rękawa ulubionymi anegdotkami, kiedy wyśmiewała sądy z minionej epoki, córki zawsze porażał strach. A jeśli nietaktowny cudzoziemiec poruszy ten temat, jeśli padnie słowo "więzienie", co wtedy? Czy otworzą się śluzy pamięci i wspomnienia popłyną jak rzeka? Dziewczęta nigdy nie miały pewności.

Więc lepiej niech folguje swoim zachciankom, włóczy się po kontynencie, chciwa nowych przeżyć i widoków, lato tutaj, zima tam, ponieważ, jak zwykła mawiać, nigdy nic nie wiadomo... Hiszpański diuk może zwrócić oczy na Mary, a rosyjski hrabia obsypać Ellen rublami.

I tak, od apartamentu do apartamentu, przepuszcza się co do pensa trzyletnie dochody. Czasem ucieka się nocą, żeby nie płacić rachunku - jak za dawnych lat - lub wręcza się zamiast zapłaty pierścionki, sprzedaje bransoletki i targuje zęb za zęb z podejrzanymi jubilerami.

- Ależ zapewniam, że naszyjnik należy do zmarłej królowej Charlotty!

- Madame, je regrette infiniment...

(Ogromnie żałuję, proszę pani, fr.).

- Więc ostatecznie ile pan daje?

Pięćdziesiąt ludwików! Pięćdziesiąt ludwików za naszyjnik wart sto? Co za złodziejski naród, ci Francuzi, no po prostu szumowiny świata, nigdy się nie myją, w ich domach śmierdzi. Ale już na ulicy, kiedy pośpiesznie przeliczy pieniądze, brzęknie monetami sprawdzając, czy aby nie fałszywe, zaraz przywołuje na twarz uśmiech, machnięciem parasolki zatrzymuje fiakra i każe się wieźć do domu. Ten dom to obecnie mały hotelik, prix mod~er~e, na Faubourg Poissonnière.

(Cena umiarkowana, fr.).

- No, moje kochaneczki, znowu jesteśmy bogate, zaraz wszystko wydamy!

I zaraz zamawia suknie, wydaje przyjęcia, wynajmuje na dwa miesiące umeblowany apartament.

- Ależ mamusiu, nie stać nas na to!

- Czy to ważne?

Francuzi już nie są złodziejami ani szumowinami świata, tylko aniołami o zamglonych oczach, gotowymi na każde jej skinienie. Mary Anne opowiada historię życia każdej konsjerżce, dyskutuje o swoich romansach z pokojówkami, Paryż to jedyne miasto na świecie... Aż pieniądze się kończą i znów trzeba się wynieść. A tu wciąż nie widać hiszpańskich książąt ani rosyjskich hrabiów przy kručiej Mary i poważnej, tkwiącej po uszy w książkach Ellen. Ich matka uważa, że są skazane na staropanieństwo i mówi o córkach "moje westalki", co zachwyca przyjaciół z półświatka i starych znajomych, ale odstrasza kandydatów na zięciów. George'owi, który ostatnio bardzo zważniał, wcale się to nie podoba.

- Jeśli się nie ustatkujesz, to dziewczęta w ogóle nie wyjdą za mąż. A Paryż jest dla nich najmniej odpowiednim miejscem. Kiedy pomyślę, że tak się włóczęcie beze mnie...

Mary Anne patrzyła z uwielbieniem na syna, który wyraźnie przejmuje nad nią władzę. Jakież jest przystojny w tym pięknym mundurze i zawsze najbardziej się wyróżnia z całego pułku! "Mój syn służy w Siedemnastym Pułku Lansjerów. Znakomicie sobie radzi - ma tylko dwadzieścia siedem lat, a już jest kapitanem!" Ale w tym momencie najbardziej jej się podoba, że George nie zwraca uwagi na kobiety; żadna koszmarna synowa nie rywalizuje z nią podczas urlopów. Matka jest dla niego najważniejsza na świecie.

Co do dziewcząt, to Mary Anne wciąż miała nadzieję na hrabiów albo cudzoziemców z milionami, wreszcie poprzestała na zwykłych zięciach. Ci pojawili się w końcu, ale obaj bez specjalnych widoków na przyszłość. Anglik nazwiskiem Bowles dla Mary (będzie ją kochał, ale po pewnym czasie porzuci), Francuz lekkoduch, niejaki Busson du Maurier, dla Ellen.

Kłopot w tym, że gdy Mary Anne osiągnęła wiek średni i zdecydowała się zostać na obczyźnie, to chociaż tkwiła po uszy w terażniejszości, choć prowadziła aktywne życie, uczestniczyła w sezonowych rozrywkach, wydawała przyjęcie i słała listy do przyjaciół - myśli jej ciągle obracały się wokół tamtych dni.

Pamiętam, jak... Tu powinna przerwać. Młodzież nudzą takie wspomnienia. Kogo obchodzi, że kiedyś dandysi w Vauxhall stawali na palcach, żeby się jej przyjrzeć? Że gapie zebrani tłumnie na dziedzińcu Izby Gmin wspinali się na koła jej powozu? Kto zechce słuchać, jak królowała w Izbie Gmin - jedyna kobieta wśród samych mężczyzn? O tych sprawach najlepiej zapomnieć, tak mówi George. W jego pułku są sami przyzwoici młodzi ludzie, czemu nie rzucić zasłony na przeszłość? Matka zrozumiała tę aluzję. Ale czasem, podczas samotnych nocy, nachodzi ją jakaś dziwna nostalgia. Wokół głucha cisza, tylko zegar na wieży kościelnej w Boulogne wydzwania kolejne godziny... Nie ma już nikogo, kto dałby za nią choćby złamanego pensa. Tamten świat się skończył. Teraz jest jutro.

Skoro tak, to czy wszystko już przepadło? Nic nie zostało? Żaden zabłąkany okruch nie kryje się w mrocznym kącie? W jednej chwili mały braciszek Charley ciągnie ją za spódnice przy Bowling Inn Alley - w następnej prawnik przysyła rachunek na siedemdziesiąt funtów.

"Szanowna Pani, powyższa suma stanowi koszt dochodzenia i identyfikacji zwłok Charlesa Farquhara Thompsona."

Który z tych dwóch był Charleyem, tym znanym i kochanym? I co ma wspólnego pokiereszowane ciało, znalezione w pobliżu kanału ściekowego Tamizy, z tamtym chłopcem?

Bill odebrał ją z więzienia, zorganizował podróż do Francji, zawsze ten sam, nie zmieniony ani trochę.

- Kiedy tylko będziesz mnie potrzebowała, przyjadę natychmiast - zapewniał.

Jaki sens miały te słowa później, kiedy nie mógł już ich dotrzymać? Bill także, ten silny, odpowiedzialny Bill stał się "... Pani drogim przyjacielem, który odszedł od nas tak nagle... przez wszystkich szanowany... władze miasta Uxbridge... Żałobne obrączki zostaną, oczywiście,

dostarczone." Gdzie się podziała cała jego czułość i wyrozumiałość? Odeszła wraz z "nieodżałowanym zmarłym" do grobu, a może jest przy niej w tej ciemności, jasna i niezachwiana?

Podслуchała rozmowę córek:

- Mama farbuję włosy. Wolałabym, żeby tego nie robiła.
- Wygląda tak niegustownie. George powinien jej wytłumaczyć.
- Kobieta powinna starzeć się z godnością, zaakceptować swój wiek.

Ale co to znaczy "z godnością" i kiedy zaczyna się starość? Wciąż o poranku wdycha ten sam ekscytujący zapach świeżości; morze w Boulogne połyskuje w słońcu tak samo jak kiedyś w Brighton. Precz z tymi pantoflami! Jak dobrze czuć pod stopami piasek, brodzić po wodzie! Ale już dobiegają ją okrzyki: "Mamo!!" Już jej "westalki", biegną z parasolką... To właśnie jest życie, te nagłe zachwyty, gwałtowne porywy ducha, pobudzające krew tak samo w wieku ośmiu lat, jak i pięćdziesięciu dwóch. Znow ją ogarnia, ten sam co zawsze, dziki, niepokojący przypływ beztroskiej radości. I takie momenty się liczą, tylko takie, żadne inne. Grande Rue w Boulogne to teraz Ludgate Hill albo Brighton Crescent, albo Bond Street o poranku. Kupi sobie na targu słomkowy kapelusz, koszyk gruszek, a może kłębek kolorowego sznurka. Chodzi przecież o ludzi, o ludzkie twarze.

Tamten staruszek wsparty na kuli, ta płacząca kobieta, chłopiec z wędką, uśmiechnięta para zakochanych - wszyscy oni są częścią czegoś znanego, wspólnego i zapamiętanego, powtarzającego się po wielekroć wzoru o jaskrawych kolorach. Dzieckiem, które wpadło do rynsztoka jest ona sama, podobnie jak dziewczyna machająca ręką z okna na pięterku. Są tacy jak ona, była kiedyś nimi wszystkimi, dlatego rozumie i ten ból serca, i nagły wybuch śmiechu, i łzy złości i żar pożądania.

Życie wciąż jest przygodą, nawet teraz. Mary Anne jutro nie będzie już pamiętać o samotnych godzinach. Rano mogą nadejść listy z Anglii, angielskie nowiny, gazety. Ktoś może tędy przejeżdżać w drodze do Paryża... "Co słychać? Jakie są najświeższe plotki, skandale? To prawda? To nadal trwa? Czy on się bardzo postarzał? Ale przecież pamiętam..." I znow zwrot ku przeszłości, ku dawnemu życiu, ku minionym dniom. Jakże wspaniale się bawili! Jak długie wydawało się lato! I tak dalej, aż do północy, kiedy gość spojrzy na zegarek i wsiaǳie do paryskiego dylizansu.

Wyjechał. Cóż za dziwne uczucie pustki, z pewną domieszką zdumienia, zaskoczenia. Ostatnio widziała go jako wesołego młodzieńca wrażliwego na kobiece wdzięki, teraz ma przed sobą siwego grubasa o byczym karku. Coś się nie udało, jakieś ogniwo pękło. Ten stary kawaler nie jest chłopcem, którego znała. Czy wszyscy jej przyjaciele i rówieśnicy zmienili się w takich ocieężałych, nadętych, powolnych przeżuwaczy? Czy iskierka witalności przygasa w miarę upływu lat? Skoro tak, to lepiej zostać zdmuchniętą jak świeca, lepiej szczeznąć w ułamku sekundy, zniknąć w próżni. Rozbłyśnąć tym slicznym światłem, rozplomienić się na jedną krótką chwilę - a potem koniec.

Pewnego styczniowego ranka angielskie gazety ukazały się w czarnych obwódkach. Mary i Ellen, wiedzione intuicją, chciały je ukryć, by oszczędzić matce wzruszenia i nagłego załamania, które tak dobrze znały. Na próżno. Bystre oczy wypatrzyły duże czarne litery i odgadły prawdę. Wprawdzie Mary Anne słyszała różne pogłoski, ale i tak przeżyła szok. Zamknęła się w sypialni i rozłożyła "Timesa".

"5 stycznia 1827 roku

Wczoraj wieczorem, dziesięć minut po dziewiątej, w Rutland House przy Arlington Street zmarł, przeżywszy lat 64, Jego Królewska Wysokość Diuk Yorku i Albany."

Tylko tyle, nic więcej. Przypomniała sobie, jak za dawnych czasów wyszukiwała w gazecie sprawozdania z jego poczynań w danym dniu. "Jego Królewska Wysokość Naczelnny Wódz przeprowadził dziś inspekcję w 14. Pułku Lekkich Dragonów, a następnie złożył wizytę Jego Królewskiej Mości". "A jeszcze później - dodawała ze śmiechem - odwiedził panią Mary Anne Clarke przy Gloucester Place." Miała gdzieś tuziny notatników z takimi wycinkami, pod którymi często dopisywała nie nadające się do powtórzenia uwagi.

Odwrociła stronę i znalazła wspomnienie pośmiertne.

"Zmarły Książę, któremu uprzejmość obejścia zawsze zjednywała popularność, a po śmierci wywołała powszechny żal, potrafił pod każdym względem cieszyć się życiem.

Lubił wino, grę, miał też inne upodobania, którym niestety zbyt często folgował, a które łatwiej byłoby wybaczyć komuś niżej urodzonemu.

Poza tym musimy z żalem stwierdzić, że zasługujące na naganę skłonności Diuka Yorku do rozkoszy stołu, do torów wyścigowych i wszelkiego hazardu, a także ulegania zgubnym skłonnościom, jakich nie ma potrzeby wymieniać, spowodowały Jego obojętność na sprawy finansowe. Nie poruszałibyśmy tutaj bolesnego tematu dochodzenia, w które Izba Gmin tak niefortunnie zaangażowała się siedemnaście lat temu, gdyby po pierwsze nie fakt, że owo wyjątkowe wydarzenie przeszło mimo wszystko do historii i plami nasze protokoły parlamentarne, po drugie zaś, że w rezultacie okazało się ono zbawienne zarówno dla naszej armii, jak i całego Królestwa. Choć samo w sobie przyniosło rozczarowanie, jednak położyło kres wrzawie i zawistnym podszeptom, że awanse rozdzielano wskutek sekretnych i nieczystych działań.

Diuk Yorku jako osoba prywatna cieszył się serdeczną sympatią, na co zresztą w pełni zasługiwał - był wesoły, przystojny, hojny, stały w przyjaźni, nie pamiętający uraz, współczujący wobec tych wszystkich, którym mógł ulżyć w zmartwieniu.

Pamięć Jego Królewskiej Wysokości długo pozostanie droga tym wszystkim, którzy poważnie biorą sobie do serca honor, pomyślność i sprawność armii brytyjskiej."

W kolejnym numerze następną pozycją:

"Gwardia Królewska przed królewskim pałacem St James wsiadała na konie i zsiadała w głębokim milczeniu, w obecności kilkutysięcznego tłumu, który zebrał się na wiadomość o śmierci Diuka Yorku.

Jak się dowiadujemy, zwłoki Diuka mają pozostać przez dwa dni, to jest czwartek i piątek 18 i 19 b.m., w pałacu St James, po czym zostaną przewiezione do Windsoru i złożone w krypcie królewskiej. Pogrzeb nieodżałowanej pamięci Diuka będzie odpowiadał Jego randze ewentualnego następcy tronu i naczelnego wodza, ale nie marszałka polnego."

Nie powiadomiła o swoim planie ani Mary, ani Ellen. Próbowalyby ją powstrzymać. To narzucone przez kuratorów wygnanie z Anglii, które znosiła od chwili opuszczenia więzienia, nie miało już żadnego znaczenia. Charley odszedł w samotności do swej samobójczej mogiły, Bill spoczywał przy rodzicach w Uxbridge. Will Ogilvie, zabity przez nieznanego sprawcę strzałem w tył głowy, nie doczekał się nawet pacierza. Ale On... to co innego.

Jakaś uparta, brytyjska duma nakazała jej pokonać raz jeszcze kanał i dzielnie znieść wzburzone morze pod ołowianym niebem. Nikt się nie domyśli, kim jest mówiąca z francuskim akcentem "madame Chambres", z twarzą osłoniętą długim wdowim welonem...

Wtopiła się w anonimowy tłum i rozdając na wszystkie strony kuksańce parła do przodu. Nikt nie pilnował ludzi na Pall Mall, wszędzie zamieszanie, zgiełk, rozpacz, wierzgające konie, uszkodzone powozy. Dziesięć, dwadzieścia tysięcy mężczyzn i kobiet, z każdą chwilą coraz więcej ludzi, nie sposób ich zawrócić. Nad ciżbą kołyszą się posępne, fioletowe sztandary z napisem "Przyjaciel Żołnierza", za nimi oddziały wojska, dalej kadeci ze szkoły w Chelsea - pięciuset małych chłopców o bladych, poważnych twarzyczkach, malutkie dzieci z piastunkami w czarnych kapeluszkach z rafii i szkarłatnych sukniach, takich samych, jak w 1805 roku nosiła Marta.

Mary Anne czuje, że tłum pcha ją w stronę pałacu - i oto nagle szal się zsunął, a welon gdzieś zapodział. Ktoś krzyczy prosto w jej ucho, górą podają sobie zemdlone dziecko, potem drugie i trzecie, jakaś kobieta w samych pończochach została stratowana przez motłoch...

Z tyłu narasta pomruk. "Zamykają drzwi... Wcale nas nie wpuszczają..." Coraz większa panika, głowy obracają się to w tę, to w tamtą stronę. "Naprzód!... Zawracać!... Wzywają gwardię..." Mary Anne nie bacząc na nic, sunie przed siebie. Szal zdarty, pantofle zgubione, mniejsza o to, byle do przodu. Niech sobie krzyczą!

Wreszcie znalazła się na dziedzińcu pałacowym. Rozkołysany tłum unosi ją w stronę schodów, obstawionych przez żałobników i żołnierzy, yeomenów z gwardii, z krepą na kapeluszach, halabardach i szpadach.

Tłum dziwnie jakos przycicha, poddaje się ogólnemu nastrojowi powagi. W całym pałacu panuje cisza, z apartamentów państwowych sączy się wątle światło świec i nagle Mary Anne widzi przed sobą tak dobrze znaną szpadę, spoczywającą na całunie razem z książeczką koroną i buławą. Te ostatnie są atrybutami królewskiego pochodzenia i stanowiska, natomiast szpada - to rzecz osobista, część mezczyzny, ktorego znała.

Jak często miałam ją w ręku... myśli. Że też rozpoznaje jeszcze ową broń, ponuro połyskującą w świetle świec, a przy tym groźną i dziwnie samotną, jakby zupełnie nie na miejscu.

Słyszała, jak ta sama szpada podzwaniała na schodach, kiedy on schodził na śniadanie, albo padała z brzękiem, odrzucona z niecierpliwością na bok; widziała, jak rzucał ją Ludovickowi do czyszczenia albo stawiał w kącie garderoby, albo wyjmował z pochwy, żeby pokazać George'owi. Cóż ona robi na tym całunie? Przecież należy do życia, nie do żałoby...

Są tam jeszcze odznaczenia, wstęgi orderu Podwiązki... ale dawną metresę diuka ktoś popycha i zawrócić nie sposób. Z tyłu napiera tłum, więc Mary Anne przesuwa się naprzód, pozwala się ogarnąć ludzkiej fali. Jeszcze jedno spojrzenie na szpadę - i koniec... Szczególny rodzaj pożegnania.

Mary Anne znów jest na dziedzińcu, unoszona w stronę Charing Cross. Co teraz? Spełniła swoje zadanie. Nie ma po co zostawać tu dłużej.

Przysiadła na stopniach kościoła St Martin, wśród utyskujących mezczyzn, osłabłych kobiet i płaczących dzieci, które tuliły się do jej kolan. Wszyscy przyciskają się do siebie, by się rozgrzać i ochronić przed porywami wiatru i marznącą mżawką.

Siedząca obok kobieta podaje jej kromkę chleba z serem, mezczyzna z drugiej strony proponuje łyk piwa.

- Ma się to szczęście! - mruknęła pani Clarke.

Ktoś się roześmiał, zza chmur wyszło słońce, a ktoś inny zaczął śpiewać. Pomyślała o swoich "westalkach" w Boulogne i o George'u, nadętym i dumnym ze swoich szlifów. I nagle wszyscy przestali się liczyć, nawet George. Była u siebie, w miejscu, do którego zawsze należała: w sercu Londynu.

- Z daleka jesteś? - pyta obca kobieta, wysysając pomarańczę.

- Stąd, zza rogu pokazuje ręką pani Clarke. Z Bowling Inn Alley.

W kościele St Martin biją dzwony, ale Mary Anne nie rusza się z miejsca. Zajada chleb z serem, rzuca skórki gołębom i gapi się na setki krążących po niebie szpaków.